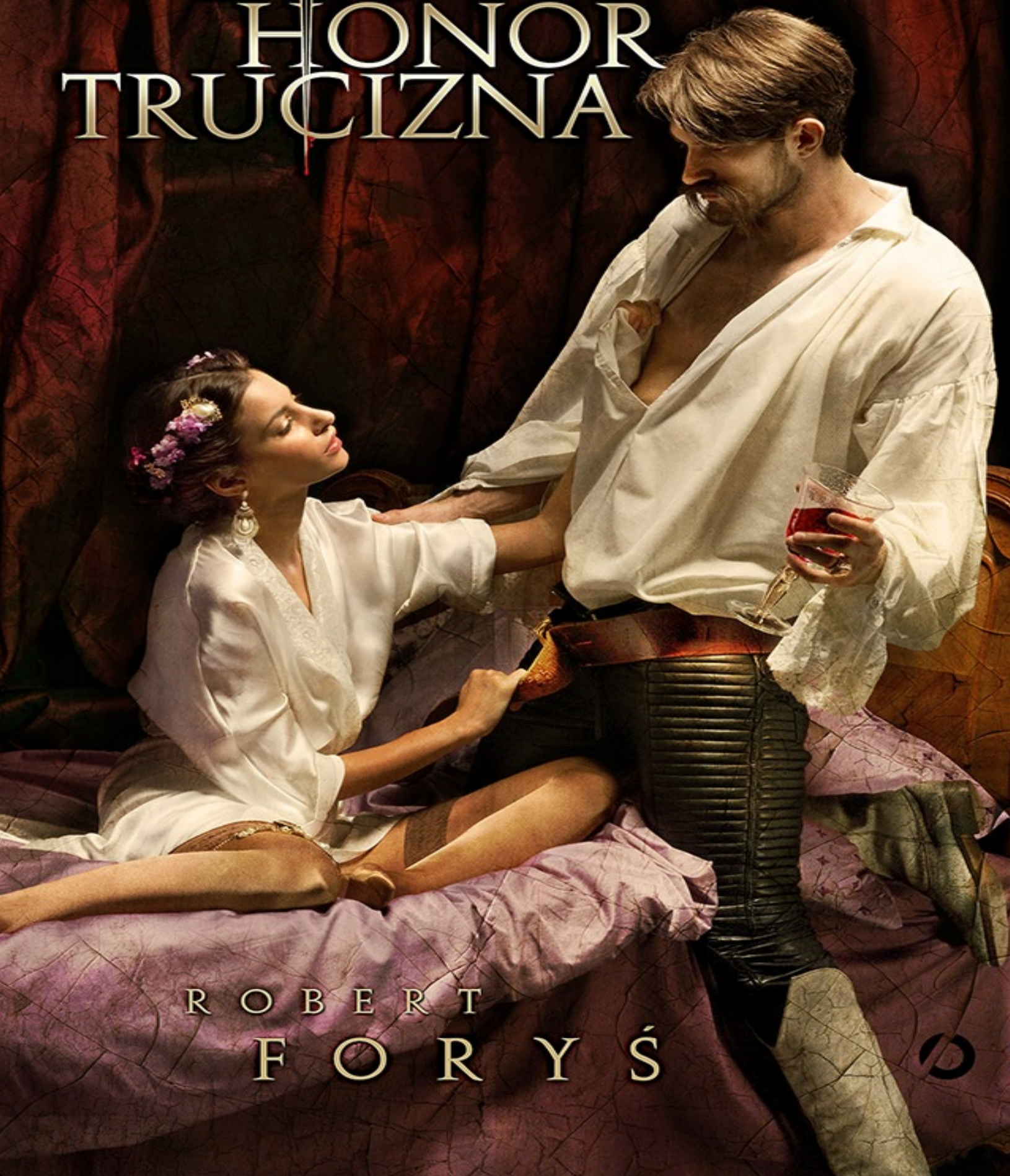


BÓG HONOR TRUCIZNA



ROBERT
FORZYŚ



R O B E R T F O R Y Ś

BÓG
HONOR
TRUCIZNA

WYDAWNICTWO
otwarte

KRAKÓW 2014

Obietnice

Paryż, październik A.D. 1671

Prawdziwa władza kryje się w cieniu. Wybrzmiewa szeptem knowań i pochlebstw, dźwięczy złotem, zabija trucizną i zdradą. Ten, kto osiągnął mistrzostwo w sztuce intrygi, może za pomocą niewidzialnych sznurków sterować losami innych, choćby byli oddaleni o tysiące mil.

Markiza d'Arquien miała całkowitą pewność, że mężczyzna, którego odwiedza po zmroku, trzyma w swych zręcznych dłoniach mnóstwo takich niewidzialnych nici. W tym kilka łączących się bezpośrednio z nią.

Kardynał Pierre de Bonzi siedział zgarbiony za biurkiem, dzierżąc w dłoni gęsie pióro i skrobiąc nim w kartę papieru. Za plecami jego eminencji wisiał na ścianie olbrzymi portret Ludwika XIV. Król Francji, w peruce i zbroi, unosił szpadę, kierując ostrze w stronę jakiegoś oblężonego miasta.

Markiza wykrzywiła wargi na wspomnienie upokorzeń, których doznała od tego ogarniętego megalomanią bufona. Po raz setny przysięgła sobie, że któregoś dnia Ludwik zapłaci jej za afronty.

Kardynał nie okazał zdziwienia późną porą wizyty. Z markizą znali się jeszcze z czasów, gdy Bonzi pełnił służbę ambasadora Ludwika XIV w Rzeczypospolitej i wspólnie czynili starania, aby wynieść na tron Polski francuskiego pretendenta księcia de Condé. Niestety szlachta zniweczyła te plany, głosując na syna kniazia Jaremy – Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Mit obrońcy Zbaraża miał, jak się okazało, większą wartość w oczach panów braci niż złoto i wszelkie obietnice płynące z nad Sekwany.

Markiza minęła buzujący ogniem kominek i stąpając po miękkim dywanie, ruszyła w stronę oświetlonego przez świece biurka. Kardynał wyszedł jej naprzeciw. Był szczupłym, wciąż atrakcyjnym mężczyzną. Miał pociągłą twarz o wystających kościach policzkowych i ciemne włosy, w których połyskiwały iskierki siwizny.

Gdy się uśmiechnął, w jego oczach pojawił się drapieżny błysk.

– Witaj, droga przyjaciółko. Cieszę się, że znalazłaś dla mnie czas przed wyjazdem.

– Nie mogło być inaczej, eminencjo. – Podeszła bliżej.

W chwili, gdy powinna była pochylić głowę i ucałować kardynalski pierścień, wpadła w ramiona odzianego w szkarłat mężczyzny. Odchyliła głowę w tył, a on złapał ją za podbródek i pocałował zachłannie w usta. W pierwszym odruchu zamierzała odepchnąć go i zrugać. A jednak nie zrobiła nic, by go powstrzymać.

Kardynał miał coś, na czym bardzo jej zależało. Kufer ze złotem, bez którego nie zamierzała opuszczać Paryża.

Pierre de Bonzi wydał z siebie niski pomruk. Obrócił ją plecami do biurka, chwycił w talii i bez wysiłku posadził na blacie. Wygięła się i oparła ciężar ciała na zgiętych łokciach, gdy eminencja zadarł wysoko jej błękitną suknię. Zacisnęła zęby i zamknęła oczy. Kardynał podciągnął sutannę i nie spuszczać z markizy ognistego spojrzenia, wsunął się między jej uda z pomrukiem chciwej żądz.

Szybko wstrząsnął nim spazm. Chrząknął gardłowo i poruszył biodrami w ostatnim konwulsyjnym pchnięciu. Westchnęła, zastanawiając się, ile dni dzieli ją od miesięcznego krwawienia.

Szybko jednak odgoniła od siebie te myśli. To była jej ostatnia noc w Paryżu i zostało jeszcze wiele rzeczy do omówienia, nim opuści ojczyznę i powróci do męża.

*

W gabinecie zapachniało tytoniem i kawą, zestawem egzotycznych, piekielnie kosztownych nowinek, na które w Paryżu zapanowała moda, odkąd Ludwik XIV postanowił dorównać innym europejskim potęgom i zdobyć dla Francji kolonie. W kraju nad Sekwaną pojawiły się tytoń i trzcina cukrowa z Ameryki, czarni niewolnicy z Senegalu, kawa i drogocenne przyprawy ze Wschodu. Nowe wspaniałe klejnoty w koronie Króla Słońce, wzmacniające jego potęgę, której i tak żaden inny monarcha w Europie nie mógł samodzielnie sprostać.

„I wielkie pieniądze, bez których nic nie jest możliwe”, pomyślała markiza z zawiścią. Choć starannie to skrywała, czuła się jak żebraczka, musząc prosić króla Francji o kolejne subsydia. Walka o tron pochłaniała krocie, a majątki jej rodziny

pustoszone rok w rok przez wojnę przynosiły zaledwie cząstkę dawnego dochodu. Najgorsza była świadomość, że dla Ludwika są to niemal drobniaki, dla niej zaś i jej męża – cała nadzieja na przetrwanie ciężkich czasów w Polsce.

Na szczęście tu, w Paryżu, mogła liczyć na protekcję kardynała de Bonziego w staraniach o pozyskanie funduszy z królewskiego skarbu.

– Wino, kakao czy kawa? – Głos eminencji oderwał ją od rozmyślań.

– Poproszę kawę – odparła.

Usiadła na krześle i spojrzała na kardynała stojącego przy stoliku z napojami. Bonzi skończył napełniać filiżanki, odstawił imbryczek i uśmiechając się, wręczył jej napar.

Markiza posłała mu wymuszony uśmiech. Ostrożnie wzięła łyk – kawa była gorąca.

Eminencja umościł się blisko niej.

– Za nasze przyszłe powodzenie – wzniosł toast swoją filiżanką.

– I spełnienie najskrytszych planów – dodała ona.

– Tak... – Oblicze kardynała przybrało czujny, przebiegły wyraz. Spojrzeli sobie w oczy. – Czy jesteś pewna, że twój mąż zdecyduje się na bunt?

– Na bunt nie, lecz jeśli nazwiemy to działaniem w obronie praw i wolności jego ukochanej Rzeczypospolitej, owszem. Zadbam o to – zapewniła z pełnym przekonaniem.

De Bonzi zacisnął usta w wąską linię.

– Tym razem nie możemy ponieść porażki. Francja staje w obliczu wojny z koalicją Austrii, Holandii, Prus i Hiszpanii. Ludwik bardzo liczy na hetmana. Jeśli obalicie Korybuta i jego austriacką królową, księżę de Longueville przybędzie do Gdańska z flotą i żołnierzami.

– A to odciągnie Austriaków od naszych granic. Jest pewne, że cesarz zechce ratować siostrę i szwagra na polskim tronie – dodała cynicznie markiza. Mówiąc „naszych granic”, czyniła to szczerze. Wciąż uważała się za Francuzkę i nie przypuszczała, aby kiedykolwiek uległo to zmianie. Nie w głębi jej serca.

– Najważniejszy jest prymas Prażmowski – oznajmił de Bonzi. – Zapewnij go, że

pozostaje w pamięci i łaskach Ludwika. Na dowód tego wkrótce otrzyma dziesięć tysięcy funtów w złocie.

– Czy to wystarczy? – wyraziła wątpliwość markiza. – Owszem, wydaje się, że prymas szczerze nie znosi Korybuta, lecz wynika to tylko z urażonej ambicji. Prażmowski jest wrogiem Wiśniowieckiego, gdyż ten słucha we wszystkim matki, żony Habsburżanki i Paców.

– Prymas od lat wykazuje lojalność wobec Francji – rzekł de Bonzi.

– Ale podczas elekcji poparł carewicza Fiodora – przypomniała cierpko. – Ponoć wziął za to olbrzymie kwoty w rublach i sobolach. Nie ma wątpliwości, nasz prymas służy tylko własnej ambicji i temu, kto najlepiej go opłaca.

– Jak my wszyscy, markizo. Dlatego nasza oferta jest najlepsza. – Kardynał uśmiechnął się lekko. – Król Ludwik zaproponuje prymasowi coś, czego nikt inny na świecie nie może mu dać.

Wstrzymała oddech, obserwując zagadkowy uśmieszek na jego ustach. Dając sobie czas na zastanowienie się, odstawiła pustą filiżankę na szafeczkę mieszczącą się za palikiem baldachimu. Nagle ją olśniło. Robiąc wielkie oczy, spojrzała na kardynała.

– Chcecie zrobić go papieżem!?! – zawołała podekscytowana.

– Jestem pod wrażeniem twej przenikliwości, markizo – odparł de Bonzi. – Zaproponowałem taki plan i król wyraził zgodę. Otrzymam też niemałe fundusze, aby zdobyć stosowne poparcie w kolegium kardynałów.

Markiza ochłonęła już po pierwszym szoku.

– To się nie uda. – Potrząsnęła głową, wzbudzając falę ciemnych loków opadających na szczupłe jasne ramiona. – Od czasów Borgiów nie wybrano na tron papieski nikogo spoza Italii!

– Z jednym bardzo krótko trwającym wyjątkiem – przyznał kardynał. – Jest to jednak bardziej zaleta niż przeszkoda, jeśli proponuje się kurii rzymskiej odpowiedniego kandydata.

– Ludzie kupią tylko to, czego pragną? – zauważyła trzeźwo.

– A czego pragną kardynałowie?

Markiza ironicznie uniosła brwi.

– Bogactw i młodych chłopców?

De Bonzi uśmiechnął się, doceniając drwinę.

– Oczywiście, pieniądze pozwalają zaspokajać pragnienia – powiedział, markiza zaś odniosła wrażenie, że mówi o samym sobie. – Mam jednak na myśli ideę, która uwiedzie kolegium kardynalskie. Coś, czego brakuje w Rzymie rozrywany przez konflikty w kurii. Nada nowy sens misji sług Kościoła.

– Co może dać kardynałom wybór Polaka?

– Szanse na powrót do czasów świetności. Kościół potrzebuje papieża spoza Italii, kogoś oderwanego od jej małych konfliktów i intryg. Człowieka, który zorganizuje ligę państw katolickich skierowaną przeciw imperium tureckiemu. Wzmocni tracące na znaczeniu i bogactwie papiestwo.

– I Prażmowski ma tego dokonać? – zapytała z powątpiewaniem.

– Nie sam, oczywiście. – Jego eminencja uśmiechnął się nieskromnie.

– Skąd przypuszczenie, że kardynałowie poprą taki zamiar?

– Pytanie brzmi: co ich czeka, jeśli tego nie uczynią? Poza wpływem Kościoła pozostaje wielka część protestanckich Niemiec, Skandynawia, Anglia i Holandia z ich koloniami. Rzym nie otrzymuje z tych krajów dziesięciny. Samo państwo papieskie otoczone jest przez italskie posiadłości Hiszpanii i Austrii. Katolicycy monarchowie zaczynają wyciągać ręce po biskupstwa, domagać się od duchownych, by w pierwszej kolejności byli wierni państwu i królowi, a nie Ojcu Świętemu. Papież Polak to wizja, która pozwoli Kościołowi odzyskać dawną pozycję zachwianą przez reformację i potęgę chrześcijańskich królów.

„W tym także tego bufona Ludwika, którego w głębi serca oboje nie cierpimy”. Tę myśl markiza zachowała jednak dla siebie. Pewnych spraw lepiej nie poruszać, nawet gdy jest się nagim w alkwie.

Musiała przyznać, że plan był śmiały i pociągający. Godzien nieprzeciętnej inteligencji kardynała de Bonziego. Choć przebieg jego realizacji – podobnie jak jego twórca – piekielnie nieprzewidywalny.

Człowiek z blizną

Kufer był tak ciężki, że musiało dźwigać go czterech silnych mężczyzn. W pewnej chwili jeden z nich idący na przedzie zaczepił czubkiem buta o nierówność bruku i na moment wielka skrzynia przechyliła się niebezpiecznie na bok. Sama myśl, że mogłaby trzasnąć o ziemię i otworzyć się, ujawniając sekretną zawartość, wywołała kpiący uśmieszek u Charlotty Mesire.

Odsunęła się od okna i wkroczyła do kancelarii, gdzie powitał ją sekretarz kardynała. W białych pończochach, szustokorze i pofryzowanej peruce przypominał Charlotcie elegancko wystrzyżonego pudła.

– Jego eminencja jest zajęty modlitwą – oznajmił wyniośle. – Wyraźnie zaznaczył, że nie należy mu teraz przeszkadzać.

Charlotta spojrzała na sekretarza, mrużąc oczy.

Wielu rzeczy można było się spodziewać po kardynale Tulonu, lecz nie tego, że oddaje się porannej pokucie zaraz po nocy spędzonej z mężatką.

– Zatem poczekam.

Usiadła na wygodnym, wyściełanym aksamitem krześle ustawionym pod ścianą.

Sekretarz zmarszczył brwi, ale nie ośmielił się zaoponować. Z niezadowoloną miną wrócił za biurko. Wyciągnął gęsie pióro z kałamarza, strząsnął nadmiar atramentu i zaczął pisać coś na karcie papieru.

Zdołał nakreślić dwa, trzy zdania, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie jakiś dworak. Wymachując naręczem opatrzonych pieczęciami dokumentów, zaczął perorować podniesionym głosem, nie zwracając uwagi na obecną w pomieszczeniu damę. Padły takie słowa jak: „poważne konsekwencje”, „zaniedbanie”, „skandal” i „łapówka”. Przy każdym z tych określeń sekretarz krzywił się, jakby obrywał pięścią w brzuch.

W końcu udało mu się przerwać oskarżycielską tyradę. Poderwał się z biurka i obiecując natychmiast wyjaśnić zarzuty, wyprowadził z sekretariatu rozwścieczonego mężczyznę.

Charlotta podniosła się z krzesła, gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi z cichym

szczękiem. Podeszła do przeszklonego wyjścia na taras. Wystarczyło przekręcić zasuwkę, aby otworzyć podwoje i dostać się na szeroki balkon o wysokiej kamiennej balustradzie. Zadrżała, gdy owiało ją chłodne powietrze.

W dole, na alejkach między wilgotnymi żywopłotami zbierała się mgła napływająca od Sekwany. Charlotta nie dostrzegła żadnych strażników, wszyscy byli zajęci na dziedzińcu przy pakowaniu na wozy drogocennych skrzyń.

Taras miał kształt litery L, której krótsza część niknęła za narożnikiem gmachu. Skierowała się tam, mijając gabinet kardynała, i skręciła za róg, gdzie znajdowały się olbrzymie okna alkowy. Kompleks pomieszczeń zajmowany przez kardynała składał się z sypialni, łazienki, garderoby i saloniku. Właśnie w tym ostatnim pokoju eminenca prowadził rozmowę ze swym gościem.

Niestety firany były szczelnie zasłonięte. Przez szparę w uchylonym oknie sączyły się ciche głosy, zagłuszane przez hulający po tarasie wiatr. Charlotta musiała maksymalnie wyteńczyć słuch, aby wychwycić poszczególne słowa.

– Ekscelencja ufa jej?

– Dlaczego miałbym nie ufać? Dotychczas dobrze nam służyła.

– Mój pan odnosi wrażenie, że markiza Sobieska myśli więcej o pozycji swego męża niż o powodzeniu naszej sprawy.

– Cóż... taki to urok małżeństwa – rzekł de Bonzi. – Zresztą zabezpieczyłem się przed...

Dalsze słowa skutecznie przytłumił świst wiatru.

– Czy książę de Longueville gotów jest przyjąć na siebie ciężar korony? – To był już głos rozmówcy kardynała.

– O ile zostanie wezwany przez swych nowych poddanych – zaznaczył kardynał z rezerwą. – Król Ludwik ma żywo w pamięci poprzednie niepowodzenie w Polsce z elekcją księcia de Condé.

– Decyzja szlachty była zupełnie nie do przewidzenia, eminenco.

– Wiem to. Tym razem nie możemy...

Skrzypienie zatrzaśniętej przez wiatr okiennicy zagłuszyło głos kardynała.

Charlotta zakłęta w duchu i odruchowo przykucnęła przy murze dzielącym dwa

okna saloniku.

– ... potrzeba nam pewności, że zmiana na tronie odbędzie się bez kolejnej wojny domowej, której wynik zawsze jest niepewny.

– Taką gwarancję da tylko śmierć Michała Korybuta, eminencjo.

– Zatem Bóg wybaczy nam, jeśli usuwając jednego człowieka, unikniemy większych ofiar i kosztów. Proponuję wybrać dyskretny sposób. Nazywają to „wdowia łąza”...

Rozchwierutane okno znów trzasnęło.

– Bądź tak dobry i zamknij okiennice – poprosił de Bonzi z irytacją w głosie.

Charlotta przywarła do muru. Zasłona odchyliła się i za szybą ukazała się ręka. Spód dłoni mężczyzny przecinała wąska podłużna blizna. Prawdopodobnie pamiątka po garocie.

Okiennica zamknęła się cicho i zasłona wróciła na swoje miejsce. Charlotta odczekała chwilę, po czym wycofała się skulona za narożnik tarasu. Tam wyprostowała się i szybkim krokiem dotarła pod przeszklone drzwi kancelarii.

Odetchnęła z ulgą na widok pustego miejsca za biurkiem, wsunęła się do ciepłego wnętrza i przekręciła zasuwkę. Nim zdążyła dopaść krzesła, wrócił sekretarz. Zamarł w progu i zmierzył Charlotte nieufnym spojrzeniem. Posłała mu niewinny uśmiech. W tym samym momencie rozwarły się podwoje prowadzące do samotni kardynała.

Eminencja zmierzył ją wzrokiem.

– Dobrze, że jesteś – rzekł krótko i zaprosił skinieniem dłoni do siebie.

Przeszli od razu do saloniku. Po rozmówcy kardynała nie było już śladu. Uznała, że wymknął się tylnym wyjściem. Jej samej w przeszłości zdarzało się korzystać z tego rozwiązania.

Eminencja spoczął w fotelu. Łaskawym gestem wskazał jej krzesło.

Wciąż było ciepłe od ciała tamtego człowieka.

– Chcę mieć pewność, że użyte środki nie zostaną zmarnotrawione przez naszych przyjaciół – oznajmił kardynał. – Będziesz mnie informować listownie o postępach w naszej sprawie.

– Jak eminencja rozkaże – zgodziła się bez wahania. – Obawiam się jednak, że ich osobiste ambicje są znacznie silniejsze niż lojalność wobec Francji.

Przez moment zdawało się, że kardynał de Bonzi się uśmiechnie.

– Taka jest natura polityki, moja droga. Rzucamy garściami złoto z nadzieją, że ludzie, którzy je przyjmą, będą pożądać go więcej i więcej. Chciwość to cecha, na którą zawsze można liczyć.

– Problem w tym, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci więcej – zauważyła Charlotta.

– W takiej sytuacji najlepiej od razu podejmować zdecydowane działania. – W głosie eminencji zadźwięczała stal. – Zadbaj, aby nasi przyjaciele pozostali lojalni. Gdyby jednak rozsądek przegrał u nich z chciwością... Cóż... wiesz, co masz robić.

Charlotta zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu.

– Wiem, eminencjo.

– Doskonale, nigdy w ciebie nie wątpiłem, moje dziecko.

Kardynał dźwignął się z fotela i podał jej dłoń. Charlotta popatrzyła mu w oczy i uklękła. Musnęła wargami pierścień z olbrzymim rubinem.

Był kimś więcej niż ojcem, którego niemal nie pamiętała.

Uważał się za jej Stwórcę.

Charlotta uśmiechnęła się w duchu na to zadufanie. Gdyby eminencja poświęcał więcej czasu na czytanie Biblii, odkryłby, że wszelkie stworzenie nosi w sobie ukrytą skazę nieposłuszeństwa.

ROZDZIAŁ I

Uciekinier

Grudzień A.D. 1671

Bogusław Tyner przedzierał się między drzewami, brodził po kolana w zwałach śniegu, ślizgał się na zmarzniętej ziemi. Cierpiał zimno, głód i strach. Wszystko po to, aby na koniec przekonać się, że nie wystarczy maszerować przed siebie, by uciec przed pechem.

Dyszząc z wyczerpania, przywarł do pnia sosny. „Fortuna na mnie szczy”, pomyślał i wlepił wzrok w położoną poniżej dolinkę, gdzie rozłożyła się sotnia – może jeden z oddziałów, przed którymi umykał od kilku dni. Kozacy byli zajęci przygotowywaniem posłań i ognisk. Widać było, że szykują się do spędzenia tam nocy.

Tyner poprawił futrzaną czapkę osuwającą mu się na oczy i rozejrzał się, szukając wart. Dostrzegł po trzech strażników czuwających przy obu wylotach dolinki. Kilku innych pełniło straż na skraju lasu po drugiej stronie niecki. Wartownicy uzbrojeni byli w rohatyny, szable i samopały. Tyner boleśnie przekonał się na własnej skórze, że Kozacy wiedzieli, jak ich używać.

Gdy dwie niedziele wcześniej jego oddział przekroczył granicę z Mołdawią, nic nie zapowiadało katastrofy. Posuwali się w stronę Suczawy, łupiąc i paląc wsie zwolenników hospodara, a za dnia zapadali się w gęste lasy Bukowiny. Tyner w skrytości ducha zaczął wierzyć, że tym razem dopisało mu szczęście. Po powrocie planował za zdobyte łupy wydzierżawić folwark, może nawet założyć wymarzoną stadninę koni.

Lecz jak zawsze los zakpił z niego w okrutny sposób. Gdy wracali na polską stronę, podczas przeprawy przez Seret zaskoczył ich tatarsko-kozacki oddział.

Rozpętało się gwałtowne i krwawe starcie, a że sułtańskie kundle miały przewagę, resztki chorągwi rozproszyły się, szukając ocalenia w lasach. Jednak próbować wymknąć się Tatarom to jakby chcieć prześcignąć wiatr. Przez kolejne dni

jego grupa, kilkunastu wymęczonych, owiniętych zakrwawionymi szmatami desperatów, kluczyła po górach, pohańcy zaś siedzieli im na karku niczym wilki podążające tropem krwi pozostawianym na śniegu przez ranną zwierzynę.

Dwa dni temu znów wpadli w zasadzkę. Jemu udało się przeżyć, co do pozostałych nie mógł mieć pewności.

Tyner poczuł gorzki smak w ustach. Sięgnął po bukłaczek i wyciągnął zatyczkę. Gorzałki nie zostało już wiele, tyle, co chlupotało na dnie. Pił ostrożnie, dbając, by nie uronić ani kropli. Odbiło się mu i odetchnął, czując, jak miłe ciepło spływa z przełyku do żołądka.

Przywiesił bukłaczek do pasa i ponownie popatrzył na sanie Kozaków ustawione w taki sposób, by tworzyły zagrodę dla koni.

W jego głowie pojawił się śmiały plan.

Zza ośnieżonych drzew i krzewów porastających łagodne zbocze sąsiedniego wzgórza wyłoniły się kolejne postacie dźwigające naręcza chrustu i gałęzi. Tyner przerwał obserwację Kozaków i zbadał wzrokiem stromy, oblodzony stok poniżej swojej kryjówki. Nie dostrzegł tam wartownika czy choćby śladów stóp na śniegu, jedynie tuż przy linii drzew kilka kruków żerowało na lisiej padlinie.

Wypuścił obłoczek pary z ust i jeszcze raz bacznie zlustrował błyszczące bielą kopce śniegu dzielące go od prowizorycznej zagrody dla koni.

Pokusa wykradzenia wierzchowca była nieodparta mimo wiążącego się z tym ryzyka. Postanowił spróbować, gdy tylko się ściemni. Szybko jednak stwierdził, że cierpliwość to stan, którego próżno wymagać od przemarzniętego na kość i głodnego człowieka. Ostatni skrawek suszonego mięsa zjadł zeszłego dnia rano i teraz kiszki skręcały mu się wściekle.

Na szczęście znów zaczął gęsto sypać śnieg. Kilka minut później obozowisko w dole utonęło w kurzawie. Tyner podrapał się po wilgotnym zaroście na szczęce. „Jeśli masz coś zrobić, zrób to, nim minie okazja”. Tak mawiała jego żona. Gdy był młodszy, brał to za kobiece zrządzenie, teraz, po latach, słowa te wydawały się mu bardzo prawdziwe.

Wynurzył się spod ośnieżonych gałęzi i chyłkiem ruszył w dół, chwytając się wystających korzeni drzew i skał. Starał się przemieszczać ukośnie po pochyłości,

aby znaleźć oparcie dla stóp, aż ześlizgnął się na dno niecki, osłonięty przez kłębowisko ruchomych płatków. Przykucnął zeszywniały i bezgłośny przy śnieżnym kopcu, nasłuchując, jak Kozacy nawołują się przy ognisku.

Tyner wysunął się chyłkiem zza zaspy i zanurzył w wirującą biel i szarość. Szedł prawie na oślep. Lodowe płatki spadały mu na twarz, oblepiały brodę, wąsy i brwi, prószły w oczy tak, że musiał osłaniać się ramieniem. Mimo to brnął dalej, zapadając się w śniegu, dysząc ciężko i wciąż zastanawiając się, czy idzie w dobrym kierunku.

Najpierw zobaczył zarys sań, a potem usłyszał parskanie uwiązanych tam koni. Przyczajony, zrobił jeszcze kilka kroków i dopadł osłony, za którą stały wierzchowce.

Przez jakiś czas znów nasłuchiwał głosów dochodzących z kurzawy. Niestety nie potrafił ustalić nic pewnego. Ostrożnie wystawił głowę nad drewnianą ramę. Najbliższe mu zwierzę wytrzeszczało na niego oczy i prychało parą. To była klacz, pod wierzch.

Pochylił się i wpełzł pod sanie, uważając, by nie uderzać szablą o płozy, a następnie wyczołgał się po przeciwnej stronie między pęcunami wierzchowców. Nagłe pojawienie się człowieka zaniepokoiło klacz. Wierzgnęła, a jej przednie kopyto wybiło dołek w śniegu tuż przy twarzy Bogusława.

Poderwał się i uspokajającym gestem przyłożył dłoń do jej chrap. Klacz szarpnęła za powróż, ale po chwili pozwoliła mu się dotknąć. Szepcząc uspokajającym tonem, odwiązał powróż od sań i poprowadził zwierzę w kłębowisko śniegowych płatków. Pomimo braku siodła i strzemion zdołał wspiąć się na grzbiet konia i pognął cwałem w kierunku wylotu dolinki. Dystans między nim a obozem zwiększał się z każdym końskim skokiem. Bogusław wlepił wzrok w oślepiającą biel. Przy tej pogodzie wartownicy mieli niewielkie szanse na celny strzał. O ile dostrzegą go w kurzawie. Na razie nic tego nie zapowiadało.

Obejrzał się przez ramię, wciąż nie słyszał alarmu. Uśmiechnął się do samego siebie, choć bez szczególnej radości. Ostatecznie aż tak wiele się nie zmieniło, wciąż był głodny i zmarznięty.

A potem obrócił głowę i spojrział.

Wprost na rohatynę wyrosła z zamieci i trzymającą ją barczystą postać. Mgnienie oka przed tym, jak wąski grot przebił rozpędzoną klacz.

Zwierzę ze straszliwym kwikiem runęło na śnieg, spryskując go obficie krwią. Tyner mógł się jedynie zsunąć na bok i w ostatniej chwili podciągnąć kolana, ratując nogi przed zmiążdżeniem pod ciężarem wierzchowca. Gwałtowny upadek wydarł mu dech z piersi, a uderzenie w tył głowy niemal pozbawiło przytomności.

– Prawie się udało – wymamrotał, czując w ustach smak krwi z przygryzionego języka.

Usłyszał skrzypienie śniegu.

Nadchodziła jego śmierć. Od lat wiedział, że ta chwila kiedyś nastąpi. Właściwie to Tyner dziwił się, że tak długo udawało się mu jej uniknąć. Nie bał się. Nawet poczuł ulgę. Przymknął oczy, czekając, aż pochłonie go mrok.

Złe przeczucia

„Czemu po mnie nie wyjechał?” Niepokój szarpał sercem Marysieńki, odkąd przypłynęła do Gdańska i zamiast objąć długo niewidzianego męża otoczył ją tłumek kupców i rajców zabiegających o łaski pani hetmanowej. Zwykle cieszyła ją taka adoracja ze strony niezmiernie bogatych gdańszczan, lecz niespodziewana nieobecność męża była jak łyżka dziegciu, która zepsuła cały smak miodu.

Wytrwała w tym niepokoju dwa dni, po czym kazała służbie pakować bagaże na wozy i wyruszyła w drogę do domu.

– Może znalazł sobie kochankę – w końcu wyjawiała swój lęk na głos, zwracając się do podróżującej wraz z nią w karocy damy do towarzystwa.

Charlotta Mesire oderwała wzrok od książki, którą zaczęła czytać jeszcze na statku. Wydawało się, że nie przeszkadza jej kołysanie i ciągłe podskakiwanie karocy na wertepach, choć Marysieńka nie potrafiłaby się skupić w tych warunkach na przeczytaniu nawet jednej strony.

Charlotta odłożyła książkę na siedzenie.

– O ile sobie przypominam, latem sama namawiałaś go w listach, aby podczas kampanii wojskowej nie trwał w abstynencji pod twą długą nieobecność, gdyż to niezdrowe dla męża w sile wieku.

Marysieńka spojrzała ostro na Charlotte. Od służby, nawet tak zaufanej jak pani Mesire, nie oczekiwała napomnień.

– Nie mówię przecież o wojskowych ladacznicach – fuknęła z irytacją. – Tylko o czymś poważnym, jakiejś magnackiej suce, która omotała Jana swymi sztuczkami.

Charlotte pochyliła się ku markizie. Uspokajającym gestem położyła dłoń na futrzanej narzucie okrywającej jej nogi.

– Twój mąż jest zakochany w tobie po uszy, nie znam drugiej takiej miłości, z pewnością miał ważny powód, aby nie przyjechać. Zobaczysz, w Gniewie czeka na ciebie list od niego.

– Tak, na pewno – szepnęła Marysieńka i uściskała dłoń Charlotty w podziękowaniu za słowa otuchy.

Karoca znów potężnie zakołysała się na wyboju, co zburzyło ledwo poprawiony nastrój Marysieńki.

– Czy w tym kraju ktoś w końcu zadba o drogi!?! – huknęła rozdrażniona. – Przecież to urąga wszelkiej przyzwoitości.

Charlotte zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

– Co cię tak drażni? Masz już miesięczne dolegliwości?

– Problem w tym, że nie dostałam krwawienia. – Marysieńka westchnęła i spojrzała w obity sukrem sufit powozu.

– Och... Może to przez trudy podróży...

– Miejmy taką nadzieję – mruknęła Marysieńka i wlepiła wzrok w monotony, okryty bielą pejzaż za oknem. Minęły ledwie dwa dni od wyjazdu z Gdańska, a ona miała już serdecznie dość podróży. Otuliła się szczelnie futrem, lecz ciepły ubiór nie mógł zastąpić przytulnego domu i filiżanki kakao wypitej przy ogniu rozpalonym w kominku.

Zresztą celowo czekała z powrotem do Polski, aż silny mróz zetnie jesienne roztopy. Bez tego utknęliby po osie w błocie już na Żuławach.

Latem mijany krajobraz mieniłby się od złota i srebra pól, kwiatnych łąk i szumiących nad strumieniami drzew. Teraz jednak okolice zasnuwała przygnębiająca biel, od której odcinały się zgarbione sylwetki czarnego ptactwa.

Na szczęście po jakiejś godzinie kolebania się na bezdrożach dotarli do Gniewu, starostwa należącego do Sobieskich. W unoszącej się nad Wisłą mgłę Marysieńka widziała zarys potężnego zamku z czterema wieżami i czerwoną bryłę kościoła odcinającą się na tle szarości i bieli.

Trakt polepszył się i konie pokłusowały w kierunku bramy prowadzącej za mury. Marysieńka z ciekawością obserwowała witryny sklepów i ludzi, którzy przystawali na widok przemierzającej uliczką kawalkady. Ktoś z cizby krzyknął na wiwat, ktoś inny podchwycił powitanie. Wnet na trasie przejazdu podniosły się okrzyki w niemieckiej mowie, która na całym Pomorzu była w powszechnym użyciu.

Jadący na przedzie dragoni zniknęli już pod masywnym łukiem bramy zamkowej, a po chwili koła karocy zaturkotały o brukowany dziedziniec.

Marysieńka i Charlotta wysiadły z powozu, gdy tylko woźnica wstrzymał zaprzęg. Na podwórku rozbrzmiały pokrzykiwania czeladzi i woźniców próbujących zmieścić w ciasnej przestrzeni kilkanaście wozów, na których wieziono sprzęty i ubrania zakupione we Francji.

– Zadbaj, aby kufry od kardynała trafiły pod klucz – zwróciła się markiza do Mesire. – Przy drzwiach postaw straż.

– Zajmę się tym – odrzekła Charlotta.

Marysieńka z niechęcią rozejrzała się po malutkich oknach osadzonych w murach z czerwonej cegły. Zamek jak zawsze wywierał na niej ponure wrażenie, szczególnie o tej porze roku. Otuliła szyję kołnierzem futrzanego płaszcza i szybkim krokiem udała się do głównego wejścia.

W surowym holu zamiast podstarosty zastępującego w Gniewie jej męża przywitał ją ochmistrz. Niski, kulejący na lewą nogę mężczyzna ściągnął czapkę i padł do jej nóg, całując rąbek sukni.

– Czy komnaty gotowe? – wypaliła, nie hamując rozpierającej ją irytacji.

– Wydałem polecenia, jak tylko przybył goniec z Gdańska – zapewnił ochmistrz.

– Doskonale – mruknęła i ruszyła przez hol w stronę schodów prowadzących na piętro.

Surowe sale i wąskie korytarze przeznaczone niegdyś na potrzeby Krzyżaków były puste i nieogrzewane. W wielu miejscach dostrzegła pleśń, pajęczyny i kurz.

Starostwo zatrudniało zbyt mało urzędników i zbrojnych, aby tchnąć w gmach pełnię dawnego życia, a Jan nigdy nie był skłonny zatrudniać więcej służby, niż to konieczne. Nawyk oszczędności, graniczący ze skąpstwem, był cechą charakteru męża, której mimo wieloletnich starań nie potrafiła zmienić.

W Gniewie zajmowała zawsze te same komnaty, z własną łazienką i przytulną sypialnią. Obszerny salon miał wielkie okno o półkolistym sklepieniu, a z ciemnobrązowego belkowanego sufitu zwisał kandelabr z tuzinem świec. Kilka innych mosiężnych świeczników rozstawiono na biurku i kredensiku. Przy kominku stał wygodny fotel, w głębi pomieszczenia zaś znajdowała się sofa.

Mimo starań włożonych w urządzenie pomieszczenia Marysieńce nie udało się do końca wyeliminować surowego zakonnego ducha zasiedziałego w całym zamczysku.

– Pospiesz się z ogniem, zimno tu jak w psiarni – ofuknęła pokojówkę, która za pomocą miecha starała się rozdmuchać żar w kominku. Wyjrzała przez okno na podzamcze. Stały tam drewniane szopy i kilka domków służby.

„Gdyby zburzyć te domy, można by tam postawić wygodny pałac. Nie musiałabym się więcej zatrzymywać w tym ponurym gmachu”. Ów pomysł nieco poprawił jej nastrój. Uniosła wzrok na płynącą trochę dalej Wisłę i ulokowany poniżej zamku port rzeczny, gdzie czekały na wywóz do Gdańska olbrzymie sterty desek i nieobrobionych pni. Rzeka wciąż nie pokryła się lodem, co umożliwiała kursowanie barek, lecz jednocześnie oznaczało, że podróżując na Ruś, będzie zmuszona korzystać z nielicznych mostów i promów.

Znów pomyślała o niepokojącym braku wieści od Jana. „Przecież pisałam, że wracam! Czemu więc go tu ze mną nie ma?”

Zacisnęła palce na szalu i zsunęła go z szyi. Z pomocą służącej pozbyła się futra z soboli i bawełnianej sukni, luźnej w talii i odrobinę krótszej z przodu.

– Daj to do prania – zarządziła. – I poproś *madame Mesire*, aby mnie odwiedziła. Służąca dygnęła i opuściła komnatę, zamykając za sobą drzwi.

Marysieńka zatonęła w fotelu ustawionym naprzeciw kominka, pozbyła się butów i wyciągnęła zmarznięte stopy w stronę buzującego ognia. Ogarnęło ją przyjemne ciepło i poczuła ciężenie powiek, lecz nim zmęczenie wzięło górę, pojawiła się Charlotta.

Zdążyła już zmienić suknię. Nowa była jasnozielona i zapięta pod szyję, co uwydatniało zarys jędrnych piersi Charlotty. Czarne włosy nosiła krótko ścięte, dzięki czemu mogła wygodnie zmieniać peruki. Miała lekko zadarty nos i duże oczy, którymi spojrzała na Marysieńkę z nieodgadnionym wyrazem.

– Dowiedziałaś się, czemu podstarosta nie wyszedł mnie powitać?

Mesire zbliżyła się do kominka i ogrzała dłonie.

– Przewodniczy rozprawie sądowej w ratuszu – odparła. – Już go powiadomiono o naszym przybyciu.

– Co to za proces?

– O czary – wyjaśniła Charlotta. – Ale to nie wszystko. Od pokojówki dowiedziałam się, że w grę wchodziły też trucicielstwo i sodomia. Te oskarżenia jednak wycofano ze względu na reputację ofiary.

– Napiję się białego wina. Podasz mi kieliszek? – poprosiła Marysieńka i wskazała ruchem głowy kuferek stojący pod ścianą, gdzie trzymała oryginalne trunki z Barsac.

Tuzin butelek stanowił pożegnalny prezent od kardynała de Bonziego, który słusznie zauważył, że to, co w Polsce uważa się za wina francuskie, w rzeczywistości jest sikaczem doprawionym przez Holendrów, zanim towar dotrze do Gdańska.

Charlotta wyjęła ze skrzynki zakorkowaną flaszkę i dwa srebrne pucharki. Gdy napełniła je winem, jeden z nich podała markizie.

Marysieńka upiła łyk i z westchnieniem oparła się o zagłówek fotela.

– Boże, jak ja nienawidzę tego kraju – wyznała. – Od lat namawiam Jana do wyjazdu do Francji. Ale on zawsze znajduje powód, aby się opierać. Prawda jest taka, że zostanę tu z nim na zawsze. – Wychyliła resztę wina i wyciągnęła puchar ku

Charlotcie. – Nalej mi jeszcze, proszę.

Mesire napełniła puchary. Przez chwilę wpatrywały się w ogień trzaskający w kominku.

– Tęsknisz czasem za domem? – zapytała Marysieńka.

Charlotta wzruszyła ramionami.

– Nie ma za czym – zwierzyła się ponuro. – Matka umarła, jak miałam jedenaście lat, a wuj, który mnie przygarnął... nie był dobrym człowiekiem.

Marysieńka z ciekawością zerknęła spod długich rzęs na swą towarzyszkę. Rzadko rozmawiały o przeszłości Charlotty.

– Wiele zawdzięczasz kardynałowi de Bonziemmu – powiedziała.

– Ofiarował mi nowe życie.

Coś w głosie Charlotty podpowiedziało Marysieńce, że chwila szczerości minęła. Mesire, choć znały się od pięciu lat, wciąż była dla niej tajemnicą.

Markiza nie po raz pierwszy zastanowiła się, komu Charlotta jest naprawdę wierna. Sobieskim, kardynałowi, a może wyłącznie samej sobie? Na szczęście nie stanowiło to problemu, póki wszystkim przyświecał wspólny cel – obalenie Korybuta.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała pani hetmanowa.

Z korytarza wsunął się wysoki mężczyzna w żupanie. Podstarosta miał pociągłą twarz i duże wąsiska, które w połączeniu ze smutnymi oczyma nadawały jego obliczu wyraz wiecznego zatroskania. Szlachcic zerknął niepewnie na dwie przypatrujące się mu damy i nerwowo zacisnął przed sobą dłonie.

Marysieńka nie dziwiła się nastrojowi zarządcy. Jego poprzednik wyleciał z urzędu na pysk za trwonienie dochodów oraz niedopatrzenia w księgach, więc podstarosta spodziewał się kontroli rachunków.

Jako że Jan miał na głowie zarząd nad wielkimi dobrami na Rusi, a do tego ostatnie lata wciąż trawił na wojnie, pani hetmanowa musiała wziąć na siebie nadzór nad majątkami na Pomorzu. Od początku nie czyniła tego z radością, zawsze wołała wydawać pieniądze, niż je liczyć, lecz zgodnie z wolą męża wywiązywała się

skrupulatnie z powierzonego jej obowiązku.

– Wybacz, waszmość pani, że cię nie powitałem, lecz przewodniczyłem przesłuchaniu w sprawie gardłowej zbrodni i dopiero co...

– Ponoć chodzi o czary? – weszła mu w słowo Marysieńka.

Podstarosta posłał jej kolejne niespokojne spojrzenie.

– Nie tylko... – Zawahał się, niepewny, ile już wie pani hetmanowa. – Ten młodzik to czarna dusza. Oddawał się też trucicielstwu i sodomii.

– Człowiek o wielu talentach, już mi się podoba – zakpiła z sofy Charlotta.

Marysieńka zgromiła ją wzrokiem.

– Przyznał się do winy?

– A jakże. – W głosie podstarosty zagrała urzędnicza duma. – Jak tylko wzięliśmy go na męki, przyznał się niecnota do udziału w sabatach i chędożenia z diabłem pod postacią kozła.

Marysieńka obróciła puchar w dłoni.

– A do otrucia i sodomii? – zapytała od niechcenia.

Podstarosta drgnął i nerwowym ruchem przeczesał opadające wąsiska.

– Tu się wyparł, choć kat wykręcał mu kończyny w drabinie, a potem przypalał pachy ogniem. – Zgarbił się i pochylił konfidencjonalnie ku pani hetmanowej. – Otruty człowiek był szanowanym obywatelem, mistrzem cechu zegarmistrzowskiego. Zostawił żonę i czwórkę dzieci – wyjaśnił cichym głosem. – Po co roztrząsać sprawę, miłościwa pani? Wstyd i szkodę wdowie i sierotom czynić? Wystarczy, że winny zbrodni poniesie karę.

– Macie rację... – Marysieńka zamilkła na chwilę, tknięta ciekawym pomysłem. – Charlotto, chcę, abyś porozmawiała z tym młodzieńcem. – Wymieniła z dwórką znaczące spojrzenia.

Mesire skinęła głową. Podniosła się z sofy i wygładziła fałdki na sukni, po czym wyszła z komnaty, odprowadzona zdumionym wzrokiem przez podstarostę.

– Jak duży dochód przyniesie starostwo na ten rok? – zapytała pani Sobieska, przechodząc do rachunków.

– Dwakroć większy niż w zeszłym – oznajmił z dumą oficjalista. – Z tego będzie

piętnaście tysięcy złotych ze sprzedaży zboża plus osiem tysięcy za woły, drewno, воск i skóry.

Marysieńka uśmiechnęła się łaskawie, choć zysk pokrywał zaledwie kroplę w morzu potrzeb, w jakie wpędziły Sobieskich zniszczenia poczynione przez Kozaków i Tatarów w ich majątkach na Rusi.

– Doskonale się spisujecie. Przygotuj waszmość księgi rachunkowe, chcę w nie spojrzeć.

Podstarosta ukłonił się i opuścił komnatę.

Marysieńka została sama. Skuliła ramiona i spojrzała w ogień, zadając sobie pytanie, gdzie podziewa się jej mąż.

*

Gdy Charlotta dotarła pod ratusz, kupcy właśnie zamykali podwoje sklepów i kramów. Mróz i nadciągający wczesny zmierzch przepłoszyły kupujących i tylko przy ladzie bławatnika dwie kobiety w białych czepcach i czerwonych sukienkach pod płaszczami marudziły przy belach sukna.

Mesire wyszła z półkrytego powozu i pokazała towarzyszącemu jej wachmistrzowi, by zapukał do drzwi.

Cichoń chwycił kołatkę i uderzył trzykroć w okute drewno, wzbudzając zimny, hałaśliwy dźwięk. Musiała jednak minąć dłuższa chwila, nim przez wizjer wyjrzało czyjeś oko.

– Ratusz zamknięty na dziś – zaburczał ktoś z sieni. – Panowie rajcy zakończyli przesłuchanie.

– Otwieraj, my z polecenia pani hetmanowej Sobieskiej, która gości na zamku – zażądał Cichoń.

Rozległ się zgrzyt odsuwanej rygla i drzwi się rozwarły. Wyjrzał zza nich siwiejący mężczyzna z pokaźnym brzuchem, na którym nie dopinał się podbity baranicą kaftan.

– Jestem tu woźnym sądowym – wyjaśnił po niemiecku, widząc cudzoziemski strój Charlotty.

– Pani hetmanowa poleciła mi zobaczyć oskarżonego o czary – odparła Mesire również po niemiecku, który to język znała równie dobrze jak francuski i polski.

Woźny łypnął nieufnie na obcą mu damę, ale cofnął się od drzwi, mając przed sobą zwalistą sylwetkę Cichonia.

– Więzień jest w beczce – burknął, gdy Charlotta weszła do sieni ratusza. – Panowie rajcy łaskawi dla ścierwa, ja bym tam sodomitę ogniem ochrzcił. Niech wie, co go czeka w piekle.

Idąc przodem, doprowadził przybyszy do krętych schodów, którymi zeszli do piwnic gmachu. W podziemnym korytarzu migotał płomień samotnej lampki. Woźny zdjął kaganek ze ściany i poprowadził ich do masywnych żelaznych drzwi. Odszukał przy pasie odpowiedni klucz i weszli do katowni.

Charlotta ogarnęła spojrzeniem piwnice, starając się przywyknąć do półmroku. Sala tortur nie dorównywała ani rozmiarem, ani też wyposażeniem tej w Colmarze, gdzie trafiła wiele lat temu. Tu wyposażenie składało się ze stołu i krzeseł dla sędziów oraz pulpitu dla pisarza notującego zeznania. Na ścianie wisiał krucyfiks. Narzędzia tortur były dość prymitywne, co zresztą nie wykluczało ich skuteczności: ława do rozciągania stawów z metalowymi uchwytami na nogi i ręce, zwykła drabina i kocioł na wrzący olej. Dodatkowo na stole leżały ułożone starannie obcęgi, pilniki, imadła i kolczaste obroże. Charlotte przeszły paniczny lęk, odżyły dawno zatarte wspomnienia – upokorzenie, bezradność, strach i potworny ból.

Poczuła swędzenie nad obojczykiem, tam gdzie kat wypalił na jej skórze piętno hańby. Z trudem powstrzymała się przed podrapaniem starej blizny.

Zaprzagnęła natychmiast opuścić to okropne miejsce. Wyjść na świeże powietrze i mróz. Zapomnieć, co jej wówczas zrobiono.

Zacisnęła jednak zęby i ruszyła za woźnym, który zatrzymał się przy łukowatym przejściu prowadzącym do osobnego pomieszczenia i poświecił kagankiem, wydobywając z mroku ustawioną pionowo beczkę używaną do kiszenia kapusty.

– Tam siedzi – rzekł, najwyraźniej nie mając zamiaru uczynić kroku dalej.

Charlotta zerknęła na wystraszoną twarz mężczyzny. „Lęka się diabła”, odgadła. Mesire nie miała podobnych obaw. Już dawno zrozumiała, że najgorsze zło czynią

ludzie, na swój własny użytek.

Wyjęła woźnemu z dłoni kaganek i zajrzała do beczki. Wewnątrz znajdował się nagi mężczyzna. Sposób, w jaki go skrupowano, nie pozwalał mu stać ani siedzieć. Mógł jedynie klęczeć, co po paru godzinach wywoływało straszliwy ból mięśni, kolan i pleców.

Charlotta dotknęła dłonią ogolonej głowy skazańca, a ten drgnął i zaskomlał niczym zbity pies.

– Trzeba go stąd wyciągnąć – powiedziała twardo.

Woźny wytrzeszczył na nią oczy, jakby nagle dostrzegł rogi na jej głowie.

– To niemożliwe, pani, diabelski pomiot nie może mieć kontaktu z podłożem, gdyż moc swą czerpie z piekieł.

Charlotta zignorowała woźnego.

– Cichoń, wyciągnij tego biedaka – poleciła i cofnęła się.

Wachmistrz zerknął na nią ze zdziwieniem, nie zwlekał jednak z wykonaniem rozkazu. Zgarbił się nad beczką i silnymi rękoma wydobył szczupłą, bladą postać.

– Postaw go, chcę mu się przyjrzeć – nakazała Charlotta.

Więzień wykrzywił się z bólu, gdy ciężar jego ciała spoczął na spętanych, poranionych nogach. Zachwiał się, lecz wachmistrz przytrzymał go, chroniąc przed upadkiem.

Mężczyzna był zaskakująco młody, mógł mieć szesnaście–siedemnaście lat. Uznałaby go za ładnego, gdyby nie twarz ściągnięta bólem, napuchnięte fioletowo oko i rozkrwawione usta. Opuściła wzrok na szczupłą sylwetkę i ładne genitalia.

„Nada się”, zdecydowała w myślach.

Charlotta zbliżyła się do nieszczęśnika, obserwując jego twarz. On również przyglądał się jej nieufnie spod opuchniętej powieki.

– Już dobrze. – Delikatnie dotknęła obrzmiałego policzka. – Zabiorę cię z tego miejsca.

Napuchnięta powieka drgnęła i w jasnoblękitnych oczach pojawił się cień nadziei.

– Co wy robicie!?! – rozbrzmiał przerażony głos woźnego. – Uwalniacie diabelski

pomiot! Tak nie można, przywołam straż!

Obrócił się na pięcie w stronę drzwi, lecz w tym samym momencie Mesire wykonała błyskawiczny krok w jego stronę i uderzyła obcasem buta w zgięcie kolana uciekiniera. Woźny krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, i upadł na kolana, Charlotta stanęła nad nim i chwyciła za rzadkie włosy mężczyzny. Odchyliła jego głowę do tyłu, odsłaniając krtań. Wąskie ostrze sztyletu musnęło źle ogolony zarost na szyi woźnego.

– Nigdzie nie pójdziesz. Wykonuję wolę pani Sobieskiej. Piśniesz słowo, nim znajdę się na zamku, a sam wylądujesz w tej beczce. – Szarpnęła go z całej siły za włosy, aż mężczyzna zaskomlał. – Pojmujesz, co mówię?

– Pojmuję, pani, pojmuję – odparł, trzęsąc się jak galareta.

Charlotta cofnęła się od jego gardła i ukryła sztylet w rozcięciu sukni, gdzie na udzie miała umocowaną pochewkę.

Zdjęła z ramion płaszcz i rzuciła Cichoniowi.

– Okryj go i zabieramy się z tej nory – syknęła z irytacją, po czym opuściła katownię, zostawiając woźnego na kamiennej podłodze.

Młodzik nie był w stanie wspiąć się po schodach o własnych siłach, więc wachmistrz wziął go na ręce i niósł aż do powozu czekającego pod ratuszem. Białe słońce zaszło już za horyzont i nad miasteczkiem rozpostarł się zimny mrok, toteż nikt nie zwrócił uwagi na potężnego mężczyznę wynoszącego z gmachu owiniętego w płaszcz człowieka. Charlotta poleciła ułożyć skatowanego młodzieńca na miękkim siedzeniu, a sama usiadła obok powożącego zaprzęgiem Cichonia.

Jechali niezbyt szybko, gdyż wąskie uliczki miasteczka były oblodzone i ciemne, lecz wydostawszy się na drogę prowadzącą do zamku, Cichoń strzelił z bata, poganiając konie.

Zatrzymali się dopiero na dziedzińcu. Charlotta zeskoczyła z ławeczki woźnicy, a wachmistrz wyciągnął młodzika z powozu.

– Umieść chłopaka w jednej z wolnych izb, lecz takiej z kratami w oknach – poleciła Charlotta. – Niech dadzą mu wieczerzę i wino, ale nieobficie, nie chcę, aby po głódówce dostał skrętu kiszek. Potem sprowadź medyka z miasteczka.

– Późno już – rzekł wachmistrz. – A i pewnie nie zechce przyjść do czarownika.

– To go wywlec z domu, choćby był w samych gaciach. I wytłumacz mu, co go czeka, jeśli nie będzie trzymał gęby na kłódkę.

Cichoń łypnął na Mesire spod gęstych brwi.

– Jak sobie życzysz, waszmość pani – mruknął i dźwignąwszy młodzika, zaniósł go w stronę pomieszczeń dla czeladzi.

Charlotta skierowała się do głównego gmachu, w holu minęła służącą, która czyściła na kolanach podłogę, i po dotarciu pod komnatę pani Sobieskiej otworzyła drzwi, nie pukając.

Marysieńki nie było w salonie. Charlotta dostrzegła jednak suknię i bieliznę ułożone na sofie. Odgadła, że Maria bierze kąpiel. Jak na Francuzkę czyniła to bardzo często, czasem aż kilka razy w tygodniu, co nawet w Polsce uważane było za szkodliwą dla zdrowia fanaberię. Charlotta przypuszczała, że zwyczaj ten wziął się u Marysieńki z czasów, gdy była panią Zamoyską i po każdej nocy spędzonej ze wstrętnym jej mężem zmywała z siebie wspomnienie jego dotyku.

Zrzuciła ciepłe okrycie, przewiesiła je przez poręcz fotela i podeszła do łazienki.

– Mogę? – zapytała przez drzwi.

– Proszę, wejdz.

Nacisnęła klamkę i wsunęła się do spowitego parą pomieszczenia. Maria Kazimiera leżała naga w obszernej wannie, którą jakiś czas temu kazała sprowadzić z Gdańska. Charlotta zagryzła wargę, obserwując biel skóry i kobiece kształty zanurzonego w wodzie ciała swej pani.

Gdy weszła do łazienki, pokojówka właśnie przelewała ukrop z wiadra do wanny za pomocą wielkiej chochli.

– Odejdz, ja to skończę – poleciła służącej Mesire.

Pokojówka dygnęła i wyszła. Usłyszały odgłos towarzyszący zamykaniu drzwi komnaty.

Marysieńka wynurzyła się z gorącej wody. Usiadła. Jej piersi odzyskały kulisty, jędrny kształt.

– Jak tam nasz czarownik? – zapytała.

– Atrakcyjny, jeśli odjąć opuchliznę.

– Bardzo go uszkodzili?

– Wyliże się.

– Dobrze.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi komnaty.

– Sprawdź, co się stało – rzekła Charlotta.

Maria skinęła głową i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Mesire, wyjrzawszy na korytarz, zobaczyła ubłoconego szlachcica. Mężczyzna wyglądał, jakby odbył długą podróż, i to w wielkim pośpiechu.

– Mam list od pana hetmana do jaśnie pani – wypalił posłaniec, sięgając do skórzanej torby przewieszanej na ukos przez pierś.

– Pani zażywa kąpeli. Przekażę jej pismo. – Charlotta zdecydowanym gestem wyciągnęła kopertę z dłoni szlachcica. – Udajcie się waszmość do kuchni, tam dostaniecie wieczerzę. Polecę, aby przygotowano dla was łóżko.

Posłaniec oddalił się i Charlotta zamknęła drzwi. Z niepokojem zerknęła na zalakowany list. Miała przeczucie, że nie zawiera nic dobrego. Wróciła do łazienki.

– List od twego męża – oznajmiła.

Maria poderwała się z wanny i całkiem mokra i naga stanęła na podłodze. Charlotta podała jej domową szatę, a potem pismo.

Marysieńka złamała lakową pieczęć i rozwinęła kartę sztywnego papieru. Gdy tylko zaczęła czytać, jej twarz przyoblekło przerażenie.

Przeszła do komnaty i rzuciła list na stolik. Charlotta podążyła za nią.

– Co się stało? – zapytała.

– Jan ciężko zachorował, medycy obawiają się o jego życie – odparła Maria załamującym się głosem.

Charlotta przeczytała list. Opisano w nim wrzód na gardle, gorączkę i bóle głowy. Nie brzmiało to dobrze.

– Bez Jana wszystko będzie stracone. – W głosie Marysieńki pobrzmiwała panika. – Nie będę potrzebna kardynałowi, Ludwikowi. Nikomu! – Spojrzała na Charlottę nieprzytomnym wzrokiem. – Muszę jechać na Ruś zobaczyć się z nim –

zdecydowała.

– A co z Prażmowskim? – zapytała trzeźwo Mesire.

– Ty się z nim spotkasz. Dostaniesz eskortę. Ja udam się krótszą drogą przez Mazowsze.

Marysieńka roztrzęsiona przyłożyła dłoń do czoła.

– Pomódl się ze mną o wyzdrowienie dla Jana – poprosiła ze łzami w oczach i padła na kolana przed świętym obrazem.

Charlotta uklękła przy Marii i przyłączyła się do modlitwy, choć wiarę utraciła już dawno temu, w przytułku dla sierot, gdy ksiądz rozbierał ją do naga i robił jej złe rzeczy.

Powtarzała jednak słowa litanii, zlecono jej bowiem służyć i okazywać swej pani przyjaźń.

Pierwsza krew

Pasmo Wogezów, Alzacja A.D. 1659

Przez krótki moment zza chmur rozbłysło słońce, rozjaśniając na złoto i czerwono jesienne korony buków rosnących na skraju górskiego cmentarza.

Wokół świeżo wykopanego grobu zebrała się garstka ludzi. Kilka kobiet, brat zmarłej i chuda jedenastoletnia dziewczynka. Nikogo więcej nie interesował pochówek biednej wdowy gospodarującej na spłachetku kamienistej ziemi.

Charlotta zacisnęła zęby i wygięła usta w podkówkę. Po jej wychudzonych policzkach spłynęły strużki łez. Śmierć matki przysłała zbyt niespodziewanie, aby mogła to zaakceptować. Pierwsze bóle pojawiły się u niej zaraz po zbiorach, a dwie niedziele później zaniemogła i trzeba było posłać po znachorkę. Mimo ziół i guseł staruchy matka szybko gasła i nim minął nów, spoczęła w zimnym dole. Kiedy stało się jasne, że umrze, posłała wiadomość do wuja Gastona żyjącego samotnie w górach.

Charlotta nigdy wcześniej go nie widziała. Gdy przybył, wystraszyła się tego wielkiego ogorzałego mężczyzny odzianego w skóry. Był zarośnięty, mrukliwy

i cuchnął, jakby od miesiący nie zaglądał nad strumień. Musiał wędrować pieszo, bo jego strój pokrywały plamy błota po długiej przeprawie przez góry.

Zdażył jeszcze porozmawiać z matką, nim zmarła. Po tym jak zerkali w jej stronę, Charlotta domyśliła się, że mówią o niej. Później matkę chwycił ból i znachorka musiała podać jej napar.

Zasnęła i więcej się nie obudziła.

Grabarz skończył usypywać kopczyk, a potem wbił weń prosty drewniany krzyż. Na grobie nie było imienia ni nazwiska. W okolicy nie znalazł się nikt potrafiący pisać. Mógł to zrobić proboszcz z najbliższej osady, ale odjechał zaraz po tym, jak odebrał kilka miedziaków i gęś za ostatnie namaszczenie.

Nikt też nie przejął się losem osieroconej dziewczynki, zwłaszcza że miała wuja, który się nią zaopiekuje.

Gaston przeżegnał się, a potem podszedł do niej i wskazał na wóz.

– Już czas – mruknął.

W jego głosie wyczuła irytację, jakby ktoś właśnie wcisnął mu chorego psa. Spuściła głowę i poczłapała za swym nowym opiekunem.

Cały jej skromny dobytek, wszystko, co warto było zabrać, mieścił się na tym wozie. Chatę i ziemię po matce wuj sprzedał jednemu z sąsiadów. Charlotty nikt nawet nie zapytał o zgodę.

Wuj chwycił ją nisko za biodra i podsadził na ławkę woźnicy. Potem przysiadł się do niej ze stęknieniem. Cmoknął na klacz i ruszyli w drogę.

Jechali dwa dni, noc spędzili przy ogniu rozpalonym na leśnej polanie. Przez całą podróż wuj Gaston nie odzywał się wiele, głównie garbił się na ławeczce woźnicy i potrząsał lejcamy, aby popędzić starą chabetę.

Nowy dom Charlotty położony był na odludziu w dolinie chronionej przez stare lasy i strome granie. Chata zbita z ociosanych bali i kryta mchem wywarła na dziewczynce ponure wrażenie. W izbie znajdowało się niewiele sprzętów: stół, zydell i ława ustawiona przy palenisku, a także wielki kufer z kłódką przysunięty do ściany. Było też tylko jedno łóżce.

Na wieczerzę wuj postawił na stole dzban i bochen. Strasznie głodna

dziewczynka oderwała kawał chleba i zatopiła w nim zęby. Był twardy, ale w połączeniu z piwem doskonale zapełniał żołądek.

Nim się zorientowała, jej kubek był pusty. Wuj Gaston napełnił go ponownie. Charlotta przytknęła wargi do szorstkiej krawędzi i pociągnęła łyk. Piwo było smaczne, choć na zębach i języku zostawały strzępy drożdży. Poczowała, że kręci się jej w głowie.

Wuj skończył posiłek i wstawszy od stołu, od razu ułożył się w łóżu. Zabrała się do sprzątanina, lecz przeszkodził jej jego głos:

– Posprzątasz jutro, kładź się na posłanie.

Charlotta zamarła. W ubogich rodzinach dzieci zwykle spały na jednym posłaniu z rodzicami, ale z jakiegoś powodu czuła, że nie powinna być tak blisko Gastona.

Uniosła wzrok i spojrzała w brodatą twarz.

– Prześpię się na stryszku – oznajmiła.

Na wuju Gastonie nie zrobiło to wrażenia.

– Zaziebisz się tam jeszcze i skończysz jak matka. – Klepnął dłonią w posłanie. – Tu będzie nam cieplej.

Podeszła posłusznie do łóżka i wgramoliła się na trzeszczący siennik. Wuj nakrył ją narzutą z wilczych skór i odwrócił się do niej plecami.

Leżała bez ruchu, wsłuchana w jego ciężki oddech, który szybko zmienił się w pochrapywanie i mlaskanie. Dopiero wówczas się uspokoiła. Chciała zasnąć, lecz wciąż myślała o matce. W końcu, gdy palenisko zaczęło przygasać, zapadła w niespokojny sen.

Obudził ją odgłos krzątania.

Wuj Gaston był już na nogach. Widząc, że otworzyła oczy, wskazał na wiaderko.

– Przynieś wody ze strumienia. Jak się wsłuchasz, usłyszysz jego szmer.

Zerwała się z posłania i chwyciła za wiadro. Gdy znalazła się przed chatą, zaskoczyło ją, jak wysoko jest słońce. Matka zawsze budziła ją przed świtem, aby oporządziła zwierzęta.

Nadstawiła uszu i rzeczywiście dobiegł ją szmer płynącej wody. Skierowała się w stronę delikatnego dźwięku.

Strumień płynął płytkim jarem ukrytym w krzakach. Charlotta napełniła wiaderko i postanowiła się obmyć. Zrzuciła sukienkę i pospiesznie ochlapała się w zimnej wodzie. Kiedy drżąca wyszła na brzeg, zobaczyła wuja Gastona przypatrującego się jej z krawędzi jaru.

Zawstydzona chwyciła sukienkę i zakryła swoją nagość.

Wuj pokazał jej sidła i zaklekotał nimi.

– Wrócę pod wieczór – rzekł, po czym zniknął za krzakami.

Gdy powrócił z lasu, trzymał w ręku królika. Kiedy indziej przynosił sarnę lub ptactwo, którego nie brakowało w okolicznych lasach.

Już po kilku dniach Charlotta zrozumiała, że wuj Gaston nie jest zwykłym wieśniakiem harującym w polu na kawałek chleba. Nigdy nie widziała, aby pracował na roli. Prócz kłaczy, wieprzka i kur nie trzymał zwierząt, a i tymi musiała zajmować się Charlotta.

Czasem prócz schwytych w sidła lub upolowanych zwierząt znosił do chaty różne przedmioty: ubrania, buty, niekiedy płaszcz. Kilka razy zauważyła na tych strojach ciemne plamy krwi, lecz nigdy nie pytała, co się stało.

Mijały tygodnie i miesiące, Charlotta przywykła do milkliwego usposobienia wuja, nawet zaczęła czuć się szczęśliwa. W przeciwieństwie do matki Gaston nigdy nie podniósł na nią ręki czy choćby głosu.

Codzienne uczyła się czegoś nowego. Jak oskórować zwierzę, zasolić czy uwędzić mięso, przygotować sidła. Gdy przyszły mrozy i zostali odcięci od świata przez śnieg, wuj nauczył ją tropić zwierzynę, posługiwać się kuszą i łukiem.

Po zimie nadeszły wiosna i lato. Minął rok od śmierci matuli, ale Charlotta nie czuła już w sercu żalu. Życie z wujem wydawało się lepsze i szczęśliwsze.

Gaston znów zaczął znikać na całe dni, a gdy wracał, zawsze miał ze sobą jakieś przedmioty. Odzież zwykle chował w kufrze, mniejsze drobiazgi oraz monety wynosił do lasu. Charlotta któregoś dnia poszła za nim i zobaczyła, jak ukrywa zawiniątko w dziupli drzewa.

Raz na kilka tygodni pojawiał się w ich domu handlarz z mułem. Przybywał z niemieckiej strony granicy i nigdy nie zostawał na noc. Płacił Gastonowi za

ubrania i przedmioty, po czym pakował je na muła i odjeżdżał.

Nie wszystkie rzeczy trafiały na sprzedaż. Niekiedy wuj zostawiał sobie buty, kaftan czy płaszcz. Raz podarował Charlotcie naszyjnik ze srebrnych kulek, kiedy indziej pierścioneł ze świecącym oczkiem – cuda, jakich nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Najwspanialszym jednak prezentem okazał się sztylet o pięknej, smukłej klindze. Tak długi jak jej ramię.

– To lewak używany przez szlachtę – wyjaśnił wuj. – Ale możesz się nim posługiwać prawą ręką. O tak! – Wykonał błyskawiczne pchnięcie w powietrze. – Jesteś mniejsza i lżejsza niż mężczyzna i zawsze tak będzie – oznajmił, wręczając jej sztylet. – To twoja słabość, ale możesz ją zamienić w zaletę. Udawaj złąknioną i słabą, spuść wzrok i czekaj na okazję, aby wbić ostrze. Większość mężczyzn nie spodziewa się zginąć z ręki kobiety.

Przez cały następny rok ćwiczyła tym ostrzem ataki, zwody i zasłony. Gaston nie był delikatnym nauczycielem, wiele razy krwawiła z nosa i ust, siniaki niemal nie znikwały z jej ciała. Ono zresztą się zmieniało, Charlotta rosła i jej dawniej chuda sylwetka zaokrągliła się w paru miejscach.

Ze zdumieniem i niepokojem zaczęła obserwować u siebie zaczątki piersi i meszek pojawiający się na podbrzuszu. Pewnego ranka zaś obudziła się z krwią na udach.

Na szczęście Gaston był na wyprawie, jak określał swe kilkudniowe wypady. Wystraszona dziewczyna spaliła szmaty, lecz nie mogła ukryć plam na sienniku.

Wuj dostrzegł je niedługo po powrocie. Czerwieniąc się, wyjawiała mu, co się stało. Gdy zapytała, czy umrze, roześmiał się ochryple.

– Jesteś gotowa do przysposobienia – rzekł i zabrał się do przeżuwania chleba. – Teraz będzie się tak działo co nów, chyba że załęgnie się w tobie dziecko.

Nie miała pojęcia, o czym mówi, ale prawdę powiedziawszy, wystraszył ją.

Całe szczęście Gaston nie wracał już do tego tematu, a krwawienie ustało po kilku dniach.

Coś się jednak zmieniło. Wuj stał się jakiś inny, patrzył na nią w szczególny sposób, a gdy kładli się spać, czuła jego dłoń na brzuchu i piersiach. Było to dziwne, niepokojące, ale i przyjemne.

Minął tydzień od tamtej rozmowy, nim po raz pierwszy położył się na niej. Był silny i ciężki, przeraził ją. Zupełnie nie wiedziała, co się dzieje i jak ma się zachować. Leżała nieruchomo, zaciskając usta z bólu i czekając, aż skończy. Potem znów miała krew między nogami i bolało ją tam.

– To tylko za pierwszym razem – pocieszył ją Gaston. – Z każdym kolejnym będzie lepiej, aż sama to polubisz.

Po kilku chwilach chrapał już odwrócony do ściany.

Przez następne dni nie odzywali się do siebie wiele, lecz gdy zapadał zmrok, znów kładł się na niej, sapiąc i podrygując.

Z czasem przywykła i rzeczywiście zaczęła odczuwać przyjemność z tego, jak się w niej poruszał. Jednocześnie tkwiła w niej zadra. Przeczucie, że to, co jej robi, jest złe. Mogła uciec i czasem zastanawiała się nad tym, ale nie zdecydowała się na taki czyn. Za nic nie chciała zostać sama.

Nastała jesień, znów malując złotem i brązami bukowe lasy porastające stoki Wogezów. Od wysokich szczytów Szwajcarii, gdzie gromadził się już śnieg, napływała mgła, wypełniając doliny mleczną zawiesiną.

Gaston zaczął przygotowania do zimy, która zwykle odcinała ich od świata na wiele miesięcy. Spędzał czas głównie na kłusownictwie, aby zgromadzić jak najwięcej zapasów na mroźne dni. Charlotta zbierała grzyby, jadalne korzenie i bulwy. Kiedy Gaston powracał, razem solili lub wędzili dziczyznę.

Gdy zaczęły spadać liście, ich spiżarnia była niemal pełna. Brakowało im jednak garnków, ubrań, ciepłych butów i dobrego krzesiwa, gdyż stare zużyło się i nie iskrzyło jak należy. Wszystkie te rzeczy miał dostarczyć handlarz, który odbierał od wuja łupy z jego tajemniczych wypraw.

Gałęzie potraciły większość listowia, a handlarz wciąż się nie pojawił. Gaston co dzień wspinał się na grań wznoszącą się niedaleko chaty i patrzył na drogę, która wiodła od dolin nad Renem. Wracał pochmurny i choć nic nie mówił, Charlotta wiedziała, że trapią go zmartwienia.

– Jutro wezmę towar i udam się do miasteczka – oznajmił któregoś razu, gdy siedzieli przy palenisku. – Nie będzie mnie kilka dni. Pilnuj domu i nie oddalaj się.

Rankiem zaprzął do wozu kobyłę i odjechał dróżką w stronę doliny.

Minął siódmy dzień, a Gaston nie wracał. Charlotta się martwiła. Nocami robiło się już naprawdę zimno i musiała dokładać więcej drewna do ognia. Rankiem jak co dzień wyszła z wiadrem nad strumień.

Cizmy, które Gaston kupił dla niej zeszłej zimy, były już za małe. Maszerowała więc bosy, podskakując na ostrych i zimnych kamieniach. Kucnęła przy brzegu, wzdrygając się od lodowatej wody omywającej jej stopy, i przechyliła wiadro.

Wtedy usłyszała grzechotanie toczących się kamyków. Uniosła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn wybiegających zza głazów po drugiej stronie strumienia. Obaj nosili napierśniki i lśniące hełmy, w dłoniach trzymali rapiery.

Charlotta błyskawicznie porzuciła wiadro i zaczęła biec w stronę domu. Nie oglądając się za siebie, wpadła na podwórze.

Rozejrzała się. Było puste.

Dopadła do chaty i pociągnęła do siebie drzwi z całej siły. Po drugiej stronie czekał na nią żołnierz. Dostała pięścią w twarz i wywróciła się na ziemię.

Mężczyzna chwycił ją za włosy i wciągnął do chaty.

Oprzytomniawszy, zorientowała się, że jest ich trzech. Człowiek, który dowodził żołnierzami, prócz napierśnika nosił strój szlachcica, wysokie buty, kaftan z miękkiej skóry i spodnie z jasnokremowego sukna. Z ramion spływał mu ciepły płaszcz. Ciemne, blisko osadzone oczy przypatrywały się jej obojętnie.

Twarz mężczyzny zmieniła się dopiero wówczas, gdy jeden z żołnierzy przyniósł mu sztylet – lewak подарowany jej przez Gastona. Przez chwilę przypatrywał się mu z uwagą, po czym wsunął go za pas, obok własnego sztyletu.

– Kim jesteś dla zbója, który tu mieszka? – zapytał.

– Córką – okłamała go bez wahania, wstydząc się tego, co było między nią a Gastonem.

– Twój ojciec Gaston Mesire został pochwycony i skazany na śmierć przez rozczłonkowanie – oznajmił cichym, lecz mocnym głosem oficer. – Zamordował wielu ludzi, pielgrzymów, kramarzy, a nawet szlachcica. Czy wiedziałaś coś o tym procederze?

– Nie, panie, przysięgam! – wyrzuciła z siebie Charlotta, nim strach odebrał jej śmiałość.

Oficer zmierzył ją spojrzeniem zimnych oczu.

– Pojedziesz z nami i także staniesz przed sądem.

Potem więcej się nią nie interesował.

Gdy żołdacy zdemolowali izbę w poszukiwaniu ukrytych skarbów, szlachcic kazał im wywlec dziewczynę na dwór i podpalić chatę. Spętali jej nogi i nadgarstki, wsadzili na konia i powieźli do doliny. Przed zmierzchem zatrzymali się w dużej wsi położonej nad niewielkim dopływem Renu.

Charlotte zamknięto w przybudówce za domem wójta, gdzie zatrzymał się na noc oficer. Zdjęto jej pęta, a na kolację dostała pajdę chleba i kubek wody. Potem trochę płakała, nim skuliła się na słomie i zasnęła.

Obudził ją odgłos towarzyszący otwieraniu ciężkich drzwi. Zmrużyła oczy oślepiona blaskiem lampy trzymanej przez jakiegoś człowieka. Po chwili rozpoznała w przybyszu szlachcica. Był pijany i patrzył na nią w ten szczególny sposób.

– Spróbuj się opierać, a poderżnę ci gardło – wychrypiał i dotknął dłonią sztyletu, który trzymał za pasem. – Wcześniej jednak pozwolę ci zerznąć moim ludziom, a także każdemu, kto tylko będzie cię chciał w tej wsi.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że gotów jest spełnić swą groźbę.

– Będę uległa – obiecała. Przekręciła się na plecy i sama podciągnęła sukienkę.

Szlachcic odstawił lampę pod ścianę, zrzucił pelerynę z ramion i rozpiął spodnie. Oburącz rozchylił jej nogi i położył się na niej całym ciężarem. Nie opierała się, pozwoliła mu wejść do środka, ignorując chrapliwy oddech i ciężar wgniatający się w jej piersi i brzuch.

Całą uwagę skupiła na sztylcie dyndającym przy każdym ruchu jego bioder. To było ostrze Gastona, rozpoznała je od razu. Wtedy też podjęła decyzję.

Szlachcic przyspieszył, ciężko dysząc jej w szyję. Poczwała, jak drży, napina się tuż przed końcem.

Chwyciła za rękojeść sztyletu i wbiła ostrze pod żebra mężczyzny, tak jak uczył ją wuj. Szlachcic stęknął i poderwał głowę, wlepiając w nią zdumiony wzrok.

Widząc, jak życie gaśnie w jego oczach, pomyślała, że Gaston miał całkowitą słuszność. Większość mężczyzn nie spodziewa się zginąć z ręki kobiety.

Wydostała się spod ciężkich zwłok i spojrzała na sztylet. Z ostrza kropla po kropli skapywały na słomę ciężkie krwawe łzy.

Zamordowała człowieka, co gorsza, szlachcica. Kara była za to jedna: śmierć.

Cała się trzęsała. Jej żołądkiem targnął bolesny skurcz. Szybko przyłożyła dłoń do ust, powstrzymując wymioty. Przełknęła gorzką ślinę i zaczerpnęła kilka głębszych wdechów. Spojrzała na drzwi.

Zaciskając palce na sztylcie, wyjrzała na korytarz. W nisko sklepionym przejściu tliła się pojedyncza lampka przymocowana do ściany. Nie dostrzegła strażnika. Domyśliła się, że oficer odesłał go, aby nikt nie mógł zaświadczyć, co jej zrobił.

Gdzieś zza murów przesączały się chrapliwe męskie głosy i śmiechy. Przymknęła drzwi, wróciła do szlachcica i odcięła mu sakiewkę od pasa. W środku błyszczało kilka srebrników i sporo miedziaków. Podniosła pelerynę, otrzepała ze słomy i narzuciła sobie na ramiona. Okrycie było o wiele za duże jak na jej szczupłą sylwetkę, podwiązała więc materiał w pasie, aby nie plątał się jej między bosymi stopami. Potem wymknęła się na korytarz. Przechodząc, zdmuchnęła płomień w lampce.

Drzwi na zewnątrz były tylko przymknięte. Pchnęła je i wydostała się na zimne powietrze.

Las był niedaleko, to tam zamierzała się ukryć. Zdołała przejść kilkanaście kroków, gdy z budynku wyszedł mężczyzna. Charlotta błyskawicznie przypadła do poidła dla koni i skuliła się za drewnianą osłoną. Mężczyzna kołysał się lekko. Nie widziała jego twarzy, ale słaba poświata księżycy odbijała się na jego napierśniku. Przeszedł obok niej i zatrzymał się pod otwartym chlewikiem. Tam chwilę szamotał się z pasem i portkami, mruczając pod nosem przekleństwa. Potem kucnął odwrócony do niej plecami.

Charlotta zacisnęła nerwowo dłoń na poidle. W każdej chwili mogli się pojawić inni strażnicy lub jakiś wieśniak, którego przypiliła natura.

Nie mogła dłużej zwlekać.

Gdy podjęła decyzję, wszystko poszło już łatwo. Chyłkiem wydostała się zza poidła i zrobiwszy kilka szybkich kroków, stanęła nad strażnikiem. Nawet jej nie usłyszał.

Bez wahania wbiła mu ostrze w bok szyi. Stał zagłębiła się w miękkie ciało z wilgotnym mlaśnięciem. Żołdak padł twarzą w gnojówkę, błyskając wypiętymi pośladkami.

Charlotta, nie oglądając się za siebie, zaczęła biec w stronę lasu. Ból pod żebrami palił ją, odbierał dech, mimo to nie zwalniała kroku. W końcu dopadła pierwszych drzew. Dysząc, przywarła do chropowatego pnia jodły i z napięciem obejrzała się za siebie. Nikt jej nie ścigał. Przynajmniej na razie.

Wiedziała, że rankiem puszcza za nią psy. Do tego czasu musiała przejść rzeczkę. W wodzie zwierzęta zgubią trop.

Odgarniając gałęzie i klucząc między pniami, zaczęła bieg ku wolności.

Stare grzechy

Grudzień A.D. 1671

Przy każdym ruchu wierzchowca głowę Tynera rozsadzał pulsujący ból, a obite podczas upadku żebra kłuły, jakby ktoś wbijał mu pod skórę igły. Na szczęście przestał wymiotować, co oznaczało, że upadek nie wyrządził w jego czaszce wielkich szkód.

Kozacy bardzo się spieszyli. Gdy tylko przeprawili się przez granicę na Dniestrze, cały dzień gnali wierzchowce przez białe pustkowia stepu, aby pod wieczór móc dotrzeć nad Boh.

Tyner nie dziwił się pośpiechowi. Cały ten teren został latem i jesienią opanowany przez Polaków i sprzymierzonych z nimi Kozaków hetmana Chanenki. Na próżno jednak wypatrywał patroli wysłanych z polskich garnizonów. Napotkali wyłącznie watahę wilków przypatrującą im się ze szczytu kurhanu i zdziczałe konie szukające pokarmu na skraju lasu.

Pierwszy postój wypadł przed południem, na polanie między ośnieżonymi

dębami. Setnik Kozaków wysłał zwiadowców, a gdy ci powrócili, oddział ruszył w dalszą drogę. Wkrótce natknęli się na zamrznięty strumień i podążyli jego brzegiem przez płytkie jary i dolinki, w których stały porzucone lub spalone chłopskie chaty. Otaczająca ich zewsząd pustka przerażała i brzęczała złowrogo w uszach. Nigdzie nie dostrzegli żywej duszy, widać było za to mnóstwo obsypanych śniegiem mogił.

Pierwsza wieś, którą napotkali, była do szczętu zniszczona. Pośrodku osady stała karczma, teraz spalona i z rozwalającymi się ścianami. Nie wiadomo, przed kim zbiegli chłopci – przed Tatarami, Polakami czy swoimi. Tyner widział już tysiące takich miejsc, jak Ukraina długa i szeroka. Przez ciągłe wojny zasobny kraj zmienił się w spływające krwią pustkowie.

Setnik zarządził postój i Kozacy rozbiegli się po chatach, szukając jam, w których mogła pozostać ukryta przez chłopów żywność.

Jeden ze strażników, ponury drab z ospowatą twarzą i płaskim nosem, rozsypał więzy mocujące jeńca do wierzchowca, a potem ściągnął go bezceremonialnie z siodła. Tyner grzmotnął bezwładnie na śnieg i leżał tam chwilę, pojękując z bólu i wciskając czoło w lodowaty puch.

– Ostrożnie z nim. Musi wyżyć – rozległ się karcący głos setnika.

Tyner, mając ręce skrępowane na plecach, podniósł się niezgrabnie na kolana, a następnie powstał na nogi.

– Odprowadź go do tamtej chaty – polecił strażnikowi setnik, wskazując jedną z lepiej zachowanych chałup.

Tyner usiadł w pustej izbie pod ścianą, z dala od dziury zastępującej okno, która w niej ziała. Obolały i głodny spróbował zasnąć, lecz zapadł tylko w rwaną, niespokojną drzemkę.

Zmierzchało już, gdy wśród Kozaków zrobiło się małe zamieszanie. Zjawił się strażnik i kazał jeńcowi wstać z klepiska, po czym wyprowadził go z chałupy. Tyner ujrzał grupę sześciu Tatarów pojących bachmaty przy strumieniu. Setnik rozmawiał z młodym wojownikiem w baranim kozuchu, uzbrojonym w kindżał i szablę. Po postawie i ubiorze widać było, że Tatar musiał należeć do szlachty ordyńskiej.

Strażnik Tynera pchnął go w stronę stojącego spokojnie wierzchowca. Pomógł

więźniowi wspiąć się na siodło, a potem przywiązał mu nogi sznurem do popręgu.

Setnik powrócił do swych ludzi podenerwowany. Tyner nadstawił ucha. Ze strzępów rozmowy przywiewanych przez wiatr wysnuł domysł, że w Humaniu wybuchła jakaś rebelia przeciw Doroszence i Polacy mimo zimy przeszli na drugą stronę rzeki.

Nagle Bogusław wyczuł, że szlachcic tatarski przygląda się mu natarczywie spod futrzanego kołpaka. Również zmierzył ordyńca wzrokiem. Przez kilka sekund obserwowali się, aż tamten strzelił nahajką swego bachmata i pognał przodem, a za nim jego ludzie.

Kozacy wyruszyli tuż za nimi. Szybko zmierzchało i już po ciemku dotarli do szerokiej doliny porośniętej dębina, minęli rozpadające się szańce i zatrzymali się nad brzegiem Bohu.

Z przeprawą setnik postanowił poczekać do świtu, gdyż lód na rzece był jeszcze kruchy. Ordyńcy rozbili się na wzgórzu, bliżej szerokich pól. Kozacy utworzyli osobny obóz, w parowie przy samej wodzie. Po oporządzeniu koni wszyscy zgromadzili się przy ogniskach, aby pożywić się i ogrzać przed snem.

Prawie nie słychać było rozmów. Wyczerpani całodzienną jazdą ludzie pochłaniali w milczeniu prowiant, a następnie kładli się na legowiskach ułożonych ze skór zwierząt czy wyciętej na płyciźnie trzciny.

Tyner również dostał kawałek suszonej koniny. Po dwóch dniach o pustym żołądku pasek cuchnącego mięsa smakował mu nie gorzej niż nadziewany farszem bażant.

Wartownik sprawdził więzy krępujące Tynerowi nadgarstki i kostki u nóg, a potem przysiadł przy ogniu, grzejąc się i co jakiś czas dorzucając w płomienie wysuszone końskie łajno.

Tyner przysunął się bliżej ognia i skulił. Udawał, że śpi. W rzeczywistości spod przymkniętych powiek obserwował strażników czatujących na brzegu rzeki. Niestety, jakkolwiek by rozważał i planował, zawsze wychodziło mu, że ucieczka nie jest możliwa. Setnik kozacki trzymał twardo dyscyplinę wśród hultajstwa i nie zaniedbał wystawienia wart.

Bogusław usłyszał za plecami trzask zmarzliny pękającej pod obcasem. Wzdrygnął się i bezwiednie sięgnął do boku po szablę, którą mu odebrano. Zaklął szpetnie w duchu i spojrzął na stojącego nad nim setnika Kozaków. Przybysz zmierzył jeńca spojrzeniem ciemnych oczu, a potem kazał wartownikowi, by ten zostawił ich samych.

Tyner uniósł skrępowane dłonie i wykonał zapraszający gest.

– Rozgość się, Jurij. A może panie Jurij, bo teraz to wy wszystkie pany są – dodał z kpiącym uśmiechem.

Kozak wykrzywił usta, podciągnął delię i zasiadł ze stęknieniem obok szlachcica. Przez chwilę milczeli, wpatrując się w strzelające rażno płomienie.

– Ile to czasu się nie widzieliśmy, Jurij? – zagaił Bogusław.

Setnik ściągnął z głowy futrzaną czapę i przeczesał palcami długie rzadniejące włosy.

– Od waszego wesela z Marią – odrzekł smętnym głosem. – Co u niej?

– Nie żyje, od czterech lat.

– To była wspaniała kobieta – mruknął Kozak. Dorzucił suchego łąjna do ognia i zapytał: – Jak twoja głowa?

– Wciąż trochę łupie. Gdyby nie czapka, byłoby już po mnie.

– Widać śmierć nie jest ci jeszcze pisana.

Tyner łypnął nań z ukosa. Przez kilka dobrych lat wspólnie walczyli przeciw Moskwie, nim Doroszenko zastał hetmanem i powiódł część Kozaków pod protekcję sułtana.

– Wiele razem przeszliśmy, Jurij, życie ci uratowałem. Nie mógłbyś odwrócić oczu choć na chwilę?

Setnik podniósł głowę. Spojrzenia dawnych przyjaciół się spotkały.

– Nie mogę, wybacz. Takie, psia mać, czasy, nic się nie poradzi.

– Co ze mną będzie?

– Doroszenko się obawia, że Sobieski wyśle więcej wojska do Mołdawii i wspomocze powstańców. Wtedy Tatarzy opuszczą Ukrainę i przejdą za Dniestr, aby bronić hospodara. A bez wsparcia ordy nie oprzemy się Lachom. Już teraz trzymacie

pół Prawobrzeża. Wiele miast dało się zwieść obietnicom Chanenki i wpuściło wasze załogi. – Jurij splunął w ogień. – Będiesz szczerze gadał, to hetman cię oszczędzi, a przy kolejnym rozejmie wypuszczą cię za okupem albo wymienią na któregoś z naszych.

Tyner wykrzywił się, jakby już go przypiekali ogniem. Doskonale wiedział, jak wyglądają takie przepytywania, gdy przesłuchiwany nie chce lub nie potrafi udzielić odpowiedzi. On zaś, choćby i chciał, nie będzie w stanie zaspokoić ciekawości Doroszenki.

Otworzył usta, by szczerze wyjaśnić to Jurijowi, lecz przeszkodziło mu nagłe zamieszanie wywołane przez pięciu Tatarów, którzy wkroczyli do obozowiska Kozaków. Ordyńcy z miejsca skierowali się do Jurija, rzucając pogardliwe spojrzenia skupionym przy ogniskach Kozakom.

Jurij wyprostował się i zmierzył wzrokiem dowódcę ordyńców.

– Co cię sprowadza, Gałga?

Oblicze Tatara wykrzywił wilczy grymas.

– Przypomniałem sobie, skąd znam tego psa – warknął i wbił w Bogusława nienawistne spojrzenie. – Zabił mi ojca pod Braławiem. – Pochylił się nad jeńcem. – Na pal cię nawłokę, bardzo, bardzo powoli – wychrypiał Lachowi w twarz z paskudnym uśmiechem.

Jurij zmarszczył z namysłem czoło.

– Mam dostarczyć jeńca do obozu hetmańskiego, tam się o niego upomnij – odparł ugodowo.

Tatar spojrzał nań chytrze.

– Dam ci za niego piękną klaczkę, setniku.

Jurij rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nie mogę, Gałga. Mam rozkazy.

– Dwie klaczki – rzucił Tatar przez zaciśnięte zęby.

Jurij zamilkł, jakby rozważał propozycję. Wokół ordyńców gromadziło się coraz więcej Kozaków z rusznicami.

Tyner postanowił to wykorzystać i dołał oliwy do ognia.

– Twierdzisz, że ubiłem ci ojca, pewnie tak było – powiedział, wruszając ramionami. – Nie pamiętam każdego świńskiego ryja, którego wypatroszyłem.

Tatar syknął niby wąż i błyskawicznie sięgnął po kindżał tkwiący za szerokim pasem. Nim zdołał go wbić w pierś Lacha, dłoń Jurija zacisnęła się na przedramieniu ordyńca, blokując cios.

Pozostali Tatarzy jak jeden mąż chwycili za szable, lecz zastygli w pół ruchu, gdy kilkanaście luf wymierzyło w ich piersi.

Gałga rozejrzał się po otaczających go nieprzyjaznych twarzach.

– Puść – wycedził przez zęby.

Jurij przez kilka oddechów przypatrywał się ordyńcowi, po czym powoli cofnął rękę.

– Kazy murza o wszystkim się dowie – warknął upokorzony Tatar.

– W dupie mam twego murzę. – Jurij po raz pierwszy podniósł głos. – Lach należy do nas. Jeśli go chcesz, proś hetmana, o ile Doroszenko zgodzi się gadać z takim niechrzczonym łbem.

W tłumie Kozaków ktoś roześmiał się ochryple. Setnik zgasił ten wybuch wesołości ponurym spojrzeniem.

– A teraz wynoś się, pókiś żyw – wysyczał i splunął gęstą śliną pod nogi ordyńca.

Usta Tatara zadrżały, a w oczach błysnęła żądza mordy. Minęła chwila, nim się opanował i wydał gardłowy rozkaz przybocznym. Ordyńcy wycofali się, rzucając na boki niespokojne spojrzenia.

Gdy w ciemności ucichły ostatnie pospieszne kroki, Tyner popatrzył z wdzięcznością na setnika.

– Dziękuję za uratowanie życia.

Jurij przez kilka oddechów wpatrywał się w dawnego przyjaciela.

– Teraz, panie poruczniku, jesteśmy kwita.

Tyner patrzył z ponurą miną na oddalającego się dowódcę. Pozostali Kozacy rozproszyli się przy ogniskach, rozkładali na ziemi skóry i płaszcze. Kładli się do snu, blisko siebie, aby chronić się wzajemnie przed mrozem.

Bogusław mógł liczyć tylko na siebie. Ułożył się na zmarzniętej ziemi, podkulając ręce i nogi. Zamknął oczy i wyczerpany niemal natychmiast zasnął.

*

Tyner ocknął się z bolesną gwałtownością, gdy chcąc pocałować żonę, ujrzał, jak z jej ust wysuwa się cmentarny czerw. Uczucie obrzydzenia i straty było tak dogłębne, że dopiero chwilę później dotarło do niego, że to tylko senny koszmar. Przez jakiś czas leżał niezgrabnie na boku i oddychał ciężko, niemal krztusząc się z żalu.

Potem pojawił się inny ból – pleców, karku i kolan podciągniętych do piersi. Ten był dobry, pozwalał mu się oderwać od wspomnień. Tyner otworzył powieki i przekręcił się nieporadnie. Zesztywniał z zimna, a do tego czuł dokuczliwe klucie w skrępowanych dłoniach i stopach. Przełamując odrętwienie palców, zaczął nimi poruszać, aby przywrócić krążenie w żyłach.

Uporawszy się z problemem, podparł się na łokciu i usiadł, stękając z bólu przeszywającego nogę. Wartownik siedzący po drugiej stronie ogniska posłał jeńcowi baczne spojrzenie.

Bogusław wtulił głowę w ramiona i popatrzył w kierunku rzeki, od której nadciągały zimne, wilgotne opary. Taka mgła zawsze przypominała mu dzień, gdy ujrzał wypalone ruiny swego domu.

Gołymi rękoma rozgrzebywał pogorzeliśko, odrzucał zwłoki poczerńiałe od ognia, aż natrafił na ciało Marii. Z całego serca pragnął, aby żyła. Uczyniłby wszystko, żeby tylko odwrócić los. Śmierci jednak nie można oszukać, co raz chwyci, bierze na zawsze.

Pozostała mu tylko pustka i zemsta.

Z ponurych wspomnień wyrwał go zew wilczej watahy polującej gdzieś w pobliżu. Tyner zastygł w bezruchu, nasłuchując odgłosów nocy. Nagle wydało się mu, że słyszy tętent galopujących koni. Spojrzał w stronę tatarskiego obozu i dostrzegł sylwetki jeźdźców pędzących w dół stoku. Tuż przed tym, jak wśród ordyńców wybuchła palba z rusznic i krzyki towarzyszące bitwie.

Tuż przed tym, jak wokół niego rozpętało się piekło.

Jeźdźcy wdarli się między ogniska niczym wichry, dźgając i tnąc bez litości otumanionych snem Kozaków. Część hultajstwa od razu rzuciła się do ucieczki w stronę rzeki, pozostali zebrali się w kupę, postanowiwszy walczyć. Wrzaski ginących mieszały się z chaotyczną palbą i okrzykami Polaków nawołujących się w ciemnościach.

Tyner spostrzegł, jak pilnujący go wartownik przyklęknął i odpalił lont w rusznicy, po czym wycelował w przejeżdżającego obok Lacha. Nie zastanawiając się, Bogusław poderwał się na związane nogi i jednym skokiem przesadził dogasające ognisko.

Obaj runęli na zlodowaciałą ziemię. Kozak zaklął, obracając się na plecy, wziął zamach trzymanym w dłoniach samopalem. Tyner osłonił twarz ramieniem, ale i tak bolało jak diabli. Zawył wściekle i z całej siły uderzył skrępowanymi dłońmi w krocze mołojca. Z ust tamtego wyrwał się cichy skowyt. Opuścił ręce i złapał się za promieniujące bólem miejsce, a wtedy Tyner zdzielił go czołem między zamglone bólem oczy.

Kozak stęknął i znieruchomiał. Bogusław sięgnął po nóż ukryty za pasem wartownika. Obrócił ostrze i przeciął sznur krępujący mu nadgarstki i nogi. Pozbierał się z ziemi, oddychając z wysiłkiem.

W ciemnościach widział rozmyte sylwetki umykających w stronę rzeki mołojców i siedzących im na karkach Polaków. Wiedział z doświadczenia, że w takim ferworze wszelkie tłumaczenia zdadzą się na nic. Nie czekał, aż któryś z nich weźmie go za zbuntowanego chłopca i rozpląta szablą. Odskoczył od dogasającego ogniska i kilka kroków dalej przywarł do ziemi, udając trupa.

Wkrótce krzyki mordowanych i tonących w lodowatej wodzie Kozaków ucichły. Zastąpiły je głosy rozochoconych rzezią Lachów.

Jeźdźcy zaczęli wracać znad rzeki. Tyner odrzucił nóż i podniósł się z uniesionymi nad głowę rękoma.

– Nie zabijajcie, jam Polak i jeniec! – krzyknął ochryple na całe gardło.

Wokół niego zaroilo się od koni i żołnierzy. Tyner z niepokojem obserwował

zacięte twarze i wymierzone w niego ostrza.

– Dawać go tu! – krzyknął czyjś mocny głos.

Paru jeźdźców zeskoczyło na ziemię i natychmiast pochwyciły go silne ręce. Tynera zaciągnięto do jedyne go wciąż palącego się ogniska. Żołnierze zapalili pochodnie, po czym rozbiegali się w poszukiwaniu niedobitków.

Obok ognia na ziemi rozciągnięto ciało mężczyzny. Tynerowi serce zamarło z trwogi.

To był Jurij. Pierś setnika była jedną wielką raną.

– Trzech naszych ścierwo ubił, nim go dostaliśmy – odezwał się ktoś w ciemności. – Odetnijcie mu łeb i zatknijcie przy drodze.

Bogusław poczuł, jak cierpnie mu skóra, a niewidzialna dłoń chwyta za krtań. Znał ten głos lepiej, niżby chciał. Z mroku wyłonił się potężnie zbudowany szlachcic w kolczudze i misiurce. W napierśniku z wygrawerowanym orłem odbijał się blask ognia.

Imć Jan Baranowski zmrużył oczy, poprawił wąsa zamaszystym gestem i dotknął palcami szramy, co szła od prawej brwi aż do kącika ust. Pamiątki po szabli Tynera.

A potem twarz wykrzywił mu źle wróżący uśmiech.

Kobiece sposoby

Powóz, który Charlotta pożyczyła z gniewskiej wozowni, nie miał wygod, ale i tak podróż w nim była o niebo lepsza niż siedzenie w siodle, gdy wiatr siekł w oczy śniegiem i deszczem. Przebycie odległości dzielącej Gniew od Łowicza zajęło im pięć dni. Wyboisty trakt nie pozwalał popędzić zaprzęgu, który spowalniał jazdę, na dodatek za Włocławkiem zaskoczyła ich śnieżycą. Szczęśliwie odkryli karczmę schowaną pomiędzy świerkowymi lasami.

Rankiem następnego dnia porywisty wiatr ustał. Wyruszyli w drogę, mijając miasteczka i wsie zamieszkałe przez szlachtę niemal nieróżniącą się od chłopów.

Łowicz przywitał Charlotte spalonymi domami na dwóch ulicach. Po osmalonych murach kamienic odgadła, że pożar dotarł aż do samego rynku, jednak

katedra i klasztory ocalały. Również zamek otoczony przez mokradła nie poniósł szkody od ognia.

Charlotta wyjrzała przez okienko powozu, podziwiała fortyfikacje i armaty chroniące siedzibę prymasa. W pobliżu koszar ćwiczyła rota uzbrojona w muszkiety i piki pod dowództwem oficera w hełmie, wykrzykującego komendy po niemiecku.

„Jego eminencja nie czuje się bezpiecznie pośród swych owieczek”, pomyślała cierpko Charlotta.

Powóz zatrzymał się na dziedzińcu i Mesire w końcu mogła rozprostować nogi, pod którymi trzymała spory kufer, jeden z kilku przywiezionych z Francji przez panią Sobieską.

Cichoń dowodzący eskortą zsunął się z siodła i przystąpił do niej, krzywiąc się i rozcierając obolały tyłek.

– Cholerna starość – mruknął.

Wbrew narzekaniom wachmistrza daleko mu jeszcze było do starości. Choć we włosach i brodzie błyszczały mu siwe nitki, szeroka pierś i rozłożyste ramiona wskazywały na krzepę, jakiej mogli pozazdrościć Cichoniowi młodszy mężczyźni. Jasne oczy osadzone w pobliznionej, ogorzałej twarzy widziały wszystkie kampanie prowadzone przez Jana Sobieskiego od czasów potopu.

Jako weteran i człowiek zasłużony dla rodu Sobieskich znalazł spokojniejszą i lukratywniejszą służbę w zaufanym gronie pani hetmanowej.

– Znajdź sobie potem dziewczkę, to cię rozmasuje – poradziła mu Mesire. – Teraz trzeba przenieść kufer z powozu.

Odczekała, aż czterech żołnierzy z jej eskorty wytaszczy skrzynie na zewnątrz.

– Idziecie za mną – rzekła i weszli do rezydencji.

W holu przywitała ich ochmistrzyni prymasa. Surowa matrona w czarnej, wysoko zapiętej sukni i w czepcu zlustrowała Charlottę nieprzychylnym wzrokiem.

– Ksiądz prymas jest na polowaniu – oznajmiła takim tonem, jakby wraz z Charlottą do domu zawitała plaga szczurów.

– Nie szkodzi, zostanę na kilka dni – odparła Mesire. – Muszę się odświeżyć przed spotkaniem z eminencją.

– Polecę przygotować tę komnatę co zwykle. – Cierpki ton ochmistrzyni mówił więcej niż słowa.

Charlotta wskazała wzrokiem na kufer i taszczących go mężczyzn.

– Dziękuję, zatem udajmy się tam od razu. Skrzynia jest dość ciężka.

Ochmistrzyni zaprowadziła gości do podwójnych drzwi w głębi holu, gdzie mieściły się apartamenty prymasa.

W tej części gmachu panował przepych i luksus. W wielkich oknach wisały brokatowe zasłony, ściany pokrywały wspaniałe arrasy. Kanapy, krzesła i stoły lśniły od kosztownego drewna i złocień. Gdy dotarli pod właściwe drzwi, ochmistrzyni wybrała klucz z pęku innych przypiętych do pasa na jej wąskich biodrach i przekręciła go w zamku.

Charlotta weszła do komnaty.

– Kufer postawcie tam. – Wskazała miejsce obok łoża z baldachimem.

Żołnierze porzucili skrzynię z ulgą, postępując i krzywiąc się od wielkiego ciężaru.

– Moi ludzie są głodni i spragnieni, proszę zadbać o ich potrzeby – zwróciła się do ochmistrzyni Charlotta. – Niech służba przyniesie pozostałe bagaże z powozu.

– Oczywiście. Przyślę pokojowe do rozpalenia kominka i świec – powiedziała matrona chłodno i opuściła pomieszczenie.

– Idźcie z nią. – Mesire wręczyła Cichoniowi kilka monet. – Nie będziecie mi dzisiaj potrzebni, zabawcie się.

– Dziękuję, pani. – Wachmistrz zacisnął w garści srebro i uśmiechnął się pod wąsem. Potem wyprowadził żołnierzy na korytarz.

Charlotta usiadła przy zwierciadle i stwierdziła, że wygląda fatalnie. Przetłuszczone włosy, skóra zmęczona podróżą, drobniutkie zmarszczki w kącikach oczu i ust. Poza tym czuła się brudna, od wyjazdu z Gniewu ani razu nie miała okazji się umyć.

Gdy zjawiły się pokojówki, Charlotta poleciła w pierwszej kolejności przygotować dla siebie gorącą kąpiel. Niestety zmuszona była czekać niemal godzinę, nim służba dostarczyła z kuchni odpowiednią liczbę wiader z ukropem.

Wanna mogła służyć z powodzeniem dwóm osobom naraz, więc Charlotta bez problemu wyciągnęła się w niej na całą długość. Przymknęła oczy i zanurzyła się w wodzie po samą szyję, ciesząc się z ulgi, jaką czuło jej zmęczone ciało. Błogość sprawiła, że Charlotta na krótko przysnęła.

Ocknęła się, czując czyjaś obecność. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą wypielegnowaną twarz księdza prymasa.

– Pokaż mi to! – zażądał.

Charlotta podniosła się, ociekając kroplami niczym nimfa. Gdy wyszła z wanny, Prażmowski, fałszywy skromniś, odwrócił wzrok i podał jej koszulę. Wciągnęła ją na mokrą skórę i przeszli do komnaty.

Klucz do skrzyni trzymała ukryty w gorsecie leżącym teraz na fotelu. Otworzyła kufer i uniosła wieko. Wewnątrz wyściełanej sukni skrzyni lśniły równiutko ułożone kolumny złotych monet. Na każdej z nich widniał profil Ludwika XIV.

– Piękny widok, nieprawdaż? – powiedział Prażmowski, pieszcząc dłonią monety niby czuły kochanek.

– Należą do waszej eminencji – odparła Charlotta i sięgnęła do ukrytej za obiciem przegródki. – A także to.

Wyjęła kopertę i wręczyła ją prymasowi.

Złamał lak i rozwinął list. Stał przy świeczniku i w milczeniu pochłoniął treść wzrokiem. Twarz Prażmowskiego pozostała nieprzenikniona, tylko oczy pociemniały mu z emocji. Skończywszy czytać, podszedł do kominka i cisnął papier w płomień.

– Czy to prawda? – zapytał, wpatrując się w Charlotte.

– Kardynał de Bonzi jest zdecydowany poprzeć kandydaturę eminencji – odrzekła Mesire. – Papież jest dobrego zdrowia, ale liczy osiemdziesiąt lat.

Prażmowski z namysłem pogładził szpiczastą bródkę.

– Co mam uczynić w zamian?

– Zadbać, aby księżę francuski został wybrany królem w Polsce.

– A więc Ludwik zdecydował się obalić Korybuta? Czemu właśnie teraz? Proponowałem mu to przed rokiem i wzgardził mą ofertą. – W głosie prymasa

zabrzmiała uraza.

– Francję czeka wojna z Holandią, Hiszpanią i Austrią. Dywersja w Polsce odciągnie część wojsk cesarskich od działań na zachodzie.

– I sprowadzi wyniszczającą wojnę na Rzeczpospolitą?

– Czy to problem dla waszej eminencji?

– Żaden – odrzekł oschle. – Prześlij wiadomość kardynałowi de Bonziem, że się zgadzam.

– Tak uczynię, eminencjo.

– Zasłużyłaś na nagrodę, Charlotto – rzekł tajemniczo.

Zaklaskał w dłonie.

Z holu weszła do komnaty młodzianka jasnowłosa dziewczyna. Była boso i miała na sobie wyłącznie jedwabną koszulę.

– Jest twoja do świtu – oznajmił Prażmowski i uczynił zapraszający gest. Nie czekając na podziękowania, wyszedł z komnaty i zamknął za sobą drzwi.

Dziewczyna nie wydawała się zawstydzona. Jej oczy miały cudownie fiołkowy odcień. Z gracją pozbyła się koszuli, odsłaniając szczupłą figurę i drobne piersi o jasnych brodawkach. Weszła na łożo i klękła na nim.

Charlotta również zrzuciła z siebie wilgotną szatę i zbliżyła się do łoża. Drobne dłonie objęły jej biodra. Poczowała na piersi lekkie muśnięcie języka, delikatne usta zacisnęły się wokół jej sutka. Mesire przygryzła wargi i jęknęła. Zmierzwiała dłonią włosy dziewczyny i weszła na łóżko. Całując się i głaszcząc, opadły na poduszki.

Charlotta podejrzewała, że mogą być obserwowane. W komnacie z pewnością ukryty był wizjer. Nie dbała o to, ale mimowolnie poczuła się nieswojo.

Dziewczyna wyczuła tę zmianę. Schyliła głowę i musnęła językiem napięty brzuch Charlotty. Cudownie miękkie usta zsunęły się ku wnętrzu jej ud.

Jeden głęboki pocałunek wystarczył, aby przestała myśleć o wszystkim innym.

*

Dwa tygodnie spędzone w drodze – tyle czasu minęło, nim Marysieńka ujrzała wieże kościołów i spadzisty dach żydowskiej bożnicy wystające poza mury

otaczające Jaworów. Karoca i towarzysząca jej kawalkada wozów wtoczyły się do miasteczka i nie zatrzymując się, dotarły na zamek Sobieskich.

Silnie ufortyfikowana twierdza, wewnątrz której znajdował się ośnieżony teraz ogród, wydała się Marysieńce dziwnie cicha, jakby spowił ją śmiertelny całun. Jej serce ścisnął lęk przed najgorszym. Ledwie karoca zatrzymała się przed wejściem do gmachu pałacu, Marysieńka wyskoczyła z jej wnętrza i nie zważając na zaskoczoną tym pośpiechem służbę, popędziła ku dwuskrzydłowym drzwiom strzeżonym przez dragonów.

Nim tam dotarła, drzwi się otworzyły i ujrzała Jana trzymającego za rączkę ich synka Jakuba. Widok męża wystraszył ją. Oczy pozbawione blasku, twarz wymizerowana, skóra obwisła i szara. A jednak gdy ujrzał ją biegnącą w płatkach spadającego z nieba śniegu, uśmiechnął się.

Poczuła, że wszystko będzie dobrze.

Jeszcze nim obaj zeszli ze schodków, przypadła do męża i uściskała go, czując, jak łzy ściekają jej po policzkach.

– Dzięki Bogu, jesteś zdrow – szepnęła, całując go w usta i czując na wargach leciutkie muśnięcia jego wąsów.

– Już mi lepiej, wrzód pękł sam dwie niedziele temu – odparł zachrypniętym głosem, gdy tylko dała mu mówić. – Medycy twierdzą, że do końca roku całkiem dojdę do zdrowia.

Marysieńka, uspokoiwszy się, spojrzała na synka. Jakub ukończył już cztery lata, lecz wciąż był mniejszy i szczuplejszy niż jego rówieśnicy. Niemal tonął w czapce i sobolowym futerku.

„Trzeba go podkarmić”, zdecydowała w myślach i uklękła, wyciągając ręce ku chłopcu.

Jakub zawahał się, nie wiedząc, jak ma się zachować. Nie widział matki prawie rok, a i wcześniej nie poświęcała mu wiele uwagi, jak wszystkie damy pozostawiając wychowanie dzieci mamkom i piastunkom.

Jan pchnął delikatnie synka w jej stronę.

– Przywitaj panią matkę – poprosił łagodnie.

Jakub zrobił kilka niezdarnych kroków i wpadł w jej ramiona. Przycisnęła synka do siebie i ucałowała zaróżowioną od mrozu twarzyczkę.

– A ty nie pocałujesz mamy? – zapytała z uśmiechem.

Gdy drobne ustka cmoknęły ją w policzek, Marysieńka przysięgła sobie, że teraz będzie lepszą matką i żoną. A przynajmniej postara się taką być.

Wzięła synka na ręce, wyprostowała się i razem wtulili się w ciepłe, potężne ramiona Jana.

*

Wsunął się w nią i dopasował, jakby byli dla siebie stworzeni, przycisnął brzuch do jej brzucha, najpierw lekko, potem mocniej, wypełniając ją idealnie, tak jak lubiła. Marysieńka uniosła biodra, pragnąc czuć go głębiej, każdy jego ruch, każde mocne, niecierpliwe pchnięcie, którymi wypełniał ją po tak długiej rozłące. Prężąc się, oplótła męża nogami, otwierając się w pełni na rodzącą się w niej wilgotną burzę. Odchyliła głowę, szukając ust Jana. Nie panował nad sobą i to było cudowne.

Szarpnął nią pierwszy cudowny spazm.

Marysieńka uniosła powieki, uświadamiając sobie, że to tylko senne wspomnienie tego, jak kochali się przed zaśnięciem. Rozmarzona spojrzała na miejsce, gdzie leżał Jan, gdy zasypiała wtulona w jego silne ciało. Teraz łóżko było puste. Dotknęła dłonią wymiętej, chłodnej pościeli. Podniosła twarz z poduszki i chwilę nasłuchiwała odgłosów domu. Usłyszała, że mąż krząta się w gabinecie. Zerknęła na tarczę zegara oświetloną przez nadtopioną świecę. Dochodziła trzecia w nocy.

Zaciekawiona wysunęła się spod kołdry, usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po domową szatę.

Nałożyła luźny strój, przewiązała się w pasie szarfą, po czym podeszła do drzwi gabinetu sąsiadującego przez ścianę z alkową.

Jan, ubrany w strój nocny, pochylał się nad mapą zajmującą niemal cały blat stołu. Zerknął na nią, uśmiechnął się przelotnie, a potem znów skupił się na jakimś niedającym mu zasnąć problemie.

Marysieńka zbliżyła się do stołu, rozpoznając rozrysowane bezkresne stepy, przecinające je rzeki i ciemniejsze kontury wzgórz, borów i mokradeł Ukrainy. Na krawędziach mapę przytrzymały mosiężne lichtarze, oświetlając rozstawione na niej drewniane figurki jeźdźców i piechurów, przypominające nieco pioniki używane w grze w szachy.

Przez moment próbowała sama odgadnąć położenie ustawionych naprzeciw siebie armii, lecz szybko porzuciła te starania.

– Twoje wojska to które?

– Te na zachodzie, łącznie dziesięć tysięcy żołnierzy. Tutaj, za Bohem, stoją Kozacy hetmana Doroszenki, z nimi Tatarzy z Białogrodu i piechota turecka, jakieś piętnaście tysięcy ludzi – tłumaczył zamyślony i wskazał na kilka figurek jeźdźców ustawionych blisko siebie w głębokim stepie. – Tu zaś ulokowało się dwadzieścia tysięcy ordyńców przybyłych z Krymu. Czekają, aż Boh pokryje się lodem, i wtedy ruszą na zachód.

W listach pisanych do żony, gdy była w Paryżu, Sobieski wspominał zdawkowo o walkach na Ukrainie. Miała jednak za dużo innych problemów na głowie, aby roztrząsać wydarzenia rozgrywające się tysiące mil od Francji. Do Marysieńki dotarło nagle, jak olbrzymi ciężar dźwiga Jan. Spojrzała na ściągnięte troską oblicze męża.

– Mają wielką przewagę. Jak zamierzasz sobie z tym poradzić? – zapytała.

Zmarszczka na jego szerokim czole pogłębiła się, sięgnął dłonią do wąsów, co zawsze czynił, gdy rozmyślał nad czymś intensywnie.

– Sposobem, moja miłości – odparł spokojnym, głębokim głosem. – Wojnę nie zawsze wygrywa się orężem.

Zbyt dobrze go znała, aby nie wiedzieć, że chowa coś w zanadrzu.

– Co się wydarzy?

– Już się stało. – Wskazał wzrokiem list leżący na krześle. – Sieniawski przysłał wieści, że zbuntowało się kilka miast kozackich, w tym Humań, gdzie na naszą stronę przeszedł cały tamtejszy pułk. Teraz Doroszenko i Tatarzy będą mieli zajęcie po swojej stronie Bohu.

Marysieńka otworzyła szeroko oczy.

– Czym ich przekupiłeś? Myślałam, że brak nam pieniędzy.

– Nie musiałem ich przekupywać – wyjaśnił Jan. – Wielu Kozaków ma już dość opieki tatarskiej. Orda wspomaga Doroszenkę, ale nie darmo. Przy każdej okazji tysiące kobiet, dzieci i mężczyzn trafia w jasyr, a potem na targ niewolników na Krymie. Doroszenko nie ma dość siły, aby powstrzymać Tatarów przed pustoszeniem wsi i miasteczek na Ukrainie. Wielu pułkowników kozackich zaczyna pojmować, że polska opieka wcale nie taka zła.

– A co z Moskalami? Pisałeś, że mamy z nimi sojusz.

– Taki sojusznik gorszy od jawnego nieprzyjaciela – odrzekł Jan i przygryzł dolną wargę. – Car wciąż zwleka ze zwrotem Kijowa, liczy, że Polacy nie będą mieli siły, aby się zbrojnie upomnieć o miasto. Swoich Kozaków na lewym brzegu Dniepru trzyma mocno za pysk. Wielu buntowniczo nastawionych do Moskwy pułkowników i atamanów potraciło głowy lub zostało wywiezionych za Ural. Z roku na rok Moskale stają się silniejsi, a my coraz słabsi. Prędzej czy później ruszą, aby zająć naszą część Ukrainy.

Marysieńka położyła dłonie na ramionach męża i zaczęła mu masować napięte mięśnie barków i szyi.

Jan stęknął z ulgi. Poczuła, jak rozluźnia się pod jej dotykiem.

– Wszystko byłoby lepiej, gdybyś ty został królem, a nie ta małpa Korybut – powiedziała jakby od niechcienia.

– Został wybrany przez szlachtę i nic się nie poradzi.

– Króla można wybrać, ale i zdetronizować, jeśli nie nadaje się do sprawowania władzy. Czyż Polacy nie szczytą się tym prawem?

Jan odwrócił się twarzą do żony i zmierzył ją badawczym wzrokiem.

– Co też ci chodzi po tej ślicznej główce? – zapytał poważnym tonem.

– Tylko tak sobie myślę na głos.

– Nie oszukasz mnie – rzekł z łagodnym uśmiechem. – Znam ten błysk w twoich oczach.

– Po prostu pragnę, abys otrzymał to, do czego jesteś stworzony, mężu.

– Przyjeliśmy złoto Ludwika XIV za to, że osadzimy francuskiego księcia na tronie – przypomniał rozważnie. – Tak jak wielu innych: Prażmowski, Morsztyn, Lubomirski czy Wielopolski. Myślisz, że oni zechcą widzieć mnie królem? Wątpię w to, mają mnie za równego sobie. A Prażmowski uważa się nawet za lepszego.

Chciała wyznać, że prymas ma własne ambicje sięgające wyżej niż wpływy w Polsce, ale ugryzła się w język. Jan był zbyt uczciwy i prostolinijny, aby wtajemniczać go w pewne sprawy.

– Zatem musisz zwyciężyć wrogów tu, na Ukrainie, a wtedy szlachta sama włoży nam korony na skronie.

– Mario, wciąż myślisz jak Francuzka. – Nie był to wyrzut, raczej ciepła ironia. – Polacy bardziej kochają się w mitach i przyjemnych złudzeniach, niż patrzą trzeźwo na rzeczywistość. Szlachta będzie bronić Korybuta, miłuje go ze względu na pamięć jego ojca Jaremy Wiśniowieckiego. Poza tym pozostają Pacowie. Rządzą na Litwie niby udzielnicy księżęta, mają własną armię i skarbiec. – Jan westchnął ciężko. – O ile ze starszym z braci Krzysztofem da się jeszcze porozumieć, o tyle młodszy Michał Kazimierz szczerze mnie nienawidzi od czasu, gdy go postrzeliłem w pojedynku. Co więcej, Klara Pac została pierwszą dwórką królowej, mówi się, że są wielkimi przyjaciółkami.

Marysieńka spojrzała podejrzliwie na męża, zastanawiając się, czy wciąż coś czuje do Klary. Ujrzała wyłącznie zakochanego w niej mężczyznę. Mimo to zacisnęła pięści w gniewie. Jej dawna przyjaciółka i zdradziecka żmija zyskiwała władzę i bogactwo, podczas gdy ona i Jan zostali zepchnięci w cień. Marysieńka wiele rzeczy potrafiła wybaczyć, lecz z pewnością nie coś takiego.

Jan objął dłońmi jej twarz.

– Zostawmy to – rzekł i pochylił się, całując ją w usta.

Nie nalegała. Ziarno zostało zasiane, teraz wystarczyło je pielęgnować. Wsunęła dłoń w rozcięcie szaty męża i sięgnęła po lekko prężącą się męskość.

To jedno w ich związku od lat wychodziło jej doskonale.

Kochanek śmierci

– Bogusławie Tynerze, gotuj się na śmierć i żałuj za grzechy.

To były jedyne słowa, jakie padły z ust imć pana Jana Baranowskiego. Obyło się bez wypominania dezercji. Sprawa była osobista i rotmistrz nie udawał, że jest inaczej.

Tyner bezradnie rozejrzał się po twarzach żołnierzy zgromadzonych na placu przed spaloną karczmą.

Wymizerowane oblicza, zapadnięte oczy, okutane szmatami dłonie, nogi i twarze. W świetle dnia nie prezentowali się tak groźnie jak nocą.

Baranowski odczekał pacierz i dał znak stojącemu obok Wołochowi, który zgodził się przeprowadzić egzekucję. Wysoki żyłasty mężczyzna o czarniawym obliczu dzierżył ciężki bułat. Podszedł do skazańca i przygiął go w dół. Tyner poddał się bez oporu, kładąc głowę na pniu.

Mówią, że człowiekowi tuż przed śmiercią przemyka przed oczyma całe jego życie. Tyner ujrzał wyłącznie jedną pomarszczoną twarz.

Po śmierci żony odwiedził staruchę, o której szeptano, że widzi przyszłość. Za kilka groszy spojrzała w cebrzyk z wodą i przepowiedziała mu, że śmierć zabierze go, gdy ponownie zakocha się w kobiecie. Wtedy, jak i teraz, było to mało prawdopodobne.

Przymknął powieki, czekając na cios.

– Myliła się wiedźma – wymruczał pod nosem.

– Wstrzymaj się! – niespodziewanie rozległ się okrzyk.

Tyner uniósł powiekę. Następnie otworzył drugie oko, przyglądając się grupie husarzy, która wjechała na plac. Zza pleców jezdnych wybiegła kompania spieszonych dragonów. Strzelcy otoczyli półkolem plac przed gospodą. Druga, liczniejsza grupa husarzy zamknęła plac od przeciwległej strony.

Zbrojnym przewodził młody mężczyzna na pięknym karym ogierze. Nosił karmazynową delię z sobolim kołnierzem i futrzaną czapę, z szerokich ramion spływała mu lwia skóra umocowana na piersi złotą spinką. Tyner spojrzął w doskonale znaną sobie twarz, z której nie schodził irytujący uśmiezek.

Pan strażnik wielki koronny, a zarazem chorąży wielki koronny Mikołaj

Sieniawski zdawał się doskonale bawić widokiem oficera zgiętego przy katowskim pieńku.

– Co się tu dzieje, panie Baranowski!?! – zakrzyknął magnat. – Samosąd czynisz?

Rotmistrz popatrzył na magnata spode łba, jednak że był u Sieniawskiego pod komendą, dał znak Wołochowi, aby odstąpił od Tynera.

– Pomyślałem, że szkoda na niego sądu, wasza wielmożność – odparł imć Baranowski.

Sieniawski popatrzył nań niezyczliwie.

– Póki waszmość służyysz w wojsku, póty myślenie i wymierzanie sprawiedliwości zostaw hetmanowi Sobieskiemu – rzekł groźnym tonem. – W przeciwnym razie sam zadyndasz na linie. Pojmujesz waszmość?

Baranowski skinął niechętnie głową.

– Rozumiem, dowódco.

– Zabieram ze sobą porucznika Tynera – oznajmił Sieniawski i zwrócił się do towarzyszącego mu chorążego: – Dajcie mu konia i ciepłe okrycie. A ty, panie Baranowski, dołączysz z chorągwią do dywizji regimentarza Wyżyckiego. Miej tam oczy i uszy otwarte. Czekać na instrukcje.

– Rozkaz, wasza miłość! – odkrzyknął rotmistrz.

Twarz chorążego koronnego wypogodziła się nieco.

– Ruszajmy w drogę – zakomenderował i zawrócił wierzchowca. – Noc chcę spędzić w ciepłym miejscu.

Nim odjechał, rzucił Tynerowi długie chłodne spojrzenie.

Jechali cały dzień przez okryte bielą krzaki, zamarzniete moczary i pola, na których tu i tam można było rozpoznać miejsca, gdzie przedtem stały wsie. Do Krasnego dotarli tuż przed zmrokiem. Miasto wywarło na Bogusławie ponure wrażenie. Z chałup zostało ledwie kilka, resztę spalono. Ludzie przenieśli się na wzgórze, otoczone wałem z ziemi i palisadą. Tam husarze spędzili noc, tłocząc się po kilkunastu w izbach. O brzasku wyruszyli w dalszą drogę. Sieniawskiemu towarzyszyła już tylko chorągiew husarska, pozostałe oddziały zostawił w Krasnym jako wzmocnienie garnizonu.

Podróż na zachód zajęła im kilka dni. Im bardziej oddalali się od Podola, tym więcej mijali zamieszkanymi wiosek i miasteczek. Ruś Czerwona nie doznała podczas wojen tak wielkich strat jak Ukraina. Kozacy i Tatarzy zapuszczali się w te rejony tylko podczas wielkich kampanii. Niemniej i tu Tyner widział wyludnione wioski, spalone szlacheckie warownie, poniszczone kościoły i młyny, pamiątkę po wielkim najeździe ordy sprzed kilku lat. Bogusław walczył wtedy pod komendą hetmana Sobieskiego w kampanii podhajeckiej, gromiąc Tatarów i odbierając im jasyr. Chronił i ratował innych tylko po to, aby powróciwszy do własnego domu, zastać tam zgłiszczą.

Brzeżany ujrzeli za dnia, położone między pagórkami nad wielkim jeziorem, przez które przerzucono most prowadzący do ufortyfikowanej bramy. Chorągiew przemknęła przez wąskie uliczki wytyczone pomiędzy drewnianymi domami, kierując się ku zamkowi Sieniawskich. Po dotarciu do twierdzy Tyner spędził noc w zamknięciu. Dostał jednak wieczerzę i śniadanie. Przed południem zjawił się wartownik i zaprowadził go do pana Sieniawskiego.

Pan chorąży koronny przyjął go w przytulnej, ciepłej komnacie, siedząc w fotelu z kielichem wina w dłoni. Miał na sobie białą koszulę i sięgające kolan spodnie wpuszczone w wysokie buty.

Tyner wyprężył się przed byłym dowódcą, lecz nie odezwał się słowem.

Sieniawski spojrzał nań znad kielicha.

– Zapomniałeś, jak się melduje? – zapytał cierpko.

– Nie jestem już żołnierzem, lecz szlachcicem i obywatelem – odburknął Tyner.

– Tedy przyznajesz waszmość, żeś opuścił pułk bez pozwolenia dowódcy?

– Moja służba dobiegła końca w dzień Wszystkich Świętych. A żołdu od pół roku nie widziałem.

– Postanowiłeś więc poszukać zarobku po mołdawskiej stronie?

Tyner zacisnął zęby.

– Milczysz. – Sieniawski odstawił kielich na stolik. – A ludzie mówią, żeś dołączył do swawolników z Podola, którzy przeprawiają się do Mołdawii szukać łupów i zbiegłych chłopów.

– Ludzie różne głupstwa gadają – mruknął Tyner.

– Ach... A twój komendant z Mohylewa też banialuki prawi? Pisze mi w liście, że starłeś się na szable z setnikiem Chanenki. Przez dwie niedziele nie wiadomo było, czy tamten wyżyje.

– To był uczciwy pojedynek. Takie zwady ciągle się zdarzają we wszystkich garnizonach, gdzie nasi stoją w jednym mieście z Kozakami – zauważył cierpko Tyner. – Wojsko nie ma zapasów na zimę ani pieniędzy, odbiera więc to i owo chłopom i mieszczanom siłą. Kozacy bronią się, bo sami ledwo co zjeść mają, stąd i ciągle utarczki między nami.

– Ja to wiem – odrzekł spokojnie Sieniawski. – Chanenko śle do hetmana list za listem ze skargami na komendantów naszych załóg. Właśnie dlatego tym razem nie mogę okazać ci waszmość pobłażania. Artykuły wojskowe zabraniają pojedynków pod karą gardłową za zabójstwo czy zranienie przeciwnika. Oddam cię pod osąd hetmana, niech wyda wyrok wedle swojej woli.

– Śmierć? – odparł dziwnym głosem Tyner. Nie było w nim cienia lęku, raczej jakby niedowierzenie.

Mikołaj Sieniawski wlepił wzrok w wymizerowane oblicze oficera.

– Jeśli choć połowa tego, co mówią o tobie, jest prawdziwa, mam wątpliwości co do tego, czy zawiśniesz.

Tyner nie pytał, co też Sieniawski ma na myśli. Znał zły los trzymający się go niczym cień.

I klątwę przepowiedzianą mu przez wiedźmę.

ROZDZIAŁ II

Zło konieczne

Grudzień A.D. 1671

Przez całą drogę do Brzeżan Jan Sobieski nie czuł się dobrze. Dolegliwości żołądka wynikłe z przyjmowania rtęci zalecanej mu przez medyka nasiliły się, a do tego trapiły go troski. Mikołaj Sieniawski przywitał hetmana zaraz po tym, jak ten opuścił karocę i znalazł się w zamkowym holu. Wpadli sobie w ramiona i uściskali się serdecznie.

– Chwała Bogu, żeś wydobrzezał, Janie – powiedział Mikołaj i zabrzmiało to w jego ustach bardzo szczerze.

– Nie do końca jestem zdrów – przyznał hetman. – Wciąż muszę zażywać mikstury, od których wykręca mi kiszki. Ale dość o tym. Czy księżna Gryzelda przyjechała?

– Goszczę ją od wczoraj – odrzekł Sieniawski. – Właśnie na ten temat chcę z tobą pomówić.

Sobieski skinął głową i udali się schodami na piętro. Prywatne pokoje chorążego koronnego były pełne złoconych makat i kobierców, orientalnych waz i drogich mebli.

Sieniawski osobiście wręczył hetmanowi puchar z winem korzennym i zasiedli przy stoliku na miętko wyściełanych krzesłach.

Sobieski umoczył głęboko usta w winie, po czym westchnął.

– Tego mi brakowało po tych wszystkich leczniczych miksturach. W Jaworowie nie mogłem pić niczego mocniejszego, medyk nagadał Marii, że to może mi zaszkodzić po ciężkiej chorobie. A sam wiesz, jaka ona jest, gdy wbije sobie coś do głowy.

– Jak udało ci się nie zabrać jej ze sobą?

– Wykorzystałem sposobność – rzekł Sobieski. – Jakub jest słabego zdrowia, znów się przeziębił. Maria została, żeby się nim opiekować. Odkąd wróciła

z Francji, poświęca mu więcej uwagi niż kiedykolwiek wcześniej.

– A Charlotta już przybyła z Łowicza?

– Tak. Przyjedzie tu z Marią na Nowy Rok. – Sobieski puścił do przyjaciela oko. – Podoba ci się, ale to nie dziwota. Francuzki mają swoje sposoby, by usidlić mężczyznę.

– Maria Kazimiera nie będzie zachwycona twoim spotkaniem z księżną – powiedział Sieniawski, skutecznie gasząc pogodny nastrój, w którym przebiegała rozmowa.

– Właśnie dlatego nic jej nie mówimy, prawda? – odparł Sobieski.

– Czemu zgodziłeś się na to spotkanie?

– Mój ojciec bardzo szanował Gryzeldę. Zasłużyła, aby jej wysłuchać.

Sieniawski zmrużył nieufnie oczy.

– To wszystko? Czy o czymś powinienem wiedzieć?

Hetman zmierzył Sieniawskiego uważnym spojrzeniem.

– Co cię trapi?

– Muszę wiedzieć, czy zamierzasz pogodzić się z królem – oznajmił Sieniawski wprost.

– A jeśli nawet, czy zachwieje to naszą przyjaźnią?

Milczenie się przedłużało.

– Nie. Ufam, że wiesz, co robisz – odparł chorąży koronny. – Pamiętaj jednak, że jeśli stracimy starych przyjaciół, nie oznacza to wcale, że zyskamy nowych.

Sobieski skinął głową.

– A teraz idź po nią – poprosił. – Zobaczymy, czego chce... stara wilczyca.

*

Księżna Gryzelda wkroczyła do gabinetu, podpierając się laską, następnie postukując nią o parkiet, podeszła do hetmana, który wyszedł jej naprzeciw. Odkąd widzieli się ostatni raz, kniahini postarzała się nieco i przytyła, wciąż jednak było w niej dostojeństwo przynależne potomkini Zamoyskich i żonie Jaremy Wiśniowieckiego, a teraz również matce króla.

– Witaj, pani. – W głosie Sobieskiego wybrzmiał niewymuszony szacunek.

– Cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu, hetmanie. Ponoć ostatnio poważnie chorowałaś.

– Już mi lepiej – odparł Sobieski i wskazał parę wyściełanych krzeseł. – Spocznijmy.

Oboje usiedli. Księżna Gryzelda wsparła dłoń na gałce laski. Hetman i kniahini przypatrywali się sobie, milcząc.

Jan doskonale wiedział, na czym polega ta gra – kto się odezwie pierwszy, zyskuje przewagę – lecz jako gospodarz i mężczyzna nie mógł przeciągać milczenia w nieskończoność.

– Ehm... Czemu zawdzięczam wizytę kniahini?

Przez usta księżnej Gryzeldy przemknął nikły uśmiech.

– Od razu do sedna – rzekła. – Przypominasz mi waszmość twego ojca Jakuba. To był dobry człowiek, przewidujący i lojalny wobec swego króla, choć często się z nim nie zgadzał.

Jan odchrząknął, skonfundowany zagrywką wilczycy.

– Mój świętej pamięci ojciec zawsze wyrażał się ciepło co do twojej osoby, księżno, lecz chyba nie przebyłaś pani takiego szmatu drogi z Zamościa, by snuć wspominki.

– Przyjechałam z propozycją, hetmanie, która pozwoli naszym poróżnionym ze sobą rodzinom zakończyć szkodliwy dla kraju spór.

– To znaczy?

– Mój siostrzeniec Dymitr owdowiał i potrzebuje nowej żony. Twoja siostrzenica Teofila ukończyła siedemnaście lat i czas, aby poszukać jej godnego męża.

Sobieski zmrużył oczy, namyślając się.

– Dymitr jest w moim wieku – wyraził zastrzeżenie. – Trzeba by zapytać dziewczynę, czy chce takiego męża.

Gryzelda prychnęła.

– Bez żartów, waszmość. Małżeństwo z miłości to luksus, na który mogą pozwolić sobie nieliczni szczęśliwcy. Jak ty, hetmanie. Mnie nikt nie pytał o opinię,

gdy ojciec wydawał mnie za Jarekę, a i twoja żona, gdy zawierała swe pierwsze małżeństwo z moim bratem Janem, wypełniała wolę królowej.

Sobieski zacisnął usta na wspomnienie tych siedmiu lat udręki, kiedy zmuszony był niczym złodziej wykraść miłość, czas i ciało swej ukochanej Marysieńki jej mężowi Janowi Sobiepanowi Zamoyskiemu.

Był jednak świadom, że i księżna Gryzelda musi przeżywać dyskomfort, pertraktując z człowiekiem, który przyprawiał rogi jej rodzonemu bratu, a potem, gdy ten zmarł, nie bacząc na ludzkie języki, rychło ożenił się z młodą wdową.

– Porozmawiam z Teofilą – obiecał księżnej. – Pozostaje wciąż sprawa majątku, który twój brat zabezpieczył dla Marii Kazimiery w kontrakcie ślubnym. Po tym, jak zmarł, zamknęłaś przed nią bramy Zamościa i samowładnie zajęłaś cały majątek, pozbawiając Marię należnej jej części spadku.

Przez oblicze księżnej przemknął cień.

– Dostała w zamian ciebie. Czy nie o tym oboje marzyliście, odkąd zostałeś jej kochankiem?

Jan spodziewał się takich słów.

– Choć wiem, że było to niewłaściwe, nie potrafię żałować tej miłości – powiedział szczerze.

– Wcale tego po tobie nie oczekuję, waszmość, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Namietność może być równie skutecznym orężem w rękach kobiety jak szabla w dłoni mężczyzny.

– Sugerujesz, że jestem orężem w rękach Marii Kazimiery?

– Na to pytanie tylko ty, waszmość, możesz sobie szczerze odpowiedzieć.

– Jeśli masz rację, kniahini, muszę przedstawić żonie dobre powody, aby zaakceptowała proponowany przez ciebie związek małżeński.

– W geście dobrej woli oddam jej kilka kluczy wsi – powiedziała księżna – i dorzucę pięćdziesiąt tysięcy w złocie.

Sobieski zmarszczył czoło.

– To mniej, niż zasądził jej trybunał.

– Jesteś za mądry, aby wierzyć, że jakikolwiek wyrok sądowy zmusi mnie do

ustąpienia z Zamościa – odrzekła Gryzelda. – Jestem wnuczką hetmana Jana Zamoyskiego, krwią z jego krwi, kością z kości. To do mnie należy ordynacja, wszelkie ziemie, miasteczka i poddani. I Bóg mi świadkiem: jeśli zajdzie potrzeba, zbrojnie przeciwstawię się każdej próbie odebrania mi mego dziedzictwa.

W to akurat Jan nie wątpił. Przez moment mierzyli się wzrokiem. Zrozumiał, że więcej nie uzyska od wilczycy z Zamościa.

– Zgoda, Teofila wyjdzie za Dymitra – potwierdził Sobieski. – Tak z ciekawości, czy twój siostrzeniec wie już, co mu szykujesz?

– Dymitra zostaw mnie – odparła księżna spokojnie. – Sam zajmij się łagodzeniem żony, o ile pamiętam, ma zwyczaj wpadać w furję, gdy coś nie idzie po jej myśli.

– Zapewniam cię, księżno, że wbrew twej opinii to ja w tym związku noszę spodnie.

W żywych oczach Gryzeldy pojawił się błysk.

– Tedy miejmy nadzieję, że tak już zostanie, hetmanie. Cóż byłby to bowiem za widok dla naszych wrogów.

Sobieski zacisnął wargi w nieszczerym uśmiechu.

– Czy Jego Królewska Mość jest gotów przystąpić do zgody ze mną, wbrew woli Paców i królowej Eleonory?

Gryzelda zmrużyła oczy.

– Mój królewski syn uczyni to, co mu zasugeruję, jak zawsze – odpowiedziała księżna Wiśniowiecka. – Nie chcę wojny domowej i myślę, że ty również jej nie pragniesz. Tak jak nie chcieliby jej twój ojciec i pradziad hetman Żółkiewski.

Znów popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Powiadomię Teofilę o zamiarach kniazia Dymitra – oświadczył Jan. – Wierzę, że związek ten stanie się początkiem pokoju między naszymi rodzinami.

Księżna się uśmiechnęła.

– Jest jeszcze coś. Słyszałam, że w tutejszym areszcie przebywa oficer nazwiskiem Tyner.

– A tak... Sieniawski coś wspomniał w liście. Czeka na sąd hetmański.

– Jakiej przewiny się dopuścił?

– Nie znam szczegółów, ale bodajże złamał regulamin wojskowy i dopuścił się dezercji – odrzekł Sobieski zdziwiony dociekaniem księżnej. – Czemu interesuje cię ten człowiek, kniahini?

– Jego ojciec służył wiernie jako porucznik u kniazia Jaremy, a potem jako zarządca w jednym z mych majątków. Niedawno zmarł. Na łożu śmierci obiecałam mu, że sprowadzę na jego grób syna Bogusława. Ci dwaj w przeszłości nie rozstali się w zgodzie.

– Chcesz, abym darował mu życie – domyślił się Sobieski.

– Jeśli to możliwe – przyznała Gryzelda.

– Zamienię karę gardłową na wydalenie z wojska – oświadczył po krótkim namyśle hetman. – Potraktujmy to jako skromny dodatek do posagu panny młodej.

– Dziękuję waszmości.

Księżna podparła się na lasce i wstała z krzesła. Jan odprowadził gościa do drzwi.

– Czy zostaniesz, pani, na Nowy Rok?

– Dziękuję, lecz chcę jak najszybciej stanąć w Zbarażu, gdzie spotkam się z kniazem Dymitrem. Zresztą wolałabym nie natrafić na twą żonę, nim nie uzgodnicie spraw. To byłaby niezręczna sytuacja dla wszystkich.

– Moja żona uczyni to, co każe – zapewnił Sobieski.

W oczach księżnej rozbłysły wesole iskierki. Położyła dłoń na ramieniu hetmana.

– Tylko czy ona o tym wie – powiedziała, po czym opuściła komnatę, postukując laską o parkiet.

Jan zacisnął usta. Gryzelda trafiła w czuły punkt. Wbrew własnym buńczucznym wypowiedziom wiedział doskonale, że najtrudniejsze dopiero go czeka. Gdy przyjdzie czas na rozmowę z Marią Kazimierą.

*

Zimny szcęk rygła, a potem migotliwy blask lampy w uchylonych drzwiach

lochu wskazały Tynerowi, że nadszedł czas zapłaty za grzechy. Był gotów. Opierając się plecami o mur, podniósł się z cuchnącej słomy pokrywającej klepisko lochu. Otrzeptał spodnie i koszulę.

Klucznik, siwiejący, lecz wciąż barczysty mężczyzna, uniósł lampę. Tyner oślepiony blaskiem zmrużył oczy i schylił głowę, by nie uderzyć czołem o mur nad drzwiami. Na korytarzu czekali na niego dwaj żołnierze, którzy zaprowadzili go na dziedziniec.

Bogusław wziął głęboki oddech. Powietrze było mroźne, paliło w usta i nozdrza z każdym haustem. Spojrzał w stronę szafotu ustawionego pod murem twierdzy i zobaczył, jak dziewczka z kuchni wylewa tam pomyje na bruk, a te parują w zetknięciu ze zmrożonym podłożem.

Strażnik pchnął go przed siebie i ruszyli w stronę kasztelu. Skorzystali z wejścia dla czeladzi, a potem, przemierzając wąskie korytarze, dotarli pod solidne dębowe drzwi. Jeden ze strażników zapukał i chwilę później Tyner znalazł się w ciepłej komnacie, oświetlonej przez świece w lichtarzach.

Był przekonany, że zmierza na proces. Zamurowało go na widok kobiety w czerni grzejącej się w fotelu przy kominku. Upłynęło niemal siedem lat od chwili, gdy rozmawiał z księżną Gryzeldą.

Kniahini uniosła wzrok znad modlitewnika i spojrzała na niego przyjaźnie. Tyner zbliżył się do księżnej i padł na kolana, całując pierścień z rubinem, w którym umieszczono herb Korybut: księżyc na opak i złoty krzyż ze złotą gwiazdą pośrodku.

– Witaj, Bogusławie, dobrze cię widzieć – powiedziała księżna Gryzelda i wskazała wzrokiem na stół z jedzeniem. – Wychudłeś. Posil się.

Tynerowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nie jadł porządnie od... Sam nie pamiętał kiedy.

Usiadł na krześle i umył dłonie w misce z wodą. Dopiero potem zabrał się do posiłku, chleba i pieczonego kurczaka. Jedząc, zmusił się do dokładnego przeżuwania, świadom, że pośpiech może kosztować go ból ściśniętego przez niedostatek żołądka.

Księżna Gryzelda odczekała cierpliwie, aż Bogusław zaspokoi głód. Gdy otarł usta grzbietem dłoni i wypił ostatni łyk wina z pucharu, dała znak służącemu, aby

uprzątnął naczynia ze stołu.

– Widzę, że ci smakowało. – Uśmiechnęła się słabo. – Jako chłopcu zawsze dopisywał ci apetyt, w przeciwieństwie do mego Michała, który jadł niby ptaszek... – Urwała, jakby zawstydzona tym nawrotem wspomnień. – Czas, abyś odwiedził grób ojca – oznajmiła, zmieniając temat. – I wybaczył mu tamtą sprawę z Marią.

Tyner się nachmurzył.

– Wydziedziczył mnie i wyklął. Nie jestem mu nic winien.

– Zrozum, Bogusławie, twój ojciec chciał czegoś więcej dla jedyne go syna niż ożenek z chłopską córką.

– Maria była mieszczką, wolną osobą – odparł Tyner oschle.

Księżna uniosła dłoń w uspokajającym geście.

– Jestem pewna, że bardzo ją kochałeś, ale oboje odeszli. Ty zaś żyjesz i powinieneś strząsnąć z siebie żałobny całun, który cię niszczy.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, westchnęła.

– Rozumiem cię. Przeżyłam to samo po nagłej śmierci Jaremy. – Oczy księżnej pociemniały. – Był taki młody, nie ukończył czterdziestu lat. Chybabym oszalała, gdybym nie miała przy sobie Michała. Na niego przelałam całą miłość, jaką miałam do męża.

Gryzelda spojrzała Bogusławowi wprost w oczy.

– Nie mieliście dzieci, prawda? – zapytała.

– Nie mieliśmy, nie było czasu przez ciągłą wojaczkę – wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

– To i lepiej – odparła księżna. – Nic już cię nie wiąże z tamtą sprawą. Musisz zacząć myśleć o przyszłości.

Tyner roześmiał się krótko, chrapliwie.

– Moja przyszłość wisi na stryczku, kniahini – zauważył. – Oskarżają mnie o posiekanie Kozaka w pojedynku i dezercję, choć to drugie to łgarstwo.

– Hetman Sobieski nie skaże cię na śmierć – rzekła księżna. – Nie ukrywam, dzieje się tak za mym wstawiennictwem. Zostaniesz tylko wydalony z armii

koronnej.

– Zatem jestem ci winien, kniahini, podziękowanie za ocalenie głowy. – W głosie Tynera nie było wiele entuzjazmu.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam – rzuciła Gryzelda. – Wolisz wrócić do lochu?

– Oczywiście, że nie – zapewnił Bogusław. – Jestem ci wdzięczny, pani, tylko że... – Wzruszył bezradnie ramionami. – Co mam teraz robić? Umiem tylko wojować, a majątności żadnej nie mam.

Księżna powstała z fotela.

– Będiesz służył mnie i memu domowi, tak jak czynił twój ojciec. Czas, Bogusławie, abyś wrócił tam, gdzie jest twoje miejsce.

– Jako kto?

– Zrobię cię mym zaufanym człowiekiem – odparła Gryzelda. Wzięła ze stołu Pismo Święte i wyciągnęła księgę ku Tynerowi.

– Przysięgnij na Biblię, że nie zdradzisz mnie i mego syna.

Bez wahania położył dłoń na skórzanej okładce.

– Przysięgam na mą duszę – rzekł. – Co mam czynić?

– Dowiesz się później – powiedziała księżna. – Teraz weź kąpiel i wyśpij się, opuszczam Brzeżany z samego rana.

W drogę ruszyli o świcie wraz z otwarciem bram miasta. Tyner podróżował na jabłkowitej klaczy, przydzielonej mu spośród luzaków towarzyszących zbrojnej eskorcie kniahini. Otrzymał też nowy długi kozuch i czapkę z wiewiórczych skórek, a także rękawice.

Podróżowali szybko dzięki ubitemu śniegowi, który przykrył wyboje na trakcie. Koło południa minęli moczarowatą dolinę i wieś obwarowaną palisadą, a potem, podążając równiną zamkniętą przez zalesione pagórki, ujrzeli Zbaraż. Na zamek dotarli już po zmroku, oświetlając drogę pochodniami. Książ Dymitr przybył wcześniej, toteż w murach twierdzy było tłoczno od zbrojnych i służby Wiśniowieckich.

Tyner odprowadził swą klacz do stajni, wyszczotkował ją i zadbał, aby nie brakło

jej owsa. Oporządziwszy zwierzę, poszedł do kuchni po strawę. Dostał tylko chudą zupę i pajdę chleba, ale po całym dniu objiania się w siodle był szczęśliwy, że może zjeść gorący posiłek i ogrzać się przy palenisku. Tam odnalazł go sługa dworski z poleceniem, aby Bogusław stawił się przed księżną Gryzeldą.

Tyner w pośpiechu wychylił zupę, parząc sobie usta, po czym klnąc w duchu pańskie widzimisię, podreptał za dworakiem. Mężczyzna zaprowadził go przed grube, pociemniałe ze starości drzwi. Do komnaty wszedł tylko Bogusław, sługa został na korytarzu.

Księżnie Gryzeldzie towarzyszył kniaź Dymitr. Hetman polny nosił wzorzysty żupan w róże z szerokim złotym pasem i buty z pofałdowanymi cholewami. Kniahini, jak to miała w zwyczaju, przywdziała wdowią czerń.

Kniaź Dymitr posłał Tynerowi szacujące spojrzenie.

– Cioteczka twierdzi, że można ufać waszmości – odezwał się z rozwagą. – Zatem ja również obdarzę cię zaufaniem. Sobieski pod pozorem choroby zostawił wojsko pod mą komendą, licząc z pewnością, że w ten sposób obciąży mnie winą za fatalny stan armii. Niestety bez pieniędzy niewiele mogą zdziałać. Rozdzieliłem oddziały po miastach i twierdzach, lecz tych nie zostało się wiele na Ukrainie, ludzie tłoczą się więc i głodują.

– Co mam czynić, wasza wielmożność?

– Udasz się waszmość do obozu regimentarza Wyżyckiego, który pod mą nieobecność jest zarządcą całego wojska na Ukrainie. To zaufany oficer, od lat jest u mnie porucznikiem chorągwi husarskiej. Jednakowoż imć Wyżycki nie jest pozbawiony ambicji politycznych, nie zadowala go sprawowany dotychczas urząd chorążego kijowskiego i to go ogranicza. W swych działaniach nie posunie się dalej, niż zezwala prawo, nie posunie się do niczego, co w przyszłości może zaszkodzić mu w oczach szlachty i zaprzepaścić dalszą karierę.

Tyner zmarszczył brwi. Coraz mniej podobało mu się to, co słyszał z ust kniazia.

– Agenci Sobieskich i Prażmowskiego rozdzielają złoto i obietnice oficerom, nakłaniają do buntu przeciw królowi – ciągnął Dymitr Wiśniowiecki posępnym tonem. – Jeśli nie zaczniemy temu przeciwdziałać, wkrótce oficerowie i żołnierze będą błagać Sobieskiego, aby poprowadził ich na leża zimowe w głąb kraju. To

byłoby zaś jawne złamanie woli króla i sejmu, wstęp do wojny domowej.

– Potrzebujemy tam kogoś takiego jak ty, Bogusławie – wtrąciła księżna Gryzelda. – Człowieka odważnego, a jednocześnie obdarzonego przebiegłością i wyobraźnią. Chcę, abyś unieszkodliwił agentów Sobieskiego, używając po temu wszystkich dostępnych środków.

– Wszystkich? – zapytał Tyner chłodnym głosem.

– Jeśli to konieczne – potwierdziła kniahini bezlitośnie. – Pamiętaj, że przysiągłeś na Biblię wypełniać me rozkazy i spłacić dług za ocalenie ci życia.

Tyner zacisnął usta i z rezygnacją skinął głową.

– Wiem, co zaprzysiągłem.

– Odpoczniesz i za kilka dni wyruszysz z konwojem w drogę – oznajmiła Gryzelda. – Przed wyjazdem książę Dymitr przekaze ci szczegółowe instrukcje.

Na tym zakończyli rozmowę. Tyner opuścił komnatę, zostawiając w niej parę książeczek, i udał się do przydzielonej mu izby ze szczerym zamiarem spicia się do nieprzytomności.

*

Koła powozu zatrzymały się z chrzęstem towarzyszącym zgniatananiu warstewki lodu, który skuwał brukowaną nawierzchnię dziedzińca.

Marysieńka wyjrzała przez okienko, obserwując witających ją mężczyzn, aż jej spojrzenie zatrzymało się na mężu. Jan mimo mrozu i niedawno przebytej choroby nie włożył czapki. Mikołaj Sieniawski, chorąży koronny i pan na Brzeżanach, stał obok. Obaj byli okazałymi mężczyznami, o muskularnych piersiach i szerokich ramionach, choć u Jana, starszego od Sieniawskiego o szesnaście lat, widać było już spory brzuch wyłaniający się spod rozpiętej, podbitej sobolimi skórkami delii.

Sieniawski również nosił szlachecki strój, lecz nawet w długiej polskiej sukni widać było, jak jego szerokie ramiona doskonale komponują się ze szczupłą talią, przepasaną szerokim ozdobnym pasem.

Marysieńka, opuszczając powóz, zerknęła na Charlotte. Nie umknęło jej, że Mesire patrzy na Sieniawskiego w ten szczególny sposób, w jaki kobieta obdarza

uwagą mężczyznę budzącego jej zainteresowanie. Marysieńka nie dziwiła się towarzyszce. Sama chętnie schrupałaby Sieniawskiego, gdyby nie to, że był on zaufanym stronnikiem i przyjacielem jej męża.

Gdy wyszła z powozu, Jan posłał jej pełny miłości uśmiech. Podbiegła ku niemu i wpadła w jego mocne ramiona.

– Już zdążyłem się stęsknić – szepnął, łaskocząc jej ucho wąsami.

– Ja także, kochany. – Wspięła się na palce i ucałowała zimny policzek Jana, a potem przywitała się z Mikołajem Sieniawskim.

Pan na Brzeżanach ucałował ją szarmancko w dłoń i całą trójką udali się do jednej z komnat, gdzie na zziębniętą panią Sobieską czekał kielich grzanego wina z korzeniami.

Marysieńka zrzuciła wierzchnie okrycie i usiadłszy na krześle, zaczęła dmuchać w puchar, aby nie poparzyć sobie ust.

Jan i Mikołaj zasiedli naprzeciw niej.

– Jakie wieści Charlotta przywiozła od Prażmowskiego? – zapytał Sieniawski.

– Prymas przesyła pozdrowienia i zapewnia o swej przyjaźni – odparła Marysieńka. – Jest gotów przystąpić do działań na najbliższym sejmie.

– No jasne, po tym, jak otrzymał kufer ze złotem – rzucił z sarkazmem Sieniawski.

– Ty również nie mało dostałeś – wskazał nieco obcesowo hetman.

Marysieńka uznała, że Jan jest zdenerwowany, choć usilnie stara się to ukryć.

– I spodziewam się znacznie więcej, gdy osadzimy Francuza na tronie – zripostował Sieniawski bez cienia wstydu. – O ile to wciąż aktualny plan?

Marysieńka dostrzegła, jak mąż gromi Sieniawskiego spojrzeniem, i nagle dotarło do niej, że między tymi dwoma wydarzyło się coś, o czym powinna wiedzieć.

– Co to ma znaczyć? – Z irytacją odstawiła puchar na stolik. – Czemu milczysz, Janie?

Sieniawski odchrząknął i podniósł się z krzesła.

– Chyba musicie porozmawiać... – mruknął i z wyraźną ulgą zostawił

Sobieskich samych.

– Wytłumaczysz mi w końcu, co się stało? – zapytała.

– Spotkałem się z księżną Gryzeldą – przyznał Jan.

– Co takiego? – Marysieńkę zatkąło. Poderwała się z miejsca i stanęła nad Janem groźna niczym Nemezis. – W jaki sposób, kiedy?

– Kilka dni temu – odparł Jan, podnosząc się z fotela. – Odwiedziła Brzeżany w drodze do Zbaraża.

– Przyjąłeś ją bez mej wiedzy! – Marysieńka nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Czują, jak rozpiera ją wściekłość na Jana. – Nic nie mówiąc!

– Nie było cię tu – odparł spokojnie niby jeździec, który ma poskromić narowistą klacz.

– Cóż to za zbieg okoliczności – wycedziła zjadliwie. – Czego chciała stara wilczyca?

– Zaproponowała ślub Dymitra Wiśniowieckiego z Teofilą – odpowiedział wprost. – A także zwrot pewnych dóbr, które należą ci się po jej bracie.

– Oczywiście odmówiłeś? – zapytała z napięciem w głosie.

– Zgodziłem się.

Marysieńka poczuła, jak napina się jej całe ciało. Wiele ją kosztowało, aby nie rzucić się na męża z paznokciami. Zmrużyła oczy, wpatrując się w Jana.

– Co ty sobie myślałeś!?! – wysyczała mu w twarz. – Jak mogłeś wyrazić zgodę na to nieszczęsne małżeństwo?

– Mario, wysłuchaj mnie. – Mąż zbliżył się do niej, lecz odepchnęła go, gdy próbował wziąć ją w ramiona.

Jan poczerwieniał na obliczu, nerwowym gestem potarł kciukiem wąsa.

– Gryzelda wystąpiła z rozsądną propozycją. – Głos drżał mu ze złości. – To małżeństwo może doprowadzić do pojednania między naszymi rodzinami.

Marysieńka aż fuknęła ze złości.

– Nie chcę słyszeć o pojednaniu – powiedziała zimno, wręcz z nienawiścią. – Czyś już zapomniał, jak mnie potraktowała ta suka? Wyrzuciła mnie z Zamościa niczym dziwkę... – Uniosła głowę, świadoma, że Jan zobaczy w jej oczach łzy. To

zawsze działało, była więc pewna, że i teraz zmiękczy jego wolę i serce. – Wiśniowieccy to wrogowie, nasi i króla Francji.

– Przestań. – Jan chwycił żonę za ramiona i przyciągnął do piersi.

Szarpała się chwilę, lecz w końcu się uspokoiła.

– Wzięliśmy złoto z Paryża – rzuciła Marysieńka. – Musimy wypełnić zobowiązanie wobec Ludwika.

– Posłuchaj mnie uważnie, Mario – powiedział Jan stanowczo. – Teraz przyjęliśmy złoto od Ludwika, jutro przyjmujemy od kogoś innego. Taka to już polityka w Polsce. Nie znaczy to jednak, że jestem na jego pasku, ani ty, Mario. Jesteś moją żoną i nie wrócisz już do Francji, póki żyję. Słyszysz? Nie puszczę cię. Teraz ten kraj to twój dom i to jemu jesteś winna lojalność i rozum.

Spojrzała na twarde zarys linii szczęk Jana, zaciśnięte usta, groźnie błyszczące oczy. Dotarło do niej nagle, że właśnie po raz pierwszy odmówił jej czegoś istotnego. Przez moment nie wiedziała, co ma powiedzieć, jak się zachować w tej nowej dla siebie sytuacji.

– Oczywiście masz słuszość. Wybacz mi. – Wtuliła twarz w pierś męża. Czowała jego ciepło, bicie serca, to, jak się rozluźnia, sądząc, że postawił na swoim.

Pozwoliła mu na to złudzenie.

Potrzebowała czasu, aby wszystko przemyśleć. Odzyskać przewagę w grze i wykonać następny ruch.

*

– Idiota! Prostolinijny bęcwał! – Wzburzony głos Marysieńki niósł się po całej komnacie. – Jak on mógł mi to zrobić!?

Charlotta Mesire z obojętną miną patrzyła, jak kielich trzymany jeszcze moment wcześniej przez Sobieską uderza o ścianę i odbija się od muru z metalicznym odgłosem. Spokojnie schyliła się i podniosła naczynie, po czym odstawiła je na kredens poza zasięg wściekłej furii.

– Znów się pokłóciliście? – rzuciła niewinnie. – Zawsze byłam zdania, że wielka miłość najlepiej się sprawdza w romansach lub gdy kochanków dzieli odległość.

Z bliska cała magia blednie.

– Daruj sobie sarkazm – warknęła Sobieska i poprawiła kosmyk włosów opadający na oczy.

– Powiesz mi w końcu, co się wydarzyło? – zapytała Mesire.

– Przed naszym przyjazdem do Brzeżan była tu księżna Gryzelda. Stara wilczyca omotała Jana mirażem małżeństwa jego siostrzenicy Teofili Zasławskiej z Dymitrem Wiśniowieckim.

– Czemuż hetman wyraził zgodę na ten ślub?

Marysieńka zacisnęła dłonie w pięstki, próbując się uspokoić.

– Bo tak naprawdę w głębi serca Jan nie pragnie konfliktu. Mściwość i upór nie leżą w jego charakterze. Jeśli dać mu szansę, pogodzi się z Korybutem, wtedy cały nasz plan diabli wezmą.

– Co zamierzasz?

– Najchętniej bym ją zamordowała – wyznała pani Sobieska. – Bez rozumu tej starej suki jej durnowaty synek nie utrzymałby się na tronie choćby przez miesiąc.

– Już to omawiałyśmy. Gryzeldę otaczają zaufani słudzy, nie ma sposobu, abym dostała się w jej pobliże bez wielkiego ryzyka – odparła rzeczowo Charlotta. – A w razie zdemaskowania... to byłaby katastrofa.

Maria Kazimiera wykonała nerwowy gest dłonią.

– Wiem to wszystko – odparła ze złością. Uniosła wzrok na Charlottę. – Mam dla ciebie zadanie.

– Zamieniam się w słuch.

– Wyciągniesz, co się da, z Sieniawskiego. Widziałam, jak patrzył na ciebie, gdy wysiadłaś z powozu. – Marysieńka uśmiechnęła się blado. – Chyba stęsknił się za tobą.

– I dla mnie nie jest to wielkie wyrzeczenie – wyznała Charlotta. – Popytam też wśród służby i żołnierzy. Plotki w kuchniach i stajniach bywają równie cennym źródłem wiedzy, co zawartość tajnych skrytek.

– Dobrze, zrób... tak. – Maria nagle chwyciła się za brzuch. Z grymasem bólu na twarzy zwaliła się na krzesło.

Charlotta podbiegła do Marii Kazimiery, uklękła i chwyciła ją za ramiona.

– Dostałaś krwawienia?

– Niestety nie. Chyba naprawdę jestem w ciąży.

– Co zamierzasz? Jeśli nie zechcesz urodzić... znam metody...

– Co? – Maria spojrzała na nią ze zdumieniem. – O czym ty mówisz, Charlotto?

Nie mogłabym tego zrobić!

Mesire zamilkła na moment, wbijając wzrok w podłogę.

– Wybacz, mówię głupstwa.

– Wiem, Charlotto, że myślisz wyłącznie o moim dobru. – Maria wyciągnęła rękę i dotknęła policzka przyjaciółki. – Ale zdecydowałam, że urodzę to dziecko.

– Czy twój mąż nie zorientuje się, że to pamiątka z Paryża?

– Mężczyźni w tych sprawach są naiwni jak dzieci. Jan mnie kocha, a miłość zaślepia.

– Kiedy mu powiesz?

– W Warszawie, gdy dotrzemy na sejm – odrzekła Maria.

– Miło będzie zatańczyć na balu – powiedziała na poły poważnie Charlotta.

– Niestety, muszę cię rozczarować, nie możesz mi towarzyszyć. Mam dla ciebie ważną misję tu, na Rusi.

Charlotta stłumiła rozczarowanie.

– Co to za misja?

– Udasz się na Podole i przekażesz wskazanym oficerom instrukcje oraz pieniądze, które przywiozłyśmy z Paryża.

– Komu?

– Sieniawski poda ci nazwiska i szczegóły. Zresztą tymi zajmiemy się później. Teraz, proszę, zostaw mnie samą.

Charlotta pożegnała się i opuściła komnatę. Zeszła na parter do części służebnej zamku. Bez trudu znalazła tam chętnych rozmówców. Już dawno się nauczyła, że srebrna moneta to najlepsze remedium na szwankującą pamięć służby i wartowników.

Korzystając z okazji, zjadła szybki obiad w kuchni, po którym udała się do

miasta. Szła bez obstawy, odziana w ciemny płaszcz z podniesionym kapturem. Miasteczko jak na Polskę było duże, mieszkało w nim pięćset rodzin, w tym sto żydowskich, choć tylko kilka budynków postawiono z kamienia. Jednym z nich był gmach szpitala, gdzie także odbywały się sądy.

Na rynku natknęła się na zbiegowisko wywołane przez zbrojnych ciągnących za sobą ciemnowłosą kobietę w worze pokutnym. Mesire nie zatrzymała się, aby zobaczyć, jak strażnicy wpychają skazaną do ustawionej na dworze klatki. Używając łokci, przepchała się przez ciżbę do drzwi szpitala, z których chwilę wcześniej wyprowadzono skazaną.

Charlotta nie była tam pierwszy raz. Zaraz za schodami do piwnic mieściła się apteka prowadzona przez Lejbusa. Żyda zastała zgarbionego nad ladą, piszącego coś w księdze. Widząc, kto przyszedł, odstawił gęsie pióro w kałamarz i zamknął okładkę.

– Dzień dobry, Lejbusie – przywitała się Charlotta, udając, że nie dostrzega grymasu na obliczu aptekarza.

– Dla jednych dobry, dla innych niekoniecznie – odrzekł Żyd, zerkając w okno wychodzące na rynek.

– To i prawda – zgodziła się Mesire. – Za co właściwie ją wsadzili do tej klatki? Kurew jakaś?

– Niech aniołowie bronią. Ma na imię Mariam, to Ormianka, a do tego sierota.

– Co zatem uczyniła?

– Zadawała się z Żydem, Ickiem, najstarszym synem naszego rebe. A taka porządna rodzina, wielka sromota dla ojca. – Lejbus łypnął z ironią na Charlotte. – Sprawa by się nie wydała, gdyby Icek jej nie zbrzuchacił. Ukryli to. Chłopak wywiózł ją na wieś do czasu rozwiązania. Ale podczas porodu nastąpiły komplikacje i trzeba było posłać po akuszerkę. Dziewczynka urodziła się zdrowa, lecz i tak ktoś doniósł księdzu, a ten poszedł z tym do wójta.

– Ile posiedzi w tej klatce? – zapytała Mesire.

– Trzy dni – odrzekł aptekarz. – A potem na katowskim pieńku odpokutuje za zadawanie się z innowiercą.

– A syn rabina, co z nim?

– Uciekł z miasta, zawczasu ostrzeżony przez kogoś – wyjawiał Lejbus.

– Pan Sieniawski przystał na egzekucję? – zdziwiła się Mesire. Żyła wystarczająco długo między Polakami, aby wiedzieć, że magnaci i bogatsza szlachta ciągnęli wielkie korzyści z obecności Żydów na Rusi. To oni dzierżawili od ziemian młyny, wioski i karczmy, byli źródłem kredytów, informatorami, lekarzami i zaufanymi sługami.

– Nawet tak wielki pan, jak Sieniawski musi się liczyć z opinią ludzką i księżmi – odrzekł Lejbus. – Ale jak już wspomniałem, ktoś ostrzegł Icka. – Aptekarz uśmiechnął się dwuznacznie.

– No tak – mruknęła Mesire. – Wiesz może, czy rabin zaopiekuje się dzieckiem?

– Ależ to gojka! – Lejbus aż zamachał rękami na tak dziwny pomysł.

– To jego wnuczka. Czy nie tak? – spytała naiwnie Charlotta.

– Żydostwo dziedziczy się tylko od matki – wyjaśnił cierpliwie Lejbus. – Tak stanowi Pismo. Nie liczyłbym, że rebe uzna dziecko.

– Doprawdy bogobojny człowiek – mruknęła Mesire.

Lejbus popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

– Szata duchowna nie czyni człeka świętym ani u was, ani u nas – powiedział trafnie.

Tego akurat nie trzeba było Charlotcie tłumaczyć.

Sięgnęła do torby i wręczyła aptekarzowi kartkę z medykamentami.

– Potrzebuję tych składników.

Lejbus rozwinął kartę papieru na ladzie i wyciągnął spod blatu szkło powiększające. Odczytał receptę, po czym spojrzał bacznie na Charlottę spod posiwiałych brwi.

– Większość mam, a pozostałe mogę zdobyć – oznajmił.

– Szczególnie zależy mi na tym grzybie – wskazała Charlotta. – Rośnie wyłącznie w tutejszych dębinach. Z pewnością macie zapas po jesieni.

– Muszę ostrzec, że grzyb jest trujący – rzekł aptekarz. – A jeśli połączyć go z niektórymi składnikami z tej listy... Taka mikstura może się okazać

śmiercionośna.

Charlotta położyła złotą monetę na ladzie.

– Czy to jakiś problem?

– Żaden problem, jaki problem! – zawołał Lejbus, chowając pieniądze za pas na biodrach. – Wszystko będzie gotowe na jutro. Może być?

– Przyślę służbę – rzekła Charlotta.

Pożegnała się z aptekarzem i pieszo wróciła na zamek. Od razu udała się do pokoi Sieniawskiego. Strażnicy już wcześniej widywali ją tam nocą, została więc przepuszczona bez zadawania kłopotliwych pytań.

– Wejdz, moja droga – zaprosił ją do środka Mikołaj. Siedział za biurkiem i pisał coś na karcie papieru.

Charlotta zamknęła za sobą drzwi, podeszła do kominka i ogrzała dłonie.

– Do kogo piszesz? – zapytała.

– Do komendantów garnizonów nad Bohem. Spodziewają się ofensywy Doroszenki i Tatarów. Proszą o posiłki.

– Akurat teraz, gdy wysyłacie mnie na Podole – powiedziała cierpko Charlotta.

– Więc już wiesz. – Sieniawski spojrzał na nią wzrokiem pełnym poczucia winy i odłożył pióro do kałamarza. – Nie zamierzałem psuć ci nastroju przed Nowym Rokiem. Ale skoro już ci powiedziała...

– Z kim mam się tam spotkać?

– Z rotmistrzem Baranowskim. To zaufany człowiek, oficer poważany przez towarzystwo żołnierskie. Przekazesz mu złoto, a on pomoże ci skłonić innych oficerów, aby przystąpili do konfederacji.

– Maria wspomniała o jakichś instrukcjach – rzekła Charlotta.

Sieniawski skinął głową.

– Trzymający z nami oficerowie mają podpisać się pod listem do hetmana, w którym będą się domagać odebrania Wyżyckiemu dowództwa i zmiany regimentarza.

– To już jawny bunt przeciw woli króla. Przystaną na coś takiego? – zapytała sceptycznie Charlotta.

– Grunt został już przygotowany – odparł Sieniawski. – Teraz należy użyć go złotem. Pieniądze, które zabierzesz, powinny starczyć na ukojenie lęków oficerów i panów towarzyszy. Ale dość o tym... Chyba nie przyszedłeś rozprawiać wyłącznie o polityce? Taką bodaj mam nadzieję.

Charlotta podeszła do biurka, pochyliła się, opierając dłonie o blat. Mikołaj mógł spojrzeć głęboko w dekolt jej sukni.

– W mieście wsadzili do klatki kobietę – oznajmiła.

Sieniawski zmarszczył brwi.

– Tę, co zadzierała sukienkę przed Żydem? – upewnił się.

– Tę samą – potwierdziła Charlotta. – Chcę, abyś ją ułaskawił, będzie mi potrzebna.

– Do czego?

– Mam pomysł, jak przemieszczać się między garnizonami bez wzbudzania podejrzeń i niepotrzebnych pytań. Ona jest częścią tego planu.

– Jaki to plan?

– Uwolnij ją, a się dowiesz.

– Nie mogę się wtrącać w wyrok sądu miejskiego – odparł Mikołaj, a potem westchnął pod ciężarem spojrzenia Charlotty. – No dobrze, nie chcę... Mało mam kłopotów, aby jeszcze zadzierać z klerem?

– Żyda nie spotkała kara, ponoć zbiegł zawczasu – zauważyła Mesire uszczypliwie.

– Gmina ofiarowała mi za jego wolność rekompensatę w złocie, na tyle interesującą, bym przymknął oko, aż winny opuści miasto – przyznał Mikołaj otwarcie.

Charlotta przysunęła się bliżej, ich stopy się zetknęły.

– Ja również mam dla ciebie ofertę – szepnęła mu na ucho.

Sieniawski wysunął się z krzesłem zza biurka, sadzając sobie Mesire na kolanie.

– Umm... – zamruczał, gdy zaczęła lizać mu wnętrze ucha.

Dłoń Charlotty wsunęła się pod materiał jego spodni i objęła twardą, lecz aksamitnie delikatną męskość.

Z gardła Mikołaja wybrzmiał kolejny głęboki pomruk. Chwycił Charlotte za kark i zatopił usta w jej ustach.

– Uwolnisz ją? – zapytała, przerywając pocałunek.

Sieniawski oblizał wargę i zerknął w kurzawę za oknem.

– Skoro tak ci zależy... Jutro rano każę wójtowi ją wypuścić. – Uniósł dłoń, widząc, że Charlotta chce zaprotestować. – Jakąś karę dziewczka ponieść musi, dla przyzwoitości w oczach ludzi. Ale ty... zrobisz coś dla mnie.

– Co to ma być?

– Domyśl się, wszakże jesteś Francuzką – rzekł i uśmiechnął się bezwstydnie.

– Ach... to.

Charlotta ukłękła między rozchylonymi nogami Sieniawskiego.

*

Mesire wyciągnęła się w łóżku, obserwując odprężoną twarz Mikołaja. Zamruczał ciepło, gdy przeciągnęła opuszką palca wokół jego sutka.

– Jesteś idealna – odezwał się i czule zmierzwił jej fryzurę.

Uśmiechnęła się pięknie.

– Zdradzisz mi, czyj to pomysł, aby żenić Dymitra z Teofilą?

Sieniawski zmierzył kochankę rozbawionym spojrzeniem.

– Pracujesz, nawet będąc ze mną w łóżku? – spytał z kpiną. – Czy ona kiedykolwiek daje ci wolne?

– Dziś mam wolne. – Charlotta musnęła ustami nierówną bliznę, którą pozostawiło na piersi Mikołaja ostrze szabli. – Więc to był pomysł Gryzeldy?

– Uhm... Księżna poprosiła mnie listownie o pośrednictwo w spotkaniu – przyznał Sieniawski. – Zgodziłem się umówić ją z Sobieskim, choć nie miałem pojęcia, że będą decydować na temat mariażu.

– Jak myślisz, to jakiś podstęp? – zapytała Mesire.

– A skąd mam wiedzieć? – odparł, ziewając. – Jesteś sprytna, z pewnością dowiesz się, co zamierzają Wiśniowieccy.

Mikołaj wydawał się znudzony tematem rozmowy i trochę przysypiał. Charlotta

przesunęła dłoń na muskularny brzuch magnata, a potem niżej, do wilgotnej i lepkiej męskości. Zaczęła go pieścić, aż stwardniał.

– Kim jest człowiek, którego ułaskawiono? – zapytała. – Dlaczego odjechał z księżną?

– I to już wiesz? – stęknął Sieniawski. – Dopuścił się dezercji i samowolnego pojedynku. Hetman zdecydował jednak oszczędzić mu życie i tylko wydalil go z wojska.

– Skąd taka łagodność?

– Tego nie wiem, lecz zakładam, że uczynił to na prośbę kniahini. Z tym Tynerem to dziwna historia.

– Tak? Jaka?

– Tatarzy zabili mu żonę – objaśnił Sieniawski. – Od tego czasu nie doszedł już do siebie.

– Wielka tragedia zostawia w człowieku niezatarty ślad – rzekła Mesire zamyślona.

Podniosła się z piersi Sieniawskiego i usiadła przy jego boku. Poczwała na nagich plecach dotyk ciepłej męskiej dłoni, lecz nie odwróciła twarzy.

– Tyle że w nim jest coś więcej niż zwykła rozpacz – zauważył Sieniawski. – Żołnierze nazywają go kochankiem śmierci.

– Czemuż to?

– Wydaje się, że kostucha omija go szerokim łukiem. Podczas oblężenia Braclawia pod nogi padł mu pocisk armatni. Rozerwało sześciu ludzi stojących obok, a Tyner nie został nawet draśnięty.

– Przypadki się zdarzają – zauważyła Charlotta.

– To nie był pierwszy taki traf. Wcześniej zdarzały się równie dziwne rzeczy. Ludzie gadają, że to się zaczęło, gdy Tyner usiłował się powiesić po porwaniu żony. Sznur pękł i odratowano go. Od tej pory ciągnie za sobą śmierć.

– To jedna z najdziwniejszych opowieści, jakie słyszałam – przyznała Charlotta, znów kładąc się obok Mikołaja i wtulając policzek w jego muskularną pierś.

Równie niezwykła jak jej własna.

Charlotcie zaburczało w brzuchu, gdy drzwi się otworzyły i ukazała się w nich sylwetka nadzorcy. Mężczyzna wsunął się do celi i łypiąc lękliwie na dziewczynę spod krzaczastych brwi, postawił miskę zupy na klepisku, po czym pospiesznie wycofał się na obskurny korytarz lochów.

Szczęknięty rygle i znów została sama.

Charlotta rzuciła się na strawę. Posiłek przynoszono tylko raz dziennie i od tygodnia, bo tyle tkwiła w tej norze, ścisnął ją ciągły głód. Przechyliła miseczkę do ust i wysiorbała nieco cienkiej zupy, na koniec wybrała brudnymi palcami resztki botwiny z dna. Przełknąwszy ostatni kęs, wciąż głodna odstawiła miskę na klepisko zasłane słomą.

Przywarła plecami do muru i oparła głowę o szorstkie cegły. Przymknęła oczy, zastanawiając się, ile to jeszcze potrwa.

Nagle na twarz Charlotty padł ciepły promień słońca, rozpraszając półmrok celi i oślepiając dziewczynę na moment. Zmrużyła oczy i podniosła się z przegniłej słomy. Podeszła do zakratowanego okienka, które wychodziło na czworokątny dziedziniec z poziomu bruku. Widziała buty i łydki przechadzających się ludzi, którzy nie wiedzieli o jej istnieniu albo też nic ich ono nie obchodziło.

Cela znajdowała się w podpiwniczeniu ratusza i słońce tylko raz dziennie sięgało tu swymi promieniami. Charlotta zawsze czekała na ten moment z utęsknieniem. Trzymając się dłońmi pordzewiałych krat, wystawiała twarz na ciepły pocałunek słońca.

Trwało to bardzo krótko, a potem celę na powrót pochłonął wilgotny cień. Charlotta wróciła na miejsce, usiadła pod ścianą i objęła ramionami podkurczone kolana.

Na korytarzu znów rozległy się kroki, tym razem były głośniejsze, przepowiadające zbliżanie się kilku ludzi. Charlotta pomyślała, że prowadzą kolejnego więźnia, może nawet przesłuchiwanego w tej samej sprawie co ona. Odgłos butów szorujących o kamień ustał pod jej celą. Drzwi rozwarły się ze skrzypnięciem zawiasów i do loszku wkroczył młody, ciemnowłosy ksiądz.

Miał szczupłą twarz i oczy, które budziły niepokój w każdym, na kogo patrzył ich posiadacz. Nazywał się Pierre de Bonzi i od dwóch miesięcy był najpotężniejszym człowiekiem w mieście.

– Chodź ze mną, dziecko – powiedział, marszcząc nos.

W celi musiało cuchnąć, lecz ona już dawno przestała zwracać na to uwagę.

Podniosła się ze słomy i wyszła na korytarz, gdzie czekał nadzorca i jeden z żołdaków de Bonziego.

Powędrowali korytarzem do schodów, a następnie na górę, aż znaleźli się w wielkim holu ratusza. Ojciec Pierre zaprowadził Charlotte pod salę, w której obradował sąd. Pod podwójnymi wysokimi drzwiami trzymali straż uzbrojeni żołnierze w pludrach i pasiastych kaftanach, z dłońmi na rękojeściach rapierów.

Jeden z wartowników otworzył podwoje przed księdzem i wkroczyli do obszernej komnaty z dużymi oknami wychodzącymi na stos ustawiony w bocznej części rynku.

Naprzeciw wejścia do sali znajdowała się podłużna ława, za którą zasiadało trzech członków szacownej rady Colmaru.

Nad sędziami wznosiła się czerwono-zielona chorągiew wolnego miasta. Charlotta po niemal dwóch latach spędzonych w jego murach wiedziała, że Colmar, jak wiele innych miast w Alzacji, kurczowo trzyma się dawnych przywilejów dających mu niezależność od króla Francji i książąt Rzeszy.

Pod ścianą, w miejscu przeznaczonym dla świadków stał wysoki, posiwiały mężczyzna. Nosił ciemnogrnatowy skórzany kaftan i długie płócienne spodnie. Jego szare, pozbawione wyrazu oczy spoczęły na Charlotcie. Zastygła przerażona, lecz de Bonzi pchnął ją delikatnie w stronę podestu, skąd miała odpowiadać na pytania sędziów. Sam zajął krzesło o wysokim oparciu, oparł łokcie na blacie stolika i złożył dłonie w modlitewnym geście.

– Mistrzu Wolframie, prosimy, abyś przedstawił nam efekty swej pracy – odezwał się burmistrz, który przewodniczył ławie sędziowskiej. Był szczupły, niemal chorobliwie chudy. Ciężki złoty łańcuch opatrzony urzędową pieczęcią zdawał się za ciężki na cienką szyję patrycjusza.

Charlotta znów zerknęła z lękiem na mężczyznę w ciemnogrnatowym kaftanie. Wezwany zbliżył się na trzy kroki do ławy sędziów.

– Zgodnie z zaleceniami sądu wolnego miasta Colmar przeprowadziłem badanie na okoliczność zbrodni czarnoksięstwa zarzucanych ojcu Dominique’owi Boinowi – przemówił. – Potwierdzam, że zgodnie z zeznaniami obecnej tu z nami Charlotty Mesire ojciec Dominique nosi w ukrytych miejscach na ciele diabelskie piętna.

– Gdzie dokładnie, mistrzu, znalazłeś owe znamiona? – Drugi z sędziów, pulchny i łysiejący, nachylił się ku mistrzowi Wolframowi.

– Brodawki znajdowały się na pośladkach i jądrach oskarżonego. Po nakłuciu okazały się niewrażliwe na ból i nie krwawiły, co, jak wszyscy wiedzą, znamionuje szatańskie piętna.

Zapadła cisza, w której słychać było, jak kancelista skrobie piórem o kartę papieru, zapisując każde słowo wypowiedziane w sądzie.

– Czy oskarżony przyznał się do winy? – zapytał trzeci z ławników, korpulentny mężczyzna o mięsistym obliczu i odstających uszach.

– Z początku wypierał się swych win, zarzucając temu dziecku kłamstwo. – Oczy oprawcy zwróciły się na Charlotte.

Miała wrażenie, że przejrzał ją na wylot i tylko ze znanych sobie powodów ciągnie to przedstawienie. Poczula, że cała się trzęsie.

Mistrz Wolfram spojrział na sędziego, kończąc jej torturę.

– Zdecydowałem o poddaniu oskarżonego rozciąganiu stawów, w trakcie czego trzykroć zapytano go w obecności skryby, czy oddawał cześć diabłu. Ojciec Dominique przyznał się do winy za trzecim podciągnięciem na sznurach, co też zostało zapisane.

Burmistrz zerknął w rozłożone przed nim karty, w których odnotowano zeznania oskarżonego.

– Tu stoi, mistrzu, że ojciec Dominique wycofał następnie swe wyznanie – powiedział.

– Prawda to, i trwał w uporze mimo nalegań obecnego przy przesłuchaniu ojca Pierre’a de Bonziego, aby oczyścił sumienie i oddał się boskiemu osądowi. – Kat

zwrócił spojrzenie na inkwizytora, który potwierdził słowa oprawcy skinieniem głowy. – Wtenczas znów przystąpiliśmy do badania. Zmiażdżono mu palce dłoni i stóp z użyciem obcęgow, co skłoniło oskarżonego do ponownego potwierdzenia swych win.

Sędziowie pochylili się ku sobie i wymienili kilka uwag.

– Dziękujemy, mistrzu – rzekł burmistrz, po czym zwrócił się do ojca Pierre’a: – Oddajemy ci głos, wielebny.

Gdy oprawca wycofał się na zajmowane wcześniej miejsce pod ścianą, Pierre de Bonzi podniósł się z krzesła i zwrócił się do szlachetnych rajców.

– Wina ojca Dominique’a jest bezsporna – orzekł z całkowitą pewnością w głosie. – Na winę oskarżonego wskazuje nie tylko złożone przez niego zeznanie i obecność diabelskich znaków na ciele, lecz także opowieść tego biednego dziecka, które tyle wycierpiało od sługi szatana. – Wskazał na Charlotte. – Spójrzcie tylko na tę niewinną istotę! Ileż zła i wszeteczeństwa doznała, a jednak potrafiła ocalić swą duszę.

Charlotte miała wrażenie, że dostrzegła ironiczny uśmieszek błąkający się na ustach mistrza Wolframa, ale wrażenie to znikło z kolejnym uderzeniem jej serca.

– Wszystko jest w tych aktach. – Palec de Bonziego wycelował oskarżycielsko w stos dokumentów piętrzący się przed ławnikami. – Opis ohydnych aktów cielesnych, które zawstydzilyby mieszkańców Sodomy i Gomory! Wzywianie diabła pod postacią kozła i oddawanie mu czci, wypieranie się naszego Pana i szydzenie ze świętych sakramentów, rozprzestrzenianie zarazy i zatrucie studni na szkodę mieszkańców dobrego miasta Colmar! – Głos Pierre’a de Bonziego wzniósł się na najwyższe tony. – Główny zaś dowód przeciw oskarżonemu jest niepodważalny. To cyrograf spisany ludzką krwią i podpisany przez ojca Dominique’a.

Wskazany przez inkwizytora dokument spoczywał na osobnym miejscu obok pozostałych papierów. Była to niepozorna karta zabazgrana koślawymi literami.

– Ojciec Dominique Boin sprzeniewierzył się naszemu Panu! – grzmiał Pierre de Bonzi. – I tylko grzesznik oraz sługa diabła mógłby temu zaprzeczyć... – Urwał i potoczył wzrokiem po obecnych w sali, jakby oczekując, że znajdzie się ktoś taki.

Nikt się nie zgłosił. Tylko burmistrz skrzywił się, jakby rozbolał go ząb. Wlepił

w Charlottę jasne, wyblakłe oczy.

– Czy podtrzymujesz, dziecko, to, co powiedziałaś o ojcu Dominique’u? – zapytał. – Rozważ to dobrze w swym sercu, gdyż jeśli jest winny, spłonie żywcem.

Charlotta bez wahania skinęła głową.

– Jest winien, wasza wielmożność – odparła.

Burmistrz westchnął cicho i przywołał ją gestem ku sobie.

– Zatem podpisz tu, u dołu. – Pokazał podłużną stronicę. – To twe zeznanie, które przedstawiłaś podczas przesłuchań.

Charlotta zbliżyła się do ławy sędziowskiej i przestąpiła niepewnie z nogi na nogę.

– Tyle że, wielmożny panie, ja nie umiem pisać – wydukała, wlepiając wzrok w kałamarz i leżące obok niego gęsie pióro.

– Wystarczy, że postawisz krzyżyk. O, w tym miejscu. – Chudy palec burmistrza wskazał dolną część gęsto zapisanej stronicy.

Charlotta nieporadnie chwyciła w palce pióro. Umoczyła jego zaostrzony czubek w kałamarzu i postawiła w dole karty koślawy krzyżyk. Dwie przecinające się kreski, które pieczętowały los złego człowieka.

**Zachodnie Wogezy, Alzacja,
dziewiętnaście miesięcy wcześniej**

Pierwsze dni po zabójstwie szlachcica i ucieczce Charlotta spędziła, ukrywając się w górach. Jeśli nawet wysłano za nią pościg, to nie spostrzegła żadnych jego oznak. Szybko też przekonała się, że jej prawdziwym wrogiem nie będą ludzie, lecz pogoda. Jesień zbliżała się ku końcowi i z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej. Najbardziej doskwierał Charlotcie brak butów. Poradziła sobie z tym, odcinając kawałki i tak przydługiego płaszcza, którymi następnie omotała zlodowaciałe stopy.

Za dnia maszerowała przed siebie, unikając ludzi i wilków, nocą zaś chowała się w leśnych jamach i okrytych mchem wykrotach. Każdy dzień wędrówki wypełniony był bólem nóg i bioder, skręcaniem żołądka, który nie chciał przyjmować korzonków i kory drzew przeżuwanymi przez Charlottę, aby oszukać głód.

Piątego dnia od ucieczki uznała, że jest już bezpieczna. Opuściła zalesione stoki i zeszła na wzgórza, między którymi wiła się kamienista droga.

Na trakcie dołączyła do grupy pielgrzymów spieszących, aby zdążyć przed zmrokiem do najbliższego miasta. Jak dowiedziała się od wędrowców, nazywało się Colmar i słynęło z cudownego obrazu Madonny z różami.

Kryjąc się w ciżbie pielgrzymów, wychudzona i wyczerpana Charlotta znalazła się na wąskich zatłoczonych uliczkach. Nigdy wcześniej nie była w prawdziwym mieście. A to było naprawdę wielkie, mogło w nim mieszkać nawet dziesięć tysięcy mieszkańców. Oszołomiona oglądała piętrowe kamienice kupieckie o olbrzymich szklanych oknach i spadzistych dachach, pomalowane na czerwono, zielono lub błękitno.

Zatrzymała się przy straganie piekarza i kupiła tartę z cebulą, a potem przycupnęła na schodach jednego z domostw i napełniła żołądek, przyglądając się przechodniom. Tam zaczepił ją Yann, chłopak, którego poznała w grupie pielgrzymów. Był miły i całkiem przystojny. Podróżował z dziadkiem, który liczył na cudowne uzdrowienie chorych oczu.

– Potrzebujesz butów. – Yann wskazał na jej owinięte szmatami stopy.

Charlotta się spłoniła.

– Zamierzałam je kupić, ale nie znam miasta.

– Pomogę ci znaleźć niedrogiego szewca – zaproponował. – Jeśli masz jakieś pieniądze.

– Mam, chyba powinno wystarczyć. – Wydobyła spod koszuli kilka srebrnych monet i wysypała je na dłoń.

Yann zrobił zdumioną minę.

– Skąd masz srebro?

– Od ojca – skłamała Charlotta.

– Schowaj je. W mieście spotkasz wielu złych ludzi, którzy mogą chcieć cię okraść – przestrzegł ją chłopak.

– Umiem sobie poradzić – odparła buńczucznie i pokazała mu ukryty pod peleryną sztylet. Na ostrzu wciąż były drobinki krwi przypominające rdzę.

Yann łypnął na sztylet i pokiwał głową.

– Masz gdzie zatrzymać się na noc? – zapytał.

Zgodnie z prawdą odparła, że nie. Yann pochwalił się, że zna niedrogie, ciepłe i bezpieczne miejsce, gdzie można spędzić noc. zaproponował, aby przyłączyła się do niego i dziadka.

Nie miała dokąd iść i była sama, z radością przystała więc na pomysł młodzieńca.

Zmierzając w stronę noclegowni, natknęli się na klatkę, w której trzymano młodą kobietę. Miała wygoloną głowę i podarte ubranie, spod którego jaśniała skóra. Charlotta zatrzymała się oszołomiona, wpatrując się w skulone za metalowymi prętami stworzenie. Kobieta spojrzała na nią spod skołtunionych włosów opadających na twarz, a potem spuściła wzrok.

– Co zrobiła? – zapytała wstrząśnięta dziewczyna.

– Sprzedawała ciało za pieniądze – odparł Yann.

Domyślała się, co ma na myśli, i poczuła, że się rumieni.

Gospoda, o której mówił Yann, znajdowała się dwie uliczki dalej. Miała dwa piętra i przybudówkę przy stajniach, gdzie mogli się zatrzymać mniej zamożni goście. Ceny za nocleg nie były wygórowane, gdyż budynek znajdował się tuż przy cuchnącej rzeczce, nad którą stały garbarnie.

Dziadek Yanna okazał się bardzo miły. Choć ledwo widział, potrafił zajmująco snuć opowieści. Charlotta słuchała go z rozwartymi ustami, kiedy opowiadał o Paryżu, gdzie w młodości służył jako królewski muszkieter.

Yann siedział tuż obok niej, czuła jego dotyk na ramieniu i zewnętrznej części uda. Podobał się jej, uznała, że jest zabawny i ma ładne, uczciwe oczy.

Pragnąc odwdziżyć się za towarzystwo, Charlotta wysupłała z sakiewki drobne monety i zapłaciła za wieczerzę dla całej trójki, składającej się z kapłona, chleba i wina. Potem ułożyła się do snu na słomie i okryła cuchnącym płaszczem.

Obudziła się późnym rankiem z okropnym bólem głowy i wielkim guzem pod włosami. Za to bez sakiewki pod koszulą i sztyletu. Zrozpaczona zaczęła szukać Yanna i staruszka, lecz jeden ze stajennych powiedział jej, że obaj wynajęli konie

i wyjechali z miasta wraz z brzaskiem.

Niedługo potem zjawił się właściciel gospody i wyrzucił ją za drzwi. Cały dzień błąkała się po uliczkach, zrozpaczona i głodna. Nie mając lepszego pomysłu, spróbowała żebractwa pod kościołem, gdzie wystawało już kilkunastu proszalników. Udało się jej nawet uzbierać kilka miedziaków, za które kupiła kawałek chleba. Zachęcona powodzeniem wróciła pod kościół, ale wtedy pojawiło się przed nią dwóch odzianych w łachmany mężczyzn z kosturami. Zagrozili jej, że jeśli będzie żebrać na ich terenie, połamią jej gnaty. Po czym na dowód tego, że nie żartują, zaciągnęli ją w zaułek i poturbowali.

Głodna i przemarznięta wytrzymała dwa dni, nim zdecydowała się na najgorsze.

Zaczepiła jakiegoś mężczyznę pod siedzibą cechu winiarzy. Ustalili opłatę i zaprowadził ją w jeden z zaułków. Nie bacząc na chłód, opuścił portki i obrócił Charlotte twarzą do muru. Oparła czoło o zimną ścianę i poczuła, jak mężczyzna przywiera do niej lędźwiami.

Nim wsunął się w nią, rozległ się krzyk i od strony wylotu zaułka wbiegło trzech strażników miejskich. Mężczyzna w pośpiechu naciągnął spodnie i począł tłumaczyć się przed stróżami prawa. Ostatecznie puścili go wolno, za co otrzymali od niego po jednym liwrze na głowę.

Charlotte nie miała pieniędzy ani szczęścia. Strażnicy zawlekli ją do podziemi ratusza, gdzie spędziła noc, o wodzie i kromce spleśniałego chleba. Rankiem przyszedł nadzorca i zawlókł ją przed oblicze sędziego, który po trwającej chwilę rozprawie kazał wypalić jej na ciele piętno kurwy i skazał ją na pobyt w miejskiej klatce. Wyrok wykonano jeszcze tego samego dnia.

Spędziła trzy dni i trzy noce na zimnie, zamknięta jak zwierzę, wystawiona na pogardliwe spojrzenia, upokorzenie i głód. Gdy kara dobiegła końca, strażnicy wyciągnęli ją z za prętów.

Charlotte była tak wycieńczona, że upadła na bruk. Nikt jej nie pomógł, nie podał ręki, nawet strażnicy zostawili ją tam, gdzie leżała.

Zimne płatki śniegu opadały na skulone ciało Charlotty, okrywając je białym całunem. Wiedziała, że musi się podnieść, inaczej zamarźnie. Umrze, nim jej życie rozpocznie się na dobre. Nie potrafiła jednak zdobyć się na wysiłek, nie odnajdywała

już w sobie dość siły i wiary, aby wstać i żyć. Po prostu leżała, czekając na koniec.

Wtedy niczym anioł pojawił się on. Pochylił się nad nią i podniósł z ziemi. Miał pucułowatą twarz, wysokie czoło i brązowe oczy. Posadził ją na dwukołowy wózek i zawiózł do przytułku. Obiecał, że będzie tam bezpieczna. Uwierzyła mu. Co innego mogła zrobić?

*

Pierwszych dni w przytułku dla sierot nie pamiętała dobrze, trapiły ją ból gardła, poty i wysoka gorączka. Od jednej z zakonnicy służących w lazarecie dowiedziała się, że jej wybawcą był ojciec Dominique, spowiednik i opiekun przytułku. Od razu chciała podziękować mu za ocalenie, lecz siostra wyjaśniła jej, że ojciec wyjechał do Moguncji.

Mijały dni i Charlotta powoli wracała do zdrowia. Zaczęła wstawać z łóżka i wychodzić na krótkie spacerunki do pokrytego śniegiem ogrodu usytuowanego przy zagrodach dla zwierząt. Tam pewnego dnia znów spotkała swego wybawcę. Charlotta padła do nóg ojcu Dominique'owi, całując mu dłonie i błogosławiąc go za dobroć.

– Podnieś się, dziecko – rzekł i wziął ją w ramiona. – Ponoć czujesz się lepiej.

– Już wydobrzałam, ojcze – przyznała gorliwie.

– Chodź za mną, pokażę ci, czym będziesz się zajmować w naszej wspólnotie.

Zaprowadził ją do dużej sali, w której dziesiątki dziewcząt w różnym wieku zajmowały się przedzeniem wełny, gręplowaniem i szyciem. Od gołych ścian i małych zaszklonych okien odbijał się stukot krosien i kręcących się wrzecion. Ojciec Dominique zostawił ją tam pod nadzorem siostry zakonnej, po czym się oddalił.

Nie rozmawiali ze sobą przez kolejny tydzień, do dnia, gdy przyszedł czas spowiedzi dla dziewcząt przebywających w przytułku. Charlotta lękała się tej chwili. Stała jako ostatnia w kolejce do ławeczki, przy której spowiadał ksiądz. Gdy w końcu przyszła jej kolej na wyznanie grzechów, uklękła przed nim na miękkich nogach.

Wypytywał ją dokładnie o grzechy, zwłaszcza te cielesnej natury. Wyznała mu, że nie jest niewinna, czego już się domyślał, ale zataiła, w jaki sposób straciła dziewictwo oraz to, że zabiła człowieka.

Potem w nocy trapiło ją poczucie winy, że oszukała Boga, lecz strach przed karą za morderstwo był silniejszy niż lęk przed gniewem niebios.

Minęło Boże Narodzenie, co szczególnie zapadło jej w pamięć, gdyż każda z dziewcząt otrzymała z tej okazji słodki piernik od ojca Dominique'a.

W egzystencję Charlotty wkradała się monotonia, wypełniona pracą przy krosnach, karmieniem świń i drobiu oraz modlitwą. Nie przeszkadzało jej to, miała pełny żołądek i dach nad głową, gdy na zewnątrz panował mróz. Czuła się bezpieczna, może nawet w pewien sposób szczęśliwa.

Ojciec Dominique traktował ją jak swą ulubienicę. Zapraszał do własnej celi, gdzie wspólnie oddawali się modłom i rozmowom. Była dumna ze sposobu, w jaki się do niej odnosił, rozpierała ją wdzięczność.

Przynajmniej do dnia, gdy po raz pierwszy włożył jej dłoń pod sukienkę.

Zaszokowana uderzyła go i odepchnęła, aż poleciał na ścianę. Przerażona tym, co uczyniła, skuliła się na podłodze, czekając, aż zacznie ją bić i krzyczeć.

Nic takiego się nie stało. Dominique wyprostował się i patrząc na Charlotte, otarł dłonią krew z ust.

– Sama poprosisz, abym cię wychędożył – wycedził przez zaciśnięte zęby i kazał jej opuścić celę i wracać do obowiązków.

Wybiegła na korytarz z twarzą mokrą od łez, czując, że to nie jest koniec jej kłopotów.

Pod wieczór, gdy dziewczęta szykowały się do wieczerzy, ojciec Dominique odszukał Charlotte i polecił jej udać się za nim. Podążali przez ciemne korytarze oświetlone nielicznymi kagankami, a następnie zeszli schodami do piwnic mieszczących się pod budynkiem.

Charlotte zatrwożona uświadomiła sobie, że słyszała już o tym miejscu. Przebywające dłużej w przytułku dziewczęta opowiadały jej o piwnicy z lodowatą wodą i szczurami, gdzie trafiały osoby nieposłuszne lub wykazujące opieszałość

w modlitwie i pracy.

Ojciec Dominique zatrzymał się na końcu obskurnego korytarza i otworzył kluczem niewielkie metalowe drzwi. Z ciemnego jak grób wnętrza buchnął odór ścieków. Charlotta usłyszała popiskiwanie gryzoni, lecz prawdziwego wstrząsu doznała, kiedy ksiądz poświecił latarnią, odsłaniając wypełnioną brudną wodą studnię.

– Zdejmuj łańchy i włącz tam – rozkazał z zaciętą miną.

Zaczęła się trząść, nie mogła się poruszyć z przerażenia. Gdy pchnął ją w stronę czeluści, chwyciła go za dłoń i padła mu do stóp. Przysięgła, że będzie mu posłuszna, i tak jak przepowiedział, poprosiła, aby ją chędożył.

Tę prośbę spełnił na miejscu.

Mijały miesiące, zmieniały się pory roku. Po tamtym wydarzeniu życie Charlotty nie zmieniło się wiele, nie było ani dobre, ani złe. Po prostu żyła z dnia na dzień, z nocy na noc.

Ojciec Dominique zawsze dbał o zachowanie pozorów, nigdy też nie pozwalał sobie na niestosowne zachowania w obecności innych. Gdy byli sami zmieniał się, stawał się władczy i wymagający, niekiedy okrutny. Pokazał Charlotcie, że mężczyzna może osiąść kobietę na wiele sposobów, nigdy jednak nie zraszał jej nasieniem między udami z obawy, aby nie zaszła w ciążę.

Charlotta szybko zrozumiała, gdzie leży jej siła. Nigdy niczego mu nie odmawiała, udawała rozkosz, a z czasem sama zaczęła przejmować inicjatywę. Miesiąc po miesiącu stopniowo owijała go sobie wokół palca, wykorzystując do tego swe młode ciało i spryt.

Zażądała tylko jednej odpłaty za rzeczy, które mu robiła. Pragnęła nauczyć się pisać i czytać. Z początku wyśmiał ją, ale wiedziała już, co ma robić, aby jej uległ.

Okazała się nadzwyczaj pojętną uczennicą, już po roku pisała i czytała dość biegle – jak twierdził ojciec Dominique, lepiej niż niejeden żak po trzech latach nauki. Kilka miesięcy później zadziwiła swego nauczyciela.

Wiedza ma to do siebie, że gdy trafi na chłonny umysł, nigdy się jej nie ma dosyć. Charlotta zaczęła inaczej patrzeć na świat, odbierać go. Zdała sobie sprawę, jak niewiele wie i jeszcze mniej zna.

Wraz z wiosną 1663 roku nad wolnym miastem Colmar zebrały się ciemne chmury. Coraz częściej mówiono, że król Francji, który kilka lat wcześniej uczynił swym wasalem księcia Lotaryngii, zamyśla zdławić także niezależność Alzacji.

Ojciec Dominique jako rodowity Alzaczycy przeciwstawiał się wszelkim próbom zamienienia jego ojczyzny we francuską prowincję.

– Ludwik XIV nie chce wywołać wojny z Austrią i elektorami Rzeszy, więc podburza lud, obiecując mu sprawiedliwość i pokój od panów – oburzał się, trzymając głowę na jej nagich piersiach. – A to przecież nie wszystko. Wysłał też po całej Alzacji inkwizytorów, by tropili czary i niszczyli opór pod pretekstem walki z diabłem. Niech nie sądzi, że nas zastraszy!

Pierwsze stosy zapłonęły w pobliżu Colmaru po święcie Wielkiejnocy, niedługo potem u bram miasta pojawił się konno Pierre de Bonzi w towarzystwie oprawcy i w eskorcie pół setki zbrojnych. Zażądał od rady miasta, aby wpuszczono go za mury, gdyż czarownice, które złapano w okolicznych wioskach, wskazały w zeznaniach na istnienie sabatu w murach Colmaru. Jako że de Bonzi okazał bulę wydaną przez arcybiskupa Trewiru zezwalającą mu na tropienie czarów na zachód od Wogezów, został wpuszczony za mury.

Na początek oskarżono o czary i poddano przesłuchaniu trzy kobiety. W trakcie rozciągania stawów i przypalania siarką obciążły one kolejnych mieszkańców miasta, kilkoro mężczyzn i kobiet. Oni również po wzięciu na tortury przyznali się do zadawania się z diabłem i wydali dalszych współników.

Zapłonęły stosy, tym razem w samym Colmarze.

Ojciec Dominique starał się przeszkodzić temu szaleństwu, lecz zeznania czarownic zataczały coraz większe kręgi, dotykając nawet duchownych i patrycjuszy. Każdy mógł zostać oskarżony i poddany torturom. Charlotta, spotykając się z ojcem Dominikiem, widziała strach w jego oczach, często był zbyt pijany, aby ją chędożyć.

Gdy spłonęła dziewiąta osoba, Charlotta uznała, że nadszedł czas na wyrównanie rachunków.

Zdobyła kartę papieru z sekretarzyka ojca Dominique'a, a potem gęsie pióro

i świńską krew. Napisanie cyrografu zajęło jej trzy dni. Kiedy był ukończony, umieściła go pod poluzowaną deską w podłodze celi ojca Dominique'a, gdy ten udał się do wychodka.

Wieczorem wymknęła się z przytułku i pobiegła do magistratu, gdzie zatrzymał się Pierre de Bonzi. Żywiła obawę, iż straż nie przepuści jej do inkwizytora, lecz ten okazał się człowiekiem gotowym służyć Bogu o każdej porze.

Charlotta wyznała mu wszystkie zbrodnie ojca Dominique'a i wskazała, gdzie znajduje się cyrograf. Wysłannik króla Francji nie okazał wahania, gdy przyszło uwierzyć jej słowom. Kazał sprowadzić skrybę i polecił Charlotcie powtórzyć wszystko w jego obecności. Potem umieszczono ją w celi, do czasu rozpatrzenia prawdziwości stawianych przez nią zarzutów.

Tkwiła tam tydzień, wciąż myśląc o okrutnych narzędziach mistrza Wolframa i o tym, co z nią zrobi, gdy okaże się, że popełniła błąd.

Niepewność trwała do dnia, kiedy do jej celi wkroczył Pierre de Bonzi i zaprowadził ją przed oblicze sędziów, aby postawiła krzyżyk na losie swego oprawcy.

Dominique Boin spłonął na stosie kilka dni później. Wraz z nim uszła z dymem w Colmarze wszelka chęć stawiania oporu Francuzom.

Pierre de Bonzi opuścił miasto dwa tygodnie po tych wydarzeniach, zabierając Charlottę ze sobą. Udali się do Paryża, gdzie w nagrodę za ujarznienie Colmaru de Bonzi został mianowany biskupem.

Pierre de Bonzi otoczył Charlottę opieką i zapewnił jej edukację. Podniósł ją z prochu i ukształtował na nowo, by służyła jego sprawom. Umysłem, sztyletem, trucizną i własnym ciałem.

Niedługo potem oboje wyjechali do Polski, gdzie de Bonzi miał zadbać, aby francuski książę zasiadł na tronie. Tam, na dworze w Warszawie, Charlotta poznała młodziutką Marię Kazimierę, swą przyszłą panią i przyjaciółkę.

Wilki i ludzie

Tyner podążał skrajem Podola, omijając szerokim łukiem Bar, starostwo należące do Sobieskich. Niemal niewidoczny pod śniegiem gościńców wił się przez liczne jary o stromych zalesionych zboczach, w których płynęły dopływy Dniestru, aby nagle i bez ostrzeżenia przeciąć płaszczyznę stepu upstrzoną bagienkami i jeziorami. Kraj, przez który jechał Tyner, był wyniszczony i prawie zupełnie opustoszały. Od rana minął tylko niemal bezludne miasteczko, w którym pozostały cztery drewniane domy, a potem wieś otoczona palisadą i wałem. Nie zatrzymał się tam jednak, gdyż chłopcy mogli połasczyć się na konia, broń czy nawet ubranie samotnie podróżującego szlachcica.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy dostrzegł chatkę na wyrębisku pod lasem. Burczało mu w brzuchu i był zziębnięty. Wprawdzie kozuch, czapka i wysokie buty chroniły go przed najdotkliwszym chłodem, nie mogły jednak całkiem zabezpieczyć przed srogim styczniowym mrozem. Po chwilowym wahaniu Bogusław skierował kłacz przez zasy w stronę sadyby. Wyrąb drzew musiał trwać tu już pewien czas, gdyż skraj lasu odsunął się o jakieś dwieście kroków od chatki.

Nieco z boku przez olszynę płynęła struga. Blisko wody wznosiły się okryte śniegiem kopce. Bogusław domyślił się, że to mielerze używane przez tutejszych węglarzy do wypalania węgla drzewnego. Drewno przygotowywano zimą i rzeczywiście kilkanaście wysokich sągów wznosiło się nieopodal szałas, czekając na wiosnę, gdy odbywa się stawianie nowych pieców.

Tyner podjechał w pobliże chatki i ściągnął wodze kłaczy. Obóz był pusty, a miejsce po ognisku zasypał śnieg nawiewany od pól.

Bogusław wsłuchiwał się w ciszę lasu, na próżno oczekując tępego, jednostajnego odgłosu siekier rąbiących pnie czy różnych pokrzykiwań drwali trudzących się przy robocie.

Ta cisza niepokoiła go. Zsunął się z grzbietu kłaczy i sprawdził, czy szabla nie przymarzła do pochwy. Potem sięgnął do siodła po pistolet umieszczony w olstrze.

Przywiązał wodze kłaczy do palika przed chatką. Zwierzę parsknęło nerwowo, gdy zajrzał do środka. Znalazł trzy legowiska, trochę glinianych garnków, lecz nic do jedzenia. Chłopi musieli ukryć zapasy. Tyner postanowił sprawdzić nieczynne mielerze.

Opuścił chatę i skierował się w ich stronę, deptając skrzypiący śnieg. Nagle dojrzał coś w pobliżu jednego z kopców.

To był but. Chłopski łapec, dwa kawałki skóry zszyte dratwą. Tyner kucnął i odgarnął dłonią śnieg, odsłaniając oblepiony zamrożoną krwią gną, oderwany od reszty zwłok.

Od razu rozpoznał ślady wilczych kłów.

Nagle poczuł czyjąś obecność za plecami. Poderwał się i obrócił w miejscu, celując w dwa ciemne kształty nadbiegające od strony drzew. Nacisnął spust. Zwolniony kurek uderzył o panewkę, krzesząc iskrę i zapalając proch. Pierwszy wilk był pięć kroków od niego.

Huknął wystrzał i bestia runęła na śnieg tuż przy jego nogach, tryskając juchą z przestrzelonego łba. Tyner odrzucił dymiący pistolet i dobył szabli. Wykonując chaotyczny unik, ciął drugiego wilka. Ostrze zagłębiło się w ciele, ześlizgując się po barku, nie zatrzymując jednak wilka. Bestia obaliła go w zaspę. Straszliwe szczęki kłapnęły, opryskując Tynera śliną. Odruchowo zasłonił krtań ręką, czując, jak kły bestii zaciskają się na rękawie grubego kozucha.

Wypuścił szablę i wolną ręką chwycił za nóż. Z całej siły wbił ostrze w bebechy wilka. Gdy stał zanurzyła się głęboko w mięsie, mocnym pociągnięciem rozpruł brzuch zwierzęcia.

Wilk zaskomlał. Puścił rękę Tynera i runął na śnieg, ciągnąc za sobą wylatujące z rany jelita.

Bogusław leżał chwilę, wydając z siebie świszczący oddech. Otarł zasypane śniegiem powieki i podniósł się z ziemi. Potoczył wzrokiem po zaroślach i lesie, wypatrując reszty watahy. Na szczęście na razie nic mu nie groziło.

Uspokoił klacz, a potem rozejrzał się po obozowisku, szukając innych ciał. Rozszarpane zwłoki kolejnego węglarza odkrył w olszynie. Bardziej niezwykle było znalezisko w strudze. Pod lodem znajdowało się wilcze truchło z odrąbaną przednią łapą. Bogusław domyślił się, że ranne zwierzę próbowało uciec po kruchym lodzie.

Tyner wrócił do mielerzy i rozkopał je, używając szabli. W kopcach nie było niczego poza popiołem. Jeśli chłopcy mieli zapasy jedzenia, ukryli je w innym

miejscu.

Wiedział, że nie ma wystarczająco dużo czasu, aby dokładnie przeczesać obozowisko. Wilki wyczuwały świeżą krew z wielu mil i wkrótce mogła się tu zjawić reszta watahy. Dosiadł klaczy i podążył biegiem strumienia, który milę dalej łączył się z rzeczką. Przez pola i sady dotarł przed zmierzchem do Szarogrodu.

Zamek chroniący miasteczko widać było z daleka. Był wzniesiony z kamienia z czterema drewnianymi wieżami na rogach, dodatkowo chroniony od strony pól przez wały ziemne, skuteczne jako ochrona przeciw pociskom armatnim.

Klacz przyspieszyła sama z siebie, wyczuwając setki koni zgromadzonych w obozie wojskowym. Przy wjeździe do miasta Tyner okazał dowódcy warty list z pieczęcią hetmana polnego i bez przeszkód wpuszczono go za palisadę.

Z bliska miasteczko wyglądało rozpaczliwie i nędznie. Kilka lat wcześniej splądrowali je Kozacy. Nim to się wydarzyło, Szarogród tętnił życiem, rozkwitało rzemiosło i targi. Mieszkańcy cieszyli się dobrobytem pod opieką Zamoyskich, właścicieli okolicznych włości. To było kiedyś, nim zaraza i głód zdziesiątkowały mieszkańców, nim ciągłe wojny zabiły handel, a zagony tatarskie ogołociły wieś z chłopów, tak że teraz nie było komu uprawiać urodzajnej ziemi.

Tyner skierował klacz w stronę klasztoru zamienionego na koszary piechoty. Wszędzie stały ruiny domów i tylko kilka kamienic nadawało się do wygodnego zamieszkania. Na ulicy kręciło się niewielu ludzi, głównie żołnierze. Byli nędznie odziani, okutani w szmaty chroniące przed mrozem, często w chłopskich łapciach zamiast dobrych wojskowych butów. Tyner czuł ich łakome spojrzenia, którymi szacowali jego ciepły kozuch, buty i czapkę. Na szczęście nie musiał siłą bronić swej własności, gdyż na ulicach widać było też ronty strzegących porządku dragonów z rusznicami.

Więcej mieszkańców ujrzał na targowisku przed kościołem z zawaloną dzwonnica. Handlowano w budach lub po prostu na ławach, głównie czynili to Żydzi, choć większość mieszkańców miasteczka stanowili Rusini. Zapachniało mu jadłem: kaszą i skwarkami, lecz mimo burczenia w żołądku nie zatrzymał się przy garkuchni. Chciał dostać się na zamek przed zawarciem bram. Na placu przed twierdzą ustawiono szubienice. Z ośnieżonych belek zwisały ciała skazańców,

niemal nagie, pozbawione cennych butów.

Od strony miasta nie było fosy, lecz wysoki mur oddzielał twierdzę od placu. Dragoni trzymali wartę przy wjeździe. Widać regimentarz ufał im bardziej niż reszcie wojska.

Tuż za bramą kopyta klaczy uderzyły o bruk, wypełniając echem dziedziniec. Wewnątrz murów twierdzy woniało obornikiem i dymem drzewnym z ognisk, przy których grzali się pocztowi z chorągwi husarskiej. Kilkanaście pięknych wierzchowców należących do husarzy żarło owies z worków przymocowanych do pysków, a czeladni uwijali się wokół kosztownych zwierząt, czyszcząc sierść, rozczesując grzywy i ogony. Nieco dalej w kuźni huczał ogień, a barczysty, osmolony na twarzy kowal zmieniał podkowy czarnemu jak noc ogierowi.

Tyner przekazał klacz stajennemu i udał się do wartowni. Informacja, że przybywa od hetmana polnego, wystarczyła, by oficer zaprowadził Bogusława na piętro, gdzie urzędował imć Stanisław Wyżycki.

Regimentarz przyjął go wcale nie po żołniersku. Boso, w samych tylko portkach i rozchełstanej koszuli, spod której wyzierała gęsto porośła włosiem pierś.

Tyner rozejrzał się po komnacie z dwoma oknami wychodzącymi na miasteczko, szafą, komodą i kominkiem, przy którym suszyły się wysokie oficerskie buty. Zdjął czapkę i rozpiął kożuch, czekając, aż regimentarz zaprosi go, by usiadł.

Imć Wyżycki milczał, garbiąc się nad stołem, wpatrując się w przybysza znad dzbana z okowitą i cynowego talerza, na którym leżała pajda chleba ze smalcem.

– Że też akurat ciebie, waszmość, lichy nadało – mruknął Wyżycki, przerywając niezręczną ciszę, po czym napełnił dwa kubki gorzałką.

Tyner uznał to za wystarczające zaproszenie. Dosiadł się do regimentarza, zajmując zydel po drugiej stronie stołu. Wychylił okowitę, czując, jak struga palącego ciepła spływa mu w dół przełyku i rozgrzewa zziębnięte ciało. Wyżycki podsunął mu chleba ze smalcem na zakąskę.

Bogusław pokręcił odmownie głową.

– Jak tu się żyje? – zapytał.

– Żle i w niedostatku – oznajmił Wyżycki. – Przez wojnę nie zebrano zboża

z pól, pozostałą żywność pochowali chłopci. Tych zresztą też próżno szukać, zabrali dobytek i bydło, uciekli do Mołdawii lub do Doroszenki – podkreślił, jakby chcąc usprawiedliwić swe niepowodzenie. – Załogi muszą wysyłać duże oddziały po zaopatrzenie, i to na wiele mil od garnizonów, a i tak coraz któryś z tych oddziałów wpada w zasadzki buntowników, a nawet Kozaków Chanenki. Trzy dni temu jakieś hultajstwo ostrzelało jedną z naszych grup, dwóch sług pocztowych ubili, a dowodzącego patrolem towarzysza pancерnej chorągwi pokaleczyli. Nie wiedzieć, czy wyżyje. – Regimentarz wlepił w Tynera przekrwione oczy. – Musiałem obciąć racje żywności. Piechota już głoduje, jazda ma lepiej, ale i to wkrótce się skończy... Niedługo zaczniemy konie żreć.

– Książ Dymitr to wie – zapewnił Tyner. – Obiecał przysłać żywność i sukno, a także pieniądze dla oficerów i co bardziej znaczących towarzyszy pocztowych.

– Znaczy kiedy? – Wyżycki się wykrzywił. – Obiecanki słyszę od jesieni.

Na to pytanie Tyner nie potrafił odpowiedzieć.

– Ja także przeszedłem całą kampanię do Braclawia i nijakiej zasługi za to nie otrzymałem – powiedział spokojnie. Sięgnął za pazuchę do ukrytej kieszeni i wyciągnął dwa zalakowane listy. – To dla was, regimentarzu – oznajmił. – Dar od księżnej Gryzeldy.

Wyżycki łypnął nań nieufnie.

– Wiesz waszmość, co tam jest? – zapytał.

– Przywilej królewski na dodatkowe jarmarki w należącym do was starostwie tymbarskim – odparł Tyner i wręczył regimentarzowi drugi z listów – oraz przeniesienie praw do miasteczka i królewskich wsi na waszych spadkobierców, na wypadek gdybyście zmarli.

Wyżycki otarł dłonie o koszulę i po kolei rozwinął i przeczytał oba przywileje opatrzone królewską pieczęcią. Zapoznawszy się z ich treścią, zamknął cenne dokumenty na kluczyk w kuferku.

– Co mam czynić? – spytał. Był świadom, że dary przywiezione z Warszawy wymagają odwzajemnienia się grubą przysługą.

– Zwołaj waszmość oficerów, ale tylko tych zaufanych, takich, którzy stoją wiernie przy osobie Jego Królewskiej Mości. Udadzą się do Mohylewa, Raszkowa,

Ładyżyna, Braclawia i innych garnizonów na Ukrainie, gdzie będą namawiać oficerów i towarzystwo, aby nie przystępowali do związku i wytrwali w wierności przy królu.

Twarz regimentarza ściągnęło zwątpienie.

– Konfederacji nie da się już zapobiec, panie Tyner – rzekł smętnie. – Jeszcze kilka tygodni o głodzie, a żołnierze, tak czy owak, podniosą rokosz.

– Lepiej więc, abyśmy my pierwsi zyskali kontrolę nad rebelią, do czasu aż najbliższy sejm wyznaczy kwatery i uchwali podatki na zaległy i przyszły żołd.

– A uchwali? – Regimentarz nie krył powątpiewania.

– To już pytanie do panów posłów i senatorów – zauważył Tyner. – My, waszmość, mamy tu pracę do wykonania. Utworzyć własny związek wspierający króla i przejąć kontrolę nad jak największą częścią wojska.

– A wiesz może waść, jak to przeprowadzić? – zapytał Wyżycki sceptycznie. – Oficerowie i żołnierze sprzyjają Sobieskiemu.

– Król wyda edykt pozwalający wiernym mu oddziałom stacjonować przez zimę w królewskich na Rusi Czerwonej i Wołyniu – wyjął Tyner. – To podkopie lojalność armii wobec Sobieskiego. Wielu zacznie się zastanawiać, czy nie lepiej iść z wami, niż cierpieć głód na Ukrainie.

– I zostawić to, co zdobyliśmy przez ten rok? – spytał Wyżycki, krzywiąc się. – Jakże to?

– Regimentarzu, Ukraina i tak dla nas stracona – stwierdził Tyner chłodno. – Gdy sułtan ruszy z całą armią, nie powstrzyma go te nędzne kilka tysięcy wojska. Tedy wszystkie siły potrzebne będą w głębi kraju. To, panie Wyżycki, powiesz na kole wobec oficerów i towarzyszy. Idzie ku wielkiej wojnie.

ROZDZIAŁ III

Ciemne sprawy

Styczeń A.D. 1672

Jej mąż był w sypialni i z całą pewnością nie przebywał tam sam. Królowa Eleonora położyła dłoń na klamce, lecz zawahała się przed jej naciśnięciem. Co innego bowiem wiedzieć, że jest się zdradzaną, a co innego zmierzyć się z czymś takim osobiście.

Postękiwania dobiegające z za drzwi wzmogły się i dołączyły do nich inne zawstydzające odgłosy towarzyszące uprawianiu gwałtownej miłości.

Eleonora, jak większość księżniczek z rodu Habsburgów, nie wyszła za mąż z porywu serca. Małżeństwo w jej rodzinie od wieków było sprawą polityki. To zaś z Michałem Korybutem było dla niej szczególnie trudne. Zwłaszcza dla jej kobiecej dumy.

Zagryzła usta i zdecydowanie nacisnęła klamkę. Alkova tonęła w blasku świec płonących w lichtarzach, kotary w oknach były zasunięte, a w łóżu młody ciemnowłosy mężczyzna wbijał się pomiędzy wypięte pośladki jej męża. Spodziewała się czegoś podobnego, lecz ku jej uldze widok ten bardziej ją rozbawił, niż zasmucił czy zezłościł. Młodzieniec nazywał się Konarzewski i był jednym z fryzjerów króla. Zaskoczony w tak oczywistej sytuacji wytrzeszczył na nią oczy i zastygł, jakby ujrzał gorgonę. Korybut, czując, że coś jest nie tak, uniósł głowę wciśniętą w poduszkę i z jego pulchnej twarzy odpłynęła cała krew.

– Co tu robisz!?! – wydukał, odrywając pośladki od sparaliżowanego strachem służącego. – Po co... przecież wiesz!

– Księżna Gryzelda przyjechała – odparła Eleonora. – Jest już na zamku. – Habsburżanka wzięła szatę króla z fotela i podała strój mężowi. – Z pewnością od razu będzie chciała widzieć swego syna – rzuciła cierpko. – Ten widok by ją zabił, a tego chyba nie chcesz?

– Mama jest w Warszawie? – W głosie Korybuta zabrzmiała panika, jakby znów

zmienił się w małego chłopca.

Eleonora, milcząc, spojrzała na męża. Spuścił wzrok z poczuciem winy. Zszedł z łoża i zaczął się ubierać.

– A ty zbieraj się – zwróciła się do młodzieńca pozbawionym emocji głosem, jakby cała ta wstydliva sytuacja nie dotyczyła jej, córki cesarza i królowej Polski. Panowanie nad emocjami było sztuką, której w Wiedniu uczono księżniczki od dziecka. Nikt nigdy nie powinien znać myśli władczyni, wszelkie odsłonięcie się oznacza słabość, ta zaś prowadziła nieuchronnie do klęski w grze o władzę.

Drgnęła pod dotykiem dłoni męża na swym ramieniu.

– Tak mi przykro, Eleonoro, nie powinnaś tego oglądać – powiedział cicho. – Staram się, ale nie potrafię z tym walczyć. To jest gdzieś głęboko tutaj. – Uderzył się w pierś. – Jest częścią mnie.

Prawdziwa rozpacz malująca się na jego obliczu spowodowała, że zrobiło jej się żal męża. Objęła go i przytuliła do siebie. Domyślała się, ile kosztuje Korybuta, gorliwego katolika, pogodzenie w sobie dwóch sprzecznych osobowości. Jak wielki musi być ciężar grzechu, lęku i wstydu, który dźwiga.

Nie potrafiła dać mu miłości, a jedynie ofiarować pocieszenie i przebaczenie, którego pragnął. A także zachować tajemnicę.

W zamian oczekiwała tylko jednego. Posłuszeństwa.

Opuściła alkwę, nie czekając, aż król wdzieje strój na spotkanie z matką. Od razu udała się do swych komnat mieszczących się w tym samym skrzydle zamku. W bawialni zastała Klarę Pac. Jej zaufana dwórka i żona kanclerza litewskiego stała przy oknie, patrząc na skutą lodem Wisłę.

– Wasza wysokość. – Klara dygnęła wdzięcznie na widok królowej. – Księżna Gryzelda chce się widzieć z synem.

– Powiadomiłam króla – rzekła Eleonora. – Usiądź, musimy pomówić.

Klara była starsza od niej o dziesięć lat, lecz wciąż chlubiła się urodą, dzięki której zdobyła serce Krzysztofa Paca. Szczupła twarz okolona prostymi kasztanowymi włosami, wyraziste brązowe oczy i zgrabny nosek nadawały jej pozór skromności. Eleonora jednak wiedziała, że pod niewinną powłoką kryje się wulkan

ambicji i namiętności.

– Ciekawe, co tym razem knuje żmija – powiedziała Pacowa.

– Wkrótce się dowiemy – odparła królowa. – Bądź tak dobra, Klaro, i przyprowadź ją osobiście na spotkanie. Za pół godziny do błękitnej sali.

– Ja... – Klara nie kryła zdumienia.

Eleonora wiedziała, że w oczach Gryzeldy Pacowa nie różniła się od Sobieskiej czy Morsztynowej. Wszystkie trzy Francuzki były w opinii kniahini ładacznicami, które doszły do władzy i bogactw, rozkładając nogi przed chutliwymi polskimi magnatami.

Eleonora jako księżniczka krwi w głębi ducha przyznawała teściowej rację. Nauczono ją jednak, że w życiu gra się takimi figurami, jakie daje los. Pacowie zaś byli jej niezbędni.

– To mój dom i księżna podporządkuje się jego zwyczajom – powiedziała królowa ze złośliwym uśmiechem. – Już czas, aby Gryzelda zrozumiała, że jej ukochany synek należy teraz do mnie.

Klara pojaśniała na twarzy. Od miesięcy czekała na tę chwilę.

– Czy są nowe wieści od twego męża? – zapytała Eleonora.

– Krzysztof wkrótce przyjedzie na sejm.

– A jego brat hetman?

– Pod pretekstem złego stanu zdrowia pozostanie na Litwie – wyjaśniła Klara – aby czuwać nad rozwojem sytuacji. Sobiescy przez swych stronników oskarżyli Michała Kazimierza, że rozpuścił wojsko litewskie i samowolnie porzucił Ukrainę, przez co zaprzepaścił owoce całorocznej kampanii.

– Słyszałam, że te oskarżenia zyskały wielki posłuch – powiedziała królowa. – Szlachta odwraca się od Paców, na wielu sejmikach doszło do tumultów i burd, kilka zerwano bez uchwalenia podatków.

– To prawda, wasza wysokość, wystąpiły pewne problemy – potwierdziła Klara niechętnie. – Głównie z winy Radziwiłła. Nie może przeboleć, że jego ród nie jest już pierwszy na Litwie – zauważyła złośliwie.

– Czy twój mąż i szwagier poradzą sobie z tym problemem?

– Z całą pewnością, wasza miłość – zapewniła Klara. – Choć potrzeba złota na przekupienie lub zastraszenie tych, którzy najgłośniej oskarżają moją rodzinę.

– Wkrótce przyjedzie ambasador von Stom z pieniędzmi – zapewniła Eleonora. – Do tego czasu Pacowie muszą radzić sobie własnymi środkami. Przekaż to mężowi.

– Oczywiście, najjaśniejsza pani.

– Widzimy się za godzinę – przypomniała królowa. – Teraz chcę zostać sama.

Klara dygnęła i opuściła komnatę.

Eleonora zwróciła się do lustra, obserwując swą twarz w czystej, zimnej tafli. Była piękna, wszyscy jej to powtarzali. Miała złociste włosy, duże zielone oczy z zatopionymi w nich okruchami złota, pełne i nasycone czerwienią usta, które tak rzadko miały okazję być całowane. W marzeniach przeniosła się tam, gdzie czuła się kochana. W objęcia swej pierwszej miłości.

Uświadomiła sobie, że gładzi się dłonią po szyi. Zagryzła wargi, myśląc, jak bardzo jest żałosna w tej tęsknocie do uczucia, które musiała poświęcić dla dobra dynastii.

Eleonora opuściła dłoń. Wspomnienia o utraczonej miłości były ciężarem, na który nie mogła sobie pozwolić. Nie teraz, gdy toczyła grę o tron. Jak wszystkie kobiety Habsburgów przygotowywano ją do tego zadania od dziecka i zamierzała uczynić wszystko, aby pozostać królową. Nie tylko ze względu na siebie, lecz i na swego brata cesarza, który wysłał ją do Polski.

*

– Nareszcie! – zawołała kniahini, wkraczając do komnaty. – Już myślałam, że nie dostanę się przed oblicze własnego syna.

Jego wysokość otworzył usta, lecz zaraz przymknął je, garbiąc się pod wściekłym spojrzeniem matki.

– No już, pocałuj mateńkę. – W głosie Gryzeldy rozbrzmiała łagodniejsza nuta. – Błado coś wyglądasz, Michałku. Czy aby dobrze tu o ciebie dbają? – Jadowite spojrzenie teściowej jednoznacznie wskazywało, kogo wini za bladość syneczka.

Eleonora zdusiła gniew.

– Mój mąż dźwiga na swych barkach ciężar całego królestwa – odparła spokojnie. – Poza tym nic mu nie dolega. Prawda, Michale?

– Jestem zdrow, matko, i wszystko jest w najlepszym porządku – zapewnił Korybut, szybko odwracając wzrok pod spojrzeniem kniahini.

– O tym jeszcze porozmawiamy – rzuciła oschle Gryzelda. Popatrzyła wrogo na Klarę Pac, która przymierzała się do zajęcia jednego z czterech przygotowanych wcześniej krzesel. – Co ona tu robi!?

– Będzie uczestniczyć w naradzie – oznajmiła teściowej Eleonora.

– Nie tym razem – rzekła Gryzelda chłodno. – Przyjechałam, aby omówić sprawy rodzinne, miłościwa pani. Chcę porozmawiać z synem i tobą na osobności.

– Klaro, zostaw nas samych – poprosiła królowa.

Oczy Pacowej pociemniały z gniewu, lecz poza tym doskonale panowała nad emocjami. Ukłoniła się ich wysokośćom. Dopiero w samych drzwiach rzuciła kniahini nienawistne spojrzenie.

Usiedli w trójkę na krzesłach.

– Co to za sprawy rodzinne? – spytała Eleonora.

– Zaślubiny, moja droga – powiedziała Gryzelda, uśmiechając się. – Kniazia Dymitra z siostrzenicą Sobieskiego Teofilą.

Eleonora uświadomiła sobie, że rozdziawia niemądrze usta.

– Skąd ten pomysł? – wykrztusiła, z trudem zdobywając się na grzeczny uśmiech. – Sobieski to nasz najzagorzalszy wróg. Od blisko trzech lat knuje, jak strącić z tronu twego syna, kpi z niego publicznie. W Austrii już dawno straciłby majątek i głowę.

– Nie jesteśmy w Austrii, jeśli jeszcze się nie zorientowałaś – odrzekła Gryzelda sarkastycznie. – W Rzeczypospolitej urzędy są dożywotnie. Sobieski sprawuje funkcje marszałka i hetmana wielkiego i można mu je odebrać tylko siłą. – Kniahini zmierzyła synową chłodnym spojrzeniem. – Czy cesarz przyśle wojsko zdolne sprostać armii wiernej Sobieskiemu i posiłkom, które przyplyną z Francji?

– Nie mam co do tego pewności – przyznała Eleonora, spuszcżając wzrok. – Więcej dowiemy się, gdy z Wiednia przyjedzie ambasador von Stom.

– Tedy rozsądek nakazuje szukać porozumienia z Sobieskim – wskazała Gryzelda. – Szczególnie teraz, gdy grozi nam wojna z Imperium Osmańskim. Połączymy rodziny Wiśniowieckich i Sobieskich, by skończyć ten szkodliwy dla kraju konflikt.

Eleonora spojrzała na męża, oczekując, że wyrazi sprzeciw wobec planów Gryzeldy. Korybut jednak nigdy nie był przesadnie odważny, a już z pewnością nie wtedy, gdy przyszło przeciwstawić się matce.

Sama musiała sprostać wilczycy z Zamościa.

– Przez ten mariaż ryzykujesz, matko, rozpad naszego stronnictwa – powiedziała Eleonora. – Potrzebujemy Paców, na wypadek gdyby Sobieski podniósł bunt. Wówczas Litwa stanie się dla nas ostoją, póki nie zbierzemy własnej armii, a mój ojciec nie przyśle posiłków.

– Ślub ugasi animozje – stwierdziła Gryzelda. – A także ograniczy wpływy Paców. Za bardzo wyrosli ponad swój stan. – Kniahini wskazała wolne krzesło, którego odmówiła Klarze. – Na tym miejscu powinien zasiadać podkanclerzy Olszowski, nie ta francuska ladacznica.

– Czynię, co konieczne, aby chronić rodzinę – odparła Eleonora, wychylając się ku teściowej. – Biskup Olszowski podobnie jak ty, księżno, łądzi się co do możliwości porozumienia się z malkontentami. Tymczasem Sobieskiego i Prażmowskiego trzeba zgnieść, pozbawić urzędów i skazać na śmierć.

Oczy księżnej Gryzeldy się zaiskrzyły.

– Michale, powiedz coś, przecież to szaleństwo! – zawołała.

Korybut siedział oniemiały, wodząc wzrokiem po najbliższych mu kobietach. Sprawiał wrażenie człowieka, którego ktoś zamknął w jednym pomieszczeniu ze żmijami.

Milczenie syna wywołało irytację na obliczu Gryzeldy.

– Olszowski to wierny, oddany przyjaciel rodziny. To dzięki jego staraniom szlachta wybrała mego syna królem. To również biskup przekonał mnie do pomysłu waszego ślubu – rzekła sucho. Nie każ mi teraz tego żałować, Eleonoro. – Gryzelda nie ukrywała już rozpierającej ją złości.

– Matko, jak możesz...? – Dopiero w tej chwili Korybut zdobył się na wątpliwy sprzeciw.

Gryzelda uniosła dłoń, gasząc protest syna, jakby ten wciąż był kilkuletnim chłopcem. Wyprostowała się na krześle.

– Michale, proszę, zostaw nas same – poprosiła władczo. – Chcę porozmawiać z twoją żoną w cztery oczy.

Korybut oblizał nerwowo usta.

– Jeśli obie chcecie...

Eleonora położyła dłoń na ramieniu męża.

– Potrzebujemy z twą matką chwili na kobiecą rozmowę.

Król skinął głową, nie potrafiąc ukryć odczuwanej ulgi. Eleonora i Gryzelda mierzyły się wzrokiem, milcząc do momentu, gdy mąż, syn i król opuścił komnatę.

– Nie wiem, w jaki sposób go przekabaciłaś – wycedziła Gryzelda – ale przysięgam, nie pozwolę go skrzywdzić. Nikomu.

– Czy to groźba?

– Stwierdzenie faktu. Zrozumiesz to, gdy sama urodzisz dziecko. A skoro już o tym mowa, wciąż nie jesteś brzemienna – zauważyła kniahini zjadliwie. – Choć minęły niemal dwa lata od waszego ślubu.

– To chyba nasza sprawa!? – odparowała Eleonora.

– Twoim obowiązkiem jest urodzić dziecko – powiedziała Gryzelda bezlitośnie. – Tymczasem doszły mnie słuchy, że macie oddzielne sypialnie. Czy to normalne u młodej kobiety, aby stroniła od męża? Chyba że – kniahini zmrużyła oczy, wpatrując się w synową – ta kobieta myśli o kimś innym.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła chłodno Eleonora.

– Raczej o kim – rzuciła Gryzelda. – O księciu lotaryńskim. Wiem, że w Wiedniu byliście ze sobą blisko.

– Co!? – Królowa osłupiała. – Jak śmiesz...

Gryzelda przerwała jej, pochylając się i chwytając synową za przedramię. Zabolalo. Eleonora spróbowała uwolnić się z mocnego uchwytu, kniahini była jednak zadziwiająco silna.

– Nie udawaj cnotliwej – warknęła Gryzelda. – Wiem, że nie straciłaś dziewictwa z mym synem, i nie obchodzi mnie, przed kim wcześniej rozkładałaś nogi. Teraz jednak twoja oziębłość wobec Michała sprzyja plotkom o impotencji króla.

Eleonora poczuła, jak ból ściska jej serce. Przez sekundę chciała wykrzyknąć Gryzeldzie prawdę o zboczeniu jej syna. Upokorzyć starą wiedźmę, może nawet zabić ją w ten sposób. Opanowała się jednak szybko. Nie zamierzała utracić kontroli nad mężem dla chwili ulotnej satysfakcji.

– Z Michałem w tych sprawach wszystko jest w porządku – odparła spokojnym tonem.

Przez twarz Gryzeldy przemknęła starannie skrywana ulga.

– Jestem tego pewna, Michał jest młody i silny – rzekła. – Zrób więc to, co do ciebie należy. Daj memu synowi potomka.

Uśmiech Eleonory był zimny jak lód.

– Wkrótce tak się stanie, matko – wycedziła.

Gryzelda cofnęła dłoń i podniosła się z krzesła, patrząc synowej w oczy. Bez słowa opuściła komnatę, zostawiając królową z jej własnymi myślami.

*

Trzech spiskowców może bez trudu dochować tajemnicy tylko wtedy, gdy dwóch z nich nie żyje – Marysieńka nie wiedziała, kto napisał te słowa, z pewnością jednak musiał to być jakiś Włoch czy Francuz, albowiem w tych krajach za zdradę stanu płaciło się głową. W Polsce, gdzie podobna surowość była nie do pomyślenia, spiskowcy spotkali się za dnia, na obiedzie w pałacu prymasa.

Podczas posiłku serwowano połędwice jelenie, kapłony z masłem i pieprzem, sarnie kiełbasy oraz sandacza w galarecie. Wszystkie potrawy pływały w korzennych zawieszonych sosach, w których lubowała się szlachta. Marysieńka doskonale pamiętała swój pierwszy niefortunny kontakt z polską kuchnią, na bankiecie wydanym na cześć świeżo przybyłej do Rzeczypospolitej Marii Ludwiki. Uczestniczyła w biesiadzie jako młodzianka dwórka królowej i podobnie jak

wszyscy Francuzi w orszaku poparzyła sobie język i usta, tak pieprzne i korzenne były potrawy.

Od tamtego czasu minęło wiele lat i Marysieńka jakoś zdołała przywyknąć do wielkich ilości imbiru, szafranu, pieprzu i cynamonu używanych w tym kraju do wszelkich dań.

W gościnie u prymasa jadła mało, skubnęła nieco sandacza i kapłona, zadowolając się winem, które łagodziło mdłości trapiące ją od kilku dni. Zniechęcona dolegliwościami odłożyła sztucce, udając, że słucha najnowszej frywolnej fraszki stworzonej przez podskarbiego Morsztyna – utalentowanego poetę i kolejnego arcyważnego uczestnika spisku.

Jej myśli zaprzętało dziecko, które nosiła pod sercem. Pamiątka pożegnalnej nocy spędzonej z kardynałem de Bonzim. Marysieńka zerknęła na Jana. Podczas obiadu dopisywał mu apetyt. Teraz, gdy służba zbierała ze stołu srebrną zastawę i fajans, siedział rozparty na krześle, racząc się białym winem i śmiejąc się z wiersza recytowanego przez imć Morsztyna.

Jej samej nie było do śmiechu. Mdłości nasiliły się w drodze do Warszawy, lecz do tej pory zdołała ukryć je przed Janem. Musiało upłynąć dość czasu, aby uwierzył, że to jego dziecko.

Gdy ostatni z pokojowych opuścił komnatę, z oblicza prymasa zniknął wyraz dobrodusznego zamyślenia, a zastąpiły go wyrachowanie i czujność.

„Oto prawdziwa twarz jego eminencji”, pomyślała Marysieńka. Uśmiechnęła się uwodzicielsko do Prażmowskiego, obiecując sobie zawsze pamiętać, z kim ma do czynienia.

– Wybaczcie mi tę przezorność, lecz muszę zakładać, że druga strona przekupiła kogoś z mej służby – rzekł otwarcie Prażmowski. – Wam również zalecam zachowanie ostrożności podczas rozmów we własnych siedzibach.

– Jestem pewien mych domowników – odparł urażonym tonem Jan. – Wielu wywodzi się z rodzin, które służyły u mego ojca i dziada, hetmana Żółkiewskiego.

Marysieńka położyła dłoń na dłoni męża, opartej na stole.

– Dbamy o poufność, eminencjo – zapewniła, łagodząc zgrzyt. – Jestem pewna, że pan Morsztyn również zachowuje niezbędne środki ostrożności.

Morsztyn skinął poważnie głową. Jako podskarbi koronny zarządzał skarbem publicznym i mennicą państwową. Jego szczupła twarz o ciemnych inteligentnych oczach, wąskim nosie i wyrazistych bruzdach na policzkach nie wyrażała żadnych czytelnych emocji.

– Jak wyglądają finanse państwa? – zapytał Sobieski.

– Fatalnie – odparł Morsztyn. – Wydatki na armię pochłaniają niemal wszystkie przychody. Jeśli sejm nie zdecyduje się obciążyć szlachty podatkiem, nie będzie grosza, aby opłacić armię, o nowych zaciągach nie wspominając.

– Ułatwi nam to bardzo wywołanie rokoszu – stwierdził cynicznie prymas. – To konieczny warunek, aby osadzić na tronie księcia de Longueville’a.

– Nasi przeciwnicy również nie szczędzą pieniędzy i obietnic dla oficerów – ostudził optymizm prymasa Sobieski. – Regimentarz Wyżycki gromadzi przy sobie oddziały wierne królowi. A i na sejmie spodziewam się ataków na mą osobę. Doszły mnie słuchy, że Korybut planuje nakłonić posłów, by odebrali mi starostwo barskie, a nawet będzie dążył do postawienia mnie przed sądem za podburzanie armii do konfederacji.

– W izbie poselskiej mamy dość głosów potrzebnych do zablokowania niekorzystnych decyzji – rzekł Prażmowski spokojnie. – A gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, któryś z naszych posłów posłuży się *liberum veto* i zerwiemy obrady.

Sobieski wlepił w prymasa zasępiiony wzrok.

– Zerwany sejm nie uchwali podatków i żołdu dla wojska. Zostawi kraj nieprzygotowany do wojny z Turkami.

– Klęska wojenna może ułatwić detronizację Korybuta – zauważył Morsztyn, co spotkało się z wyraźną aprobatą prymasa.

Marysieńka dostrzegła, jak Jan pochmurnieje. Doskonale знаła to zmarszczone czoło i gniewnie wykrzywione kąciki ust. On, potomek wielkich wodzów i senatorów, miałby porzucić kraj na pastwę wroga!? Nawet ona nie ważyłaby się suponować czegoś takiego.

– Wasze majątki leżą w głębi kraju – zauważyła cierpko, uprzedzając Jana. –

Sobiescy i Sieniawscy nie mogą pozwolić sobie na spustoszenie Rusi. Nie tylko z powodu troski o własne dobra, lecz i ze względu na tamtejszą szlachtę, która stanowi nasze oparcie w sejmie.

– *Liberum veto* rozważam jako ostateczność – zastrzegł pospiesznie prymas. – Korzystniej będzie doprowadzić do sytuacji, gdy wina za zerwane obrady czy brak decyzji spadnie na Wiśniowieckich i Paców. Niechaj szlachta zobaczy, jak ukochany przez nią syn Jaremy nie radzi sobie z ciężarem korony.

Marysieńka popatrzyła na Prażmowskiego wyczekująco. Była pewna, że przygotował już plan.

– Korybut zaprezentuje pakiet piętnastu ustaw dotyczących wojska i dyplomacji – ciągnął prymas.

– Skąd ta wiadomość? – zapytał Morsztyn.

– Przekupiłem człowieka w drukarni królewskiej. – Prażmowski sięgnął do skórzanej torby stojącej obok jego krzesła i wyciągnął z niej kilka arkuszy papieru.

Marysieńka sięgnęła po jedną z kart i poczuła zapach świeżej farby.

– Druk z dzisiejszej nocy – wyjaśnił Prażmowski, jakby odczytując jej myśli. – Jutro mają trafić do senatorów i posłów.

Na kilka chwil wszyscy spiskowcy pograżyli się w lekturze.

– To mrzonki – osądził Morsztyn wzgardliwie. – Na połowę tych rzeczy nie starczy pieniędzy.

– Wiśniowieccy muszą to wiedzieć – odezwał się po namyśle Sobieski. – Zatem nie chodzi o realne załatwienie spraw, lecz o wywołanie dobrego wrażenia.

– W Polsce zwykle starcza to, aby utrzymać się przy władzy – zgodził się cynicznie Prażmowski. – Dlatego musimy przelicytować projekty Korybuta.

– Jeśli dwór proponuje utworzyć czterdziestotysięczną armię, to my proponujemy sześćdziesiąt tysięcy – powiedziała Marysieńka, z całych sił walcząc z narastającymi mdłościami. – Czyż nie tak, eminencjo?

– Nawet siedemdziesiąt – odparł prymas z uśmiechem. – Zgłoszę także wniosek uchwalenia podatków i zwiększenia ceł, wzmocnienia twierdzy w Kamieńcu Podolskim, wypłaty żołdu i hiberny dla wojska zostawionego na

Ukrainie. Wezwę też senat, aby wysłał posłów do królów i książąt Europy z prośbą o posiłki na walkę z niewiernymi.

– Oczywiście nic z tego nie wyjdzie – odpowiedział Morsztyn kpiąco. – Szlachta jak zwykle poskąpi grosza, a Korybut i jego Austriaczka niczym ognia obawiają się zwiększenia armii, gdy ta znajduje się pod komendą hetmana.

– Otóż to – potwierdził prymas. – Niech cała wina spadnie na nich, my zaś ogłosimy się obrońcami ojczyzny.

Marysieńka zerknęła na Jana. Był wyraźnie strapiony.

„Wciąż myśli o małżeństwie Teofili z Dymitrem, łudzi się co do zgody – odgadła wzburzona. – Nigdy do tego nie dopuszczę”. Tłumione emocje pogłębiły mdłości. Nagle poczuła, że dłużej nie powstrzyma torsji. Powstała gwałtownie od stołu, przyciągając spojrzenia mężczyzn.

– Wybaczcie, muszę na stronę – wyjaśniła i niemal wybiegła z komnaty, przyciskając dłoń do ust.

Wiedziała, gdzie jest łazienka, lecz nie dobiegła, zwymiotowała na świeżo wypolerowany parkiet. Zgięta w pół, krztusząc się i postękując, oparła się o ścianę.

Ktoś wyszedł z jadalni na korytarz. Marysieńka otarła usta wierzchem dłoni i spojrzała przez ramię na Jana. Podbiegł do niej i chwycił w ramiona.

– Potrzebujesz medyka! – zawołał z przejęciem. – Od kilku dni wyglądasz blado.

– Nie jestem chora... – Przygryzła wargę. – Noszę dziecko.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie – odparła, wypatrując nieufności na jego twarzy.

Oblicze Jana rozjaśniło się ze szczęścia.

– To cudowna wiadomość! – zakrzyknął i zakręcił nią, aż znów poczuła mdłości.

Dostrzegł to i natychmiast wypuścił ją z objęć.

– Wybacz, to ze szczęścia – przeprosił zawstydzony. – Teraz musisz na siebie szczególnie uważać. To na pewno będzie syn. Mój wspaniały syn! – zawołał na cały głos, przyciągając uwagę służby.

Marysieńka zacisnęła usta w bladym uśmiechu, boleśnie świadoma, że czasem mimo starań nie jest łatwo spełniać złożone obietnice.

Krew zimniejsza niż stal

W Szarogrodzie Tyner spędził noc, a następnego ranka wyruszył w drogę. Towarzyszyło mu dla bezpieczeństwa dwudziestu dragonów na koniach, uzbrojonych w rusznice i szable.

Podążali przez puste białe pola poprzecinane krzakami i dębina, z rzadka mijając ufortyfikowane wsie. Trzeciego dnia od opuszczenia Szarogrodu ujrzeli cel podróży. Osada znajdowała się na wzgórzu nad dolinką, którą płynęła rzeczka.

Tyner zostawił dragonów na drodze i podjechał pod zawartą bramę. Zza ostrokołu wyjrzały postacie z rusznicami.

- Skąd Bóg prowadzi!?! – zawołał ktoś w wałów.
- Ze Zbaraża, z rozkazem od kniazia Wiśniowieckiego! – odkrzyknął Tyner.
- Zejdź waszmość z konia i zbliż się.

Tyner wykonał polecenie i stanął przy furcie umocowanej w skrzydle bramy. Ten, kto ją otworzył, powiedział:

- Wchodź i ręce trzymaj na widoku.

Tuż za furtą czekali na Tynera żołnierze bez żadnych znaków czy barw, okutani w szmaty i koce niczym wiejskie baby. Dwóch mierzyło weń z muszkietów, trzeci, barczysty i siwobrody, zbliżył się na trzy kroki do przybysza.

Tyner sięgnął za pazuchę i wydobyl list opatrzony pieczęcią hetmana polnego. Siwobrody spojrzal na odcisk umieszczony na laku i pokazał towarzyszom, by opuścili muszkiety.

- Co to za rozkazy, waszmość? – zapytał wiarus.
- Nie twoja to sprawa, żołnierzu – odrzekł Tyner niecierpliwie. – Otwieraj wrota i prowadź do porucznika.

Wartownicy wymienili między sobą spojrzenia.

- Porucznik nie żyje – rzekł siwobrody. – Pochowaliśmy go dwie niedziele temu.
- A chorąży?
- Dostał szablą pod Trościańcem i tam spoczywa na wieki.
- Kto tedy wami komenderuje?

– Wachmistrz Tomasz Grot, do czasu aż wyznaczą nowego porucznika.

– Gdzie go znajdę?

Siwobrody wskazał ręką na środek osady.

– W chacie wójta, łatwo poznać, jako jedyna ma komin – rzekł wiarus i kazał otwierać bramę.

Dragoni wjechali za wały i Tyner dosiadł swej klaczy. Stępa ruszyli drogą do dawnego ryneczku.

Osada w lepszych czasach była duża i ludna, o czym świadczyły dziesiątki domostw, teraz zrujnowanych. Żołnierze, omotani w szmaty i wynędzniali, wychodzili z ruder. Wielu opierało się na kulach i nosiło zakrwawione opatrunki. Stali i patrzyli, lecz żaden nie kwapił się do rozmowy.

Pośrodku osady znajdowało się kilka ocalałych lub odbudowanych domów, w tym jeden ze wspomnianym przez siwobrodego kominem.

– Wy dwaj pójdziecie ze mną i staniecie przy drzwiach – zwrócił się Tyner do jadących przy nim dragonów. – A reszta niech ma się na baczności.

Zeskoczył z konia i skierował się ku chacie wójta. Wszedł do ciepłej izby i omiół wzrokiem pomieszczenie. Potem obserwował dwóch szlachciców siedzących za stołem, nad dzielącym ich dzbanem z okowitą. Obaj mężczyźni spojrzeli nań wrogo, ten po lewej z sumiastym wąsem szybko pochylił głowę. Bogusław dostrzegł, że na lewym boku nosi turecki tajsak – futerał na pistolety z wetkniętą weń króciwą.

Jego twarz wydała się Tynerowi znajoma.

– Czołem waszmościom! – przywitał się i ściągnął czapkę.

– Ktoś ty, że wchodzisz jak do swojego? – odburknął szlachcic z prawej. Miał kościstą twarz, garbaty nos i gęste zmarszczki wokół głębokich, ciemnych oczu.

– Bogusław Tyner – przedstawił się, nie wywołując jednak żywszej reakcji na twarzy czarnookiego. – Mam pismo do waszego porucznika, ale wiem już, że zmarł. A wy pewnie jesteście Tomasz Grot, wachmistrz.

– We własnej osobie – przyznał Grot, nie kwapiąc się podnieść dupska z ławy. – A to mój kuzyn, wpadł przejazdem, wracając w nasze rodzinne strony. Prosiłem go

właśnie, aby przekazał wieści dla mateczki.

– Na mnie już czas, waszej mateczce przekażę, żeście w zdrowiu. Bywaj, kuzynie – mruknął wąsacz i wstał z za stołu.

Nagle Tyner przypomniał sobie, gdzie widział tę twarz. Na placu przed karczmą, wśród ludzi imć Baranowskiego.

Sięgnął po szablę, lecz wąsacz był szybszy. Chwycił pistolet schowany w tajsaku i wypalił w pierś Bogusława. Ten wykorzystał sekundę, nim iskra z panewki przeskoczyła na proch, i obróciwszy się bokiem, skoczył na strzelca.

Huknął strzał. Kula trafiła Tynera w ramię, niemal odwracając go w biegu. Stęknął z bólu, zachwiał się i wpadł na zydel, tłukąc sobie kolano i wywracając się na klepisko. Przez mgłę bólu widział, jak wąsacz otwiera drzwi i wyskakuje na dwór.

– Żywcem go! – krzyknął, zagłuszony przez palbę.

Uciekinier krzyknął rozdzierająco i chwycił się kurczowo drzwi, potem osunął się na śnieg i znieruchomiał. Tyner zerknął na wachmistrza. Grot ani drgnął. Trzymał dłonie na stole, obserwując dragonów, którzy wdarli się do chaty z dymiącymi rusznicami.

– Zamknijcie go w areszcie – polecił Tyner i krzywiąc się, podniósł się z kolan.

Grot nie próbował stawiać oporu. Bogusław odczekał, aż dragoni wywloką na dwór wachmistrza, po czym usiadł na jego miejscu.

Ramię bolało jak diabli, ale nie był to jego pierwszy postrzał w życiu. Wyjęcie kuli mogło poczekać, potrzebował tylko gorzałki, aby złagodzić cierpienie.

Zdrową ręką napełnił zostawiony przez zabitego kubek i wypił do dna. Wódka była mocna, paliła w gardło i szybko przyniosła nieco ulgi. Tyner napełnił kubek ponownie i rozejrzał się po izbie, zastanawiając się, w którym miejscu powinien zacząć kopać.

*

Więźnia trzymano w domu ekonoma zamienionym na areszt. Siedziba nieobecnego od lat zarządcy dawno została obrócona w ruinę, jednak piwnice pod dworkiem doskonale nadawały się na więzienie.

Tyner wziął lampę od towarzyszącego mu dragona i wszedł do komórki służącej za celę.

Wachmistrz siedział na skrzyni, przykuty łańcuchem do muru. Zmrużył oczy i zasłonił ramieniem twarz, przypatrując się Tynerowi.

– Popytałem o ciebie – przerwał milczenie Bogusław. – Ludzie mówią, żeś dzielny człowiek. Chcę ci pomóc, dać szansę na odkupienie win.

– Win? – Grot pokręcił głową. – Kim, do kroćset, jesteś?

– Kimś, kto może ocalić twoją głowę.

– Martw się o swoją, o ile widziałem, zabiłeś szlachcica – odszczeknął się wachmistrz.

– Przyjechał tu podburzać do buntu. Poza tym pierwszy dobył pistoletu.

Grot splunął na klepisko.

– Nie wiem nic o żadnym buncie – wycedził.

– O tym też nic nie wiesz? – Tyner pokazał mu złotego luidora z wizerunkiem króla Francji. – Pod klepiskiem izby odkryłem więcej takich monet. Dość, byś zadyndał za zdradę.

Grot się wykrzywił i zamilkł na chwilę.

– Należały do naszego porucznika – odezwał się cicho po chwili. – Wygadał się w gorączce, gdzie je ukrył. Pochowaliśmy go dwie niedziele temu. Osobiste rzeczy odesłałem do rodziny, a złoto zostawiłem w schowku.

– Czyli człowiek Baranowskiego bywał u was już wcześniej? – upewnił się Tyner.

– Widziałem go pierwszy raz – zarzekł się Grot. – Poprzednim razem to była kobieta.

– Kobieta? – Tyner wyprostował się zaskoczony.

– Zjawiała się jakoś po Trzech Królach. Porucznik przyjął ją w łóżku. Pod Trościańcem oberwał postrzał w nogę i rana babrała się, ale nic nie wskazywało, że będzie śmiertelna.

– Ta kobieta przybyła sama?

– Z jednym człowiekiem eskorty, ale z porucznikiem gadała w cztery oczy.

– Wspominał coś przed śmiercią na jej temat?

– Może. – Wachmistrz rozejrzył się po celi. – To miejsce źle wpływa na pamięć.

– Będziesz waszmość wolny, daję słowo – zapewnił Tyner. – Co wiesz na temat tej kobiety?

Wachmistrz poprawił się na skrzyni z brzękiem łańcuchów.

– Podróżuje z gromadą dziwek, co pozwala jej przemieszczać się swobodnie między garnizonami. Sama jednak nie wyglądała mi na ladacnicę. – Grot wykrzywił usta i cmoknął. – Było w niej coś lepszego.

– Ale do was przyjechała bez dziwek? – upewnił się Tyner.

– Zaraz po Nowym Roku Tatarzy znów spróbowali przejść za Boh, łatwiej i bezpieczniej było wtenczas podróżować samowtór niż z wozami – wyjaśnił Grot.

– Co jeszcze? Cokolwiek, nawet szczegół może być ważny – naciskał Tyner.

– Jest coś takiego – rzekł wachmistrz powoli. – Porucznik w gorączce nazywał ją Francuzką, nie wiem jednak, czy naprawdę wywodzi się z tej nacji.

– Poznasz ją?

– Poznam – potwierdził Grot.

– Zatem jedziesz ze mną. Spiszesz się, to nagroda cię nie minie.

Grot skinął głową, a potem spojrzał na ramię Tynera. Lniany opatrunek mocno przesiąkł krwią.

– Co z kulą?

– Utkwiła w ramieniu. Trzeba ją wyjąć – rzekł Tyner. – Macie tu w osadzie felczera?

– Był jeden, ale porucznik kazał go powiesić, jak mu noga szeszła – powiedział Grot, a potem uśmiechnął się pogodnie. – Ale masz waszmość szczęście.

– A to czemu?

– Bo od tego czasu ja tu robię za felczera.

Tynerowi nie wydało się to szczególnie zabawne.

– Czego potrzebujesz?

– Wszystko jest w lazarecie – odparł wachmistrz. – Nie ma z tym co czekać, jak wda się gangrena, stracisz ramię.

Tyner otworzył drzwi na korytarz

– Rozkuj go – polecił strażnikowi.

Opuścili areszt obserwowani przez zgromadzonych przed budynkiem towarzyszy Grot.

– Uspokój ich, nim ktoś dopuści się jakiegoś głupstwa – przestrzegł Tyner i pokazał dragonom, aby opuścili lufy rusznic.

Grot przez dłuższy moment tłumaczył coś grupce skupionych wokół niego towarzyszy. Potem bez dalszych problemów udali się do lazaretu.

Tyner z lękiem obserwował, jak wachmistrz szykuje się do wyjęcia pocisku. W izbie prócz pacjenta i samozwańczego medyka przebywało dwóch dragonów. Mieli przytrzymać Bogusława podczas zabiegu, a także mieć oko na Grot, gdyby próbował zrobić coś niegodziwego.

Wachmistrz przygotował już narzędzia: szczypce i metalowy pręt zakończony tulejką zbliżoną rozmiarem do kuli. Obok leżały środek do znieczulenia – kwarta mocnej gorzałki – i skórzany pasek, aby pacjent nie przegryzł sobie języka.

Grot wskazał na naczynie z wódką.

– Może jeszcze kubek?

Tyner pokręcił głową.

– Starczy. Czyń, co należy. I spraw się dobrze.

Wachmistrz wziął ze stołu pasek i podał Tynerowi.

– Zagryź.

Bogusław zacisnął zęby, czując na języku słony smak wyprawionej skóry. Zaczęła dygotać mu noga. Położył dłoń na kolanie, przyciskając kończynę do krzesła.

Grot chwycił za szczypce.

– Nie może się poruszyć – przestrzegł dragonów, zbliżając się do pacjenta.

Tyner poczuł, jak mocne, twarde dłonie unieruchamiają go na krześle, a potem okropny ból, gdy Grot umieścił szczypce w ranie, szukając tkwiącej w ciele kuli.

To było gorsze niż sam postrzał. Tyner wgryzł się w pasek tak mocno, że spodziewał się usłyszeć trzask pękających zębów.

Grot napał mocniej i promieniujący z ramienia ból objął szyję i bark. Bogusław stęknął i zawył przez zaciśniętą kurczowo szczękę. Coś zgrzytnęło i nagle cierpienie zelżało.

– Jest cała – oznajmił Grot z zadowoloną miną i pokazał Tynerowi szczypce, w których tkwił zakrwawiony kawałek ołowiu.

Grot umieścił pocisk i szczypce w cynowej misce, po czym wyciągnął z ognia rozżarzony pręt.

Spojrzał porozumiewawczo na dragonów trzymających Tynera.

– Zrobię to szybko – obiecał i wbił końcówkę pręta w krwawiącą ranę.

Bogusław szarpnął się z bólu, lecz dragoni osadzili go w miejscu. Zaskwierczała skóra i tłuszcz. Chciał wyć, lecz zbyt mocno wbijał zęby w pasek. Trwało to długo, całą wieczność. Tak mu się przynajmniej zdawało.

– Będzie dobrze. – Głos Grota z trudem przebijał się do umysłu Tynera. – Założymy opatrunek z dziegciu. Dzięki temu nie wda się zakażenie.

Bogusław zamrugnął powiekami, patrząc, jak Grot odkłada pręt. Zrozumiał, że odpłynął na chwilę. Pierś pracowała mu jak miech w kuźni, a z czoła kapały gęste krople potu, mieszając się ze łzami.

Jedyne, o czym marzył, to aby choć na moment przestało go boleć.

Wachmistrz nałożył na opuchliznę cuchnącą maź i owinął ramię czystym płótnem. Gdy skończył, cmoknął z zadowoleniem i wręczył pacjentowi kubek z wódką.

– Pomoże na cierpienie – rzekł. – Za dwa, trzy dni, jak nie wda się gorączka, ból zelżeje. Teraz musisz dużo spać.

Tyner wychylił kubek do dna i pokazał, że chce dolewki.

– Wyruszamy jutro – rzekł.

Grot zastygł z uniesionym dzbanem.

– W takim stanie?

– Jutro – wycedził Tyner, zaciskając palce na kubku. – Wprost palę się z niecierpliwości, by poznać tę francuską dziwkę.

*

Przemierzając uliczki i place, Charlotta zmuszona była znosić ordynarne zaczepki żołnierzy. W miasteczku przebywało wiele ładacznic ciągnących za wojskiem i samotnie przechadzająca się niewiasta sama wystawiała się na afronty. Wprawdzie prawo zabraniało pod surowymi karami trzymania w obozie kobiet z wyjątkiem żon, jednak w armii koronnej panowało całkowite rozprężenie i nikt nie przejmował się przestrzeganiem regulaminu.

Charlotta przeskoczyła nad końskim łajnem zmieszonym ze śniegiem, kierując się ku niskiej chacie pozbawionej komina.

Weszła bez pukania, zastając imć Baranowskiego grzejącego się na ławie przy palenisku. W ciągu ostatniego miesiąca widzieli się trzykrotnie. Przy każdym z tych spotkań z rąk do rąk przechodziły złote luidory.

Rotmistrz podniósł się z ławy.

– Przyniosłaś? – zapytał, drapiąc się po piersi obok łańcuszka z medalionem z Matką Boską Częstochowską.

Mesire wyjęła spod kożuszka sakiewkę i rzuciła na stół.

Imć Baranowski zajrzał do trzosa i wyciągnął złotą monetę z podobizną Ludwika XIV.

– Ładne – mruknął, wrzucając pieniądz do sakiewki. – Kupię za to wieś w głębi kraju.

– Jak tam nasze sprawy na Polesiu? – zapytała.

Baranowski wyciągnął z kufierka kartę papieru i wręczył ją Charlotcie.

– Większość oficerów podpisała się pod petycją o odwołanie regimentarza – oznajmił z satysfakcją. – W każdej chwili gotowi są opuścić garnizony wokół Kijowa i ruszyć na południe, aby połączyć się z konfederatami w Mohylewie. Wyłamali się tylko ludzie pułkownika Piwo i Lebela.

– To komendanci dwóch najważniejszych garnizonów w Białej Cerkwi i Dymirze – zauważyła Charlotta z niezadowoleniem. – Często widywałam ich u hetmana.

– Obaj są zagorzałymi stronnikami Sobieskiego i z nim wiążą własną fortunę –

odrzekł Baranowski. – Z pewnością skłonią swych żołnierzy do podpisania deklaracji.

Mesire skinęła głową. Przeczytała listę nazwisk, przy których widniały stopnie wojskowe oraz cyfry odpowiadające łapówkom przyjętym przez oficerów.

– Brak tu potwierdzenia od chorągwi stacjonujących nad górnym Bohem – stwierdziła.

– Wysłałem tam zaufanego człowieka, lecz przepadł jak kamień w wodę.

Mesire zagryzła usta.

– Załatwisz to waszmość osobiście – poleciła.

– Te ziemie w większości należą do kniazia Dymitra – zauważył Baranowski. – Jeśli mnie pochwyca, za podburzanie przeciw dowódcy pójdę na stryczek.

– Więc nie daj się przyłapać – poradziła mu Mesire. – Dobrze się sprawisz, a nagroda cię nie ominie.

Baranowski wykrzywił twarz.

– Martwy człowiek nie jest ani bogaty, ani biedny – stwierdził oschle. – A wy, pani, dokąd teraz?

– Do Raskowa – skłamała. Nie żeby nie ufała Baranowskiemu, po prostu była ostrożna.

– Niebezpieczna to podróż, Rasków jest ostatnią naszą warownią na południu, dalej już jeno stepy tatarskie.

– Taka to służba, nie mam wyboru, jako i wy – odparła Charlotta. – Dla bezpieczeństwa wpierw skieruję się do Mohylewa, tam wynajmę barkę i popłynę Dniestrem w dół rzeki.

– Roztropny to pomysł – przyznał imć Baranowski.

– Zatem bywaj waszmość i liczymy, że następnym razem spotkamy się w zdrowiu – rzekła Charlotta na odchodne i opuściła izbę.

Na dworze uderzył w nią lodowaty wiatr. Narzuciła na głowę kaptur i skierowała się ku karczmie.

Drewniany budynek z piętrem i stajnią nie sprawiał dobrego wrażenia, lecz i tak była to najlepsza kwatera, jaką mogła znaleźć w zniszczonym miasteczku. Przy

wozowni spotkała Cichonia nadzorującego przygotowania do jutrzejszego wyjazdu. Do transportu dziwek i zaopatrzenia potrzebowała trzech wozów, koni pociągowych, a także dużej ilości paszy. Z najęciem ladacznic nie miała najmniejszego kłopotu. Po wojnie wiele kobiet było gotowych oddawać się mężczyznom za kromkę chleba. Charlotta oferowała im uczciwy zysk i opiekę.

Cichoń zajęty był rozmową z Mariam. Mimo mrozu dziewczyna miała na sobie tylko suknię, na którą opadały dwa grube warkocze kruczoczarnych włosów. Wyglądała znacznie lepiej niż w dniu, gdy Charlotta wyciągnęła ją z klatki w Brzeżanach. A jednak czuło się w niej smutek i obojętność, przez co mimo urody nie przyjmowała tylu klientów co pozostałe dziwki.

Cichoń pierwszy dostrzegł Charlottę i powiedział coś do Mariam. Ta spojrzała wystraszona na *madame* i spuściła głowę, po czym w pośpiechu oddaliła się w stronę wychodka.

- Co z nią? – zapytała Charlotta.
- Znowu odmówiła klientowi – rzekł Cichoń, kręcąc głową.
- Z jakiego powodu tym razem?
- Ponoć miał krosty na kuście.

Charlotta westchnęła.

– Zwraca na nas uwagę. Powinieneś jej zdrowo przyłożyć, jak zrobiłby to prawdziwy kurwimistrz.

Cichoń wykrzywił twarz. Widać było, że nie czuje się dobrze w wyznaczonej mu roli. Jednak człowiek zmuszony jest grać tym, co ma.

- Zajmę się tym, obiecuję – rzekł.
- Lepiej nie zwlekaj, dla jej własnego dobra. Za góra miesiąc zakończymy nasze zadanie i dziewczyna będzie zdana tylko na siebie. Jeśli nadal będzie wybrzydzać, umrze z głodu lub zimna.

Cichoń skinął głową, zawahał się, jakby zamierzał coś jeszcze powiedzieć.

Charlotta popatrzyła na niego z zachętą.

- Mogę zapytać, czemu wyratowałaś ją, pani, od śmierci?

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Powiedzmy, że mam słabość do biednych i pokrzywdzonych istot – odparła Mesire.

Cichoń podrapał się po wilgotnym zaroście.

– Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że już znam panią, jestem zaskakiwany.

Charlotta się uśmiechnęła. Klepnęła Cichonia w ramię, po czym skierowała się ku drzwiom karczmy.

W sali na parterze panował okropny zaduch i gwar. Dziesiątki mężczyzn grały się przy ławach, rozsiewając odór z niepranych od pierwszych mrozów ubrań. Za ladą zbitą z desek uwijał się karczmarz, wysoki barczysty mężczyzna z bielmem na lewym oku. Gdy tylko przekroczyła próg, jednooki spojrzał na nią i skinął przyjaźnie głową. Charlotta nie dała się zwieść – w oberżyście było coś złego.

W sali kręciło się kilka dziwek, które przywiozła z Baru, wykorzystujących ostatnią noc przed opuszczeniem miasteczka. Karczmarz w zamian za udział w zyskach odstąpił szopę na tyłach budynku, gdzie ladaczniczki mogły przyjmować klientów. Charlotta pomyślała, że powinna się tam udać i zobaczyć, jak idzie interes, lecz miała już dość tego syfu jak na jeden dzień. Pragnęła jedynie zaspokoić głód, przespać się i możliwie najszybciej opuścić to przeklęte zadupie.

Używając łokci, przepchnęła się do schodów. Nikt jej nie zaczepiał, mimo to – mężczyźni zawsze zostaną mężczyznami – gdy wchodziła po stopniach na piętro, czuła na tyłku ich lepkie spojrzenia.

Na ciemny korytarz wychodziło czworo drzwi, ostatnie po lewej prowadziły do jej kwatery.

Mesire zamknęła się od środka na skobel, po czym upewniła się, że nikt nie myszkował w izbie pod jej nieobecność. Kufer, który przywiozła ze sobą, jedyna cenna rzecz w tym chlewie, stał pod ścianą nienaruszony. Na resztę wyposażenia składały się ława, stół i łóżko ze zbitym, gruzłowatym siennikiem. Najbardziej jednak brakowało jej pieca czy choćby komina, przy którym mogłaby się ogrzać.

Charlotta bezradnie rozejrzała się po izbie i podziękowała losowi, że nie musi na stałe wegetować w takich miejscach. Co gorsza, ta nędzna klitka kosztowała ją kilka srebrnych monet, więcej, niż karczmarz mógł zarobić na połowie swych gości,

i tylko to przekonało go, aby usunął z izby poprzedniego lokatora, żydowskiego kupczyka.

Za oknem szarość przechodziła w czerń. W izbie zrobiło się ciemno. Charlotta sięgnęła do sakiewki noszonej u pasa pod suknią i wyjęła łańcuszek z metalowym pojemnikiem mieszczącym węgielek. Wystarczyło trochę nań podmuchać, aby pojawił się żar. Charlotta przytknęła knot świecy do rozżarzonego węgielka, po czym ustawiła świeatełko na stole.

Wprawdzie karczmarz wzbraniał palić świece w izbach z obawy przed zaproszeniem ognia przez pijanych lokatorów, ale Charlotta uznała, że płaci za ten chlew wystarczająco dużo i zasługuje na choćby odrobinę ciepła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Mesire sięgnęła po sztylet ukryty w rozcięciu sukni i trzymając ostrze za plecami, wyrzała na korytarz.

To była tylko służąca z wieczerzą.

Mesire odebrała posiłek i zamknęła drzwi. Usiadła przy stole i zabrała się do jedzenia. Na wieczerzę składały się chleb, kasza, trochę skwarek, i to wszystko za pieniądze, za które we Lwowie dostałaby wystawny obiad z winem.

Wyskrobawszy resztki stawy z glinianej miski, sięgnęła po gorzałkę. Karczmarz nalał więcej niż zwykle, pełną kwartę mocnej niechrzczonej wódki. Pierwszy łyk był najgorszy, potem już jakoś poszło. Charlotta nie wypila więcej, niż to było konieczne, aby rozgrzać się i wspomóc trawienie, gdyż w takich spelunach rzadko kiedy podawano świeże jado. Zdmuchnęła świecę i zmęczona ułożyła się do snu, wcześniej okrywszy się parą wełnianych koców.

Usypiała z myślą, że już wkrótce znajdzie się w lepszym miejscu.

*

Słońce zawisło nad czubkami drzew, gdy dwaj jeźdźcy minęli mogiły nad brzegiem jeziora i gnając wzdłuż jego brzegów, wjechali do spustoszonej osady. Tyner wiedział, że cztery lata wcześniej Tatarzy uprowadzili z tego miejsca półtora tysiąca osób, a ci, którzy przeżyli najazd ordyńców, znaleźli schronienie na wyspie

znajdującej się pośrodku jeziora. Tyner i Grot zostawili za sobą zgliszcza i wjechali na drewniany most prowadzący na wyspę. Przy solidnej bramie osadzonej w ostrokole zatrzymała ich pikieta rajtarów.

– Co was sprowadza, waszmościowie!?! – zakrzyknął brodaty drab w futrzanym płaszczu i kapeluszu ze skórzanym rondem.

– Przyjechaliśmy kupić żywność i zabawić się z kobietami – odparł Tyner.

– To dobrze trafiliście, wczoraj zjechały do nas nowe ladacznice. W trzy wozy!

– Gdzie je znajdziemy?

– W karczmie przy rynku – odrzekł rajtar i pokazał ręką, aby przejeżdżali za bramę.

Osada liczyła około stu domów i kleci skupionych wokół młyna i unickiego kościoła. Wszędzie widać było żołnierzy, zarówno polskich, jak i cudzoziemskiego zaciągu, często pijanych i zawsze wychudłych z zimowego niedostatku.

Podążając przez zamiecioną śniegiem uliczkę, dotarli do ryneczku, wokół którego stało kilka okazałych chałup, w tym karczma wspomniana przez rajtara. Na wolnej przestrzeni rozłożył się obozem oddział piechoty niemieckiej. Zbliżała się pora posiłku i żołnierze w łachmanach stłoczyli się przy miedzianym kotle o pojemności kilkunastu wiader, w którym bulgotała źle pachnąca breja.

Tyner i Grot zsiadli z koni przed karczmą. Porucznik zapłacił stajennemu za przechowanie i nakarmienie zwierząt, po czym wszedł z Grotem do zajazdu. Bogusław rozejrzał się po zadymionej sali. Przy ławach grzało się sporo mężczyzn, więc potrzebował chwili, aby wypatrzeć wolne miejsce dla dwóch osób.

Ruch był spory i przez dłuższą chwilę żadna z trzech usługujących dziewczek nie pofatygowała się przyjąć od nich zamówienia. Również jednooki oberżysta lejący okowitę wprost z beczek opartych na krzyżakach nie zainteresował się nowo przybyłymi gośćmi. W końcu Grot zniecierpliwiony oczekiwaniem wykorzystał okazję, gdy jedna z kobiet przemknęła obok nich z pustymi miskami. Chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

– Co tam dzisiaj podajecie? – zagaił, zerkając łakomie na piersi widoczne pod zgrzebną sukienką dziewczki.

– Dziś jest to, co było wczoraj i co będzie jutro – odparła i zręcznie uwolniła się z uścisków wachmistrza. – Kasza jaglana ze skwarkami.

– Zatem dwie miski tego specjału prosimy – powiedział Grot. – I dwie kwarty przepalanki.

– Kwarta będzie dość – wtrącił Tyner, co spotkało się z nieskrywaną dezaprobatą wachmistrza.

– Gorzałki żałujesz na taki ziąb? – rzekł Grot z wyrzutem, odprowadzając wzrokiem tyłek posługaczki.

– Mamy tu coś do zrobienia – przypomniał mu Tyner. – Masz być trzeźwy, póki tego nie załatwimy.

Wachmistrz wykrzywił się, ale nie oponował, dostrzegając paskudny nastrój porucznika.

– Ramię boli? – zapytał.

– Trochę – przyznał Tyner, choć ręka rwała dużo bardziej niż tylko trochę. – Przez jazdę konno rana znów zaczęła krwawić.

– Muszę to obejrzeć.

– Później, kiedy już ją rozpoznasz – odrzekł Bogusław szeptem, obserwując, jak jedna z ladacznic prowadzi klienta do przejścia prowadzącego na zaplecze karczmy. Odgadł, że tam mieści się pomieszczenie, w którym dziwki przyjmują mężczyzn.

Strawę dostali nawet szybko. Tyner zapłacił posługaczce, po czym wyjął łyżkę z pokrowca przypiętego u pasa. Grot swoją trzymał wprost w cholewie buta. Zabrali się do jedzenia i szybko dotarli łyżkami do dna misek.

Na koniec posiłku Tyner osuszył kubek z bimbrem i otrząsnął się jak mokry pies.

– To ona, w drzwiach. – Grot skierował uwagę porucznika na kobietę, która wkroczyła do karczmy, wpuszczając do sali mroźną parę.

Jak mówił Grot, ładna była bestyjka. Tyner obserwował ukradkiem, jak Francuzka zmierza w stronę schodów, wchodzi po stopniach na górę i znika za balustradą na piętrze.

– Co robimy? – zapytał Grot.

– Czekamy i obserwujemy – odparł Bogusław.

– Może wypytam którąś z kurew – zaproponował wachmistrz, patrząc na dziewczkę wyłaniającą się właśnie z przejścia na zaplecze. Miała kruczoczarne włosy splecione w warkocze, ciemne oczy i ładnie wykrojone usta. Wyglądała na Żydówkę lub Ormiankę. Bogusław wyczuł w niej jakiś smutek.

– Rozumiem, że zrobisz to na mój koszt, dla dobra ojczyzny – powiedział Tyner uszczypliwie.

– A jakże, zawsze gotów jestem dobyć miecza, gdy kraj w potrzebie – odparł Grot z lubieżnym uśmiechem.

– Kraj potrzebuje cię gdzie indziej, żołnierzu – odrzekł Tyner stanowczo. – Podpytaj pachołów w stajniach i wozowni, może będą coś wiedzieli o celu jej dalszej podróży. Tylko dyskretnie.

Grot wyraźnie nieukontentowany wstał zza ławy i opuścił ciepłą karczmę. Bogusław znów zerknął na ciemnooką ladacznicę. Minęło wiele czasu, odkąd miał kobietę, a i to po pijanemu. Od utraty Marii nie wiodło mu się dobrze w tych sprawach. Ani w żadnych innych, jeśli miał być szczerzy sam ze sobą.

Ktoś znów otworzył drzwi, wpuszczając do sali podmuch zimna. Tyner zerknął na mężczyznę stojącego w progu i rozpoznał imię Baranowskiego. Rotmistrz ściągnął czapkę z głowy i omiótł wzrokiem garbiących się przy ławach klientów, jakby szukał kogoś szczególnego. Tyner spuścił głowę i wtulił ją w ramiona. Nie śmiał spojrzeć w stronę drzwi, lecz czuł podskórnie, że Baranowski patrzy w jego stronę.

– Rotmistrzu, zapraszamy do nas! – zakrzyknął ktoś w drugim końcu sali.

Imię Baranowski wzniosł ręce w przyjacielskim geście i ruszył dołączyć do czterech biesiadujących pospołu szlachciców. Tyner obserwował, jak dosiada się do towarzystwa, a potem przyjmuje od posługaczki kaszę i gorzałkę.

Bogusław musiał znaleźć sposób, aby wyjść z sali niezauważony, póki rotmistrz zajęty był wieczerzą. Pomyślał, że mógłby się wmieszać w grupę mężczyzn opuszczających karczmę, ale jak na złość nikt z gości nie zbierał się do wyjścia.

Wzrok Tynera ponownie pomknął ku ciemnookiej ladacznicy. Tym razem na dłużej. Kobieta wyczuła skupioną na sobie uwagę. Uśmiechnęła się sztucznie i zbliżyła do Bogusława.

– Pójdiesz ze mną, panie? – zapytała, schylając się, aby mógł spojrzeć jej w dekolt.

– Jak ci na imię? – zapytał.

– Mariam.

Tyner zerknął na imię Baranowskiego. Rotmistrz nie patrzył w jego stronę, pogrążony w rozmowie z opasłym szlachcicem.

– Pójdę, tylko podeprzyj mnie – poprosił i wstał z ławeczki, udając pijanego.

Dziewka, widząc, że się chwieje, podtrzymała go uczynnie. Tyner poczuł, jak jej dłoń muska jego sakiewkę. Poznawszy ciężar trzosa, ciemnooka przysunęła się bliżej i objęła go ramieniem w pasie.

Tyner opuścił głowę, skrywając twarz. Dziewka przeprowadziła go między ławami do szynkwasu, skąd już tylko kilka kroków dzieliło ich od wyjścia na zaplecze.

– Stój, waszmość. – Gromki głos Baranowskiego podbił Tynerowi serce do samego gardła.

Porucznik sięgnął po szablę i zerknął przez ramię, spodziewając się ujrzeć wymierzoną w siebie broń.

Rotmistrz patrzył jednak na kogo innego. Mężczyzna miał lat koło trzydziestu, nosił rajtarski kolet i kapelusz z szerokim, podwiniętym z jednej strony rondem. Twarz miał przystojną, prawie jak na męża zbyt piękną, ozdobioną długimi wąsami i z cudzoziemska przyciętą brodą.

Wrażenie zniewieściałości prysło jednak, gdy Tyner na jedno uderzenie serca zobaczył oczy tego człowieka, błękitne i lodowate jak moskiewska zima. Rajtar sięgnął pewnym gestem do noszonego u boku rapiera i stanął przed rotmistrzem.

– Wstrzymaj się z rapierem, panie Ketling! – zakrzyknął imię Baranowski, unosząc puste dłonie. – Pomówić z wami jeno chciałem o waszej służbie.

Bogusław pociągnął za sobą Mariam, odgarnął płachtę zawieszoną w odrzwiach i oboje znaleźli się w ciemnej, śmierdzącej stęchlizną sieni. Dziewka pociągnęła go w prawo, lecz Bogusław wyczuł podmuch powietrza w lewej odnodze sieni, a potem usłyszał trzaskanie niedomkniętych drzwi. Oparł się ramieniem o ścianę, udając, że

dopadły go mdłości. Ladacznicą odsunęła się z obawy, by nie opryskał jej wymiocinami.

– Nie dam rady – rzekł Tyner. – Za dużo przepalanki.

Dziwka, czując, że wymyka się jej zarobek, znów przysunęła się bliżej.

– Legniesz ze mną na sianie, to ci się poprawi – obiecała, sięgając dłonią jego krocza.

Bogusław odepchnął ją stanowczo.

– To za fatygę. – Wcisnął w kobiecą dłoń monetę, po czym skierował się w stronę wyjścia z karczmy.

Dotarłszy na dwór, wyprostował się, zrzucając z siebie pozę pijaka. Szybkim krokiem odszedł w stronę wozowni z zamiarem odnalezienia Grota. Zapadał zmierzch i zostało mu niewiele czasu na wymyślenie planu, jak dopaść Francuzkę.

*

Zbudziło ją skrzypnięcie deski w podłodze na korytarzu. Charlotta doskonale wiedziała której. Sama obluzowała ją zaraz po zakwaterowaniu się w tej spelunie. Resztki snu pierzchły spod powiek Mesire niczym wystraszone kawki. Sięgnęła pod zwinięty płaszcz zastępujący jej poduszkę i wysunęła sztylet.

Bezglśnie usiadła i opuściła stopy na zimną podłogę. Wstała z łóżka, prostując się.

Kolejne skrzypnięcie, tym razem zawiasów w drzwiach, wypowiedziało Mesire, że ktoś z zewnątrz usiłuje podważyć skobel.

Podkradła się pod ścianę tuż przy drzwiach i uniosła sztylet, czekając na nieproszonych gości.

Czuła, jak serce tłucze jej się w piersi, odmierzając wpływające sekundy. W końcu drzwi otworzyły się bezgłśnie i z korytarza wsunęło się dwóch mężczyzn. Charlotta odczekała, aż człowiek idący jako drugi ustawi się do niej plecami, i bez wahania przebiła go sztyletem. Mężczyzna stęknął boleśnie i się zatoczył. Zanim padł na podłogę, Mesire skoczyła na jego towarzysza, mierząc ostrzem w pierś. Była szybka, tamten nie miał szans ująć z życiem.

Ostrze uderzyło prosto w serce, lecz zamiast zagłębić się w ciało, ześlizgnęło się z metalicznym zgrzytem. Nim Charlotta zareagowała, mężczyzna wykonał gwałtowny ruch ręką i coś twardego grzmotnęło ją w głowę. Izba rozmazała się wokół niej, ściany falowały. Ból rozsadzał skroń, czuła, jak krew zalewa jej twarz. Stęknęła, gdy ugięły się pod nią nogi. Wypuściła sztylet i padła na kolana, podpierając się na rękach. Kolejny cios w tył głowy rozciągnął Mesire na podłodze i odebrał jej jakąkolwiek możliwość stawienia oporu. Ostatkiem sił uniosła rękę, odpychając napastnika, i natrafiła na coś twardego i chłodnego chroniącego mu tułów.

Usiadł na niej i chwycił jej włosy.

– Gdzie trzymasz klucz do kufra, dziwko? – wysyczał i przyłożył pałkę do jej twarzy. – Ostrzegam, wybiję ci wszystkie zęby i zmiażdżę tę śliczną buźkę. Gdy z tobą skończę, będziesz mogła dawać dupy co najwyżej żebrakom.

Charlotta zadrżała. Nie wątpiła, że bandyta spełni groźbę.

– W sakiewce pod suknią – wyjawiała.

Paluchy oprycha wsunęły się pod materiał sukni i podążyły po jej nodze niczym wielki pająk. Rozchyliła zapraszająco uda, licząc, że oprych nie różni się od większości mężczyzn.

– Jeśli potem mnie puścisz, nie będę się opierała – obiecała kusicielskim tonem.

Nie zawiodła się, twarde paluchy wpełzły w złączenie jej ud, brutalnie wepchnęły się w delikatne wnętrze. Charlotta zacisnęła usta, ignorując ból i skupiając się na tym, co musiała zrobić, by przeżyć.

Jęknęła i przechyliła głowę w bok, wypatrując w ciemności sztyletu. Upadł bliżej, niż początkowo sądziła, wystarczyło wyprostować rękę.

– Wpierw klucz. – Zimne warknięcie oprycha rozproszyło jej uwagę.

Używając pałki, zmusił Charlotte, aby spojrzała mu w twarz, a potem przydusił jej krtań. Drugą dłonią odszukał sakiewkę, wyjął klucz i odłożył go na podłogę.

Ciężar przygniatający Mesire zelżał na krótką chwilę, gdy jej oprawca zabrał się do ściągania spodni. Słyszała, jak dyszy nad jej twarzą, dostrzegając w ciemności zarys krzywego nosa, ust i policzków. Ciemne jamy oczu wpatrujące się w nią bez

litości.

Oprych krzyknął, gdy paznokcie Charlotty rozorały mu twarz. Wbiły się w żywe mięso, zdarły skórę, orząc w niej krwawe bruzdy. Chciała oślepić go, wydrapać mu oczy, lecz był za szybki, zdołał cofnąć głowę.

– Ty kurwo. – Z wściekłym warknięciem zrobił potężny zamach pałką.

Jęknęła, wyciągając rękę po sztylet. Wiedziała, że nie zdoła zasłonić się przed okrutnym ciosem.

Nagle twarz bandyty zakryła czyjaś dłoń, wielka i blada. Jej oprawca szarpnął się, lecz pod dłonią pojawiło się ramię, oplotło mu szyję i brutalnie pociągnęło go w tył.

To był Cichoń, poznała go od razu.

Oprych szarpał się w stalowym uścisku wachmistrza, wierzgając i szorując piętami o podłogę. Miał szeroko otwarte usta, lecz z jego gardła wydobywał się tylko cichy charkot.

– Nie zabijaj go – rzuciła w chwili, gdy bandyta zwiotczał w mocarnych ramionach Cichonia.

Sięgnęła po sztylet i wyprostowała się, czując okropne łupanie pod czaszką. Wciąż lekko zamroczone podeszła do drzwi. Wyjrzała na korytarz, był pusty. Nawet jeśli ktokolwiek słyszał odgłosy towarzyszące walce, nie wściubiał nosa w nie swoje sprawy. Charlotta zatrzasnęła drzwi, po czym zapaliła nadtopioną świecę, która została na stole po kolacji. Wąty płomień oświetlił Cichonia trzymającego w uścisku nieprzytomnego mężczyznę. Rozpoznała tę twarz – to ten człowiek wymienił spojrzenia z karczmarzem, gdy wróciła ze spotkania z imć Baranowskim. Oprych miał na sobie kirys, który ochronił go przed pchnięciem sztyletem.

Mesire podziękowała losowi, że mężczyzna, którego zabiła, nie wykazał się podobną przezornością. Teraz leżał na brzuchu w kałuży krwi. Nie musiała widzieć jego twarzy, aby rozpoznać w trupie karczmarza.

Charlotta podniosła nocnik z podłogi i wylała jego zawartość na twarz oprycha. Parsknął i krztusząc się, wybałuszył oczy. Widząc swą niedoszłą ofiarę trzymającą sztylet, szarpnął się w ramionach Cichonia, lecz wachmistrz przytrzymał go bez trudu.

Mesire przyłożyła ostrze do twarzy mężczyzny.

– Kto was przysłał? – zapytała.

– Nie zabijaj – zaskrzeczał. – Mam pieniądze.

– Zatkaj mu usta – poleciła Charlotta Cichoniowi.

Dłoń wachmistrza zdusiła krzyk mężczyzny, gdy Mesire przebiła mu oko sztyletem. Oprych dygotał i łkał. Charlotta dała mu chwilę, aby przemyślał swoje położenie.

– Kto was przysłał? – zapytała ponownie.

– Przysięgam, nikt – zaskomlał. – Chcieliśmy tylko pieniędzy z kufra.

Charlotta przysunęła sztylet do zdrowego oka.

– Tylko nie to, błagam. Przysięgam, mówię prawdę. Chcieliśmy zdobyć pieniądze!

Mesire jednym ruchem ostrza poderżnęła mu gardło. Dłoń Cichonia stłumiła przedśmiertny charkot mężczyzny.

– Co o tym myślisz? – zapytała go Charlotta.

Cichoń wypuścił zwłoki i wyprostował się.

– To był rabunek – odparł z namysłem.

– Mógł łąć.

– Po tym, co mu pani zrobiła? – rzekł z powątpiewaniem.

Charlotta przygryzła wargę i spojrzała w mrok za oknem.

– Pewnie masz słuszość, ale nie będziemy ryzykować – zdecydowała. – Wyjeżdżamy o świcie, jak tylko otworzą bramy.

*

Wozy ujrzeni późnym rankiem, zmierzały na południe przez moczarową dolinę porośniętą grabem, olchą i brzozą. Zadaszone pojazdy, każdy ciągnięty przez parę koni, toczyły się niespiesznie przez zamieciony śniegiem gościniec. Wozom towarzyszyło czterech uzbrojonych jeźdźców podążających w parach przed i za kolumną. Także woźnice i czeladź mieli rusznice, kordy, tasaki, a nawet szable.

Tyner spojrział na lasek po drugiej stronie gościńca. Wśród ośnieżonych chaszczy, łaciatych pni brzoź i zasp kryli się jego dragoni. Druga połowa oddziału czała się na pagórku wraz z nim, pod osłoną grabów i krzewów.

Strażnicy poprzedzający wozy minęli samotną mogiłę wznoszącą się nieopodal brzożek i wprowadzili kolumnę w zasadzkę. Tyner odczekał, aż pojazdy znajdą się naprzeciw stanowisk strzeleckich, po czym sięgnął po pistolet i wyszedł zza drzew. Będąc już na widoku, wznosił lufę i wystrzelił w niebo. Na ten znak zza krzaków, zasp i pni wyroili się dragoni, mierząc w kolumnę z rusznic.

Strażnicy wstrzymali spłoszone wierzchowce. Jeden z mężczyzn wyjechał kilka końskich kroków naprzód i pokazał puste dłonie.

– Nie wieziemy nic cennego! – zakrzyknął. – Na wozach są tylko kobiety!

Tyner zmrużył oczy, lecz kołnierz kozucha i głęboko wciśnięta na oczy lisia czapa uniemożliwiły mu przyjrzenie się rysom mężczyzny.

– Rzućcie broń, jeśli chcecie żyć! – odkrzyknął Bogusław. – Daję wam parol szlachecki, że nikomu nie stanie się krzywda.

– Czemuż mamy ci wierzyć?

– Nie macie wyboru. Spróbujcie stawić opór, a zginiecie.

Strażnik opuścił powoli ręce i zsunął się z siodła, potem odpiął od boku szablę i rzucił ją na gościniec. Jego towarzysze i czeladź uczynili podobnie. Dragoni zapędzili mężczyzn na pobocze i kazali im klęczeć na śniegu, z dłońmi złożonymi na karkach.

Tyner zszedł na gościniec i zbliżył się do pierwszego wozu w kolumnie. Zatrzymał się kilka kroków od uchylonej plandeki, zza której dobiegały wzburzone kobiece głosy.

– Jeśli macie broń, odłóżcie ją! – zawołał. – Nie uczynimy wam żadnej krzywdy!

W szparze plandeki pojawiła się kobieta. Dziwka, którą poznał w karczmie. Ona również go rozpoznała. Na jej twarzy malował się lęk. Wygramoliła się z wozu, podciągając do kolan szubę z zajęczych skórek, po czym zbliżyła się do Tynera.

– Jeśli macie ochotę się zabawić, potrzebna będzie inna lufa – rzekła, zatrzymując się i spoglądając na pistolet w dłoni porucznika.

Bogusław wręczył broń towarzyszącemu mu dragonowi, zrobił dwa kroki i znalazł się tuż przy ladacznicy.

– Gdzie Francuzka? – zapytał. – Zabiorę ją, a wy pojedziecie swoją drogą.

– Jaka Francuzka?

Tyner bez wahania zdzielił dziewczkę w twarz otwartą dłonią.

– Pytam raz jeszcze: gdzie ona jest? – rzekł spokojnym głosem. – Dobrze się zastanów, co chcesz mi tym razem powiedzieć.

Dziwka potarła bolący policzek.

– Nie ma jej z nami – odparła. – Obudziła mnie przed świtem i kazała wyruszyć rankiem. Powiedziała, że dołączy do nas w Białej Cerkwi.

Tyner popatrzył na Grota, który po kolei zaglądał do wozów.

– Tu jej nie ma – stwierdził wachmistrz, przyjrzawszy się kobietom.

– Przetrząśnijcie wozy, szukajcie kufra lub skrytki – zdecydował Tyner. Skupił uwagę na stojącej przed nim kobiecie. – Masz na imię Mariam?

– Tak, panie.

– Jeśli wyczuję, że mnie okłamujesz, każę zabić was wszystkich i zostawić w lesie, rozumiesz?

Mariam wytrzeszczyła na niego oczy. Spojrzała przez ramię na wozy, z których dragoni wyciągali na śnieg jej towarzyszki.

– Muszę wiedzieć, czy zrozumiałaś – ponaglił ją.

– Tak – szepnęła przerażona.

– Wiesz, jak się nazywa ta Francuzka?

Mariam zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kazała zwracać się do siebie „*madame*”.

– Została w osadzie czy pojechała w inną stronę?

– Nie wiem... – Nie zabrzmiało to wystarczająco szczerze.

– Mów! – nastawał na nią Tyner z groźną miną.

– Chyba udali się do Mohylewa – wyrzuciła z siebie, bliska płaczu.

– Dlaczego tam?

– *Madame* towarzyszył sługa. Wysoki, starszy już, z jasnymi oczyma.

Przyjmowałam go w noc przed wyjazdem. Zapytałam, gdzie tym razem jedziemy. Wspomniał, że ktoś czeka na niego w Mohylewie. Zasnęłam, a gdy się obudziłam przed świtem, jego już nie było. Potem zjawiła się *madame* i kazała jechać bez niej do Białej Cerkwi. – Spojrzała Tynerowi głęboko w oczy. – Przysięgam, więcej nie wiem. Mówię prawdę.

Patrzyli na siebie, milcząc. Uwierzył jej.

– W których garnizonach byłyście?

– We wszystkich większych po tej stronie Bohu – odparła.

Tyner zagryzł wargi. Z niechęcią musiał przyznać, że Francuzka wykonała dla Sobieskiego kawał dobrej roboty.

– Co z nami będzie? – zapytała dziewczyna.

– Pojedziecie swoją drogą. Tak jak zostało to ustalone z Francuzką. Gdy dotrzesz na miejsce, zgłosisz się do pułkownika Piwo i oddasz się mu pod opiekę. Wokół Kijowa stacjonuje kilka tysięcy żołnierzy, zarobku wam nie zabraknie.

– A jeśli *madame* znów się pojawi?

– Powiadomisz pułkownika Piwo. On będzie wiedział, co czynić. – Tyner chwycił Mariam za podbródek. – I pamiętaj: od teraz pracujesz dla mnie. Nie próbuj mnie okpić, bo nie znajdziesz miejsca, w którym będziesz mogła się ukryć przed moją zemstą.

– Mamy coś! – krzyknął Grot, przerywając im dyskurs.

Tyner podszedł do wozu z zaopatrzeniem, z którego dwóch dragonów i Grot wytaszczyli beczkę na dziegieć.

– Ciężka, kurwa mać – mruknął wachmistrz, prostując plecy. – Coś musi być w środku.

– Rozłupcie ją – rozkazał Tyner.

Grot odebrał siekierę od dragona i łupnął ostrzem w środek beczki, rozłamując klepki. Z otworu chlusnęło cuchnące mazidło, brudząc na brązowo śnieg.

Ludzie cofnęli się przed smrodem. Tyner przyłożył rękaw kozucha do nosa i obserwował, jak Grot rąbie beczkę.

Wachmistrz odsunął się z siekierą i Bogusław zajrzał między rozszczerzone

deszczułki. Wewnątrz była tylko lepka maź, jednak dno beczki znajdowało się za wysoko w stosunku do jej rozmiarów.

Tyner cofnął głowę, czując, jak smród dziegciu wyciska mu łyzy z oczu.

– Tu jest skrytka. – Wskazał czubkiem buta dolną część baryłki.

Dwóch dragonów wywróciło beczkę. Grot rąbnął siekierą i rozległ się trzask, gdy ostrze przebiło się przez dno.

Tyner poczuł, że serce szybciej mu bije.

– Rozwal to – warknął.

Grot postawił stopę na klepkach i pociągnął za trzonek siekiery, uwalniając narzędzie i robiąc w beczce sporą dziurę. Skrytka była pusta.

Wachmistrz roześmiał się ochryple.

– Oto wasze złoto – rzekł cierpko i odszedł, ciskając siekierę na wóz.

Tyner milczał, wpatrując się w rozłupaną baryłkę. Równie bezużyteczną jak cały jego plan.

Bratnie dusze

Od momentu opuszczenia osady Charlotta i Cichoń gnali, ile sił w końskich nogach, przez białe bezludne pustkowia. Po kilku godzinach takiej jazdy wierzchowce się zmęczyły i wachmistrz zaproponował postój.

Wjechali między drzewa oblepione białymi płatami i zatrzymali się kilkadziesiąt kroków od skraju lasu, przy zwałonym buku. Charlotta z ulgą zsunęła się z siodła, czując, że jej tyłek zmienił się w zamarznięty kamień.

Cichoń wydawał się lepiej znosić trudy. Oddalił się w las i zaczął brodzić w głębokim śniegu, wypatrując czegoś pod nogami.

– Czego szukałeś? – zapytała Mesire, gdy powrócił.

– Wilczych tropów. Zimą zdarza się, że watahy atakują ludzi.

Charlotta rozejrzała się z lękiem, ale jedyne, co ujrzała, to pnie drzew i zasypany śniegu otaczające ich zewsząd.

– Nie ma ich tu – uspokoił ją Cichoń. – Odpoczniemy troszkę i ruszamy dalej.

Wachmistrz podczepił pod końskie pyski worki z obrokiem, a potem wyciągnął z sakwy chleb i wędzoną baraninę. Tak skromny posiłek nie był spełnieniem marzeń Charlotty, ale popity kilkoma łykami wódki z manierki przynajmniej rozgrzał ją od środka.

Mesire przymknęła oczy, wsłuchując się w ćwierkanie zięby, która odezwała się z głębi lasu. Pomyślała, że mogłaby osiąść na takim odludziu. Być wolna od przeszłości i dokonanych wyborów. Wiedziała jednak, że to tylko przyjemne mrzonki.

– Myślisz, że wystarczająco dobrze ukryliśmy złoto? – zapytała Cichonia. Wciąż martwiła się, że ktoś przypadkiem odkryje pieniądze, które zakopali przed wyjazdem z miasteczka.

– Nie mogliśmy zrobić nic więcej – odrzekł Cichoń. – Jeśli miała pani rację, dziewczyny zostaną zatrzymane po drodze, a wozy przeszukane.

„Jeśli miałam rację?”

Kierowała się instynktem, ale takie wytłumaczenie mogło nie zadowolić Marysieńki, jeżeli ktoś znajdzie ukryty skarb. Charlottę pocieszało jedynie to, że pieniędzy nie zostało już wiele, większość zdołała przekazać wojskowym zaangażowanym w organizację spisku.

– Gdy tylko dotrzemy do Baru, wyślę ludzi, aby wykopali pieniądze – powiedział Cichoń na pocieszenie. – Zamartwianie się niczego nie zmieni.

Wiedziała, że jej towarzysz ma rację.

Po krótkim odpoczynku zaczęli się szykować do podróży. Cichoń zapakował prowiant do sakwy, a potem udał się za jedną z zasp. Charlotta miała świadomość, że i ją w końcu czeka wycieczka w ustronne miejsce, z tą różnicą, że będzie zmuszona wystawić goły tyłek na siarczysty mróz. „Nawet w tym mężczyźni mają lepiej”, pomyślała smętnie.

Cichoń wrócił, poprawiając ubranie, i zbliżył się do Charlotty, aby pomóc jej dosiąść klaczy.

Wsunęła stopę w strzemię, ale wachmistrz zastygł w bezruchu.

Przechylając głowę, patrzył między ośnieżone drzewa.

Mesire poczuła dreszcz grozy. Uwolniła stopę ze strzemienia i obróciła się twarzą do Cichonia.

– Co się dzieje? – szepnęła.

– Ptak przestał śpiewać – mruknął Cichoń, sięgając po pistolet umieszczony w olstrze.

– Wilki? – zapytała drżącym głosem.

– Ludzie – odparł Cichoń i wcisnął broń w dłoń Charlotty.

– Ilu ich jest?

– Na razie widzę tylko jednego, kryje się za krzewami jarzębiny na lewo po skosie. Jeśli mamy szczęście, to tylko myśliwy.

Spojrzenie Mesire pomknęło we wskazane przez Cichonia miejsce. Dostrzegła czapkę wystającą zza ośnieżonych gałęzi.

– Na mój znak proszę się ukryć za tym pnem – polecił wachmistrz i odszedł do swego ogiera. Udając, że sprawdza stan kulbaki, wyciągnął rusznicę ze skórzanego pokrowca. Wtedy spojrzał w jej stronę i poruszył bezgłośnie ustami.

– Teraz!

Charlotta sięgnęła po szablę przymocowaną do siodła i zgięta wpół doskoczyła do wywróconego drzewa. W tej samej chwili huknął strzał. Mesire wyjrzała ostrożnie zza pnia i zobaczyła pięciu mężczyzn poruszających się między drzewami. Mieli na sobie chłopskie kozuchy i baranie czapy. W łapskach ściskali tasaki, siekiery i szable. Jeden z drabów trzymał w dłoniach dymiącą rusznicę.

– Nie pozwól zajść mnie od tyłu! – rzucił wachmistrz i ruszył ku zbrojcom, od razu przyciągając ku sobie trzech napastników.

Pozostali dwaj ruszyli wprost na Charlottę. Zapewne nie przyszło im do głów, że stawi poważniejszy opór.

Mesire wbiła pionowo szablę w zmarznięty śnieg i zacisnęła dłonie na kolbie pistoletu, modląc się, by proch nie spalił na panewce, co czasem zdarzało się przy tej broni.

Za jej plecami huknął strzał z rusznicy Cichonia i mroźne powietrze przeszył

krzyk trafionego zbrojcy. Charlotta nie miała czasu spojrzeć w tamtą stronę. Uniosła oburącz pistolet i nacisnęła spust. Kurek uderzył z suchym trzaskiem o krzesiwo, iskrząc proch. Pierwszy z bandytów odruchowo zwolnił, co pozwoliło Charlotcie lepiej wycelować. Broń szarpnęła przy strzale i mężczyzna padł w śnieg, tryskając krwią z rozłupanej głowy.

Charlotta odrzuciła dymiący pistolet i wydobyła szablę z zasy, nim drugi ze zbrojców natarł na nią z uniesioną siekierą. Odbiła okrutny cios wymierzony w jej głowę i natychmiast wykonała szermierczy zwrot, spuszczaając szablę na ramię napastnika. Ostrze trafiło w cel, lecz zatrzymało się na grubym rękawie kozucha, nie upuszczając kropli krwi ze zbira.

Mimo to opuścił siekierę, co pozwoliło Mesire skrócić dystans między nimi. Zrobiła krok w przód, jednocześnie tnąc szablą przez brodatą gębę i odcinając kawałek nosa i ust.

Zbir wypuścił siekierę i chwycił się za twarz. Charlotta, nie ryzykując, że klinga znów zatrzyma się na kozuchu lub czapce, chlasnęła szablą w zakrwawione dłonie mężczyzny, odrabując mu palce niczym kawałki miękkiego drewna. Zbrojca zawył opętańczo i cofając się przed kolejnym ciosem, potknął się i padł na plecy. Charlotta chwyciła oburącz rękojeść szabli i z całej siły wbiła ostrze w pierś wijącego się w śniegu człowieka. Stal weszła głęboko, przebijając kozuch i ciało, mimo to nie przestawała pchać dopóty, dopóki klinga nie zazgrzytała o kość.

To ją otrzeźwiło. Spróbowała wydostać ostrze, ale zaklinowało się na dobre między żebrami.

Obejrzała się przez ramię i serce podskoczyło jej do gardła. Cichoń tarzał się po ziemi, walcząc z potężnie zbudowanym bandytą, dwóch pozostałych zbirów leżało martwych w krwawym śniegu. Chłop zdawał się wygrywać. Przygniatał Cichonia potężnym cielskiem i trzymał go za twarz, drugą ręką sięgając po zgubiony podczas szamotaniny tasak.

Charlotta puściła rękojeść szabli i sięgnęła po sztylet schowany w bucie. Podbiegła do szamoczących się mężczyzn i wbiła ostrze w pochylony kark bandyty duszącego Cichonia.

Rozległ się trzask pękającej kości i drab zwałił się na śnieg. Mesire wyszarpnęła

sztylet z jego szyi, krew i płyn rdzeniowy ochlapały jej twarz.

Cichoń patrzył na nią. Uświadomiła sobie, że na jego ubraniu jest za dużo krwi. Była na całym tułowiu wachmistrza, plamiąc na ciemno włosie kozucha.

Charlotta padła na kolana i szybko rozpięła mu kozuch. Używając sztyletu, rozcięła materiał przesiąkniętej krwią koszuli i odsłoniła ranę na brzuchu, z której wyciekała gęsta czerwień.

– Jak to wygląda? – Głos Cichonia wyrwał ją z szoku.

Spojrzała mu w oczy. Nie było sensu kłamać.

– Rana jest głęboka, lecz wąska. Przynajmniej nie powypadają ci kiszki na zewnątrz.

– Trzeba ją zatkać – wystękał.

– Zajmę się tym. Tylko się nie ruszaj.

Zaczerpnęła śniegu w dłoń i przemyła ranę. Potem wyciągnęła z juków własną zapasową koszulę i pocięła materiał na szerokie równe pasy, którymi obwiązała tułów Cichonia.

– Musimy jechać – powiedziała.

Cichoń podparł się na łokciu.

– Dołożyliśmy kurwisynom – zauważył, krzywiąc się z bólu.

Charlotta pomogła wachmistrzowi podnieść się na nogi i doprowadziła go do konia. Musiała wyteńczyć wszystkie siły, aby podsadzić dużo cięższego od siebie mężczyznę na siodło. Potem w końcu wyrwała swoją szablę ze zwłok zbójcy, dosiadła swojej klaczy i wyjechali z lasu na otwarte pola.

Przez resztę dnia Cichoń nie odzywał się wiele. Kiwał się w siodle, jakby kolejny podmuch lodowatego wiatru miał go z niego zwalić.

Pod wieczór zawieja przybrała na sile, sypiąc jeźdźcom w twarz śniegiem, oślepiając ich i mroząc na kość. Charlotta wiedziała, że muszą znaleźć schronienie i przeczekać noc, ale nie widziała nic poza mrokiem i gęstą zamiecią. Była już w rozpacz, gdy ujrzeli kontury domostw rysujące się za wirującymi kłębami śniegu.

Wieś wyglądała na wymarłą. Większość chałup została zdewastowana, inne

spłonęły. Charlotta pomyślała, że każde z tych pogorzeliisk jest cmentarzyskiem czyichś marzeń o lepszym, bezpieczniejszym życiu.

W końcu udało się im odnaleźć domostwo ze stojącymi ścianami i niemal kompletnym dachem. Mesire pchnęła drzwi i zajrzała do ciemnej jak grób izby. Nie wyczuła obecności ludzi czy zwierząt, wyłącznie chłód, jaki zwykle wypełnia puste pomieszczenia. Mimo to zachowała ostrożność. Sięgnęła po szablę i trzymając przed sobą ostrze, wkroczyła do wnętrza.

Chwilę trwało, nim wzrok Charlotty przywykł do ciemności i mogła pobieżnie rozeznaczyć w układzie izby. Jedynym sprzętem, który w niej pozostał, było wywrócone koryto dla zwierząt, niegdyś mieszkających z wieśniakami pod jednym dachem.

Wprowadziła wierzchowce do środka i ściągnęła z siodła nieprzytomnego Cichonia. Potem ułożyła go na klepisku. Miał gorączkę i mamrotał coś w malignie.

Ogień to była pierwsza sprawa, którą musiała się zająć. Na szczęście palenisko usytuowane pośrodku chaty zostało nienaruszone. Może właściciele domu liczyli, że wrócą tu w bardziej sprzyjających czasach.

Charlotta zatrzasnęła drzwi i wprowadziła konie do obórki. Wyjęła z juków siekierę i niemal po omacku zaczęła rąbać drzazgi z koryta. Drewno było twarde i odporne, ale w końcu udało się jej uzyskać wystarczającą ilość opału.

Zabrała się do rozpalenia ognia, lecz okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Węgielek przechowywany w metalowym pojemniczku zgasł na dobre, co zmusiło Charlottę do użycia krzesiwa i hubki.

Z początku nie wychodziło jej to najlepiej. Od uderzania krzesiwem rozboleły ją dłonie i ramiona, a do tego skaleczyła się boleśnie w palec. W końcu udało się jej rozniecić płomień na podpałce i w izbie zrobiło się odrobinę cieplej i jaśniej.

Ogrzawszy dłonie, rozpięła kozuch Cichonia, aby móc się przyjrzeć ranie brzucha. Już na pierwszy rzut oka nie wyglądało to najlepiej. Opatrunki całkiem przesiąkły krwią, zlepiając się warstwa z warstwą, i musiała posłużyć się nożem, by przeciąć nasiąknięty szkarłatem materiał.

Po odsłonięciu rany stwierdziła, że ta zaogniła się i napuchła. Na szczęście Charlotta nie wywąchała smrodu, co oznaczało, że kiszki były nienaruszone.

Wyciągnęła kociołek z juku i napełniła go śniegiem, po czym zagotowała wodę na ogniu.

Gdy zaczęła przemywać ranę, Cichoń jęknął i się ocknął. Próbował się podnieść, lecz Charlotta powstrzymała go, kładąc mu dłoń na piersi.

– Leż i odpoczywaj – powiedziała.

– Gdzie jesteśmy?

– W opuszczonej wiosce. Mieliśmy szczęście, rozpętała się okropna zamieć.

Cichoń spojrzał na swój brzuch.

– Nie wygląda to dobrze – ocenił.

– Wyżyjesz – zapewniła go, choć wcale nie była tego pewna. – Jesteś silny.

– Strasznie boli – wyznał.

– Przygotowałam laudanum.

Charlotta przystawiła krawędź cynowego kubka do ust Cichonia i zadbała, aby wysiorbał cały środek znieczulający. Potem zmieniła płócienne bandaże i okryła go pledem.

Przez jakiś czas milczeli, wsłuchani w dzikie harce wichru na dworze i trzask ognia pochłaniającego przemarznięte drewno.

– O czym pani myśli?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– O mieszkającej tu wcześniej kobiecie – wyznała z ociąganiem. – Z pewnością marzyła o ciepłej kuchni z kilkoma garnkami i dobrym mężczyźni, który zapewni jej trochę miłości nocą i byt dzieciom. Zwyczajne drobne marzenia, które powinny się spełnić, gdyby życie było uczciwą grą.

– Drobne sprawy. Doceniamy je dopiero wówczas, gdy je utracimy – odparł Cichoń, zakaszłał i skrzywił się z bólu.

– Czasem po prostu nie można nic na to poradzić – stwierdziła Charlotta smutno.

– Tak było w pani przypadku?

Zawahała się. Nigdy dotychczas nie rozmawiali w ten sposób.

– Człowiek jest tym, kim jest, takim, jakim stworzyła go przeszłość i jego własne czyny – odparła smętnie. – To, co zrobiłeś, zawsze będzie w tobie, możesz

sobie wmawiać, że się zmienisz, że będzie inaczej, możesz mieć nadzieję, ale...

– Zwykle gównu z tego wychodzi – dokończył za nią Cichoń.

Zabrzmiało to bardzo osobiście. Charlotta uświadomiła sobie, że choć znają się niemal dwa lata i wiele razem przeszli, w gruncie rzeczy nic nie wie o tym mężczyźnie.

– Masz dzieci? – zapytała.

– Miałem żonę i dwóch synów, ale zabrała ich zaraza. Myślę, że Bóg ukarał mnie za to, czego się dopuściłem na wojnie.

Charlotta zacisnęła usta i dorzuciła drewniak do ognia.

– To było jeszcze za czasów Jana Kazimierza – kontynuował Cichoń. – Po nieudanej wyprawie zimowej na Moskwę Kozacy znów podnieśli bunt. W odwecie paliliśmy całe wsie i miasteczka, kto uszedł z życiem, trafiał w jasyr do Tatarów, wtenczas sprzymierzonych z nami przeciw Moskwie. Towarzyszący nam murza groził, że jeśli nie dostanie niewolników, to odejdzie na Krym. Zdobywaliśmy więc kolejne osady, gdzie ordyńcy wybierali ludzi jak bydło, nam zostawiając dobytek i to, co zakopano pod klepiskiem. Grzech to straszny chrześcijan, choćby i prawosławnych, w pohańską niewolę oddawać.

Zamilkł, wpatrując się w płomienie.

– Czasem człowiek nie ma wyboru. Czyni to, co musi – powiedziała Charlotta.

Cichoń spojrzał jej w oczy.

– Częściej czynimy więcej zła, niż musimy – rzekł posępnie. – Tatarzy nie brali małych dzieci, szkraby to tylko kłopot i znikomy zysk. W większości umierały, nim doprowadzono je na targi niewolników. Widziałem, jak odrywano dzieci od matek, widziałem noworodki, które zostawiano na mrozie, aby zginęły. – Potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z niej okropne wspomnienia. – Z początku sprzedawaliśmy sieroty handlarzom odkupującym łupy od wojska, ale malców przybywało i nikt nie chciał przyjmować ich nawet darmo. Po prostu zostawialiśmy ich na miejscu, pośród ruin, na pewną śmierć. Myślę, że dlatego Bóg zabrał mi rodzinę.

Mesire położyła dłoń na ramieniu wachmistrza.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała szczerze. – Twoich bliskich zabrała

zaraza, nie trzeba doszukiwać się w tym boskiej kary.

Cichoń przymknął oczy, milcząc.

Charlotta wyczuła, że czas zakończyć rozmowę.

– Odpoczywaj.

Ułożyła się, przylegając do niego plecami, aby dzielić się ciepłem, i zasnęła, trzymając w dłoni nabity pistolet.

Obudziła się o świcie, obolała i zmarznięta. Zebrawszy się w sobie, wyjrzała na zewnątrz i stwierdziła z ulgą, że pogoda uspokoiła się na tyle, by mogli kontynuować jazdę wierzchem. Niestety stan Cichonia pogorszył się przez noc i nie był on w stanie utrzymać się o własnych siłach na grzbiecie konia. Zaradziła temu, przywiązując go sznurem do kulbaki.

Opuścili zrujnowaną wieś i podążyli na zachód przez puste, zawiane świeżym śniegiem połacie. Pierwsze ludzkie osady ujrzeli jeszcze przed południem. Pojawiły się pola i sady, z daleka połyskiwały tafle stawów rybnych, na których wieśniacy rąbali przeręble.

Do Baru dotarli na dwie godziny przed zmrokiem. Mesire przeprowadziła wierzchowce przez zasypaną fosę i zniszczone wały ziemne, niegdyś chroniące miasto przed wrogami. Ta część Baru była kompletnie zrujnowana i wyludniona. Ulice wytyczone pomiędzy spalonymi i zburzonymi budynkami zawałał zbity, wysoki śnieg i tylko czasem między ruinami domostw pojawiali się żebracy i ciemne męty, żyjący z dala od uczciwych ludzi.

Charlotta wyciągnęła z olstra pistolet i przez cały czas trzymała broń na widoku, aby odstraszyć potencjalnych łupieżców. Po kilku minutach strachu dotarli do palisady chroniącej wewnętrzną część miasta, gdzie ocalało nieco budynków i mieszkańców. Przy furcie zatrzymało ich trzech przemarzniętych wartowników. Charlotta wręczyła każdemu z nich monetę i bez zbędnych pytań wpuszczono ją do środka.

Zaraz za bramą ogarnął ją tłumek ludzi krążących między kuźniami, w których wyrabiano doskonałe noże, słynne z jakości na całą Polskę. Charlotta zsiadła z klaczy i ruszyła piechotą, prowadząc wierzchowce za uzdę. Kilka razy użyła łokci, aby przebić sobie drogę w ciżbie, kiedy indziej wystarczyło przeprosić zawalidrogę.

Dotarła na plac z ruiną ratusza i synagogi, z której ostał się jedynie mur z hebrajskimi napisami. Tam znajdowało się jeszcze więcej kramów z żywnością, futrami oraz gospody, z których wylewał się na zewnątrz pijacki gwar. Z ulicznych garkuchni unosił się zapach grochówki i Charlotta odczuła, jak straszliwie jest głodna.

Cel, do którego zmierzała, znajdował się w pobliskim zaułku. Była to mała synagoga, wzniesiona w miejsce tej zniszczonej przez Kozaków. Zatrzymała klacz przed drzwiami domu sąsiadującego z bożnicą i odcięła sznury mocujące Cichonia w siodle. Wachmistrz zsunął się bezwładnie w ramiona Charlotty, a potem wywrócił się na ubity śnieg, omal nie pociągając jej za sobą.

Charlotta rozejrzała się za pomocą. Na próżno. Żaden z przechodniów nie kwapił się, aby przyjść im ze wsparciem. Na szczęście drzwi domu rozwarły się i wybiegło zeń dwóch młodych Żydów. Tuż za nimi pojawił się Jose Abrahamowicz w chałacie przepasanym szerokim żółtym pasem.

– Żywo, pomóżcie pani Mesire! – zawołał, szarpiąc się za rudą jak ogień brodę, a potem spojrzął bacznie na wachmistrza. – Co mu jest?

– Dostał ostrzem w brzuch dwa dni temu – wyjaśniła Charlotta, gdy synowie Abrahamowicza wspólnymi siłami zataszczyli Cichonia do domu.

Charlotta i Abrahamowicz podążyli za nimi. Zaraz po przekroczeniu progu gospodarz dotknął dłonią mezuzy umocowanej na framudze. Pojemnik ze szkła i drewna umieszczony po prawej stronie wejścia zawierał zwitek pergaminu zapisany fragmentami Tory i miał za zadanie chronić dom przed złymi duchami.

– Połóżcie go na stole w gabinecie i ściągnijcie z niego ubranie – polecił rudobrody synom, a potem zwrócił się do Charlotty: – Córka przygotowuje pani coś ciepłego do jedzenia.

Przywołał rudowłosą dziewczynę, która właśnie wbiegła do sieni, zwabiona hałasem. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat, lecz wnioskując po urodzie i figurze, była już zdatna do małżeństwa.

Charlotta udała się za nią do kuchni, gdzie zjadła pierwszy gorący posiłek od dwóch dni. Napełniwszy żołądek, odpoczywała, racząc się grzany winem

i obserwując krzątające się po pomieszczeniu dwie młodsze córki Abrahamowicza.

Medyk pojawił się w kuchni już po zmroku, zmęczony i markotny. Jedna z córek wręczyła ojcu kubek z winem. Charlotta spojrzała na mężczyznę z niepokojem, próbując wyczytać wieści z poźłobionej bruzdami twarzy.

– Co z nim będzie? – zapytała, gdy zaspokoił pragnienie.

– To wie tylko Najwyższy – odrzekł medyk i otarł dłonią usta. – Kiszki nie zostały uszkodzone, ale... przy takich obrażeniach często wdaje się zakażenie. Trzeba czekać i się modlić.

Charlotta zacisnęła usta.

– Zostawiam to tobie – odrzekła. – Moje modlitwy nie są wysłuchiwane.

Abrahamowicz popatrzył na nią ciemnymi, poważnymi oczyma.

– A jak często pani tego próbuje?

Zamilkła, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Wcisnęła złotą monetę w dłoń medyka i podniosła się z ławy.

– Muszę iść – oznajmiła.

Abrahamowicz położył dłoń na jej dłoni.

– Proszę zostać, poleciłem przygotować dla pani ukrop w balii i pokój do spania. Na zamku zamknęli już bramy na noc. Szkoda fatygi w taką pogodę.

Charlotta spojrzała w zawieję szalejącą za oknem i uznała, że medyk ma słuszność.

Marzyła o gorącej kąpieli i długim śnie. Wszystko inne mogło poczekać do jutra.

ROZDZIAŁ IV

Ukryte zamiary

Luty A.D. 1672

Dyplomacja jest najdoskonalszym rodzajem szpiegostwa, a Peter Ignaz von Stom cieszył się opinią człowieka niezrównanego w obu tych dziedzinach.

Eleonora przywitała z uśmiechem szczupłego, łysiejącego mężczyznę, który wkroczył do jej alkowy, niosąc pod pachą skórzaną tekę. Ambasador miał na sobie ciemnogrnatowy kaftan zapinany z przodu na duże srebrne guziki. Poważna, poznaczona bruzdami twarz hrabiego von Stoma rozjaśniła się na widok królowej.

– Wasza wysokość wygląda kwitnąco – zauważył, kłaniając się nisko.

– Spocznij, hrabio, to prywatna rozmowa. – Eleonora wskazała na wyściełany zydeł ustawiony naprzeciw jej krzesła.

Ambasador von Stom usiadł i rozejrzał się znacząco po komnacie.

– Czy możemy tu bezpiecznie rozmawiać, wasza miłość?

– Owszem, hrabio. Jakie wieści przesyła mi brat?

– Jego cesarska wysokość zapewnia cię, miłościwa pani, o swej miłości i poparciu.

– Ale czy przyśle wojsko, gdy buntownicy spróbują obalić mego męża z tronu?

– Cesarz polecił księciu lotaryńskiemu przenieść siedem regimentów w pobliże granicy śląskiej. W razie potrzeby w jeden dzień książę będzie mógł zająć Kraków.

Eleonora ukryła rozpierające ją emocje. Ostatni raz widziała Karola w noc poprzedzającą jej wyjazd z Wiednia do Polski.

– Czy książę wspomniał o mnie?

– Prosił, abym przekazał miłościwej pani list od niego. – Ambasador wyciągnął z teki kopertę i wręczył ją królowej.

Eleonora zerknęła na lak, wydawał się nienaruszony. Z wielkim wysiłkiem pohamowała pragnienie, aby natychmiast rozdrzeć kopertę i przeczytać słowa spisane dłonią ukochanego mężczyzny.

Odłożyła list na stolik obok filiżanki po porannej czekoladzie i skupiła uwagę na ambasadorze.

– Mój mąż i senatorowie chcą wiedzieć, czy cesarz wspomógł Rzeczpospolitą w wojnie z Imperium Osmańskim.

Oblicze Petera von Stoma ściągnął grymas.

– Obawiam się, że Polacy są zdani na siebie – rzekł otwarcie. – Wielu ministrów z Nadwornej Rady Wojennej uważa, że w obliczu konfliktu z Francją nie możemy pozwolić sobie na wojnę na dwa fronty. Osobiście zgadzam się z tą opinią.

Eleonora spodziewała się takiej odpowiedzi, lecz i tak poczuła rozgoryczenie decyzją brata.

– Co zatem radzisz, ambasadorze?

– Szukać pokoju z Turkami za wszelką cenę.

– Sułtan żąda dla siebie całej Ukrainy – powiedziała królowa.

– Ustąpić wobec silniejszego to jedyne rozsądne wyjście, wasza wysokość.

Eleonora pokręciła głową.

– Tu inaczej pojmuje się rozsądek niż w Austrii, ambasadorze. Już słyszę te głosy w senacie, że Polacy nie znają pojęcia pokoju za wszelką cenę.

– Nawet wówczas, gdy nie ma się szans na wygraną?

– Zwłaszcza wtedy, hrabio. To jest naprawdę dziwny kraj.

Rozmawiali prawie godzinę, głównie o księciu lotaryńskim, który to temat najbardziej zajmował królową. Ambasador odpowiadał taktownie i cierpliwie, starając się zaspokoić ciekawość Eleonory, nawet jeśli pytania dotyczyły intymnych spraw, dotyczących aktualnej metresy księcia.

Gdy Peter von Stom pożegnał się i opuścił komnatę, Eleonora podniosła ze stolika list od Karola i przyłożyła papier do nozdrzy, wdychając woń perfum, którymi skropił list.

Tak bardzo za nim tęskniła.

Złamała lak i otworzyła kopertę. Chłonęła każde słowo, które wyszło spod ręki ukochanego, śmiała się z jego żartów i smuciła troskami. Na kilka krótkich chwil znów poczuła się szczęśliwa.

Skończywszy czytać, przyłożyła kartkę papieru do serca niczym najświętszą relikwię. Czuła, że twardnieją jej sutki i robi się wilgotna. Naszła ją nieodparta ochota, żeby położyć się w łóżu, zamknąć oczy i pieścić się, wyobrażając sobie, że jest z Karolem.

Z euforycznej mgiełki wyrwało ją pukanie do drzwi. Eleonora zaczerpnęła oddech i zawstydzona spojrzała na Klarę Pac, gdy ta wkroczyła do alkowy.

Kanclerzyna dosłownie promieniała na twarzy, tak jak może jaśnieć tylko kobieta, która znalazła satysfakcję w ramionach kochanka.

– Widzę, że miałaś udaną noc – zauważyła Eleonora z zawiścią i odłożyła list na stolik.

– Owszem, wasza wysokość. Nadzwyczaj.

– Myślałam, że twój mąż zamierzał wrócić na Litwę.

– I tak uczynił – odparła Klara, swobodnie rozsiadając się na sofie. – Przedwczoraj opuścił Warszawę.

– Ach... – Królowa zerknęła na przyjaciółkę zaciekawiona. – Kimże więc jest ten szczęśliwiec?

– Nikt ważny, kapitan artylerii.

– Rozumiem, że jego działo sprawuje się bez zarzutu.

Klara przeciągnęła się z błogim uśmiechem.

– O tak, szczerze powiedziawszy, było to jedno z lepszych chędożeń, jakie miałam w ostatnim czasie.

Eleonora westchnęła.

– Szczerze ci zazdroszczę tej wolności – rzekła smutno.

Klara popatrzyła na królową spod lekko uniesionych brwi.

– Jest na to sposób, najjaśniejsza pani. W gwardii nie brakuje hojnie wyposażonych przez naturę mężczyzn. Wielu z nich z radością da rozkosz swej królowej.

– To byłoby miłe, ale zbyt ryzykowne. Muszę założyć, że Prażmowski umieścił na zamku swoich szpiegów. Wystarczy, że mego męża posądzają o impotencję. Skandal z cudzołóstwem tylko uwiarygodniłby te pogłoski.

– Słyszałam, że wasza wysokość przyjęła ambasadora von Stoma. – Klara Pac płynnie skierowała rozmowę na inne tory. – Czy cesarz udzieli nam pomocy?

– Tylko w razie wojny domowej. Tymczasem księżę lotaryński przemieści regimenty na granicę.

– Pragniesz się z nim spotkać, wasza wysokość?

Eleonora zamilkła, wpatrując się w płatki śniegu wirujące za oknem.

– Z całego serca – wyznała.

Pacowa wstała z sofy i zbliżyła się do królowej.

– Zatem namów męża na wyjazd do Krakowa – szepnęła. – Zorganizuję ci schadzkę z Lotaryńczykiem.

Eleonora popatrzyła na nią zaszokowana.

– Jeśli coś takiego rozniosłoby się...

– Bez obaw, zajmę się wszystkim – uspokoiła ją Klara. – Zaufaj mi, miłościwa pani.

Eleonora wiedziała, że była to ostatnia rzecz, którą powinna zrobić, lecz nie miała w sobie dość siły, aby odeprzeć pokusę. Tak bardzo pragnęła ujrzeć Karola, poczuć dotyk jego dłoni i smak ust, znów doznać rozkoszy.

Zwyczajne kobiece pragnienia, dostępne byle służącej, a nieosiągalne dla królowej.

– Król nie zechce opuścić Warszawy, czuje się tu bezpiecznie, chroniony przez gwardię i mury zamku – powiedziała Eleonora, wiedząc w głębi serca, że to kłamstwo. Korybut miał w Warszawie kochankę i nie chciał się z nim rozstawać.

Złośliwością losu było to, że pożądanie, które ją pchało do wyjazdu, jej męża trzymało tu, na miejscu, i Eleonora obawiała się, że akurat w tej sprawie niewiele może poradzić.

– Musimy tedy sprawić, by stracił poczucie bezpieczeństwa. – Szept z ust Klary przywodził na myśl syka rajskiego węża kuszącego Ewę. – Wówczas jego wysokość nie będzie sprzeciwiał się wyjazdowi.

– Co masz na myśli?

– Truciznę – odparła Klara, patrząc królowej w oczy. – Czyż nie będzie to

wystarczający powód, by przenieść się na Wawel?

Eleonorę zatkało. Propozycja Klary była szaleństwem, lecz właściwie... Im dłużej nad tym myślała, tym więcej dostrzegała korzyści.

– Skąd weźmiemy truciznę? – zapytała królowa.

– Przygotuję ją osobiście – zapewniła Pacowa.

Królowa otworzyła szerzej oczy.

– Będiesz potrafiła?

– Jestem w końcu Francuzką – odrzekła Klara. – W mej ojczyźnie ta sztuka ma długą i bogatą tradycję.

*

Ranek Marysieńka spędziła, pijąc kakao i czytając gazetę dostarczoną z Paryża. Odkąd zaczął rosnąć jej brzuch, potrzebowała więcej odpoczynku niż dotychczas i chętniej spędzała czas na lenistwie.

Jan wciąż odsypiał nocne obrady sejmowe, z których powrócił dobrze po północy. Po obudzeniu się odwiedził żonę w saloniku i ucałowali się na przywitanie.

– Wyglądasz na przepracowanego – zauważyła Marysieńka z troską.

Wręczyła mężowi kieliszek z miksturą, którą zawczasu poleciła przygotować w kuchni.

– Wypij. To cię postawi na nogi.

– Co to jest? – zapytał Jan, zerkając w kryształ.

– Wino z dodatkiem dzikiej róży, nawłoci i kurdybanku – wyliczyła Marysieńka. – Dodałam laseczkę wanilii i cynamonu, a także miód dla słodyczy.

Jan wychylił miksturę i oblizał usta ze smakiem.

– Wyborne.

– Czemu wróciłeś tak późno?

– Debatowaliśmy w senacie nad przygotowaniem do wojny z Turcją. Obrady przeciągnęły się, a potem jeszcze musiałem odbyć kilka spotkań.

– I co postanowiono?

Jan skrzywił twarz.

– Jak zwykle nic konkretnego, skończyło się na gadaniu i skandalicznej kłótni pomiędzy Pacami a biskupem Olszowskim. Przez moment myślałem, że ci trzej wezmą się za łby.

– Spodziewałeś się tego – rzekła z uznaniem. – Pacowie całkiem wyrugowali Olszowskiego z kręgu mającego wpływ na króla.

– Pracowali nad tym od wielu miesięcy. Nie dość, że posiadli całkowitą władzę nad Litwą, to jeszcze przyciągnęli do swej partii najważniejszych panów koronnych. Przy Olszowskim ostało się jedynie kilku magnatów powiązanych z księżną Gryzeldą, w tym również książę Dymitr.

– Biskup od lat jest stronnikiem i przyjacielem kniahini – zauważyła Marysieńka. – To również jej osobista porażka. Nie mogę pojąć, jak straciła wpływ na syna. Wcześniej trzymał się kurczowo matczynej kiecki.

– Małżeństwo zmienia ludzi, zwłaszcza jeśli kobieta jest silna i wie, czego pragnie.

Marysieńka była zbyt pochłonięta konfliktem we wrogim obozie, aby wyczuć autoironię w głosie męża.

– Doskonale, niechaj wściekłe psy zagryzą się same. – Nie kryła złośliwej radości.

– To okazja, aby przeciągnąć Olszowskiego na naszą stronę – oznajmił Sobieski. – Jako podkanclerzy byłby wielkim wsparciem dla stronnictwa.

– Cenisz go? – Marysieńka się zdumiała. – Po tym, jak wyniósł na tron Korybuta i ożenił go z Austriaczką?

– Czynił to, co uważał za słuszne dla dobra ojczyzny – odrzekł Sobieski. – Nie potrafię go winić. Szczerze powiedziawszy, wolałbym mieć przy sobie Olszowskiego niż tego węża Prażmowskiego z jego nienasyconą ambicją i żądzą złota.

– Niestety Olszowski jest uczciwy. – Wypowiedziała to słowo, jakby musiała wypluć kęs niesmacznej stawy. – Nie porzuci Korybuta i stronnictwa habsburskiego mimo doznanego afrontu.

– No nie wiem. – Jan uśmiechnął się tajemniczo. – Poczynilem już starania w tej

sprawie. Od jesieni koresponduję z biskupem. Obaj jesteśmy zdania, że wycofanie przez Paca armii litewskiej zaprzepaściło zdobycze całorocznej kampanii. Jeśli nic się nie zmieni, to na wiosnę będziemy zmuszeni oddać Kozakom to, co zdobyliśmy tak wielkim kosztem krwi i środków. Olszowski doskonale rozumie powagę sytuacji. Pomógł mi zorganizować broń i sukno dla wiernych nam semenów Chanenki.

– Mogłeś mi powiedzieć – rzekła Marysieńka z wyrzutem.

– Teraz ci mówię. – Zbliżył się do niej, próbując wziąć ją w ramiona.

Marysieńka wymknęła się mu z rąk i chwyciła ze stołu puchar w winem, odgradzając się tym sposobem od Jana.

– Czy ma to związek z małżeństwem Teofili i kniazia Dymitra? – zapytała wprost.

– Olszowski był pośrednikiem między mną a Gryzeldą – przyznał Sobieski z ociąganiem.

Marysieńka poczuła, jak drży jej dłoń, w której trzymała puchar. Umoczyła usta w trunku i odstawiła szkło na blat.

– Czy wciąż mi ufasz? – zapytała, patrząc mężowi w oczy.

– Oczywiście!

Wydawał się szczerze zadziwiony pytaniem. Dotknął dłonią jej brzucha.

– Jak mógłbym ci nie ufać po tym wszystkim, czego razem dokonaliśmy? Tobie, która dasz mi kolejnego syna.

– Czemu zatem nic nie wiedziałam?

– Nie chciałem cię denerwować. Teraz, gdy nosisz nasze dziecko, powinnaś unikać silnych emocji.

– Tylko o to chodzi? – zapytała, przyglądając się Janowi badawczo.

Zbyt dobrze go znała. Nie wytrzymał, odwrócił na moment wzrok.

– Wiem, że wciąż jesteś przeciwna porozumieniu z Wiśniowieckimi – odparł skruszony. – Wybacz mi, Mario, ale musisz zrozumieć, mam dość kłótni w sejmie, nie potrzebuję ich więcej w domu. Przepraszam. Wybaczysz mi?

Jakże mogła mu nie wybaczyć. Wtuliła się w szeroką pierś kochanego mężczyzny i odchyliła głowę do pocałunku. Usta Jana dotknęły jej ust. Poczuła, jak

ciepły język męża wsuwa się między jej wargi i zęby. Przyjęła pocałunek, pogłębiając go i zwracając pieśczętę w dwójnasób.

Przywarła bliżej do Jana, ocierając się przez ubranie o jego cudownie naprężoną męskość. Zamruczał niczym wielki drapieżny kot i obiema dłońmi uniósł jej suknię, pod którą była całkiem naga.

Doskonale wiedziała, że Jan ma wielką ochotę w nią wejść, tu i teraz, nie bacząc na wczesną porę dnia i na to, że w każdej chwili mógł się pojawić ktoś ze służby. Marysieńka również tego pragnęła, choć jednocześnie w głębi serca wciąż była zła na męża za te wszystkie tajemnice.

Pomyślała, że warto, aby nieco odpokutował, nim otrzyma to, czego tak pragnie.

– Pocałuj mnie tam – szepnęła, patrząc mu w oczy.

Uśmiechnął się i uklęknął. Pocierał nosem kędziorki, wdychał zapach, upajał się jej wonią. Zmierzwiała mu dłońią włosy i poruszyła biodrami, napierając na usta męża. Zadrżała, gdy wsunął język w wilgotne wnętrze i zaczął nim poruszać, odnajdując jej najczulsze miejsce. Ssał i napierał na łechtaczkę. Owładnęła nią cudowna, nieskrępowana wstydem błogość. Nie wiedziała, co bardziej ją podnieca: pieśczęta męża czy świadomość, jak wielką ma nad nim władzę.

Z jej krtani wyrwał się gardłowy jęk.

Nagle zza drzwi rozległ się głos Sieniawskiego.

– Niech go cholera – mruknął Sobieski, wyplątując się spod sukni. – Co on tu robi tak wcześnie?

Marysieńka zerknęła na zegar stojący na kominku.

– To nie on się pospieszył, tylko my się zagapiliśmy.

Speszona zerknęła w lustro i poprawiła fryzurę, gdy Jan poszedł otworzyć drzwi.

Sieniawski jako urodzony kobieciarz musiał wychwycić podskórne napięcie między małżonkami, gdyż przez usta przemknął mu znaczący uśmiech. Marysieńce zdało się nawet, że ukradkiem puścił oko do jej męża.

Podeszła do Mikołaja z nadzieją, że nie zarumieniła się za bardzo, i pocałowała go w policzek.

– Jak poszło? – zapytała szybko, nie czekając, aż Sieniawski spocznie na krześle.

Pan strażnik koronny wrócił właśnie z zamku, gdzie przewodził delegacji wojska mającej zadbać, aby armia dostała w końcu zaległy żołd.

– Daj człowiekowi wytchnąć, ledwie zszedł z mrozu – wtrącił się Jan i wręczył przyjacielowi kielich z winem.

Mikołaj podziękował skinieniem głowy, po czym zamoczył wąsy w trunku. Osuszywszy naczynie, westchnął ukontentowany i dopiero wówczas udzielił odpowiedzi Marysieńce.

– Doskonale. Tak jak uradziliśmy, prócz wypłaty zasług dla wojska zażądałem od króla uregulowania podatków przeznaczonych na utrzymanie armii oraz podwyższenia stawek żołdu.

– Byłeś stanowczy? – zapytał Jan.

Sieniawski wyszczerzył zęby.

– O tak, bardziej niż wypada poddanemu i żołnierzowi wobec monarchy. Żałujcie, że nie widzieliście miny Korybuta, gdy wspomniałem o twych zasługach dla wojska i ojczyzny.

– I co on na to?

– Nadął się i nie udzielił posłom wojskowym żadnej odpowiedzi na nasze memorandum.

Jan roześmiał się rubasznie i klepnął Sieniawskiego w ramię.

– Doskonale się spisałeś, Mikołaju. Bóg mi świadkiem!

Marysieńka przeczekała wybuch wesołości u męża i zapytała:

– Co zamierzacie?

– Przy odrobinie szczęścia król zerwie sejm, by nie dopuścić do przekazania wojsku pieniędzy – odparł Sieniawski. – Wtedy będzie można obarczyć Korybuta i Paców winą za bezwład w izbie.

– Tym bardziej ty i ja powinniśmy zadbać o delegatów armii – stwierdził Jan i spojrzał przepaszająco na żonę. – Wybacz, kochanie, że znów zostawiam cię samą, ale obowiązki zmuszają. Postaram się wrócić na wieczerzę – obiecał, lecz Marysieńka wątpiła, czy i tym razem dotrzyma zobowiązania.

Pocałowała męża w policzek i pożegnała się z Mikołajem.

Gdy obaj opuścili pałac, Marysieńka ponownie oddała się lenistwu i lekturze. Nie odpoczywała długo, gdyż niespodzianie odwiedził ją prymas.

„Co to dzisiaj za procesja?”, pomyślała zaciekawiona. Szybko przebrała się i poleciła lokajowi prosić eminencję na pokoje.

Marysieńka ucałowała pierścień prymasa i oboje zasiedli w fotelach.

– Jan wyszedł na spotkanie z poselstwem wojskowym – poinformowała Prażmowskiego.

– Nie szkodzi. Ja i tak głównie przyszedłem spotkać się z tobą, droga przyjaciółko.

– Cóż tedy sprowadza eminencję?

Prażmowski wyciągnął z teki kartę papieru z wydrukowanym tekstem i wręczył ją Marysieńce.

– Co to jest? – zapytała.

– Pamflet na temat przypadłości króla jegomościa stworzony ręką samego podskarbiego Morsztyna.

Przeczytała wierszowany utwór. W tekście ani razu nie padło imię króla, lecz tylko zupełnie niezorientowany człek lub głupiec nie domyśliłby się, w kogo bije zjadliwa ironia zawarta w pamflecie.

– Dobrze! – przyznała, zwracając kartę prymasowi. – Zwłaszcza ten wyleniały lew z miękkim podbrzuszem broniony przez dwie lwice, starą i złotogrzywą. Wypisz, wymaluj Gryzelda i Habsburżanka.

– Prawda! – Prymas jaśniał z zadowolenia. – Nasz drogi podskarbi to prawdziwy talent literacki. W tym kraju paszkwil to najskuteczniejsza metoda zniszczenia człowieka.

– Nawet jeśli ów człowiek jest królem? – zapytała z powątpiewaniem Marysieńka.

Prażmowski uśmiechnął się z wyższością.

– Wszystko zależy od ciężaru kalumnii. Oskarżmy Korybuta o impotencję, narażmy go na szyderstwa i śmieszność.

– I ja o tym myślałam – przyznała Marysieńka. – Królowa wciąż nie może

doczekać się dziecka, co uprawdopodobnia plotki o niemocy jej męża. Niemniej... – pokręciła głową – to może okazać się za mało, by zniszczyć reputację Korybuta. Ostatecznie w Rzeczypospolitej dzieci nie dziedziczą tronu po ojcu. Jakie ma znaczenie dla przeciętnego szlachcica, czy królowi staje kuśka przy Austriaczce? Nawet lekceważony i wyśmiany Korybut może panować tu latami. Nasi przyjaciele w Paryżu nie wykażą się aż taką cierpliwością.

– To prawda. – Prymas się zasępił. – Ale czy mamy coś lepszego?

– Może Korybutowi staje przy kimś innym? – zasugerowała Marysieńka.

– Ma kochankę? – Prażmowski nie okazał zaskoczenia. – Przy tej zimnej suce Eleonorze to możliwe. Tylko jak ma nam to pomóc?

– Nie mówię o kobiecie, eminencjo.

Prymas poprawił się w fotelu, jakby coś ukłuło go w siedzenie.

– Czy masz jakieś informacje, moja droga?

– Tylko pogłoski – przyznała. – Pada w nich nazwisko Konarzewski. To fryzjer, a teraz jeden z pokojowych Korybuta.

– Posądzenie króla o sadozę to obosieczna broń. Może spaść na nasze karki – przestrzegł Prażmowski.

– Dlatego w tej sprawie musimy mieć całkowitą pewność, nim wywlecemy otwarcie zarzuty – zgodziła się Marysieńka. – Charlotta idealnie nadaje się do tego zadania. Wysłałam do Baru list wzywający ją do Warszawy, gdy tylko uzna, że jej misja tam została ukończona.

– Wykonała dla nas kawał dobrej roboty na Ukrainie – przyznał Prażmowski. – Nie możemy tego zmarnotrawić.

W uszach Marysieńki zabrzmiało to dość niepokojąco.

– To znaczy?

– Zamierzam spotkać się na osobności z ambasadorem von Stomem – oznajmił prymas.

– W jakim celu?

– Zaproponuję mu, aby Eleonora zatrzymała koronę po usunięciu Korybuta.

Marysieńka nie była pewna, czy aby się nie przesłyszała.

– Co to za pomysł!?! – zakrzyknęła wzburzona.

Prymas zastygł, wyraźnie zaskoczony tym emocjonalnym wybuchem pani Sobieskiej.

– To tylko obietnica, która nigdy się nie spełni – zapewnił pospiesznie.

– Więc po co ją składać?

– W ten sposób możemy zasiać niezgodę między Habsburgami i Wiśniowieckimi. Co uczyni księżna Gryzelda, gdy usłyszy pogłoski o niełojalności królowej?

Słowa prymasa uspokoiły ją nieco, ale nie całkowicie. Miała przeczucie, że jego eminencja nie jest wobec niej szczerzy.

„Czyżby zdradził Francję?” Sam pomysł wydał się jej niedorzeczny. Nikt w Europie nie mógł oferować Prażmowskiemu więcej złota i zaszczytów niż Król Słońce. Żaden inny monarcha nie miał dość wpływów, aby dać prymasowi realną szansę na tron Piotrowy.

– Nie sądzę, by von Stom potraktował taką propozycję poważnie – powiedziała cierpko. – Eleonora musiałaby wziąć rozwód z Korybutem, i to w atmosferze skandalu... No i z kim miałyby dzielić koronę?

– Z księciem Longueville'em, rzecz jasna – odparł Prażmowski niezrażony. – W otoczeniu cesarza zapewne nie wszyscy ministrowie są zgodni co do pomysłu rozpoczęcia wojny z Francją. To będzie krwawy, długi i, co ważne, kosztowny konflikt. Tymczasem Austrii wciąż zagrażają Turcy. Gdy ich armia przekroczy granicę, w kilka dni może dotrzeć pod Wiedeń.

Marysieńkę olśniło. Zrozumiała, że Prażmowski nie odważyłby się przedstawić takiej propozycji bez aprobaty Ludwika XIV. Wyciągnięcie cesarza z koalicji antyfrancuskiej mogło zdecydować o wyniku wojny.

Szkopuł w tym, że intrygi Prażmowskiego kolidowały z jej własnymi zamierzeniami.

– Dostrzegam w tym planie podstawowy problem – powiedziała Marysieńka.

– Jaki?

– Panowie bracia kochają syna Jaremy. Nie pozwolą odebrać mu żony i tronu.

Kto jak kto, ale wasza eminencja zna lepiej niż ja pojęcie polskiego honoru. – Doskonale wiedziała, jak uszczypliwie zabrzmiały te słowa.

– Miłość czy sympatia wśród Polaków płocha. – Prażmowski udał, że nie rozumiał przytyku. – Dziś cię kochają, a jutro nienawidzą, tym mocniej, im gorliwiej wcześniej wyrażali swój podziw i uwielbienie. Sztuka polega na tym, aby tak długo wmawiać im kłamstwo, aż sami uznają je za prawdę.

Złe nawyki

W Szarogrodzie zastali ogólne poruszenie. Żołnierze krzątali się wokół koni, sprawdzali stan osi i kół wozów, ładowali na pojazdy siano dla zwierząt i zapasy żywności dla ludzi. Wyglądało to tak, jakby cała dywizja szykowała się do opuszczenia miasteczka.

– Co tu się, do diaska, wyrabia? – zwrócił się do Grota Tyner. Rzecz jasna, nie uzyskał odpowiedzi. Z tą musiał poczekać do spotkania z regimentarzem.

Po dotarciu na zamek natychmiast udał się do Wyżyckiego. Regimentarz nie przyjął go od razu. Tyner musiał odczekać pod drzwiami dobry kwadrans, nim z komnaty wyszła młoda dziewczka w jaskrawej kiecce i niedopiętej koszuli. Jej potargane włosy i zarumienione policzki podpowiadały Bogusławowi, że Wyżycki nie spędzał czasu na klepaniu pacierzy.

Imć Stanisław przywitał porucznika ze skruszonym uśmiechem.

– Wybacz waszmość, alem musiał dokończyć, com zaczął.

– Słuszna to zasada – zgodził się Tyner. – Widziałem przygotowania czynione w miasteczku. Co się dzieje, regimentarzu?

– Nie jestem już regimentarzem – odparł Wyżycki bez żalu.

– Jakże to?

– Przyszedł rozkaz zwalnający mnie z tej funkcji. Hetman Sobieski wzywa mnie, bym zdał komendę nad dywizją.

– Podporządkujesz się waszmość?

– Ani myślę. Wyprowadzę chorągwie na Wołyń, gdzie Wiśniowieccy zapewnią

nam utrzymanie przez zimę.

– Hetman pozwie cię przed sąd wojskowy – zauważył Tyner.

– Niech to uczyni – odparł Wyżycki buńczucznie. – Póki mam wierne szable przy sobie i poparcie króla jegomości, sąd hetmański mi niestraszny.

– Kiedy wyruszamy?

– Jutro. Sobieski z pewnością przyśle tu oficerów. Nie chcę ryzykować, że podburzą mi towarzystwo czy przekabacą pocztowych.

Tyner pokręcił głową ze smutkiem.

– Za łatwo im poszło z utworzeniem związku. I moja w tym wina – rzekł samokrytycznie.

– Ani twoja to wina, ani moja – pocieszył go pan Stanisław. – Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Książ Dymitr docenia twe starania.

– Przysłał jakieś rozkazy dla mnie?

– Tymczasem zostaniesz ze mną. Obejmiesz komendę nad dragonami.

– Zostałem wydalony z wojska – przypomniał Tyner.

– Zatem obaj jesteście poza prawem – powiedział Wyżycki lekko. – Teraz waszmość odpocznij po trudach, jutro dowodzisz strażą tylną, na wypadek gdyby nowy regimentarz wysłał chorągwie, aby nas zawrócić.

Bogusław opuścił kwaterę Wyżyckiego i schodami zszedł na dziedziniec, gdzie czekał nań Grot.

– Co mam teraz robić, panie poruczniku? – zapytał.

– Możesz zostać u mnie lub wracać do swoich – odparł Tyner.

Wachmistrz potarł dłonią szczecinę na policzku.

– Spotkałem obwoźnego handlarza, który twierdzi, że moja chorągiew dostała już nowego porucznika i dołączyła do rokoszan.

– Każdy musi wybrać sam, po której stronie się opowie – rzekł Tyner. – Ja przysiągłem wierność królowi wybranemu w wolnej elekcji.

– Ja na elekcję nie dotarłem, upiłem się w jakiejś gospodzie – wyznał Grot, szczerząc zęby. – Zostanę z wami i obaczym, co przyniesie los.

Szarogród zostawili za sobą wczesnym rankiem. Kolumna wojska wraz

z towarzyszącymi wozami przemieszczała się po zasypanym śniegiem pustkowiu, omijając nieliczne ufortyfikowane wsie i miasteczka, które oparły się wojnie. Na noc rozbili obóz pod lasem, aby nie trudzić się zbytnio gromadzeniem drewna na ogniska.

Następnego dnia wjechali na zalesioną wyżynę z dużą liczbą pustych dolinek i pod wieczór ujrzeli Boh, za którym rozciągał się Wołyń. Rzeka błyszczała od skuwającego ją lodu, który okazał się dość mocny, aby utrzymać ciężar wozów. Z przeprawą poczekali do świtu i przez kolejne dni podążali, w wolniejszym już tempie, na zachód, aż stanęli pod Czarnym Ostrowem.

Aby nie narażać mieszkańców na samowolę żołnierzy, Wyżycki zostawił wojsko pod miasteczkiem i pojechał spotkać się z namiestnikiem kniazia Dymitra.

Kiedy wrócił pod wieczór do obozu, jechało z nim kilka wozów naładowanych prowiantem. W czasie, gdy ludzie rzucili się dzielić między siebie żywność i miód, Tyner stawił się w kwaterze Wyżyckiego, jednej z trzech chat, które ostały się na przedmieściach po zeszłorocznym najeździe ordy.

– Podzielę wojsko na oddziały i rozlokuję je po opuszczonych miasteczkach i wioskach – oświadczył imć Stanisław. – Jedna z kompanii trafi pod twą komendę, panie Tyner, bacz więc, by żołnierze niczego nie brali siłą, zwłaszcza w królewskich czy w dobrach kniazia. Za każdy akt złodziejstwa lub rozboju winny ma ponieść surową karę.

– A co z zaopatrzeniem? Tych kilka wozów na długo nie starczy – zauważył Bogusław.

– Dostaniemy więcej żywności ze Zbaraża i Wiśnicza, gdy już rozlokujemy się po garnizonach – zapewnił Wyżycki.

Następnego dnia chorągwie zgodnie z rozkazem rozproszyły się po rozległym płaskowyżu Wołynia.

Oddział dowodzony przez Tynera ruszył na północny zachód. Trzymał tęgi mróz, który utwardził bezdroża, i konie szły rażno, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary. Jechali przez rozległą krainę pociętą dolinami rzek, pokrytą licznymi lasami, gdzie gęsto było od ludzkich osad chronionych przez bliskość twierdz Wiśniowieckich, Radziwiłłów, Koniecpolskich czy Lubomirskich, od wieków kolonizujących te

ziemie.

W kilku miejscach minęli młyny wodne, ośnieżone i ciche, oraz osady smolarzy trudniących się wyrobem dziegciu i smoły. Ominąwszy Wiśnicz, podążyli przez głębokie doliny do Wołczysk.

Miasteczko i chroniącą je forteczkę otaczało z trzech stron jezioro, co czyniło to miejsce bardzo obronnym. Niestety mimo to domostwa zostały spustoszone i pośród ruin zastali garstkę mieszkańców, tak biednych i głodnych, że sami żebrali u dragonów o chleb.

Tyner polecił żołnierzom rozlokować się w co lepiej zachowanych chatach i ziemiankach. Sam stanął kwaterą w forteczce, która jeszcze za czasów Chmielnickiego została zdewastowana przez Kozaków i od tego czasu nikt nie podjął się trudu naprawienia szkód. Bogusław wybrał izbę ze sprawnym piecem i kazał pozabijać deskami dziury po oknach.

Pod wieczór zjawił się u niego Grot.

– Nie znajdziemy tu nic do żarcia – oznajmił, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. – Mógłbym wziąć część dragonów i odwiedzić naszych sąsiadów.

– Zabroniono nam nękać tutejszą szlachtę – przypomniał Tyner. – Poza tym Wyżycki obiecał dostawy.

– A jeśli żywność nie dotrze? Tego, co mamy, starczy na tydzień, a i to przy dzieleniu na skromne porcje.

– Wtedy zacznę się martwić – odrzekł Tyner. – Najważniejsze teraz to zgromadzić drewno na opał. Jutro wyślę kilka drużyn z saniami do lasu. Nie wiadomo, jak długo utrzyma się względnie dobra pogoda.

Jasne niebo mieli jeszcze przez dwa dni, po czym rozpętała się potężna zamięć i szalała do niedzieli, odcinając ich białym całunem od świata. Gdy w końcu przestało wiać, ścisnął tak srogi mróz, że nie dało się wytrzymać na warcie dłużej niż godzinę. Co gorsza, skończyły się zapasy, a obiecane dostawy z Wiśnicza nie dotarły, czy to z powodu zasypanych gościńców, czy też zwykłego bałaganu.

Tyner musiał podjąć decyzję: złamać rozkaz czy narazić ludzi na głodówkę i utratę sił. Wybrał niesubordynację, nie po raz pierwszy w swym życiu.

– Objedziemy te wzgórza – oznajmił Grotowi i pochylił się z wachmistrzem nad mapą. – Narysowano ją jeszcze przed powstaniem Chmielnickiego, najpewniej więc większości tych wsi już tam nie ma bądź zostały tylko ruiny. Niemniej jakaś część siedzib musiała przetrwać lub zostać odbudowana.

– To ciężki teren, zalesiony, z dużą liczbą dolin i wąwozów – wskazał Grot, mrużąc oczy.

– Ale nie ma tam latyfundiów magnackich, do których wolę nie zajechać – przyznał Tyner szczerze. – Weźmiemy ze sobą czterdziestu ludzi, bez mundurów i znaków, wystarczy, aby wymusić żywność od chłopów czy średnio zamożnego szlachcica. Zajmiemy się tym po cichu i bez rozgłosu.

Wyruszyli o świcie, jadąc zasypaną śniegiem leśną drogą. Drzewa jak okiem sięgnąć okryły się białą okiścią błyszczącą w promieniach słońca. Co jakiś czas któryś z kołyszących się w siodłach dragonów trącał gałąź, prósząc śniegiem. Po pewnym czasie sierść wierzchowców i kozuchy jeźdźców pokryła obfita szadz, tak że przypominali pochód duchów przemierzających bezludne pustkowia.

Potem płaski teren się skończył i musieli przedzierać się przez doliny i jary, wypełnione grubymi zwałami śniegu. Konie trudziły się, brnąc przez zaspy często sięgające piersi zwierząt, rżąc i parskając pióropuszcami pary, Tyner uparł się jednak, by za dnia objechać jak największy obszar.

Słońce stało już wysoko, gdy natknęli się na wieś położoną u brzegów skutego lodem jeziora. Większość chat stała nienaruszona, ale kiedy wjechali między opłotki, ujrzeli wilki ucztujące na zwłokach starej kobiety i dziecka. Jeden z dragonów wycelował z muszkietu w drapieżców, lecz Tyner powstrzymał go przed oddaniem strzału, unosząc dłoń.

– Stój, narobisz huk – przestrzegł.

Wilki do ostatniej chwili zwlekały z pozostawieniem pożywienia. Gdy dragoni zbliżyli się na pięćdziesiąt kroków, największa z wilczyc szczeękła i wataha rozproszyła się, umykając w kierunku lasu.

Jak przypuszczał Tyner, nie były to wszystkie okropności, jakie mieli zobaczyć w tym miejscu. W centrum osady przywitały ich kruki wydziobujące mięso z wbitych na pale mężczyzn. Zsiniali i oszronieni niemal nie przypominali ludzi,

raczej jakieś potworne pacynki. W dwóch przypadkach wystrugane szpice przebiły się już przez piersi nieszczęśników, trzeci z mężczyzn, kościsty i chudy, wciąż skrywał palik w trzewiach.

Tyner i Grot zsunęli się z siodeł, płosząc kilka kruków.

– Byli tu wczoraj – stwierdził Grot.

Tyner skinął głową. Spojrzał z niepokojem na zaśnieżony las otaczający wioskę od północy i zachodu.

Wzniósł wzrok i ujrzał wpatrzone weń jasne oczy chudzielca.

– Chryste, ten żyje – wychrypiął przerażony, cofając się o krok.

Sine wargi mężczyzny poruszyły się w błagalnym szepcie.

– Ubij... mnie...

Tyner sięgnął po ostrze, lecz Tomasz Grot był szybszy. Doskoczył do nieszczęśnika i jednym cięciem szabli rozplątał mu gardło i kręgosłup, kończąc okrutną udramę.

– Musieli spać na nich zniecka – stwierdził Bogusław, odzyskawszy zimną krew. Rozejrzał się po opuszczonych zabudowaniach. – Może znajdziemy tu żywność.

– Zajmę się tym – rzekł Grot.

Wachmistrz podzielił żołnierzy na grupy poszukiwawcze i rozesłał po całej osadzie. Wkrótce jednej z drużyn udało się odkryć zapieczętowaną jamę, chytrze ukrytą pod chlewikiem.

– Przynieście świder! – zakrzyknął Grot do dragonów. Jeden z żołnierzy podał mu narzędzie przymocowane do drzewca piki. Wachmistrz przyłożył czubek świdra do ziemi i zaczął obracać drzewce, powoli, lecz nieustępliwie wkręcając się w zmarzlinę.

W pewnym momencie coś trzasnęło i pika zapadła się do połowy swej długości.

– Poszerzcie wylot – rozkazał Tyner. – Zobaczymy, co jest wewnątrz.

Dwóch dragonów z użyciem berdyszy rozłupało glinę pieczętującą wlot jamy. Tyner wziął pochodnię i zajrzał do schowka. Jama nie różniła się od innych używanych przez chłopstwo na Ukrainie. Zaraz po wykopaniu rozpalono w niej

ogień, dzięki czemu ściany stały się twarde niczym kamień i odporne na wilgoć. Dzięki temu ukryta pod ziemią żywność zachowywała świeżość przez wiele miesięcy, a nawet lat. Tym razem dopisało im szczęście. Znaleźli zboże – jęczmień, żyto i trochę pszenicy – a także wędzone ryby i mięso.

Tyner przywołał do siebie wachmistrza.

– Zapakujcie zapasy na juczne konie i ruszamy – polecił.

Grot wskazał wzrokiem na zwłoki.

– Co z nimi?

– A co ma być? – zdziwił się Tyner.

– Trzeba im obciąć głowy – oznajmił wachmistrz. – Wszyscy wiedzą, że umęczone dusze zmieniają się w upiory i wracają do swych ciał.

– Rób, jak chcesz. Tylko szybko, nie mam chęci stracić tu całego dnia.

Tak naprawdę to miejsce przywoływało zbyt wiele wspomnień, o których Tyner pragnął zapomnieć.

Dopadły go duszności. Rozpiął kołnierz kozucha i brnąc przez zasy, ruszył w stronę jeziora. Dopiero gdy poczuł wokół siebie otwartą przestrzeń, odetchnął głębiej.

Nagle dostrzegł ludzki kształt wystający spod śniegu, sto kroków od brzegu.

Upewnił się, że lód wytrzyma jego ciężar, i zbliżył się do zwłok. Przykucnął i zmiotł śnieg z ciała. To była kobieta, młoda i jasnowłosa. Miała na sobie wyłącznie sukienkę, rozdartą na plecach w miejscu, gdzie ktoś brutalnie wyrwał z niej grot strzały.

Bogusław chwycił w ramiona oszronione, zimne jak lód ciało i obrócił kobietę twarzą ku niebu. Wciąż miała otwarte oczy, duże i błękitne. Niezwykle piękne mimo odcisniętego w nich piętna śmierci.

Upłynęła chwila, nim dotarło doń, że dziewczyna nie jest bardzo podobna do Marii. Miała inny kształt twarzy, szerszy nos i inaczej ukształtowane usta. Zamrugał powiekami, odpędzając marę. Wsunął ramiona pod ciało, a potem podniósł zwłoki i wyprostował się. Gdy wykonał pierwszy krok w stronę brzegu, lód pod jego butami zaskrzypiał ostrzegawczo, lecz Tyner nie zrezygnował z przeniesienia dziewczyny.

Położył ciało na zakrwawionym śniegu przed wejściem chaty przeznaczonej na masową mogiłę.

Wachmistrz uniósł berdysz i Bogusław odwrócił wzrok, gdy ostrze odrąbało głowę od ciała kobiety. Następnie dragoni zaciągnęli zwłoki do chaty i zabili drzwi gwoździami znalezionymi w jednym z domostw.

– To powinno wystarczyć – rzekł Grot.

– Jedźmy stąd – zarządził Tyner.

Od razu zawrócili w kierunku Wołczysk. Wkrótce natknęli się na strumień spływający z pobliskich wzgórz i skierowali w dół nurtu, który wił się między wzgórzami. Towarzyszyła im kompletna cisza przerywana tylko parskaniem koni i skrzypieniem zlodowaciałego śniegu pod kopytami wierzchowców.

W którymś momencie jeden ze zwiadowców wypatrzył chmarę ptactwa kołującą nad lasem.

– Coś je spłoszyło – stwierdził Tyner, wpatrując się w gromadę zygzakowatych kształtów wirujących po drugiej stronie pasma wzgórz.

– To jakaś mila stąd – ocenił Grot i popatrzył z wyczekiwaniem na porucznika.

– Sprawdźmy, co tam się stało – zdecydował Tyner.

Po jakimś kwadransie jazdy teren zaczął się wznosić i resztę drogi musieli pokonać pieszo.

– Najlepiej będzie rozejrzeć się z tamtego wzgórza. – Grot wskazał na pobliski zalesiony garb o dość łagodnym podejściu na szczyt.

Bogusław uznał to za dobry pomysł.

– Rozejrzę się – oznajmił wachmistrzowi, na co tamten skrzywił się z dezaprobatą.

– Ja pójdę, panie poruczniku – zaproponował.

– Nie. Zostaniesz z oddziałem. W razie gdybym nie wrócił, przejmiesz komendę – uciał Tyner i ruszył w górę stoku, brnąc po pas przez zasy, ślizgając się i chwytając dłońmi oblodzonych pni drzew.

Gdy dotarł na szczyt wzniesienia, serce waliło mu jak oszalałe, a po plecach spływały strużki potu. Zatrzymał się na moment dla złapania oddechu, po czym

znów ruszył przez głęboki śnieg. Przedostawszy się na drugą stronę wzgórza, przypadł do pnia sosny i spojrzał w dolinkę rozciągającą się pomiędzy dwoma pasmami wzgórz.

W dole rozbił się niewielki czambuł z jasyrem. Wojownicy nie rozpalili ognisk, grzejąc się przy koniach. Grupa brańców nie miała nawet tego. Powiązani ze sobą arkanami, kulili się na śniegu pod nadzorem strażników. Nieco dalej czekały zapasowe konie, gdyż każdy ordyniec ruszał na wyprawę z dwoma lub trzema bachmatami. Tyner naliczył dwieście wierzchowców, co dawało niespełna setkę wojowników.

Porucznik wycofał się chyłkiem między drzewa i powrócił do oddziału.

– W dolinie zaszył się zagon Tatarów z jasyrem – oświadczył wachmistrzowi. – Chyba czekają, aż mniejsze grupy powrócą z łupem. Dlatego musimy przypuścić atak od razu.

– Jest ich więcej niż nas – zauważył trzeźwo Grot. – Jeśli zaatakujemy, różnie może się to skończyć, w najlepszym razie Tatarzy porzucą łupy i umkną, jak to mają w zwyczaju. Wyślijmy gońca po wsparcie do Wołczysk.

– Nie ma na to czasu – sprzeciwił się Tyner. – Załatwimy to tu i teraz.

Omówienie planu ataku zajęło mu kilka minut. Potem oddział podzielił się na dwie części. Grot zabrał ze sobą dziesięciu ludzi i poprowadził ich pieszo skrajem zbocza.

Tyner rozkazał pozostałym dragonom zakopać żywność w śniegu i wsiadać na koń. Nim ruszyli stępą, ostatni raz obejrzał się na drużynę prowadzoną przez wachmistrza. Osiągnęli już linię drzew i maszerując jeden za drugim, znikali między okrytymi bielą sosnami.

Tyner nie był pewien, czy postąpił właściwie, wysyłając ich tam. Jeszcze kilka lat temu nie miałby takich wątpliwości. Wówczas nie zważał na ryzyko, za nic miał życie swoje i innych. Pragnął wyłącznie krwi i zemsty, nic innego go nie obchodziło. Zabijał Tatarów, każdego, który wpadł mu w ręce, winnych i niewinnych, młodych i starych. Podcinał im gardła, torturował, wsadzał na pal, a nawet palił żywcem. Unurzał ręce we krwi, stał się samotny i zgorzkniały.

W końcu zrozumiał, że przemoc niczego nie rozwiązuje, nie może zapełnić

pustki, którą odczuwa się po stracie bliskiej osoby. Nie umniejsza poczucia winy, że nie było go przy Marii, gdy najbardziej tego potrzebowała.

Teraz wiedział to z pewnością. Ale czy to czyniło go kimś innym? Tyner obawiał się, że tak się nie dzieje. Raz wpuściwszy diabła do serca, nie sposób się go pozbyć. Można mieć tylko nadzieję, że nie zawładnie tobą do końca.

*

Marsz przez zasy był męczarnią. Grot przy każdym kroku zapadał się głęboko w śnieg, taszcząc ze sobą torbę z pistoletami, prochem i amunicją. Do tego szabla szturchała go boleśnie w udo przy każdym kroku. Zaciskając zęby z wysiłku, zastanawiał się, czemu nie został na spłachetku ziemi odziedziczonym po ojcu, zamiast wybierać dla siebie takie życie.

„Przynajmniej nie odmrażałbym sobie jaj”, pomyślał posępnie, usiłując wydostać nogę, która utknęła w zmarzniętym śniegu.

Wiedział jednak, że okłamuje samego siebie. Gdyby nie tamta decyzja, wciąż byłby wieśniakiem grzebiącym w ziemi dla swego pana, niewiele lepszym niż niewolnik, bitym i poniżanym przez człowieka, który spłodził go jak dziesiątki innych bachorów biegających po obejściu folwarku. Piętnaście lat temu uciekł od tamtego życia i wybrał inny los. Żywot wolnego człowieka, który może decydować, kim jest i czego chce, nawet jeśli u podstaw tego wyboru stało morderstwo i kłamstwo.

Do rzeczywistości przywrócił Grota gwałtowny ból w kostce, gdy zawadził stopą o korzeń ukryty pod śniegiem. Zaklął po cichu i przystanął, aby przeczekać najgorszy ból. Dragoni maszerujący za nim gęsiego zatrzymali się, wykorzystując okazję do odpoczynku.

Wtedy ich usłyszał, nadjeżdżali jarem, który oddzielał dwa garby tego samego wzgórza. Grot pokazał gestem dragonom, aby przypadli do ziemi, a potem sam przyczaił się za świerkiem. Ostrożnie wychylił głowę ponad ośnieżoną gałąź i dostrzegł ciemne sylwetki jeźdźców. Tatarzy poruszali się wolno, wypatrując na śniegu śladów kopyt lub stóp. Często wstrzymywali bachmaty, nasłuchując i kręcąc

głowami.

Jeźdźców było pięciu, Grot doszedł do wniosku, że to patrol objeżdżający teren wokół obozu.

Spostrzegł, jak dragoni wyciągają przed siebie lufy rusznic.

– Nie strzelać – syknął.

Zagryzł dolną wargę, obserwując zbliżających się ordyńców, i powoli wyciągnął nóż z pochwy umocowanej przy pasie. W wypolerowanej stali ujrzał zmęczoną twarz, swoje własne odbicie.

Tatarzy byli już blisko. Grot zastygł w bezruchu, wstrzymując oddech, gdy ordyńcy minęli jego pozycję i popędzili swoje koniki w stronę doliny.

Odczekał, aż patrol zniknie mu z oczu.

– Ruszamy – rozkazał szeptem.

Dragonii podnieśli się ze swych kryjówek. Wachmistrz poprowadził drużynę w dół zbocza i po przejściu kilkuset kroków usłyszeli rzenie koni i nawoływania. Cała drużyna znów przypadła do ziemi. Grot wypatrywał oczy, usiłując dostrzec coś pomiędzy pniami. Obóz Tatarów musiał być blisko, wciąż jednak poza zasięgiem jego wzroku. Przez chwilę rozważał, czy nie zostać w tym miejscu, ale odrzucił ten pomysł.

Rozkazał drużynie się nie ruszać, a sam podczołgał się do gęstych zarośli porastających skraj lasu. Ordyńcy musieli być naprawdę blisko. Słyszał ich rozmowy i śmiechy. Grot przyłożył dłoń do ust, aby nie zdradziła go para z oddechu, i delikatnie odgarnął oblepione śniegiem gałęzie. Zorientował się, że znajduje się na skraju dość spadzistej skarpy, poniżej której rozciągało się obozowisko Tatarów.

Natrafiał na porę posiłku. Większość ordyńców siedziała na skórkach i obgryzała jakieś gnaty, kilku innych pilnowało klęczących na śniegu brańców.

Grot uznał, że to będzie dobre miejsce na kryjówkę. Spojrzał w słońce, rachując czas. Porucznik z resztą oddziału powinien już dotrzeć pod obóz. Niestety nic nie zapowiadało pojawienia się kawalerii.

Wycofał się do drużyny i w krótkich słowach opisał dragonom sytuację. Następnie całą grupą, bezgłośnie niczym duchy, przemknęli na skraj skarpy i ukryli

się za osłoną śniegu, drzew i chaszczu.

Pozostawało czekać.

Grot ściągnął z dłoni rękawice i wydobyl z torby pistolet. Sprawdził, czy pakuły w lufie dobrze trzymają kulę, po czym, używając rogu z prochem strzelniczym, podsypał panewkę.

W tym czasie dragoni w podobny sposób szykowali rusznice do zbliżającej się walki.

Czuł strach. Zawsze przed walką pociły mu się dłonie i drżały ręce. Zerknął na swoich ludzi i pomyślał, że każdy z tych mężczyzn również czuje lęk przed śmiercią czy okaleczeniem. Dostrzegał to w ich skupionych, czerwonych od mrozu twarzach, w zaciśniętych ustach, w sposobie, w jaki oddychali.

Powstrzymał nerwowy kaszel, świadom, że z każdą chwilą zwiększa się ryzyko, iż zostaną odkryci.

Dalsze zamartwianie się przerwały Grotowi odgłosy towarzyszące zamieszaniu, które podniosło się wśród Tatarów. Odsunął gałąź i spojrział w dół. Coś się działo. Ordyńcy podrywali się z miejsc i zwracali się w kierunku nadciągającej z głębi doliny kurzawy.

Wtedy z tumanów śniegu wyłoniły się cwałujące konie i trzymający szable jeźdźcy.

Polacy przeszli w galop, aż ziemia zadrżała od tętentu. Przestrzeń dzieląca ich od Tatarów zaczęła się zmniejszać z przerażającą szybkością. Zagwizdały ordyńskie piszczałki i w jednej chwili wojownicy z Krymu rzucili się do broni i wierzchowców. Za późno, aby powstrzymać szarżę, która wbiła się w ich skotłowane szeregi. W dolinie rozpętała się zacięta walka, zewsząd dochodziły kwik koni, odgłosy zderzającej się stali i jęki rannych.

W tej jednej chwili z Grota wyparował strach.

– Ognia! – wrzasnął na całe gardło.

Dragonii poderwali się z ukrycia, wycelowali z rusznic i wypalili chaotyczną palbą w tylne szeregi oszołomionego wroga.

Potem całą drużyną runęli na karki Tatarów.

Grot, ściskając pistolet w dłoni, zjechał po skarpie wprost pod nogi krępego ordyńca uzbrojonego w szablę i kindżał.

– Allah akbar! – wrzasnął tamten i rzucił się na Grotę z uniesionym ostrzem.

Wachmistrz wypalił mu w pierś z pistoletu i jak najszybciej poderwał się na nogi. Tylko po to, aby od razu wpaść na dziurę trzymaną przez kolejnego ordyńca. Błyskawicznie zasłonił się szablą, grot osadzony na drzewcu odbił się od klingi i pomknął w bok, trafiając w zbrylony lód.

– Hha! – krzyknął Grot i z całej siły, zupełnie nie po rycersku, wbił czubek buta w krocze Tatara.

Tamten wybałuszył oczy i stęknął, a potem zwałił się na wachmistrza, wywracając ich obu na ziemię.

Grot parsknął wściekle i z całej siły rąbnął rękojeścią szabli w pogański łeb, lecz gruba czapa osłabiła siłę ciosu. W odwecie Tatar spróbował przegryźć mu szyję, a gdy mu się to nie udało, odchylił głowę i zdzielił go czołem w twarz, aż wachmistrzowi zadzwoniło w uszach.

Grot sflaczał na mgnienie oka, co Tatar wykorzystał, by sięgnąć po sztylet. Wachmistrz w ostatniej chwili odchylił głowę przed wymierzonym w siebie ostrzem i obręcz zablokował rękę przeciwnika. Parskając i dysząc sobie w twarz, bliscy niczym kochankowie mocowali się, próbując osiągnąć najdrobniejszą przewagę. Tatar był zyłasty i zwinny, wił się i kąsał jak wąż. Grot był jednak większy i cięższy. Koniec końców, stosując brutalną siłę, znalazł się na górze. Cał po calu odsunął od siebie ostrze, po czym obrócił je w stronę przeciwnika i bezlitośnie wepchnął mu sztylet w oczodół. Przestał pchać dopiero wówczas, gdy stał po rękojeść zaklinowała się w czaszce.

Dyszając z wyczerpania, podniósł się z kolan i otarł rękawem oczy zalepione przez śnieg i krew.

Potyczka trwała ledwie kilka minut, po czym Tatarzy rozpierzchli się, wrzeszcząc. Za nimi napierali dragoni, siekąc, kłując i prąc końmi, trając każdego, kto wpadł pod podkute kopyta.

Grot był pewien, że niektórym z ordyńców uda się zbiec, ale bez wierzchowców

nie mieli wielkich szans ująć z życiem przed chłopami, którzy po każdej bitwie masowo przeszukiwali lasy.

Na uboczu kilku żołnierzy pod komendą Tynera uwalniało przemarzniętych brańców. Część z nich od razu rozproszyła się po poboju, odzierając martwych ordyńców z kozuchów i szukając jedzenia. Inni siedzieli skuleni na mrozie, z otępiąłym wyrazem twarzy.

Grot widywał już taki stan u ludzi, którym odebrano wszystko, co kochali. Spalono domy, zabito ojców, matki i dzieci. Nie wiedział, co może im powiedzieć, jakich słów użyć, aby doznali pocieszenia.

Zresztą nie sądził, aby było to możliwe.

Spojrzał na swe dłonie zmarznięte i otarte do krwi przez zlodowaciały śnieg. Znów się trzęsły, ale to było dobre. Oznaczało bowiem, że wciąż żyje.

*

Klara zjawiała się w alkowie jej wysokości, zastając Eleonorę przy porannej toalecie przed lustrem. Królowa przywitała kanclerzynę nerwowym uśmiechem i bez zwłoki odesłała z komnaty pozostałe dwórki.

– Przyniosłaś? – zapytała, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania.

– Mam ją przy sobie – potwierdziła Pacowa.

Sięgnęła do kieszonki ukrytej w fałdach sukni i wręczyła królowej kryształową fiolkę zawierającą bezbarwną substancję.

– Przypomina zwykłą wodę – zauważyła Eleonora nieufnie.

– Zapewniam waszą wysokość, że zadziała. Wystarczy wlać zawartość fiolki do karafki z winem.

– Jesteś pewna, że to mu nie zaszkodzi?

– Całkowicie. Dostanie torsji i może lekkiej gorączki, ale nic groźniejszego się nie wydarzy.

Eleonora zerknęła na trzymany w dwóch palcach flakonik. Czuła się okropnie z myślą, że ma uczynić coś takiego.

– Chyba się nie zdecyduję – powiedziała zdenerwowana.

– Wasza miłość postąpi, jak zechce, ale bez tego nie zobaczy się z księciem Karolem – przestrzegła Klara.

– Wiem... ale chyba nie potrafię mu tego zrobić.

Nim dokończyła zdanie, drzwi się otworzyły i do alkowy wkroczył Michał Korybut w otoczeniu trzech królewskich paziów.

Eleonora drgnęła wystraszona. Przyłożyła dłoń z fiolką do piersi i wsunęła kryształ za koronkowy gorset sukni.

Przywołała na usta wyuczony uśmiech i ukłoniła się jego wysokości.

Korybut jak zwykle miał na sobie cudzoziemski strój i perukę. Choć kochany przez szlachtę, nie cierpiał sarmackich sukien. Jak sam mawiał, prezentował się w nich grubo i pokraccie.

– Wyglądasz pani olśniewająco – rzekł na powitanie, a potem delikatnie ucałował policzek żony.

– Wasza wysokość jest nadzwyczaj łaskaw – odrzekła Eleonora. – Czy to nowe spinki? – Wskazała wzrokiem bursztyn i złoto przypięte do rozcięcia wamsu, tuż poniżej jedwabnej chusty mającej chronić przed przeciągami delikatne gardło króla.

– Owszem. – Korybut uśmiechnął się, przez co jego policzki wydały się jeszcze pulchniejsze. – To dar od księcia elektora, przywiózł mi je nowy rezydent brandenburski w Warszawie, otrzymałem również obietnicę...

Eleonora zapieczętowała usta męża krótkim pocałunkiem.

– Porozmawiamy o tym na osobności – szepnęła do Korybuta.

Jego wysokość uśmiechnął się przeproszająco i wyciągnął ku królowej pulchną dłoń. Eleonora chwyciła wypielęgnowane palce wystające zza koronkowych mankietów i udali się na śniadanie, prowadząc za sobą pochód dworaków.

Gdy dotarli do jadalni, Eleonora posłała Klarze porozumiewawcze spojrzenie. Kanclerzyna zatrzymała się przed komnatą i zamknęła drzwi przed skonfundowanymi dworzanami.

Korybut zerknął na małżonkę z niepokojem.

– Musimy pomówić – wyjaśniła Eleonora. – W cztery oczy.

– Ależ oczywiście, wasza miłość – powiedział król i oboje zasiedli przy

niewielkim stole.

Na śnieżnobiałym obrusie czekały na nich srebrne półmiski z wykwintnymi daniami. Tego ranka zamkowi kucharze przygotowali sandacza i okonia w korzennych sosach oraz wędliny nadziewane farszem i owocami, szczególnie smaczne zimą, gdy brakowało świeżych darów natury.

– O czym chciałaś pomówić, miłościwa pani? – zapytał król.

– O naszym bezpieczeństwie. Uważam, że powinniśmy oboje na jakiś czas opuścić Warszawę.

Korybut przybrał naburmuszoną minę.

– Uważam, że zamek jest najbezpieczniejszym z miejsc, moja pani – odparł z doskonale znaną jej nutą dziecięcego buntu. – Strzeże nas tu gwardia królewska, a ksiązę elektor obiecał przysłać posiłki w liczbie półtora tysiąca rajtarów i piechoty.

– Mimo to nie jest tu bezpiecznie – powtórzyła z naciskiem królowa. – Stanowczo nalegam, abyśmy... – Urwała, gdyż uchyliły się drzwi, przez które wchodziła służba, i do jadalni wkroczył Konarzewski.

Eleonora uświadomiła sobie, że niemądrze rozdziawia usta, wpatrując się w młodzieńca, który najwyraźniej miał zamiar usługiwać im przy stole.

Kochaś jej męża ubrany był w jasnokremowy wams, podkreślający jego smukłą talię i szerokie męskie ramiona, oraz w obcisłe spodnie do kolan.

Musiała upłynąć chwila, nim wypełniające Eleonorę zdumienie zastąpiła zimna furia.

– Miałaś usunąć go z dworu. Co on tu robi? – zapytała, mrużąc oczy i wpatrując się w męża, który nieudolnie udawał, że nie zwraca uwagi na swego pupila.

– Uczyniłem go mym osobistym podczaszym – oznajmił Korybut, siląc się na stanowczość, co jak zawsze w jego wypadku wypadło dość blado.

– Z pewnością solidnie zapracował na ten zaszczyt – wysyczała Eleonora, niemal unosząc się z krzesła. – Czyś ty do cna rozum stracił!?

Korybut popatrzył na żonę z mieszaniną gniewu i zażenowania.

– Myślałem, że mnie rozumiesz. Pogodziłaś się z tym.

– Jak kobieta może się pogodzić z czymś takim? – Eleonora z wściekłością rzuciła chusteczkę na stół. – Rozumiem, że to silniejsze od ciebie, ale trzymanie go tutaj to policzek dla mnie. Nie wspominając już o plotkach, które na twój temat rozsiewają nasi wrogowie.

Korybut milczał. Zaciśnął usta i wlepił wzrok w talerz. Nie wyglądało jednak na to, że zamierza ustąpić.

– Tylko jemu mogę ufać – odezwał się nagle, unosząc wzrok i patrząc buntowniczo na Eleonorę. – Otaczają mnie zdrajcy, szpiedzy i kłamcy skrywający swe tajemnice. Czy żona powinna mieć je przed mężem?

Eleonora zamrużyła powiekami. Nigdy wcześniej nie zwracał się do niej w taki sposób.

– Masz mi coś do zarzucenia, wasza wysokość?

Korybut wychylił się ku niej, krzywiąc groźnie twarz.

– Nie jestem głupcem, za jakiego mnie macie. Wiem, że ambasador von Stom spotkał się z Prażmowskim. Rozmawiali o twym ożenku po tym, jak abdykuję. Wiedz zatem, że nigdy nie ustąpię z własnej woli, a jeśli zdradzisz moją tajemnicę, staniesz się pośmiewiskiem całej Europy.

Eleonora wzdrygnęła się, ale choć kipiała od środka, opanowała emocje. Zerknęła na Konarzewskiego, który wyraźnie speszony awanturą o jego osobę, skrył się za kominkiem. Przyłożyła dłoń do piersi i zaciśnęła ją na fiolce otrzymanej od Klary.

– Zapewniam waszą miłość, że jestem ci wierna jako żona i królowa – powiedziała najpewniej, jak potrafiła.

Na krągłym obliczu Korybuta odmalowała się rozterka.

– Mówisz szczerze? – zapytał tonem człowieka, który chce uwierzyć.

– Przysięgam, nie opuszczę cię do śmierci – odrzekła Eleonora i skierowała wzrok na Konarzewskiego. – Skoro już tu jest, niech wypełni swą powinność – zdecydowała.

Korybut uśmiechnął się z ulgą i przywołał do stołu podenerwowanego kochanka. Ten jako podczaszy miał zadanie kosztować jedzenia i trunków, które trafiały na

królewski talerz.

Król wybrał sandacza i kiełbaski z sarniny, podczas gdy Eleonora ograniczyła się do białego wina, które stało blisko niej w otwartej karafce. Konarzewski skosztował po trosze każdej potrawy wybranej przez jego wysokość, a potem napełnił winem puchar i wychylił go do dna. Korybut w tym czasie zajął się jedzeniem. Nadział na widelczyk kawałek ryby i umieścił ją w ustach.

– Więc jak znajdujesz moje nowe spinki, wasza miłość? – zapytał, gdy przełknął pierwszy kęs.

– Są niepowtarzalne – odparła Eleonora, obserwując, jak nowy podczaszy napełnia kielichy jej i króla.

Nagle Konarzewski wypuścił z rąk karafkę z winem, zachwiał się i w drgawkach upadł na podłogę.

Michał Korybut poderwał się z krzesła i zaczął z krzykiem wzywać pomocy, a Eleonora zastygła, nie potrafiąc oderwać oczu od dygoczącego młodzieńca.

Drzwi do komnaty otworzyły się gwałtownie i z korytarza wbiegli żołnierze oraz dworzanie z Klarą Pac na czele.

– Dajcie go na stół! – zakrzyknęła Klara i energicznie ściągnęła obrus z blatu, zwalając na podłogę talerze i półmiski.

Dwóch strażników chwyciło Konarzewskiego. Unieśli go i położyli na stole.

– Potrzebny będzie lejek! Migiem! – poleciła kanclerzyna jednemu z pokojowych, który natychmiast wybiegł z komnaty.

Stan młodzieńca pogarszał się z każdą chwilą. Dostał konwulsji, gardło napuchło mu i posiniało.

Klara Pac podbiegła do kominka i za pomocą pogrzebacza zgarnęła do szklanki nieco gorącego węgla, po czym rozrobiła go z wodą.

– Unieście mu głowę – poleciła gwardziście i spróbowała napoić Konarzewskiego miksturą na przeczyszczenie.

Młodzieniec zakrztusił się i wypluł na brodę pierwszy łyk.

– Trzymajcie go mocniej! – syknęła Klara do gwardzistów i spróbowała ponownie zmusić młodzieńca do picia, z równie marnym skutkiem jak poprzednio.

W tym momencie ktoś przyniósł lejek, co w końcu pozwoliło Klarze skutecznie przelać roztwór w przełyk pacjenta.

– To wszystko, co mogę zrobić – oznajmiła, unikając wzroku Eleonory. – To była trucizna.

Korybut zbladł i tylko interwencja gwardzisty uchroniła go przed upadkiem. Pozwolił odprowadzić się do fotela.

– Chcieli mnie zabić! – zaskrzeczał. Na pulchnej twarzy króla malowały się szok i niedowierzanie. Ucisnął kurczowo dłoń Eleonory. – Trucizna była przeznaczona dla nas – wyszeptał wstrząśnięty.

Zapadła przejmująca cisza przerywana cichym, rzęzącym oddechem Konarzewskiego. Królowa nie wahała się ani chwili. Uklękła przy mężu i popatrzyła mu w oczy.

– Wciąż grozi nam niebezpieczeństwo – powiedziała stanowczym tonem. – Musimy opuścić zamek, wyjechać w bezpieczne miejsce.

– Do Zamościa? – W takiej chwili nawyki brały górę, znów chciał się skryć pod spódnicą matki.

– Lepszy będzie Kraków – rzekła Eleonora zdecydowanie. – Jeśli nasi wrogowie podniosą bunt, mój brat cesarz wesprze nas tam wojskiem.

Korybut nie odpowiedział. Rozejrzał się po zgromadzonych wokół niego dworakach, jakby chciał się upewnić, że żaden z nich nie skrywa za plecami sztyletu. Potem znów wlepił wzrok w Konarzewskiego.

– Uspokoił się, chyba mu lepiej – stwierdził z ulgą w głosie.

Klara pochyliła się i przysunęła twarz do rozchylonych ust młodzieńca.

– Nie żyje – oznajmiła cicho.

Korybut wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem, a potem skulił się i zwymiotował, brudząc buty i dywan.

Eleonora zareagowała natychmiast.

– Jego wysokość potrzebuje odpoczynku, musi się udać do alkowy – zwróciła się do gwardzistów i dworaków. – Jeśli wam życie miłe, nie wspomnicie nikomu o tym, co tu się wydarzyło – ostrzegła świadków.

Położyła dłoń na ramieniu męża.

– Zaraz do ciebie przyjdę – obiecała spokojnym głosem.

Dopiero gdy Michał Korybut opuścił komnatę, na obliczu królowej pojawiły się prawdziwe emocje. Strach i wściekłość.

Ruszyła w stronę Klary Pac, jakby zamierzała uczynić coś gwałtownego. Kanclerzyna bez zwłoki przypadła do nóg władczyni i chwyciła Eleonorę za zaciśnięte kurczowo dłonie.

– Wybacz, wasza wysokość! Nie wiem, co się stało – wyszeptała, trzęsąc się z przerażenia. – Przysięgam, ta substancja nie powinna nikogo zabić!

Eleonora zerknęła na martwe ciało Konarzewskiego. Potem wlepiła zaszklony wzrok w korzącą się u jej stóp Francuzkę i powoli oswobodziła dłonie z uścisków kanclerzyny.

– Wierzę ci – oznajmiła i rozwarła zaciśnięte palce.

Klara Pac spojrzała z niedowierzaniem na wypełnioną płynem fiolkę.

– To nie my go zabiłyśmy – wyszeptała Eleonora. – Nawet jej nie otworzyłam.

ROZDZIAŁ V

Nowy początek

Marzec A.D. 1672

Nadzieja bywa zwodnicza jak kłamstwo i nie mniej groźna niż kula wystrzelona z muszkietu. Zabija głupców skuteczniej niż ostrze trzymane w bezlitosnej dłoni. Bogusław Tyner w całym swym życiu doznał zbyt wielu upadków i rozczarowań, aby łądzić się, że jest inaczej. A jednak po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął dopuszczać do siebie myśl, że zostawił za sobą klątwę prześladowającą go od czasu, gdy utracił Marię.

Pragnął tego z całego serca, jak niczego innego na świecie – nawet jeśli trzeźwy osąd podpowiadał mu, że trzeba czegoś więcej niż kilku dobrych dni, aby przełamać zły los.

W potyczce z Tatarami żaden z dragonów nie zginął, a tylko kilku odniosło drobne obrażenia. Uwolnili też kilka setek kobiet i mężczyzn, którym Tyner polecił wydać ciepłe ubrania ściągnięte z martwych Tatarów oraz żywność znaną w obozie. Potem przemówił do ludzi i kazał im wracać do domów, jeśli jeszcze je mieli, lub poszukać innych siedlisk, w których mogli przeczekać zimę.

W drodze powrotnej zatrzymali się w miejscu, gdzie uprzednio Bogusław kazał ukryć żywność, i po wykopaniu zapasów od razu skierowali się do Wołczysk. Tam czekał już na Tynera pocztowy chorągwi husarskiej, którą dowodził Wyżycki. Przywiózł rozkaz natychmiastowego dołączenia kompanii dragonów do reszty pułku w związku z wdarciem się czambułów w granice Wołynia.

– Siła ich nadciągnęła od Korsunia – oznajmił Tynerowi. – W paru miejscach stawili im czoła pospolitacy z jazdy sandomierskiej i nadworne jednostki księcia Ostrońskiego, ale ordy i Kozaków będzie z dwa tysiące. Wiele szkód psubraty poczynili i ludzi w jasyr zgarnęli. Trzeba ich zatrzymać, nim wyjdą na step, gdzie nic już nie poradzimy.

Tyner nie zwlekał. Wyszli z Wołczysk o świcie i nie żałując koni, dotarli na

miejsce zgrupowania następnego dnia.

Już z dala przywitały ich chmary czarnego ptactwa krążące nad pobojobiskiem. Na ziemi leżały setki martwych Tatarów i Kozaków, nagich, zastygłych na mrozie i śniegu, odartych z odzienia. Nikt nie troszczył się o ciała pozostawione na żer lisom, wilkom i wronom. Tyner poprowadził dragonów skrajem pobojobiska w stronę wzniesienia, gdzie Polacy założyli obóz. Po dotarciu na miejsce przekazał komendę wachmistrzowi i udał się na spotkanie z dowódcą.

W namiocie Wyżyckiego zastał delegatów przysłanych przez szlachtę, której sporo było wśród brańców. Panowie bracia prezentowali się licho, wręcz po chłopsku, odziani byle jak, w niedopasowane łachmany. Żałosny stan i niedawna niewola nie przeszkadzały im domagać się krzykliwie zwrotu dóbr zrabowanych szlachcie przez Tatarów, a następnie odzyskanych przez żołnierzy po bitwie.

– Nie teraz, mości panowie, nie teraz! – zawołał stanowczo Wyżycki, podnosząc się z zydlu. – Właśnie przybył oficer z misją wielkiej wagi. – Wskazał na Tynera, który zatrzymał się w przedsionku namiotu. – Wybaczcie zatem i daję słowo, że wszystkie zażalenia zostaną rozpatrzone. Przyjdźcie jutro. Jutro.

– Nie ruszym się stąd, póki nie odzyskamy tego, co nam zrabowano – zaprotestował najbardziej rozgniewany szlachcic.

Wyżycki już go nie słuchał. Dał znak wartownikom, aby wyprowadzili delegację z namiotu.

– Gdyby nie ja i moi żołnierze, pewnie jakiś Turek popychałby go w zadek do końca życia – zwrócił się do Tynera. – Ot, ludzka niewdzięczność.

– Wszystko potracili, cały dobytek – zauważył Bogusław. – Nie dziwota więc, że burzą się, widząc, jak żołnierze dzielą między siebie ich własność.

– Współczuję im, ale wojsko od trzech kwartałów nie widziało zapłaty. Jeśli odbiorę im teraz łupy zdobyte na Tatarach, zaczną opuszczać obóz.

Tyner tylko pokiwał głową. Czasem sprawy wyglądają tak, jak wyglądają, i niewiele można z tym zrobić. To była jedna z takich spraw.

Wyżycki podsunął oficerowi drugi zydel wykonany z końskiej skóry rozpiętej na drewnianych nogach.

– Spocznij, panie Bogusławie – poprosił.

– Wielkie zwycięstwo odnieśliście waszmość – orzekł Tyner, siadając.

– Zabiliśmy pięć setek ordyńców i nieco Kozaków towarzyszących im na wyprawie. Odbiliśmy też mnóstwo jasyru. Zwycięstwo to wielce wspomóż reputację naszej dywizji. Teraz nikt już nie powie, że uciekliśmy z Ukrainy ze strachu przed wrogiem, co kłamliwie zarzucali nam wobec szlachty stronnicy Sobieskiego.

– A co z sądem hetmańskim? – zapytał Tyner.

Wyżycki machnął ręką.

– Sejm zerwany, a król jegomość zablokował wszelkie decyzje Sobieskiego. Co więcej, otrzymałem pozwolenie, aby przenieść dywizję do królewskiej ekonomii samborskiej, gdzie zatrzymamy się, póty sytuacja polityczna się nie wyklaruje.

– Doskonałe to wieści. Kiedy wyruszamy?

– Za kilka dni, gdy zbierze się całe wojsko – odparł Wyżycki. – Ale ty, waszmość, udasz się gdzie indziej.

– Co to znaczy?

– Przyszedł list od księżnej Gryzeldy, z rozkazem, abyś niezwłocznie stawił się w Zamościu.

– Wspomniała, w jakim celu?

Wyżycki pokręcił głową.

– Wiedz, panie Bogusławie, że będzie mi brakowało takiego oficera, ale liczę, że rychło znów się zobaczymy.

– Bóg jeden wie – rzekł Tyner. – Pozwolicie, że wezmę z sobą Grota, jeśli zechce jechać ze mną?

– Dobry to żołnierz i żał mi go tracić, ale cóż... Macie moje pozwolenie.

Na tym zakończyli spotkanie. Tyner pożegnał się z dowódcą i wyszedł na dwór.

Zamość... Zbyt wiele złych wspomnień wiązało się dla niego z tym miejscem, aby chciał tam wracać.

Ostatnim razem, gdy przebywał w tym mieście, własny ojciec wyrzekł się go za poślubienie Marii. Tylko dlatego, że nie była szlachcianką.

Czasem zastanawiał się, czy nie powinien był wówczas ulec woli rodziciela, wyprzeć się zakazanej miłości, nawet jeśli miało kosztować go to niewyobrażalny ból. Czy cierpiałby bardziej niż teraz? Tego nigdy się nie dowie. Mógł tylko przypuszczać, że Maria nie doznałaby wówczas od losu tak straszliwej krzywdy, miałyby dzieci i męża. Z czasem zapomniałyby o nim, a on o niej. Stało się jednak inaczej. Wszystko dobre i złe, co potem wydarzyło się w ich życiu, było konsekwencją tamtego wyboru.

Tyner westchnął żałośnie, wypuszczając z ust obłoczek pary.

Minęło wiele lat, Maria i ojciec nie żyli, a mimo to wciąż bał się stawić czoła demonom przeszłości. Jak długo miało to jeszcze trwać? Ile lat jeszcze żal i poczucie winy miały zatruwać mu duszę?

Naszła go myśl, że księżna Gryzelda ma rację. Powinien skończyć z uzalaniem się nad sobą, potraktować tę podróż jako dar od losu i odnaleźć właściwą drogę. Ostatecznie nie każdy dostaje szansę na nowy początek.

*

Zamość rozbrzmiewał biciem dzwonów wzywających mieszkańców na nabożeństwo. Księżna Gryzelda stała na balkonie swej alkowy i obserwowała małe sylwetki ludzi zmierzających tłumnie do kościołów.

Powiał chłodny marmoty wiatr, chłoszcząc zamkowe mury, i kniahini otuliła się szczelniej srebrnym futrem, które dostała w prezencie od kniazia Jaremy. Od śmierci męża upłynęło ponad dwadzieścia lat, a ona wciąż za nim tęskniła.

Ich małżeństwo nie było zbudowane na wielkiej miłości od pierwszego wejrzenia. Nie mogło być, skoro przed ślubem tylko raz widziała Jarekę, gdy przybył z oświadczeniami. Ojciec zmusił ją, aby wypełniła obowiązek wobec rodziny, i z początku nie przyszło jej to łatwo, ale gdy urodziła syna, wszystko zmieniło się na lepsze i z czasem szczerze pokochała męża.

Gryzelda uważała ten okres za najszczęśliwszy w swoim życiu, nim przedwczesna śmierć nie odebrała jej Jaremy. Potem nastąpiły złe lata wypełnione samotnością i kłopotami finansowymi spowodowanymi zajęciem przez

zbuntowanych Kozaków olbrzymiego latyfundium Wiśniowieckich. Na szczęście mogła liczyć na łaskawy chleb dla siebie i syna tu, w Zamościu.

To był dla niej ciężki czas. Obserwowała bezsilnie, jak jej brat Jan marnotrawi dziedzictwo przodków na pijaństwo i rozpustę. Utrzymywał tabuny dziwki i otaczał się gromadą pochlebców wysysających zeń złoto niczym wszy krew. Z każdym rokiem udręki narastała w niej świadomość, że cała ta wielka potęga zbudowana przez ich dziada Jana Zamoyskiego i utrwalona przez ojca Tomasza powinna należeć do niej. To ona odziedziczyła najlepsze rodzinne przymioty: rozum, charakter i ambicję, tymczasem jej młodszy brat był tych cech niemal pozbawiony. Nie miało to jednak znaczenia w świecie, który urządzono tak, aby faworyzował mężczyzn.

Pogodziła się z tym, że nigdy nie zostanie panią na Zamościu. Nauczyła się nie dostrzegać ladacznicy przechadzających się po zamkowych krużgankach, ignorować całonocne i wielodniowe pijatyki organizowane dla przyjemności jej brata.

To jednak było nic w porównaniu z pojawieniem się w Zamościu tej dziwki, Marii Kazimiery. Młoda Francuzka szybko zapragnęła stać się jedyną i niekwestionowaną panią Zamoyską. Skutecznie wykorzystywała w tym celu swe siedemnastoletnie ciało i wspaniałą urodę, którą zawróciła Janowi w głowie.

Gryzelda pozornie ustąpiła szwagierce miejsca pierwszej damy w Zamościu. W rzeczywistości skrycie i uparcie sabotowała z pomocą wiernych sług wszelkie pomysły i zarządzenia młodziutkiej Francuzki. Kniahini zbyt dobrze znała swego brata, aby łudzić się co do jego poprawy. Jan nie był mężczyzną cechującym się jakąkolwiek stałością i wszelkie nałogi przyciągały go niczym płomień przywabia ćmę. Gryzelda obserwowała, jak rok po roku stacza się w otchłań pijaństwa i rozpusty, traci zdrowie. Zdarzało się, że całymi tygodniami nie wychodził z pijackiego cugu, zaniehbując młodziutką żonę i zostawiając administrację latyfundium na głowie siostry.

Osamotniona Maria Kazimiera znalazła pocieszenie w ramionach Sobieskiego. Gdy tylko mogła, uciekała do Warszawy, gdzie spotykała się z ukochanym pod łaskawym okiem swej matki chrzestnej, królowej Ludwiki.

Gryzelda pozbyła się szwagierki z Zamościa, tak się jej przynajmniej zdawało. Do momentu, gdy ta oznajmiła, że jest w ciąży, i przekonała schorowanego męża, że

nosi pod sercem potomka Zamoyskich. Na nic zdały się błagania Gryzeldy, przekonywanie brata, że ojcem dziecka jest Sobieski. Jan nie chciał słyszeć prawdy.

Może inna kobieta ugięłaby się i zrezygnowała, ale Gryzelda nie miała zwyczaju ulegać ani ludziom, ani tym bardziej losowi. Wolała kształtować przeznaczenie siłą własnej woli.

Kniahini zacisnęła palce na kamiennej balustradzie tarasu, rozpamiętując noc, gdy przyszła do komnaty szwagierki i podała jej kielich z winem, do którego dodała miksturę na spędzenie płodu.

Po tylu latach wciąż zadawała sobie pytanie, czy mogła postąpić inaczej. Czy miała inne wyjście, aby uchronić swój ukochany Zamość przed dostaniem się w ręce francuskiej dziwki i Sobieskiego.

Po tym, co zrobiła, nie było już dla niej drogi odwrotu. Gdy zmarł jej brat, przysięgła sobie, że zachowa dziedzictwo rodziny dla Michała Korybuta. Z pomocą wojska nadwornego i przy poparciu mieszczan zawarła bramy przed Marią Kazimierą powracającą do Zamościa na wieść o śmierci męża i kuzynami z bocznej linii Zamoyskich, którzy ostrzyli sobie zęby na przejęcie bajecznie bogatej ordynacji.

Oczywiście zasypano ją protestacjami i wezwaniami do sądu, lecz nikt nie był na tyle głupi, aby siłą dochodzić swych praw. Zwłaszcza że rychło zrządzeniem opatrności i staraniem biskupa Olszowskiego jej syn Michał Korybut został wyniesiony przez szlachtę na tron królewski.

Gryzelda usłyszała szuranie o kamienną powierzchnię tarasu. Porzuciła wspomnienia i spojrzała na mężczyznę, który stanął u jej boku. Poważne, ciemne oczy Andrzeja Olszowskiego spoczęły na jej obliczu.

– Co robisz tu na chłodzie? – zapytał.

– Oddaję się wspomnieniom – odrzekła zgodnie z prawdą.

Uśmiechnął się.

– Sporo już ich się nam nazbierało.

– To prawda – przyznała i w przyjacielskim geście położyła dłoń na jego dłoni. –

Wracajmy do środka – zaproponowała.

Przeszli do ciepłej alkowy. Gryzelda zrzuciła z siebie futro i w samej sukni usiadła w fotelu ustawionym naprzeciw kominka. Andrzej Olszowski zajął miejsce obok niej w sąsiednim fotelu. Zastygli tak na dłuższą chwilę, wpatrując się w płomienie i rozmyślając.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Olszowski.

– Będziemy się bronić – odparła Gryzelda zdecydowanie. – Omal nie zamordowano mi syna, nie zostawię tego bez odpowiedzi.

– Jak myślisz, kto za tym stał?

Obrzuciła Andrzeja zdumionym spojrzeniem.

– Przecież to oczywiste: Sobiescy. – Ostatnie słowo kniahini niemal wysyczała.

– Hetman? – Olszowski pokręcił głową z niedowierzaniem. – To zupełnie nie w jego stylu.

– Za to w stylu jego żony jak najbardziej. Nie pierwszy to raz posłużyła się trucizną, aby pozbyć się bliskiej mi osoby.

– Nie masz dowodów, że to ona otruła twego brata.

– Nie muszę mieć – odrzekła Gryzelda nieustępliwie. – Któż inny mógł to zrobić?

– Rozumiem, że chcesz zrezygnować ze ślubu Dymitra z Teofilą?

Gryzelda zagryzła usta.

– Łudziłam się co do możliwości zawarcia pokoju między naszymi rodami... – Dotknęła dłoni Olszowskiego. – Oboje się łudziliśmy.

– Jesteśmy starymi ludźmi wychowanymi w innych czasach, gdy obowiązki i honor cokolwiek znaczyły – powiedział ksiądz biskup smętnie. – Teraz wszystko można kupić i sprzedać, nazywając to dobrem ojczyzny, rodziny czy samego Boga.

– Kiedyś też tak się działo, za czasów mego ojca i dziada – odrzekła Gryzelda. – Z upływem lat człowiek idealizuje własną młodość. Widzi w niej złoty wiek. Tymczasem zmieniło się tyle, że kiedyś nie przyjmowaliśmy złota z zagranicy, mieliśmy dość własnego. Obecnie nawet najznamienitsze rody popadły w ruinę przez ciągłe wojny i nieporządek w kraju. Sprzedajemy się i nazywamy to racją stanu.

– Ty nie bierzesz złota od nikogo – zauważył Olszowski.

– Ja mam Zamość i ordynacje – odparła kniahini dumnie. – Nie muszę nikogo o nic prosić. I mój syn też nie będzie musiał tego robić, gdy już rozprawimy się z naszymi wrogami.

– Rozprawimy się? – Olszowski popatrzył na Gryzeldę z niepokojem. – Cóż to znaczy?

– Zaczynam myśleć, że to Pacowie mają rację, nie my. Chcą postawić Sobieskiego, Prażmowskiego i Morsztyna przed sądem, wyzuć ich ze wszystkich sprawowanych urzędów, a nawet majątków. Zesłać na wygnanie, a jeśli ci nie zechcą opuścić kraju i wyjechać do Francji, skazać na śmierć.

Olszowski westchnął i objął Gryzeldę ramionami.

– Uspokój się, nie myślisz racjonalnie.

– To mój syn, moje jedyne dziecko. Nie zrozumiesz tego.

Natychmiast pożałowała swych słów.

– Wybacz mi, nie chciałam, aby tak to zabrzmiało.

– Wiesz, że zawsze będę stał przy tobie i Michale. Jednak ambicje Paców prowadzą wprost do nowej wojny domowej, a ta do kompletnej ruiny kraju... Tego chcesz? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Jeśli ma to zapewnić bezpieczeństwo mej rodzinie – potwierdziła Gryzelda.

– A jeśli Sobieski stanie się polskim Cromwellem i wygra wojnę, a twój syn skończy na szafocie jak angielski król?

Kniahini milczała.

– Co więc proponujesz, Andrzej?

– Uspokoić się i chronić życie króla. Wojna z imperium tureckim jest nieuchronna i cały ciężar jej prowadzenia spadnie na barki Sobieskiego.

– Co nam to da? – zapytała Gryzelda.

– Przegrana wojna osłabi hetmana i pogrąży go w oczach szlachty. Co istotniejsze, Sobieski i całe stronnictwo francuskie zostaną pozbawieni autorytetu wśród pokonanych żołnierzy. Wtedy uderzymy w opozycję, wykorzystując armię litewską i pospolite ruszenie zwołane przez króla do obrony ojczyzny.

– A jeśli Sobieski wygra, czy to nie uczyni go jeszcze silniejszym?

– Tej wojny nie wygramy, moja droga – powiedział Olszowski. – Nie z tym wojskiem, które mamy, nie przy pustym skarbcu. Właściwie już przegraliśmy, możemy tylko zadbać, aby umniejszyć koszty klęski i wykorzystać sposobność do pogrążenia naszych wrogów w kraju.

Kniahini zamyśliła się i przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

– Zgoda, posłucham twojej rady. Najważniejsze jest bezpieczeństwo mego syna. Najlepiej, gdyby król i królowa przyjechali tu, do Zamościa.

– Obawiam się, że Eleonora na to nie przystanie. Z tego, co słyszałem, schronią się w Krakowie. Dobry to pomysł, zważywszy, że księżę lotaryński dotarł już z regimentami pod śląską granicę. W razie zagrożenia udzieli ich wysokośćom wsparcia.

Gryzeldę niepokoiła bliskość, w jakiej mieli się znaleźć jej synowa i Lotaryńczyk, ale troskę tę zostawiła dla siebie.

– Musimy się zająć sprawą tych paszkwili na temat impotencji mego syna – zmieniła temat rozmowy. – Z całą pewnością te kalumnie rozprowadza Prażmowski.

– To do niego podobne – zgodził się Olszowski. – W tym człowieku nie ma krztyny uczciwości, cały jest wypełniony złośliwością i ambicją. Wysłałem skargę do Rzymu i liczę, że Ojciec Święty, któremu leży na sercu bezpieczeństwo Rzeczypospolitej w obliczu inwazji tureckiej, przykróci ostro cugli prymasowi. Niemniej najlepszą metodą, aby zadać kłam pogłoskom, jest poczęcie potomka przez parę królewską.

– Odbylałam z Eleonorą rozmowę na ten temat. Wyjaśniłam jej, że oddzielne sypialnie małżonków nie sprzyjają poczęciu dziecka, a co gorsza, wywołują okropne plotki.

Olszowski posłał jej zaciekawione spojrzenie.

– Co na to królowa?

– Była wściekła jak osa, ale myślę, że zrozumiała, na czym polega jej obowiązek.

– Jestem przekonany, że wkrótce doczekasz się wnucząt.

– Niczego bardziej nie pragnę, mój drogi.

Gryzelda westchnęła, jakby potworny ciężar przygniatał jej pierś.

– Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Otrzymałam list od ambasadora von Stoma. Informuje mnie, że Prażmowski przybył do niego i otwarcie zarzucił Michałowi... – Gryzelda umilkła zażenowana, rozpaczliwie szukając słowa, które przejdzie jej przez usta – to... obrzydlistwo.

– Masz na myśli...

– Grzeszenie z innym mężczyzną – wydusiła z siebie. – Co więcej, zasugerował usunięcie Michała z tronu pod pozorem niedołęstwa i ponowny ożenek Eleonory z francuskim księciem, który przejmie koronę.

– Prażmowski nie ośmieliłby się przedstawić takiej propozycji sam z siebie – stwierdził Olszowski. – Musiał otrzymać na to pozwolenie z Paryża. Król Ludwik jest w potrzasku, cała zachodnia Europa sprzymierzyła się do wojny przeciw niemu. Anglia, Hiszpania, Holandia, Cesarstwo i Prusy, nigdy wcześniej nie było tak wielkiego sojuszu przeciw jednemu państwu. Bóg pozwoli, a rychło potęga francuska zostanie unicestwiona na zawsze, a wówczas, gdy już zabraknie wsparcia Ludwika, rozprawimy się z Sobieskim i Prażmowskim tu, w kraju.

– Zapłacą za wszystko, co zrobili złego mej rodzinie – potwierdziła Gryzelda, znów kładąc dłoń na dłoni biskupa. – Gdy tak się stanie, zostaniesz prymasem, a mój syn niekwestionowanym władcą. Wspólnie będziemy go wspierać we władaniu królestwem.

*

Zamość powitał Tynera i Grota paleniem czarownicy na rynku. Egzekucja zgromadziła licznych gapiów przybyłych cieszyć oczy widokiem sprawiedliwej kary dotykającej grzesznicę.

Siedząc w siodłach, obserwowali, jak strażnicy prowadzą w kierunku stosu dwukołowy zaprzęg, na którym wieziono niemłodą już kobietę. Wiedźmie w jej ostatniej drodze towarzyszył ksiądz, przezornie trzymający się kilka kroków za wózkiem, aby uniknąć grudek łajna ciskanych przez motłoch w czarownicę.

Niegdyś Tyner, jak każdy, nie stronił od tego typu rozrywek, teraz jednak nie miał ochoty przypatrywać się egzekucji. W przeciwieństwie do spragnionych mocnych wrażeń mieszczan dość już naoglądał się cierpienia i okrutnej śmierci. Cmoknął na wierzchowca i zwierzę niespiesznie ruszyło ulicą w stronę zamku. Grot, bardziej zainteresowany kaźnią, chcąc nie chcąc, podążył za dowódcą.

W twierdzy zameldowali się u oficera straży nadwornej księżnej Gryzeldy. Wachmistrz został zakwaterowany w garnizonie. Tynera zaprowadzono do pokoju w pałacu. Pomieszczenie nie miało własnego pieca i panował w nim chłód, lecz Bogusław nie narzekał. Po ostatnich trudach czysta izba z łóżkiem i pierzyną, a także ciepły posiłek w zamkowej kuchni były wszystkim, czego potrzebował.

Napełniwszy żołądek, odwiedził łaźnię, gdzie zmył z siebie kilkutygodniowy brud i skorzystał z usług golibrody. Czysty i ostrzyżony postanowił wymienić żupan na nowy, bo ten, który nosił na grzbiecie, poprął się od ciągłego używania. W tym celu wybrał się do rynku.

Przy bliższym przyjrzeniu się miasto wyglądało lepiej, niż Bogusław zapamiętał je z czasów, gdy pobierał nauki w tutejszej akademii. Nie widział już zniszczeń po wielkim pożarze sprzed parunastu lat – który strawił arsenał, kilkanaście kamienic i prawie dwieście drewnianych domostw – co dobrze świadczyło o rządach księżnej Gryzeldy. Z głównych ulic zniknęły też szopy i budy stawiane masowo przez uciekinierów, którzy znaleźli schronienie za potężnymi murami Zamościa podczas wojen z Chmielnickim i Szwedami.

Pod ratuszem nie było już śladu po gapiach. Pozostał za to dogasający stos i szerniała od płomieni postać, porzucona na miejscu kaźni jako przestroga dla tych, co zamyślają zejść ze ścieżki prawości i boskich cnót.

Tyner zaszedł do ormiańskiego sklepu, w którym często zaopatrywał się, będąc żakiem. Za ladą zastał znanego mu kupca, tyle że posiwiąłego już i zgarbionego pod ciężarem przeżytych lat.

Starzec nie rozpoznał Bogusława, co zresztą nie dziwiło. W Akademii Zamojskiej uczyło się wielu studentów, a on sam nie przypominał już w niczym tamtego gładkiego chłopaczka. W sklepie oferowano głównie modę polską: żupany, ferezje i delie, a także niezbędne dodatki: pasy szlacheckie, rękawiczki i futrzane

czapki. Nie brakło też wszelkiego rodzaju zapinek, guzów i sprzączek trzymanyh w przezroczystych słojach. W głębi pomieszczenia leżały bele aksamitu, adamaszku i atlasu mieniające się niczym płynąca woda. Osobno wisiały kurty i delie podbite skórkami rysy czy soboli, a także zimowe szuby z gronostajów.

Tyner zatrzymał się chwilę przy futrach, świadom jednak, że nie stać go na taki zbytek. Po tym, jak spłacił długi, w sakiewce nie zostało mu wiele srebra.

Z tańszych strojów wpadł mu w oko oliwkowy żupan z mosiężnymi guzikami. Wydawało się, że suknia będzie za wąska w ramionach, ale po przymierzeniu wyszło, że leży na nim jak ulał.

– Coś pusto tu dzisiaj – zauważył Bogusław, kładąc monety na ladzie.

– Żydzi psują handel. – W głosie kupca pobrzmiwało więcej smutku niż złości. – Za czasów mego ojca było ich w mieście kilkanaście rodzin. Wszyscy Sefardyjczycy, uczciwi ludzie i kupieccy. A teraz? Szkoda słów. – Starzec machnął ręką. – Nazjeżdżali się różni, niszczą handel i rzemiosło, zaniżają ceny, sprzedając tandetę. Już teraz jest ich w mieście więcej niż Ormian i Niemców razem wziętych. Zajęli rynek solny i jatki, mają tam synagogę, łaźnie i dom nauki.

– Księżna potrzebuje podatków. Obojętne, czy płaci je Żyd, Ormianin, czy Polak – rzekł Tyner. – Pieniądz czyni wszystkich równymi.

Ormianin się wykrzywił.

– A co komu po takiej równości? Za czas jakiś w mieście nie będzie miejsca dla nas i Polaków.

Na to Tyner nie potrafił dać odpowiedzi, wszędzie na Kresach działo się tak samo.

Odebrał resztę w miedziakach i pożegnał się. Gdy dotarł na zamek, zakomunikowano mu, że księżna oczekuje go w kaplicy. Przebrał się i poszedł na spotkanie.

Gryzelda siedziała w ławeczce przy ołtarzu, oświetlona migotliwym blaskiem świec ustawionych w lichtarzach.

Gdy Tyner zamknął za sobą drzwi kaplicy, wskazała mu miejsce obok siebie.

– Tutaj nikt nie będzie nam przeszkadzał w rozmowie – oświadczyła.

Bogusław usiadł i chwilę milczeli.

– Obawiasz się śmierci? – odezwała się kniahini.

Zerknął na Gryzeldę zaskoczony.

– Staram się o tym nie myśleć. – Zamilkł, zbierając odpowiednie słowa. – Nie obawiam się utraty życia, lecz tego, co mnie czeka po tamtej stronie za czyny, których się dopuściłem tu, na ziemi.

Gryzelda skinęła głową, jakby odpowiedź Tynera była bliska jej własnych przemyśleń.

– Wysyłam cię na dwór królewski – oznajmiła. – W młodości Michał darzył cię zaufaniem, jestem pewna, że wciąż dobrze o tobie myśli, Bogusławie.

– Odwykłem od dworskiego życia, jestem żołnierzem. – To jedno przyszło mu do głowy.

– I wciąż nim zostaniesz – uspokoiła go księżna. – Do twych obowiązków będzie należało dbanie o bezpieczeństwo mego syna.

– Czy coś zagraża jego wysokości?

– Próbowano go otruć. Zajścia nie ujawniono przez wzgląd na ohydne plotki rozpuszczane przez naszych wrogów.

Tynera kusilo, aby zapytać o te plotki, ale ton głosu Gryzeldy i grymas malujący się na jej obliczu ostrzegły go, że lepiej będzie nie drażyć tematu.

– Uczynię wszystko, co w mej mocy, aby chronić króla – zapewnił.

– Wiem to. Na barkach mego syna spoczywa olbrzymi ciężar władania królestwem, ciężar, który mógłby przygnieść o wiele odporniejszego człowieka.

– Najjaśniejszy pan już jako chłopiec przejawiał niezwykłą roztropność.

Gryzelda uśmiechnęła się kącikami ust.

– Nie musisz mi kadzić, Bogusławie. Znasz mego syna od dziecka, byłeś jego paziem. Oboje wiemy, że ma słaby charakter. Kiedyś we wszystkim liczył się z moim zdaniem, lecz od ślubu z Habsburżanką tracę go – wyznała z bólem. – Jak nigdy wcześniej potrzebuje osób, które udzielą mu właściwych rad.

Bogusław milczał, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Miej oczy i uszy otwarte, nie ufaj nikomu, nawet tym, którzy wydają się poza

wszelkim podejrzeniem – ciągnęła Gryzelda. – Otrzymasz złoto na opłacenie pomocników i przekupienie dworaków. Zaczynij od służby i żołnierzy. Oni zawsze coś wiedzą. Postaraj się też dotrzeć do kogoś bliskiego królowej. Może do jednej z pokojówek? – Gryzelda wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Tynera. – Jesteś przystojnym mężczyzną, tak jak twój ojciec, z pewnością nie okaże się to dla ciebie problemem. Teraz już idź, chcę pobyć sama.

Bogusław opuścił kaplicę i zamknął za sobą ciężkie drzwi. Zastanawiał się, czy o takim nowym otwarciu myślał, zmierzając do Zamościa.

Jego ojciec zwykł mawiać, że życie rzadko kiedy daje nam to, czego chcemy. Dużo częściej człowiek staje przed wyborem między mniejszym a większym złem.

Problem w tym, że czasem ciężko rozeznąć, które jest które.

ROZDZIAŁ VI

Awers i rewers

Kwiecień A.D. 1672

Charlotta, obserwując przez okienko powozu umykające przedmieścia Warszawy, westchnęła z ulgą. Po pięciu dniach zamknięcia w kolebiącym się pojeździe i nocach spędzanych w zarobaczonych zajazdach marzyła o gorącej kąpeli i wygodnym łóżku z czystą pościelą.

Woźnica nie żałował koni aż do placu z rozdrożem i rzeczką, która spływała głębokim wąwozem w stronę Wisły. Tam musiał zwolnić, gdyż na skutek roztopów i deszczów rozstaje zmieniły się w grzęzawisko.

Koła powozu zabuksowały w błocku i przez moment Charlotta obawiała się, że utknął na dobre, lecz konie prowadzone przez wprawnego stangreta pociągnęły go jednak dalej.

Zostawili za sobą przedmieścia i wjechali na Nowy Świat, gdzie właśnie rozpoczynano budowę kolejnego dworu – wyrastały niczym grzyby po deszczu wzdłuż szerokiej, lecz wciąż pozbawionej bruku ulicy. Stangret znów wyhamował, przepuszczając kolumnę wozów wiozących na teren budowy sterty desek i drewniane bale.

Na szczęście pałac zajmowany przez Sobieskich na czas ich pobytu w Warszawie znajdował się już niedaleko.

Gdy powóz zatrzymał się na podjeździe, podbiegł do niego służący i rozłożył drewniane schodki ukryte pod podwoziem. Charlotta wysiadła z kabiny, z przyjemnością prostując nogi i plecy po blisko dziesięciu godzinach nieprzerwanej jazdy po bezdrożach. Czuła się lepka i brudna. Jak najszybciej chciała znaleźć się w wannie z gorącą wodą.

Z pałacu wyszła ku niej ochmistrzyni, korpulentna siwiejąca kobieta ubrana w nienaganną ciemnoszarą suknię bez zdobień.

– Pani hetmanowa prosiła, abym zajęła się wszystkim, gdy *mademoiselle*

przyjedzie – zwróciła się do Charlotty przymilnie.

– Gdzie teraz jest pani Sobieska?

– Przyjmuje medyka.

– Jest chora? – zaniepokoiła się Charlotta.

– Ona nie, ale chyba chodzi o ciążę.

Ochmistrzyni osobiście zaprowadziła Mesire do komnaty i obiecała przysłać z kuchni służące, które przygotowują kąpiel.

Charlotta przywiozła ze sobą tylko dwie torby podróżne, poleciła tragarzom złożyć je pod ścianą. Gdy została sama, rozejrzała się po nowym lokum.

Pomieszczenie było duże, o wysokim stropie i bielonych ścianach. Stały tam stół z brązowego drewna i krzesło z wysokim oparciem, a także zegar umieszczony na gzymsie wygasłego kominka. W głębi pomieszczenia znajdowały się łóżko z baldachimem i parawan.

Niestety wszelkie nadzieje na odświeżenie się przepadły, gdy do drzwi Charlotty zapukał lokaj z poleceniem, aby stawiała się w alkowie Marii Kazimiery.

Charlotta zmieniła bieliznę i ubranie na czyste, po czym udała się na spotkanie ze swą panią.

Marysieńka powitała ją, odpoczywając na sofie z wypiętym ku górze, mocno już zaokrąglonym brzuchem.

– Jak się czujesz? – zapytała Charlotta, gdy służba wyszła i mogły pomówić w cztery oczy.

– Doskonale, nie mam już mdłości i wciąż widzę swoje stopy – odparła Marysieńka i zmieniła pozycję na siedzącą.

– A jak dziecko?

– Rośnie i kopie.

– A więc wszystko w porządku? – upewniła się Charlotta.

– Czemu pytasz?

– Ponoć był u ciebie medyk?

– Ledwo co przyjechałaś, a już o wszystkim wiesz – rzekła na poły poważnie Sobieska. – Kilka tygodni temu doznałam lekkiego krwawienia i Jan upiera się, aby

lekarz badał mnie co jakiś czas. Zwykle puszcza mi krew i każe pić ohydne mikstury na uspokojenie humorów. Dziś jednak wkładał we mnie te swoje okropne narzędzia – poskarżyła się Marysieńka. – Czemu muszą być tak wielkie, metalowe i zimne?

Charlotta nie odpowiedziała na tę skargę. Od lat pragnęła dziecka, niestety medycy podejrzewali, że jej łono jest jałowe.

Marysieńka dostrzegła zmianę na obliczu Charlotty.

– Posmutniałaś. Coś się stało?

– Po prostu jestem zmęczona podróżą.

– Wiem, że zasługujesz na wypoczynek i nagrodę, ale mam dla ciebie nowe zadanie. Tylko ty możesz tego dokonać.

Zabrzmiało to bardzo tajemniczo.

– Czym mam się zająć?

– Korybutem.

– Co mam dokładnie zrobić?

– Upewnij się, że pogłoski są prawdziwe.

– Niby jak? Zakradnę się do jego alkowy? – zapytała Mesire z nutą sarkazmu w głosie.

– Wpadłam na lepszy pomysł – oznajmiła Marysieńka. – Wiesz, jak najlepiej łowi się grube ryby?

Charlotta uniosła brew i pokręciła głową.

– Na żywą przynętę – powiedziała Sobieska i klasnęła w dłonie. – Możesz już wyjść – zwróciła się do kogoś ukrywającego się w sąsiadującej z pokojem garderobie.

Drzwi się otworzyły i Charlotta ujrzała znanego jej młodzieńca.

Wyglądał znacznie lepiej niż w dniu, gdy ujrzała go po raz pierwszy, tkwiącego nago w beczce i poranionego od tortur. Właściwie nie było już po nich śladu, tylko nad lewą brwią pozostała mu cienka biała blizna.

W granatowym kaftanie i opiętych spodniach – musiała to przyznać – prezentował się bardzo apetycznie.

- Miłosz będzie naszą przynętą – wyjaśniła Marysieńka. – Wie, co ma zrobić.
Charlotte zerknęła na młodzieńca. Wydawał się opanowany i pewny siebie.
- Rozumiem, że mam mu pomóc zbliżyć się do Korybuta?
Sobieska uśmiechnęła się promiennie.
- I wierzę głęboko, że i tym razem mnie nie zawiedziesz.

*

Eleonora lubiła Kraków, klimat miasta i spokój, którego trudno było szukać w Warszawie. Stara stolica Polski przypominała jej troszkę Wiedeń, choć rzecz jasna nie mogła się równać pięknem i wielkością z jej ukochanym naddunajskim grodem.

Nawet podczas krótkiej przechadzki po mieście, którą zorganizował dla niej burgrabia, Eleonora dopatrzyła się symptomów wskazujących, że stara stolica najlepsze czasy ma już za sobą. Wielu domów wciąż nie odbudowano po zniszczeniach z czasów najazdu szwedzkiego, a elewacje kamienic, dawniej barwne i żywe, łuszczyły się od schodzącej farby. Jedynie kościoły i klasztory wciąż prezentowały się równie wspaniale jak za czasów Jagiellonów, gdy Kraków dorównywał, a może i przerastał pięknem i znaczeniem stolicę Habsburgów. Kamienice przy Rynku wciąż jednak zachwycały fasadą i wnętrzem, a już szczególnie Pałac pod Krzysztofory, gdzie zatrzymali się na czas pobytu w Krakowie.

Królowa oderwała wzrok od grupy kuglarzy wystawiających swe sztuki nieopodal Sukiennic i zerknęła na męża. Korybut od rana ślęczał przy biurku nad księgami, wykazując się wytrwałością, o którą nigdy by go nie posądzała. Eleonora odnosiła wrażenie, że jej mąż przeszedł jakąś odmianę po śmierci Konarzewskiego. Więcej pracował, często do późna w nocy, stał się też skryty, co budziło jej niepokój.

– Czym się zajmujesz, mój panie?

– Przeglądam dochody z żup solnych w Wieliczce. Niegdyś kopalnie te przynosiły połowę dochodu skarbu królewskiego, obecnie jednak rzeka srebra

zamieniła się w strumyczek. Czy ludzie nagle przestali jeść sól, używać jej do konserwowania żywności i skór? – Król uniósł pytająco brwi. – Nie sądzę.

– Może dochody giną gdzieś po drodze albo kopalnie są źle zarządzane.

– Otóż to. Zamierzam osobiście udać się na miejsce i przeprowadzić inspekcję.

Eleonora popatrzyła zdumiona na męża.

– Sprawdzeniem ksiąg może zająć się rachmistrz.

– To na nic. Podskarbi Morsztyn obsadził żupy swymi zaufanymi ludźmi i tylko moja osobista obecność w Wieliczce może zmusić ich do przedstawienia rzetelnych rozliczeń. Nasi wrogowie dostają skrzynie pełne złota z Paryża, podczas gdy ja nie mogę wydać talara bez zgody sejmu i panów senatorów. Doprawdy, ciężko być tu królem. Czasem myślę, że nie powinienem był nim zostać.

Eleonora czuła, że powinna zaprzeczyć, zapewne właśnie tego oczekiwał, ale ostatecznie zachowała milczenie.

Korybut odłożył na bok księgę i sięgnął po puchar z winem.

– Pojedziesz ze mną?

– Zostanę w Krakowie. Kiedy wyjeżdżasz?

– Za kilka dni.

– Czy ten nowy oficer będzie ci towarzyszył?

– Tyner? Czemu pytasz?

– Bez szczególnego powodu. Po prostu ciekawi mnie ten człowiek. Tak łatwo zaufałeś mu i dopuściłeś do swej osoby.

– Jego rodzina długo służy mojej. Wychowywałem się wraz z nim, Bogusław był moim paziem.

– Czy wy dwaj...? – Zawiesiła głos znacząco.

Korybut otworzył szerzej oczy.

– Ależ nie – odparł zaszokowany. – Będę ci wdzięczny, jeśli zakończymy ten temat.

– Wybacz, nie zamierzałam cię urazić. Martwię się o twoje bezpieczeństwo.

– Nic mi nie będzie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Pójdę do siebie – oznajmiła Eleonora.

Zrobiła kilka kroków do wyjścia, a potem odwróciła się i spojrzała na męża.

– Czy odwiedzisz wieczorem mą alkowę? – zapytała.

Korybut zastygł z kielichem wzniesionym do ust.

– Czy to te dni? – upewnił się.

– Tak. Możliwe, że z wolą bożą uda się nam począć dziecko.

– Możesz mnie oczekiwać, pani – wydusił z siebie i skupił wzrok na księgach.

Eleonora wyszła na korytarz strzeżony przez gwardzistów. Od razu udała się do alkowy Klary Pac sąsiadującej z jej komnatami.

Kanclerzyna siedziała nad książką, jednym z tych francuskich romansów cieszących się popularnością wśród dam z towarzystwa.

Odłożyła lekturę i podniosła się z sofy. Królowa powstrzymała ją gestem dłoni.

– Nie wstawaj – poprosiła i usiadła obok.

– Za kilka dni król udaje się do Wieliczki – poinformowała przyjaciółkę.

– To doskonała okazja! – Klara nie kryła ekscytacji. – Książę tylko czeka na znak. Zjawi się w Krakowie w ciągu kilku godzin.

Eleonora odczuła ucisk pod sercem.

– Są jakieś wieści od twego męża? – zapytała, zmieniając temat.

– Sejmiki ziemskie opowiedziały się za królem, a armia litewska stanie w obronie tronu w razie buntu malkontentów. Razem z naszymi stronnikami w Koronie możemy liczyć na większość głosów w izbie poselskiej.

– A co z Olszowskim?

– Wyjechał z Warszawy zaraz po zakończeniu narady senatorów. Ponoć choruje i zaszył się na wsi, aby podleczyć zdrowie.

Eleonora czuła się rozdarta, myśląc o biskupie. Olszowski był wiernym stronnikiem jej męża, a także sprawnym sternikiem polityki zagranicznej. To za jego przyczyną została królową.

I właśnie tego nie była w stanie wybaczyć biskupowi. Wiedziała, że obwinianie Olszowskiego za jej nieszczęśliwe małżeństwo jest irracjonalne, lecz nie mogła nic poradzić na kłębiące się w niej uczucia.

Spostrzegła, że Klara przypatruje się jej z uwagą. Opanowała emocje i zwróciła się do kanclerzyny:

– Podziękuj listownie mężowi i szwagrowi za lojalność i zapewnij ich obu, że będziemy pamiętać o ich zasługach.

– Tak uczynię, wasza wysokość.

Na tym skończyły rozmowę. Eleonora powróciła do własnych komnat. Przez resztę dnia zajmowała się szydełkowaniem, co pozwoliło jej odegnać niepokój i uspokoić myśli.

Wieczorem udała się do jadalni na wspólną wieczerzę z królem. Nie rozmawiali wiele. Korybut pił dużo wina i siedział markotny. Eleonora domyślała się, że ciąży mu myśl o obowiązku, który mieli wypełnić tej nocy.

Jej również nie dopisywał apetyt i czuła się okropnie. Wiedziała jednak, że powinni począć dziecko, co utnie wszelkie plotki rozsiewane przez Prażmowskiego i na stałe połączy więzami krwi Wiśniowieckich i Habsburgów.

Po odejściu od stołu każde z małżonków wróciło do siebie w otoczeniu dworzan. Pokojowe rozebrały królową do koszuli. Eleonora zanurzyła się w wannie z gorącą wodą i przymknęła oczy.

Łaziebna obmyła jej skórę gąbką, potem służąca wytarła ją do sucha ręcznikami i namaściła wonnymi olejkami. Inna pokojowa pomogła nałożyć królowej jedwabną nocną szatę.

W otoczeniu dam dworu Eleonora przeszła do sypialni. Dziesiątki świec rozstawionych w lichtarzach rzucało blask w najodleglejsze zakamarki alkowy. Korybut oczekiwał już na nią. Siedział na skraju łoża, ubrany w koszulę nocną, opierając na kolanach niespokojne ręce. Gdy ujrzał żonę, opuścił wzrok na podłogę.

– Zostawcie nas samych – zwróciła się królowa do towarzyszących jej kobiet i kiedy rozległ się trzask zamykanych drzwi, podeszła do męża.

Odwiązała szarfę na biodrach i pozwoliła szacie opaść miękko wokół stóp.

– Spójrz na mnie – poprosiła.

Korybut uniósł głowę i spojrzał na jej nagie, lśniące od olejków ciało.

W głębi serca liczyła, że tym razem ujrzy w oczach męża pożądanie, lecz

dostrzegła wyłącznie lęk.

Powstrzymała się przed okazaniem rozczarowania. Postanowiła uczynić wszystko, co konieczne, aby spełnić swój obowiązek, nawet jeśli miało się to wiązać z upokorzeniem i wstrętem do samej siebie. Przechodzili to już wcześniej i wiedziała, że można z tym żyć.

Uklękła na materacu, który ugiął się pod jej ciężarem.

– Co mam zrobić, wasza miłość? – zapytała.

– Połóż się na brzuchu – powiedział Korybut.

Eleonora uczyniła, co kazał. Wtuliła twarz w poduszkę. Brzuch Korybuta dotknął jej pośladków i zsunął się wzdłuż ich łagodnych krawędzi na jej plecy.

Zacisnęła usta, kiedy wgniótł jej ciało w materac. Poczuła ból, gdy wsunął się w nią, suchą i nieprzygotowaną. Wbrew sobie rozluźniła mięśnie i poruszała biodrami, aby skończył możliwie najszybciej.

Każde pchnięcie jego lędźwi, miękki ciężar i gorący oddech, który owiewał jej kark, czynił te kilka minut niekończącą się udręką. Przymknęła powieki, czekając, aż dojdzie i zostawi w niej nasienie. Gdy tak się stało, po prostu zeszła z łóżka. Podniosła szatę z dywanu i ubrała się.

Korybut wpatrywał się w nią z poczuciem winy malującym się na twarzy.

– Wybacz mi. – Zabrzmiało to bardzo szczerze.

Zupełnie nieoczekiwanie zrobiło się jej żal tego człowieka. Obydwoje stali się ofiarami okoliczności i swego urodzenia. Zmuszono ich, aby odgrywali wyznaczone im role, bez względu na to, kim byli i co czuli. Spoczęła obok Michała i położyła dłoń na jego dłoni, leżącej na kolanie.

Zastygli tak, wpatrując się przed siebie. Samotni i nieszczęśliwi, a przez to bliźsi sobie niż kiedykolwiek wcześniej.

*

Z początku Charlotta sądziła, że nad Krakowem zakotwiczyła burzowa chmura, a szare pasma rozszczeplające się nad spadzistymi dachami to deszcz. Potem jednak, wraz z przybliżaniem się do miasta dotarło do niej, że to, co brała za wiosenną

nawałnicę, nie jest dziełem natury, lecz ludzkim.

Dym. Wypluwany z tysięcy kominów i palenisk, ciemny i gęsty zdawał się dusić Kraków swym ciężarem, zasłaniał strzeliste wieże kościołów i dachy kamienic, sięgając szarymi oparami górującego nad miastem Wawelu.

Bliżej miasta, wzdłuż traktu prowadzącego z Warszawy zieleniły się wiosenne pola i ogrody, między którymi stały mniejsze i większe chatki o słomianych dachach, karczmy, a nawet dwór szlachecki z małym folwarkiem.

Charlotta zerknęła na Miłosza jadącego konno u jej boku. Młodzieniec nie był najlepszym jeźdźcem i pięć dni spędzonych w siodle dało mu się mocno we znaki.

Szczerze powiedziawszy, i ona wolała podróżować karocą, lecz wiosenne roztopy, które nastąpiły po długiej i mroźnej zimie, zmieniły gościńce w grzędawiska nieprzejezdne dla powozów. Tylko podróż wierzchem gwarantowała, że staną w Krakowie na czas.

Minęli bokiem Kleparz z jego targowiskiem i wciąż odbudowywanym kościołem Świętego Floriana, a potem skręcili w stronę przedbramia, uważając na dzieciarnię uganiającą się bosą za kulawym psem.

Potężny okrag Barbakanu wzniesiony z czerwonej cegły otaczał sztuczny staw, nad którym przerzucono mostek. Tam zwolnili, przepuszczając stado krów prowadzonych do miasta. Kilkanaścioro zwierząt truchtało niespiesznie, machając ogonami i pobrzękując dzwonkami uwiązany pod rogatymi łbami.

– Nie domyślają się, że przed wieczorem skończą swój żywot na hakach w rzeźni – odezwał się Miłosz, unosząc się w strzemionach, aby ulżyć obitemu od siodła tyłkowi.

Charlotta spojrzała w wykrzywioną cierpieniem twarz swego towarzysza podróży.

– Nieświadomość bywa błogosławieństwem. Nie sądzisz?

– Zatem miejmy nadzieję, że nie podzielimy losu tych krów – mruknął.

Przejechali pod kratownicą. Przy komorze mytnej celnik rzucił im tylko przelotne spojrzenie, zbyt zajęty wyciskaniem srebra z kupca przewożącego wino.

Uderzył ich odór parujący z zaśmieconej odpadkami fosy i kopyta

wierzchowców zadudniły o częściowo zadaszony most łączący Barbakan z bramą miejską.

Znaleźli się na Floriańskiej. Na ulicy było dość tłoczno, więc Charlotta uznała, że najlepiej uczynią, omijając główne ulice. Skierowała wierzchowca wzdłuż muru miejskiego, z którego wyrastały szpiczaste baszty. Wały miasta, choć z daleka potężne, z bliska nie prezentowały się już tak dobrze. W wielu miejscach widać było dziury po zaprawie wypłukanej przez deszcze, a nawet rumowiska pokruszonych cegieł. Niektóre fragmenty murów i baszty sprawiały wrażenie, jakby nie naprawiano ich od czasu szwedzkiego potopu.

Minęli Szpital Świętego Rocha i klucząc uliczkami, znaleźli się przy Bramie Nowej prowadzącej na Kazimierz. Pokłusowali grzbietem grobli oddzielającej mokradła i wielki staw, nad którym suszyły się sieci rybackie. Stare koryto Wisły dzielące oba miasta pokonali po moście z tratw i wjechali przez furtę do żydowskiej części Kazimierza.

Na tych ulicach nieczęsto widywało się chrześcijan, a już kobieta jadąca w siodle musiała być niezwykłym zjawiskiem. Nic więc dziwnego, że na wielu brodatych obliczach miejscowych malowały się nieufność, zdumienie, a nawet lęk.

– Co tu robimy? – zapytał Miłosz.

– Tu będzie nasza kwatera – wyjaśniła Charlotta.

– U Żydów?

Wyczuła w jego głosie niechęć.

– A co, przeszkadza ci to?

– Nie, ale czy nie zwrócimy na siebie uwagi?

– Tutejsi ludzie zajmują się swoimi sprawami i nie wtykają nosa tam gdzie nie trzeba – uspokoiła obawy towarzysza. – Zresztą zatrzymamy się na obrzeżach dzielnicy żydowskiej, w miejscu, gdzie mieszkają chrześcijanie.

Wjechali na niewielki plac z studnią, otoczony przez piętrowe kamieniczki o bardzo wąskich fasadach i niewielkich, zasłoniętych szczelnie oknach. Dwie ciemnowłose kobiety w długich sukniach i chustach narzuconych na ramiona przerwały nabieranie wody ze studni i popatrzyły na jeźdźców ze strachem.

Charlotta wstrzymała konia, aby nie strącić stada gęsi taplających się w błocku pod nadzorem małego Żydka, który miał na sobie jedynie kubrak i porcięta, po czym skręciła w uliczkę odchodzącą od placu.

Zaułek przegradzał ceglany mur, w którym umieszczono wąską furtkę. Charlotta zatrzymała konia i zsunęła się z siodła, czując drętwienie poniżej pleców. Wyprostowała się i chwiejnym krokiem podeszła do furty.

Zastukała kołatką. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem usłyszała czyjeś kroki po drugiej stronie muru. W okrągłym judaszu błysnęło oko i zaraz potem zgrzytnęły odsuwane sztaby. W uchylonych drzwiach pokazał się mężczyzna z gęstą czarną brodą okrywającą młodą twarz.

Ubrany był w chałat o kroju prostego żupana z białym wykładanym kołnierzem, na nogach nosił pluderki i białe pończochy, do tego czarne trzewiki z klamerkami.

– Witaj, Aronie – przywitała go Charlotta. – Ojciec w domu?

– Nie ma go, załatwia interesy. Niedługo powinien wrócić. Proszę wejść – zaprosił ich, otwierając furtę na oścież.

Charlotta i Miłosz wprowadzili konie na podwórze, na którym gromada kurdziarsko dziobała ziemię w poszukiwaniu robaków lub ziarna.

Aron przywołał jakiegoś człowieka, który przyglądał się przybyszom, stojąc w otwartych wrotach murowanej stajni, po czym kazał mu odprowadzić i nakarmić wierzchowce. Następnie zwrócił się do Charlotty:

– Pokażę wam pokoje.

Zaprowadził gości do sieni. Tam natknęli się na kobietę w ciemnej sukni i chuście na głowie. Widząc Miłosza, młodzieńca Żydówka skromnie odwróciła wzrok.

– To moja żona Estera – powiedział Aron. – Wzięliśmy ślub trzy miesiące temu.

– Moje gratulacje – odparła Charlotta i uśmiechnęła się do młodej mężatki, ta jednak szybko zniknęła na piętrze.

– Jest nieśmiała – wyjaśnił Aron. – Proszę, to wasze pokoje. – Wskazał drzwi sąsiadujące ze sobą po tej samej stronie korytarza.

Wpuścił ich do jednego z pomieszczeń i Charlotta mogła rozejrzeć się po

miejscu, które na czas jakiś miało stać się dla niej domem. Omiotła wzrokiem łóżko, stół z dwoma krzesłami i lustro przymocowane do szafy stojącej w kącie. Nie były to wielkie luksusy, ale przynajmniej było czysto i schludnie.

– Potrzebuję miski do mycia – poprosiła.

– Oczywiście, zajmę się tym – zapewnił Aron. Ukłonił się i zostawił ich samych.

Charlotta spojrzała wymownie na Miłosza, który usiadł na skraju łóżka i najwyraźniej nie miał zamiaru pójść do siebie.

– Nie jesteś ciekaw własnego pokoju? – zapytała.

– Bardziej interesuje mnie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Już ci powiedziałam. Możemy liczyć na pomoc tych ludzi.

– Niby czemu? Po co Żydzi mieliby się mieszać w politykę?

– Jesteś naiwny. Zawsze to robili – odparła Charlotta.

– Ale dlaczego pomagają akurat wam, a nie regalistom?

– Tutejsza gmina wiele zawdzięcza stronnictwu, któremu służymy ty i ja – odparła Mesire. – W latach najazdu szwedzkiego Żydzi z Krakowa bywali zanadto usłużni wobec najeźdźców, czy to z powodu interesów, czy też po prostu obawiając się o własne życie i majątki. Po odzyskaniu miasta przez wojska królewskie wielu mieszczan żądało ukarania Żydów i wygnania ich z miasta. Jan Kazimierz i Maria Ludwika zgodnie wzięli tutejszą społeczność żydowską w obronę.

– Z pewnością nie za darmo – zauważył Miłosz cynicznie.

– To prawda. Kosztowało to gminę kilkadziesiąt tysięcy talarów, lecz się opłaciło. Żydzi nie tylko przetrwali w Kazimierzu, ale z czasem otrzymali nowe przywileje. Zapewnili sobie też stałą łaskę i ochronę dworu królewskiego.

– Obecnie królem jest Michał Korybut. Czemu wciąż was wspierają?

– Wielu ludzi myśli, że polityka to tylko złoto i siła oręża – rzekła Charlotta. – Nic bardziej błędnego. W rzeczywistości to jedynie narzędzia. Ważne, lecz bezużyteczne, jeśli nie stoi za nimi coś więcej.

– Co takiego?

– Pamięć. Przekonanie, że to, w co wierzymy i co myślimy, jest słuszne, warte poświęceń. Ten głos w sercu, który determinuje nas i nadaje sens naszym

działaniom.

Uświadomiła sobie, że przemawia bardziej do siebie samej niż do Miłosza.

– Obawiam się, że nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć – potwierdził jej przypuszczenia.

Charlotta westchnęła.

– Wielu tutejszych Żydów pochodzi z Moraw, Czech lub Śląska – wyjaśniła. – Nie mają powodu kochać Austriaków, którzy zmusili ich ojców i dziadów do opuszczenia granic cesarstwa. Zginęło wówczas moc ludzi, kobiety i dzieci. Żydzi z Kazimierza pamiętają o tym, a do tego utrzymują rozległe kontakty handlowe i osobiste z wieloma miastami na terenie cesarstwa. To się bardzo przydaje przy podejmowaniu pewnych działań. Nie pytaj jakich – ucięła temat.

Wyprostowała plecy i potarła dłonią obolały kark.

– Rozmasować ci ramiona? – zaproponował chłopak.

Zorientowała się, że Miłosz patrzy na nią w ten szczególny sposób. Zaskoczyło ją to. Spodziewała się, że nie interesują go kobiety.

– Dziękuję, nie trzeba. Idź już, jestem zmęczona – poprosiła.

Uśmiechnął się i wstał z łóżka. Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Charlotta podeszła do okna z zamiarem zaciągnięcia zasłon. Na podwórzu dostrzegła dziewczynkę bawiącą się z psem. Miała może siedem lat i wyglądała na szczęśliwą.

Charlotta spróbowała przypomnieć sobie czas, gdy sama była szczęśliwa jako dziecko. Nie pamiętała wielu takich chwil.

Otrzeźwiło ją pukanie do drzwi. Otarła wilgoć z kącików oczu i wyjrzała na korytarz. Za progiem stał siwobrody mężczyzna w czarnym szustokorze uszytym z najlepszego adamaszku. Twarz Żyda była starszą wersją oblicza Arona.

– Wejdz, Jakubie. – Odsunęła się, wpuszczając kupca do środka.

– Wybacz, że cię nie powitałem, ale interesy nigdy nie mają końca.

– Dobrze wyglądasz. – Charlotta zatrzasnęła drzwi i wskazała gestem na krzesła ustawione przy stole.

– Ale się tak nie czuję – odparł Jakub, siadając. – Co rano bolą mnie plecy i coraz słabiej widzę.

– Czy nie czeka to nas wszystkich?

Żyd uśmiechnął się zza gęstej brody.

– Młodym wypowiedanie i akceptacja tych słów przychodzą łatwiej niż starym.

– Zawsze tak jest, gdy przykre prawdy zaczynają tyczyć nas samych – zgodziła się Charlotta.

– Jesteś niezwykłą kobietą. Gdybyś tylko zechciała ożenić się ze mną – rzekł żartobliwie.

Charlotta się roześmiała.

– Co by powiedział na to wasz rebe?

– Powiedziałyby, że mam doskonały gust – odparł Jakub. Pogładził brodę, przypatrując się rozmówczyni. – Otrzymałem twój list – odezwał się po chwili, porzucając żartobliwy ton. – Niestety król nie zatrzymał się na Wawelu. Zamieszkał w kamienicy przy rynku z małą grupą dworzan.

Charlotta w duchu spodziewała się, że usłyszy o kolejnych problemach. Od początku tej misji wszystko szło na opak. Wpierw zaskoczył ją niezapowiedziany wyjazd pary monarszej z Warszawy, a teraz nieobecność Korybuta na zamku burzyła nadzieje na wprowadzenie Miłosza do otoczenia króla.

– Odszukałeś człowieka, którego wskazałam ci w liście? – zapytała.

– Nie było to szczególnie trudne. Wygląda na to, że nie porzucił starych nawyków. Niemniej coś się zmieniło. Nie chciał ze mną rozmawiać.

Poczuła niepokój.

– Czemu?

– Nie wiem, po prostu odmówił.

– Powiedział coś?

– Abym więcej się z nim nie kontaktował.

Zacisnęła usta rozdrażniona. Nie tego oczekiwała.

– Gdzie go znajdę?

– Wieczorami bywa w jednej z tawern w porcie rzeczonym.

– Rozumiem, że jest obserwowany.

– Mój człowiek powiadomi mnie, gdy tylko nasz przyjaciel wyjdzie z domu. –

Jakub patrzył na nią badawczo. – Co tu się kroi?

– Lepiej dla ciebie, abyś wiedział jak najmniej – odrzekła Charlotta, po czym zmieniła temat. – Jak sprawuje się poczta?

– Doskonale. Pięć dni temu nadeszły listy z Paryża, dostarczył je mój kuzyn z Frankfurtu. Posłałem je na Węgry. Wkrótce spodziewamy się kolejnych przesyłek.

– Musicie być ostrożni. Gdyby korespondencja wpadła w niepowołane ręce, przyniosłoby to wiele szkód.

– Znam ryzyko i jesteśmy ostrożni – uspokoił ją Jakub. Sięgnął do paska i odpiął od niego pęk kluczy. – Do furt wychodzących na dzielnicę żydowską i chrześcijańską – wyjaśnił i odłożył klucze na blat stołu. – Zjecie z nami wieczerzę?

– Oczywiście. Dziękuję za zaproszenie.

– Pójdę już. Wyglądasz na zmęczoną. – Jakub wstał i jeszcze raz zwrócił się do Charlotty: – Jesteś młoda, ale powinnaś pomyśleć o tym, co będziesz robić, gdy nadejdzie czas na zmiany.

– Mam jeszcze na to kilka lat – odparła.

– Też tak myślałem i sama zobacz. Tkwię w tym mimo siwej brody. Nie popełnij tego samego błędu.

Gdy wyszedł, Charlotta podniosła się z krzesła i zbliżyła do lustra, wypatrując zmarszczek w kącikach ust.

Słowa Jakuba uświadomiły jej, że ciężar, który czuła w piersi, wynika z lęku przed tym, co nastąpi w przyszłości. Niestety świadomość własnych odczuć nie okazała się niczym dobrym. Sprawiała wręcz, że Charlotta uzmysłowiła sobie bolesną prawdę, że przez całe swe życie – zawsze, odkąd sięgała pamięcią – była wyłącznie narzędziem w rękach innych ludzi.

*

Ciemna uliczka na tyłach portu rzecznego nie wyglądała na miejsce, które samotna kobieta powinna odwiedzać po zmroku.

Charlotta Mesire położyła dłoń na kolbie pistoletu ukrytego pod peleryną i ruszyła przed siebie drewnianym pomostem, przy którym cumowały barki używane

do przewozu zboża, potażu i wołów. Uniesiony kaptur peleryny utrudniał jej obserwację otoczenia, ale wolała to, niż ujawnić, że jest kobietą. W porcie rzeczonym zbierała się masa szumowin i łatwo można było zostać pobitą, obrabowaną czy zgwałconą.

Nadbrzeże okrywał mrok, którego nie mogła rozproszyć latarnia przytwierdzona do pala ustawionego przy magazynach. Pod tym nikłym źródłem światła chwiała się na nogach dwóch flisaków, bełkoczących coś do siebie. Gdy ujrzeli Charlotte, zamilkli na moment i odprowadzili ją wzrokiem. Mesire skreśliła w najbliższy zaułek, przy którym stała piętrowa tawerna. Z budynku sączył się w mrok knajpiany gwar i mdły blask kaganków prześwitujących przez okna. Nad wejściem do tawerny wisała na łańcuchu drewniana rzeźba łodzi wiślanej.

Charlotte pchnęła drzwi i wkroczyła do środka. Za małym przedsionkiem otwierała się sala z rzędami ław, przy których garbili się mężczyźni o zarośniętych, poczerniałych twarzach. Większość klientów nie zwróciła uwagi na zakapturzoną postać, biorąc ją za młodego mężczyznę.

Mesire zbliżyła się do lady zbitej z desek, o którą opierał się szynkarz. Zmrużył oczy, rozpoznając kobiecą twarz pod kapturem.

– Kurew nam nie trzeba – mruknął, patrząc groźnie na Charlotte. – Mamy własne.

– Szukam Błażeja Pieniążka – odparła Charlotte.

– Nie znam człowieka, tylu ludzi tu przychodzi.

– Wiem, że jest na zapleczu.

Zmierzył ją badawczym wzrokiem.

– Kto tak mówi?

– On. – Położyła na ladzie tynfa.

Szynkarz zerknął na inicjały Jana Kazimierza na monecie. Położył łapsko na srebrze i uniósł ladę, dając znak, że może przejść.

– Rozejrzyjcie się, może go znajdziecie. – Wskazał wzrokiem na przejście ukryte za beczkami z piwem ustawionymi na krzyżakach.

Charlotte znalazła się w mniejszej salce, gdzie przy stołach gromadzili się

mężczyźni uprawiający hazard. Między graczami przechadzały się wymalowane kobiety w kusych sukienkach.

Minęła stół, przy którym kilku dostatnio odzianych młodzieńców cięło w tryszaka, i wypatrzyła Pieniążka. Zawsze wolał kości od kart. Jak mawiał, w każdym rzucie kostkami widzi się oblicze Fortuny. Mężczyzna był niski i szczupły, choć pod kaftanem rysował się mu okazały brzuch. Rzadkie włosy, teraz zlepione i wilgotne od potu, przylegały mu do czaszki, odsłaniając postępującą łysinę.

Pieniążek dmuchnął w kostki i rzucił je na stół. Gdy się zatrzymały, zgromadzeni przy nim ludzie wydali z siebie ciche, żałosne westchnienie. Wyglądało na to, że bogini hazardu tym razem odwróciła się plecami do swego wyznawcy. Pieniążek oniemiały przyglądał się, jak stosik monet znika spod jego ręki i trafia do gracza po przeciwnej stronie stolika.

Chwiejąc się na nogach, odszedł na bok i zwałił się na jedną z ław ustawionych pod ścianą.

– Znów przegrałeś – powiedziała Mesire, siadając obok niego.

Poderwał głowę i wybałuszył na Charlotte mętne oczy.

– Jak mnie znalazłaś? – wychrypiął. Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie.

Charlotte nie zraziła się, zdążyła przywyknąć do takich reakcji na jej widok. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią ponieść konsekwencji własnych wyborów i Pieniążek był tego najdobitniejszym przykładem.

– Nawyki ciężko zmienić. Nieprawdaż? – rzekła.

Posłał jej nieprzyjazne spojrzenie.

– Czego chcesz? – burknął.

– Wyjdźmy na pomost – zaproponowała i podniosła się z ławy.

Pieniążek z widoczną niechęcią wyprostował się i oboje opuścili salę przez drzwi wychodzące na przystań z niewielkim pomostem. Na cumach kołysało się kilka łódek rybackich, które równie dobrze mogły służyć do rozładunku kontrabandy. Charlotte nie wypatrzyła nikogo, kto mógłby przeszkodzić im w rozmowie.

Pieniążek zachwiał się na skraju pomostu i Mesire chwyciła go za kaftan, ratując

przed zimną kąpielą.

– Lepiej będzie, jak usiądziesz – stwierdziła, po czym ukucnęła przy Błażeju.

– Obiecałaś mi, że więcej nie pojawisz się w moim życiu – zwrócił się do niej żalonym głosem.

– Nie mów, że nie tęskniłeś. – Musnęła dłonią policzek mężczyzny.

Cofnął głowę, jakby smagnął go żywy ogień.

„Cóż, czy mogę go winić?”

– Skończyłem z tym – zapewnił.

– Czyżby?

Spuścił wzrok i skulił ramiona.

– Boję się, że wszystkiego się domyślają.

– Gdyby tak było, gniłbyś w lochu.

Rzucił jej złe spojrzenie.

– Nic nie mogę ci dać i niczego nie chcę – warknął.

Charlotta wiedziała, że przekonuje bardziej siebie niż ją.

– Dużo dziś straciłeś?

– Trochę ponad sto tynfów – przyznał, spuszczać głowę. – W tym część pieniędzy przeznaczonych na naprawę karocy dla jego wysokości.

Charlotta zagwizdała przez zęby. To była roczna pensja dobrze opłacanego urzędnika magistratu.

– Zatem powinienesz mi dziękować za to, że się pojawiłam. Pokryję twoje długi i jeszcze coś ci zostanie.

– Chyba żartujesz. Po tym, co się stało? Nie chcę być w to zamieszany.

– W co zamieszany?

Prychnął rozeźlony.

– Nie udawaj głupiej, to musiała być wasza sprawka.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O próbie otrucia króla – wysyczał jej w twarz. – Wiesz, kurwa, co robią z człowiekiem, który brał udział w królobójstwie? Powiem ci. Torturują go, ale nie tak zwyczajnie. Kat obcina mu kończyny i przypala rany ogniem, aby nie umarł

przed końcem egzekucji. Potem rozcinają mu trzewia i wyjmują flaki rozpalonymi kleszczami.

Charlotta gapiła się na Pieniążka z niemądrze rozdziawionymi ustami.

– Przysięgam, nie wiem o żadnym zamachu – wydusiła z siebie.

Pieniążek popatrzył jej prosto w oczy.

– Wierzę ci... – rzekł powoli. – Ale skąd możesz mieć pewność, że twoi panowie mówią ci o wszystkim?

Zacisnęła usta. Czyżby Marysieńka nie darzyła jej całkowitym zaufaniem?

Chyba że i ona o niczym nie wiedziała. Charlotta natychmiast pomyślała o prymasie.

– Doniosłeś o tym Prażmowskiemu? – zapytała.

– Nie, za bardzo się bałem. Urwałem wszelkie kontakty z wami, ale i tak mnie znalazłaś. – W ostatnich słowach rozbrzmiały rozpacz i złość.

– Kiedy to się stało?

– Tuż przed wyjazdem do Krakowa. Jeden z pokojowych króla umarł gwałtowną śmiercią. Ponoć w chwili, gdy usługiwał przy stole królewskim. Służbie i gwardzistom obecnym przy zajściu zlecono trzymać język za zębami, ale na zamku nigdy nie uniknie się pogłosek.

Charlotta milczała, rozważając znaczenie usłyszanych wiadomości.

– Konarzewski – odezwał się Pieniążek matowym głosem.

Charlotta poderwała głowę.

– Kto?

– Tak nazywał się pokojowy, który zginął tamtego dnia. Zostało po nim tylko nazwisko, a i to wkrótce wszyscy zapomną. – Pieniążek popatrzył smutno na Charlottę. – Tak bardzo się boję – wyszeptał.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nigdy nie była dobra w pocieszaniu ludzi. Z wahaniem położyła dłoń na ramieniu Błażeja.

– Strach to ciężar, który codziennie musimy dźwigać, czy tego chcemy, czy nie. Można się z tym pogodzić i zrobić kolejny krok albo poddać się i pozwolić, by cię pokonał i przywalił. Tylko od ciebie zależy, czy pójdziesz naprzód.

– Co mam zrobić?

– Chcę, byś umieścił kogoś w otoczeniu króla w taki sposób, aby Korybut zwrócił na niego uwagę.

– Zatrzymał się w kamienicy przy rynku, ale to już z pewnością wiesz. Ma przy sobie wyłącznie zaufane sługi i gwardię. Owszem, gdyby zamieszkał na Wawelu, udałoby mi się przemycić na zamek kogoś obcego, ale w tej sytuacji to niewykonalne.

– Coś wymyślisz – oznajmiła z naciskiem Mesire.

– Niby co? Nadzoruję tylko wozownię – warknął, opryskując się drobinami śliny. – Teraz, gdy wzmoгли ostrożność, nawet mysz nie prześlizgnie się na komnaty.

Charlotta przycisnęła dłoń do ust, zastanawiając się, jak wybrnąć z impasu. Niestety nie wpadła na żaden genialny pomysł.

– Król wybiera się do Wieliczki – odezwał się nagle Pieniążek. – Może tam łatwiej byłoby coś zorganizować?

Mesire popatrzyła na niego z nadzieją.

– Mógłbyś dołączyć mego człowieka do orszaku? – zapytała.

– Coś potrafi?

– Zna się na mechanice, uczył się zegarmistrzostwa.

Pieniążek skubnął kciukiem dolną wargę.

– To może się udać. Zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić.

– Ile ci to zajmie?

– Przyrowadź go jutro w południe na królewski most – odparł Pieniążek. – Niech ma przy sobie złoto.

– Będzie miał – zapewniła. – Teraz wracaj do siebie.

Skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

„Gdy tylko się oddalę, wróci do kości i zaciągnie lichwiarski dług pod złoto, które mu obiecałam”, pomyślała Charlotta. W pierwszym odruchu uznała, że powinna być stanowcza i zabrać Pieniążka z tego miejsca. Szybko jednak porzuciła ten zamiar. Do pewnych spraw trzeba dojrzeć samemu, najczęściej upadając tak nisko, jak to możliwe, a potem szczerze pragnąć podnieść się i stanąć na nogi.

„Albo zostać w błocie na zawsze”.

Charlotta Mesire sama przeszła tę drogę dawno temu, gdy z bitej, poniżanej dziewczynki stała się nowym, lepszym człowiekiem. Tym, kim była teraz i kim zostanie w przyszłości.

ROZDZIAŁ VII

Zatrute pragnienia

Kwiecień A.D. 1672

Tyner czuł się nieswojo wśród dworzan i przypuszczał, że stan ten nie ulegnie szybko zmianie. Osoba króla przyciągała wszelkiej maści ludzi ambitnych, choć niekoniecznie uczciwych i rozumnych. Bogusław szybko zrozumiał, że w otoczeniu jego wysokości toczy się cicha, nieustanna wojna na pochlebstwa, donosy i intrygi, a za każdym uprzejmym gestem kryje się fałsz i nadzieja na własne korzyści.

Tyner łapał się na chęci potrząśnięcia tym czy innym dworakiem, hamował się jednak, świadom, że księżna Gryzelda przysłała go tutaj, aby chronił jej syna.

Niestety od początku okazało się to niełatwe.

Z zadumy wyrwał go odgłos otwieranych drzwi. Gwardziści rozstąpili się na boki, przyciągając do siebie stal, i z komnaty wyszedł łożniczy Jego Królewskiej Mości. Dworzanin nosił zagraniczny strój i perukę, spod której fałszywie uśmiechała się pulchna, zniewieściała twarz.

– Najjaśniejszy pan oczekuje cię, waszmość. – Głos mężczyzny brzmiał nieufnie, wręcz wrogo, jakby jego właściciel miał problem z ocenieniem, w którym miejscu pajęczyny dworskich intryg i zależności należy umieścić nowo przybyłego.

Tyner wkroczył do gabinetu zajmowanego przez króla. Michał Korybut stał przy oknie ubrany w płaszcz podróżny.

– Kareta czeka – poinformował Tyner. – Wciąż uważam jednak, że wasza miłość nie powinien opuszczać miasta, póki nie uda się ustalić sprawców zamachu.

– Przystałem na twój pomysł, aby nie zatrzymywać się na Wawelu, ale wszystko ma swoje granice. Nie mogę siedzieć w ukryciu i unikać własnych poddanych.

– Niemniej bezpieczeństwo wymaga...

Korybut uderzył dłonią w parapet.

– Dość o tym, Bogusławie – rozkazał.

Tyner zacisnął usta. Już jako chłopiec i młodzieniec Michał Korybut bywał

chimeryczny i uparty. Teraz, gdy został królem i nie czuł nad sobą twardej woli matki, te cechy zdawały się jeszcze przybierać na sile.

Tyner pamiętał również, że uparłszy się w jednej kwestii, Michał Korybut zwykle ustępował w innych sprawach, nieraz istotniejszych, dzięki czemu księżna Gryzelda często i skutecznie łamała postanowienia syna.

„Może nawet za często”, pomyślał, obserwując Korybuta. Postanowił jednak sam wykorzystać tę słabość charakteru króla.

– Bezpieczeństwo waszej miłości wymaga czegoś więcej niż stare metody – zasugerował.

– Co masz na myśli?

– Musimy wiedzieć więcej o wrogach waszej wysokości. Wyprzedzać ich ruchy, nim podejmą groźne w skutkach działania.

– Masz na myśli szpiegostwo?

– A także przechwytywanie korespondencji dyplomatycznej, a nawet... usuwanie ludzi mogących zagrozić bezpieczeństwu waszej miłości.

– Mój poprzednik na tronie dopuszczał się już podobnych czynów – rzekł król z namysłem. – Uległ namowom swej żony królowej Marii Ludwicy, która uznała, że skoro coś takiego działa we Francji, to sprawdzi się i w Rzeczypospolitej. Myliła się.

– Królowa była zbyt... ostentacyjna, wasza wysokość.

– Łagodne określenie na truciicielstwo, szantaż i próbę uwięzienia przeciwników politycznych – zauważył Korybut. – I co im z tego przyszło? Bunt marszałka Lubomirskiego, klęska wojsk królewskich w wojnie domowej i przegrana kandydata francuskiego podczas elekcji. W zasadzie zostałem królem dzięki takim błędom.

– Niemniej ludzie, którzy służyli Marii Ludwice, nie zniknęli po jej śmierci i abdykacji Jana Kazimierza. Przeszli na służbę prymasa i Sobieskich. Czynią wielkie szkody.

Michał Korybut westchnął i przybrał cierpiętniczą minę.

– Rozważę twą propozycję po powrocie – zapewnił poirytowany. – Zejdźmy już na dół, chcę dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Tyner odprowadził króla pod samą karocę czekającą na podwórzu. Tam rozstali

się, nie zamieniając słowa.

Bogusław odczekał, aż zawrą się wrota za konną eskortą jego wysokości, po czym wszedł do sieni kamienicy. Ze wszystkich drzwi wybrał nisko sklepione przejście do piwnic.

Zdjął z haka w ścianie palącą się lampę i zszedł po schodach do podziemi. Piwnice pod kamienicą były bardzo rozległe, w dawnych czasach składowano w nich beczki z winem sprowadzonym z Węgier. Poszczególne korytarze łączyły się ze sobą lub zmieniały swój kierunek, a przy każdym z nich znajdował się większy lub mniejszy loch. Tyner ruszył przed siebie, rzucając na ceglane ściany łunę bijącą z lampy.

Gdzieś w oddali rozległ się głuchy odgłos, jakby ktoś walił w worek mąki. Skierował się tam. Za zakrętem otwierała się spora piwnica.

Stojąca na stole lampa zapewniała dość światła, aby rozjaśnić pomieszczenie i trzy obecne w nim postacie.

Najbliżej światła siedział nagi mężczyzna, przywiązany sznurami do krzesła. Miał opuchniętą, zakrwawioną twarz i ślady bicia na ciele. Głowa opadała mu na pierś, chyba stracił przytomność.

Tuż nad przesłuchiwanym stał Lazar, niski i żyłasty, w rozpiętym uniformie gwardzisty. Był zaufanym sługą Gryzeldy, przed kilkoma laty kniahini umieściła go w otoczeniu syna.

Skinął Tynerowi głową z obojętnym wyrazem twarzy. Ten odpowiedział tym samym.

Grot opierał się plecami o ścianę i wydłubywał ostrzem noża brud albo krew spod paznokci. Zamiast munduru nosił szarą delię pozbawioną rękawów.

Tyner odstawił lampę na stół i popatrzył krytycznie na więźnia.

– Ma już dość – ocenił cierpko. – Chyba że chcecie go zatłuc na śmierć?

– Z początku ciężko się z nim gadało – mruknął Grot.

– Jak się nazywa?

– Alojzy Durak – odpowiedział wachmistrz. – Mieszka na Kleparzu, bez rodziny.

Na co dzień pracuje w sklepie garbarskim.

– Dlaczego obserwował kamienicę?

– Chodziło o Pieniążka, to jego miał przykazane śledzić.

– Woźniczego? Po co?

– Twierdzi, że z polecenia niejakiego Jakuba Mojasewicza, kupca z Kazimierza.

– Żyda? – upewnił się Tyner.

– I to bogatego, choć nie afiszuje się z pieniędzmi – wtrącił Lazar. – Z tego, co się dowiedziałem, często prowadzi interesy przez podstawionych chrześcijan. Pieniążek to hazardzista. Może narobił sobie długów u Żyda, a ten chce odzyskać pożyczony grosz.

– Mówił coś jeszcze? – zapytał Bogusław.

– Tylko o jakiejś kobiecie, która zatrzymała się u Mojasewicza. Ponoć chrześcijanka, ale to pewnie kurew jaka. Bo żadna uczciwa kobieta się u Żyda nie zatrzyma – ogłosił Lazar.

Tyner poderwał głowę.

– Mówił, jak wyglądała?

Gwardzista wzruszył ramionami.

– Tyle, że młoda.

Tyner zbliżył się do więźnia, chwycił go dłonią za przetłuszczone włosy i uniósł bezwładną głowę. Tamten się ocknął, zakaszał śliną i krwią. Podniósł napuchniętą powiekę. W szklistym oku Bogusław dostrzegł nadzieję, rozpacz i strach. Postawił na pierwsze z nich.

– Odpowiesz na moje pytanie, a nikt już cię nie uderzy. Rozumiesz?

Opuchnięta powieka drgnęła.

– Kobieta, którą widziałeś u Żyda, jak wyglądała?

Durak otworzył zakrwawione usta.

– Ciemnowłosa, szczupła, ale spore piersi – wychrypiał. – Ładna, ale nie lubi, gdy się jej przyglądać.

Tyner puścił głowę więźnia, ta opadła bezwładnie.

– Trzeba obstawić dom tego Żyda – zwrócił się do Lazara. – Weź kilku ludzi, tylko rozgarniętych.

– A co z nim?

– Zamknijcie go tutaj, ale bez bicia.

Wziął lampę i wyszedł z piwnicy na korytarz. Próbował poukładać myśli kotłujące mu się w głowie.

Kobieta mogła być Francuzką, która okpiła go na Ukrainie, albo kimś zupełnie nieistotnym. Wiedział jedno: uczyni wszystko, aby się tego dowiedzieć.

*

Korybut odstawił pusty kielich na składany stolik będący na wyposażeniu karocy i sięgnął do kieszonki po zegarek umocowany na złotym łańcuszku – prezent od jego cesarskiego szwagra z okazji zaślubin z Eleonorą. Większość małych zegarków ulegała awariom i uszkodzeniom mechanizmu, nie były też przesadnie dokładne. Ten jednak spisywał się znakomicie i działał bez potrzeby nakręcania sprężyny niemal dwie doby.

Król uniósł perłowe wieczko i spojrzał na pojedynczą wskazówkę poruszającą się po porcelanowym cyferblacie. Dochodziła druga po południu, lecz przez wzgląd na stan traktu i osobę pasażera stangret się nie spieszył. Przebycie dziewięciu mil dzielących Kraków od Wieliczki mogło zająć im nawet pół dnia.

Pomimo niewygód związanych z podróżą Korybut cieszył się z możliwości wyjechania poza duszne mury starej stolicy. Miał już dość tych wszystkich oczu zwróconych na niego. Brak prywatności i samotność dominowały w jego życiu po utracie kochanka. Tęsknił za nim straszliwie, za jego dotykiem i sposobem, w jaki się uśmiechał, gdy byli sami.

Do tego źle sypiał, niemal co noc męczyły go koszmary, w których widział martwe oblicze Konarzewskiego. Budził się wówczas zlany potem, dławiąc się smutkiem i żalem. Jednocześnie część jego duszy odczuwała ulgę, albowiem wraz z tą miłością umarł jego grzech.

Wcześniej, owszem, myślał o mężczyznach, lecz zadowalał się fantazjowaniem na temat gwardzistów czy łaźiebnych usługujących przy królewskich kąpielach. Konarzewski zmienił to, ofiarował mu dar, o którym wcześniej śmiał tylko marzyć.

To było coś niezwykłego. Jakby nabrał oddechu po długim pobycie w zatęchłym pokoju.

A teraz, wraz ze śmiercią młodzieńca, wszystko to się skończyło, uleciało niczym prochy rozsypane na wietrze.

Znów był sam. Otaczały go setki ludzi, ale z żadnym z nich nie mógł szczerze porozmawiać na temat tego, co czuje i kim jest. Nawet własna matka i żona, najbliższe mu osoby, nie potrafiły ofiarować mu nic poza własnymi wygórowanymi oczekiwaniami.

Często zastanawiał się, dlaczego nie jest podobny do ojca. Bycie synem słynnego Jaremy stanowiło brzemię, niszczyło go, sprawiało, że czuł się nikim. Wiedział, że nie powinien być królem. Po prostu jednego dnia na polu elekcyjnym tłum szlachty wyniósł go ponad wszystkich innych ludzi, uczynił go kimś, kim nigdy nie pragnął zostać.

Wszystkie te myśli Korybuta spłoszył głośny trzask pod podwoziem i szarpnięcie karocą. Pusty kielich spadł mu ze stolika na kolana. Pojazd się zatrzymał i król usłyszał nawoływania woźnicy. Wyjrzał przez okno i zobaczył pana Pieniązka biegnącego w stronę powozu. Towarzyszył mu nieznany królowi młodzieniec.

Woźniczy wymienił kilka zdań ze stangretem, podczas gdy młodzieniec zgiął się wpół i zajrzał pod karocę.

Korybut wychylił głowę przez okienko i wpatrzył się w wypięte pośladki młodzika, którego głowa i ramiona znajdowały się pod podwoziem. Z ociąganiem spojrzął na Pieniązka, kiedy ten stanął u drzwiczek karocy.

– Co się stało? – zapytał.

Woźniczy nerwowo poprawił kaftan zwijający się na wydatnym brzuchu.

– Wasza wysokość, zapewniam, że powóz był sprawdzany przed wyjazdem. Nie wiem, co mogło się wydarzyć.

– Poluzowała się jedna z klamer spinająca rozwórkę pod podwoziem – odezwał się łagodnie brzmiący głos.

– Nie odzywaj się niepytany – zgañił młodzika Pieniążek. – Proszę wybaczyć,

wasza miłość, służy od niedawna i jeszcze...

– Niech mówi – przerwał mu król.

Młodzieniec uniósł oczy i Korybut pomyślał, że są cudownie duże i błyszczące.

– Sworzeń w tylnej ścianie był zbyt luźno osadzony w otworze, wasza miłość – wyjaśnił.

– Ile potrwa naprawa?

– Godzinę, może trochę krócej. Stary sworzeń należy zastąpić nowym, dokładnie nasmarować i dopasować każdą część na odpowiednim miejscu.

– Z pewnością potrzeba do tego wielkiej precyzji i doświadczenia – zauważył król.

– Wszystko zależy od umiejętności rzemieślnika, miłościwy panie. Sztuka polega na połączeniu kunsztu z posiadaniem odpowiednich narzędzi.

Korybut miał wątpliwości, czy rozmowa toczy się wyłącznie o mechanice. Jego wzrok ześlizgnął się w dół brzucha młodzieńca, do wypukłości w jego spodniach.

– Gdzie nabyłeś swych umiejętności? – zapytał, przełamując słabość w krtani.

– Od mego mistrza, wasza miłość. Był najprzedniejszym zegarmistrzem. Nauczył mnie, że cały sekret tkwi w doskonale dopasowanym połączeniu.

– Czy nadal służysz swemu mistrzowi?

– Nasze drogi się rozeszły, wasza miłość. Szukam godnego protektora.

Usta króla rozciągnął łaskawy uśmiech.

– Mój zegarek podręczny się zepsuł. Chciałbym ci go pokazać wieczorem. Może będziesz mógł go naprawić?

– To będzie dla mnie największy zaszczyt, wasza miłość – odparł młodzieniec, uklonił się i odszedł w stronę wozu z narzędziami.

Korybut odprowadził go wzrokiem.

– Proszę wybaczyć, wasza wysokość, to nie powinno się zdarzyć. – Piskliwy głos Pieniązka zburzył miły nastrój króla. – Zapewniono mnie, że karoca jest przygotowana do podróży.

– Wypadki się zdarzają, zwłaszcza na takich drogach jak nasze – odrzekł Korybut dobrotliwie.

– Proponuję, aby wasza wysokość przesiadł się na wierzchowca. Dwie mile stąd jest gospoda.

Korybut przez moment rozważał propozycję woźniczego. W Wieliczce czekało go ważne spotkanie i nie chciał zwlekać.

– Masz słuszość, pojedę konno – zdecydował.

Otworzył drzwiczki karocy. Pieniążek uprzejmie wyręczył lokajów i osobiście usłużył królowi, pomagając mu stanąć mocną stopą na ziemi. Gdy przyprowadzono wierzchowca, jeden z dworaków padł schylony na kolana, aby jego wysokość mógł wygodnie oprzeć nogę na jego plecach i usadowić się w siodle.

Korybut nie przepadał za jazdą wierzchem, ale jak każdy mężczyzna z jego urodzeniem dobrze radził sobie z końmi. Z rozbawieniem wspomniął młodość, gdy w głowie roiła się mu kariera wojskowa. Odbyszty studnia w Pradze, otrzymał szarżę pułkownika wojsk cesarskich, a nawet własnym kosztem wystawił chorągiew jazdy, gdy Jan Kazimierz poprowadził wyprawę zimową na Moskwę. Tamta kampania, tragicznie przygotowana i prowadzona, na zawsze zniechęciła Korybuta do wojennych trudów.

– Za ile stanę w Wieliczce? – zapytał oficera z eskorty.

– Nie żałując koni, w godzinę, miłościwy panie.

– Zatem nie traćmy czasu – rzucił na wiatr i popędził przed siebie gościńcem.

Prócz żołnierzy gwardii towarzyszyło mu kilka najbliższych sług, reszta dworaków miała dojechać do Wieliczki po naprawieniu karety.

Jak zapowiedział Pieniążek, po godzinie galopady ujrzeli miasto położone w kotlinie między dwoma wzgórzami. O ile z daleka Wieliczka wywarła na Korybucie jak najlepsze wrażenie, to z bliska, gdy już znalazł się na jej wąskich, krętych ulicach, nie prezentowała się tak olśniewająco. W wielu miejscach widać było puste parcele, podniszczone domostwa i zaniedbane zaułki.

Na rynku przywitały króla wiwatujące tłumy mieszczan i rada ratusza. Korybut łaskawie zamienił kilka słów z rajcami, po czym skrył się przed poddanymi za białymi murami Zamku Żupnego.

Do twierdzy wjeżdżało się przez bramę z basztą, w której zamiast otworów

strzelniczych widniały dwa przestronne okna. Dalej znajdował się dość ciasny prostokątny dziedziniec, przy którym mieściły się dwa kompleksy piętrowych kamienic połączonych masywną nadbudówką z ciemnego drewna i oknami wychodzącymi na bramę. W kilku miejscach uchowały się fragmenty starych fortyfikacji, ale dawną warownię przebudowywano już tyle razy, że straciła w zasadzie swój obronny charakter, zmieniając się w zespół budynków administracyjnych.

Wbrew oczekiwaniom Korybuta osoba, z którą miał się spotkać, nie zawitała jeszcze do Wieliczki. Nie tracąc czasu, król polecił urzędnikom nadzorującym kopalnię dostarczyć mu wszystkie księgi rachunkowe z ostatnich trzech lat i udał się do przygotowanych dla niego komnat. Po samotnie spożytym posiłku postanowił usiąść przy biurku i napisać długo odwlekany list do cara moskiewskiego Fiodora. Nie potrzebował skryby ani tłumacza, zawsze cechował go talent do nauki języków obcych. Prócz ruskiego znał jeszcze łacinę, niemiecki, włoski, francuski i czeski, będący pamiątką po wieloletnich studiach na uniwersytecie w Pradze.

W liście do cara Korybut proponował sojusz i wspólne działanie na wypadek agresji tureckiej, choć nie za bardzo wierzył w szczere intencje Moskwy. Rosjanie wciąż zwlekali z oddaniem Kijowa, do czego zobowiązali się na mocy traktatu pokojowego. Po namyśle Korybut zrezygnował jednak z wspominania o tym fakcie. Rzeczpospolita miała zbyt wielu wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, aby zrażać do siebie cara.

Był bliski ukończenia listu, gdy przez uchylone okno usłyszał orszak wjeżdżający na dziedziniec. Podniósł się z krzesła i wyszedł na balkon, aby przyjrzeć się przybyszom.

Karoca zaprzężona w sześć koni i otoczona przez uzbrojonych jeźdźców nie nosiła żadnych znaków zdradzających tożsamość podróżującej nią osoby. Pojazd zatrzymał się przed głównym budynkiem i wysiadł zeń podkanclerzy koronny biskup Olszowski. Widząc króla, który przypatrywał się mu z balkonu, uśmiechnął się i skinął głową na powitanie. Król odpowiedział tym samym.

– Jak się miewa moja matka? – zapytał Korybut, gdy Olszowski stawiał się w gabinecie.

– Zamartwia się o waszą wysokość – odparł ksiądz biskup. – Powinieneś, panie, uspokoić ją listownie.

– Masz rację, napiszę do niej. Jakie wieści przywiozłeś, księże biskupie?

– Odpowiedź na mój list ze Stambułu.

Korybut poprawił się w fotelu.

– I co pisze Kara Mustafa?

– Wzywa nas do opuszczenia Ukrainy oraz przekazania miast i twierdz hetmanowi Doroszence, gdyż ten został lennikiem sułtana. Obawiam się, wasza miłość, że tylko cud może nas uratować przed inwazją.

Korybut westchnął.

– Czuję, że to nastąpi – wyznał zafrasowany. – Pozostaje czynić przygotowania i szukać sojuszy. Na biurku leży list do cara Fiodora, który nakreśliłem przed twym przyjazdem. Proszę go, aby zorganizował dywersję na tyłach Turków w razie uderzenia na nas potęgi osmańskiej. Rzuć okiem, księże biskupie.

Olszowski wychylił się z krzesła i sięgnął po zapisaną kartę. Skupił się na czytaniu. Potem odłożył list na biurko i popatrzył na króla.

– Wasza wysokość ma doskonały styl i wyczucie, ale... nie sądzę, aby to coś przyniosło – rzekł otwarcie. – Rosjanie mają apetyt na opanowanie zachodniej Ukrainy, która wymknęła im się z rąk po tym, jak hetman Doroszenko zwrócił się o protekcję do Stambułu. Gdy raz ich zaprosimy na te ziemie, mogą nie zechcieć ich opuścić.

– Czy mamy inne wyjście? – zapytał Korybut zmartwiony. – Królowa przekazała mi, że ambasador von Stom nie pozostawił złudzeń w kwestii sojuszu wojskowego z cesarzem. Zostaliśmy sami wobec całej potęgi sułtana.

– Mimo to układ z carem nie spotka się z aprobatą wielu posłów z Korony – wskazał podkanclerzy. – Mamy dziesiątki tysięcy szlachty wyrzuconej ze swych majątków i domów na lewobrzeżnej Ukrainie. To właśnie oni przyczynili się do wyniesienia waszej osoby na tron – przypomniał.

– Wiśniowieccy utracili najwięcej ze wszystkich, księże biskupie. Całe olbrzymie latyfundium mego ojca zostało rozparcelowane między bojarów

i Kozaków wiernych Moskwie. A jednak daję osobisty przykład, jak przedkładać interes ojczyzny nad własny.

Olszowski nie wydawał się przekonany, ale przynajmniej nie nalegał na zmianę decyzji, co Korybut przyjął z ulgą.

– A co z pozostałymi monarchami, wasza wysokość?

– Wystosowałem listy do Jana de Witta, wielkiego pensjonariusza Holandii, z prośbą o sprzedaż prochu. Zwróciłem się też do królów Danii i Anglii oraz elektorów Niemiec, aby wspomogli nas żołnierzami i pieniędzmi. Nie sądzę jednak, byśmy mogli liczyć na coś więcej niż tylko drobne kwoty i moralne wsparcie.

– Kraje zachodu mają własne interesy, nie obchodzi ich wiele Ukraina ani to, co komu przypadnie – stwierdził Olszowski.

– A jak twe starania u Wenecjan, księżę biskupie?

– Dopiero co przegrali wojnę z Osmanami i nie są gotowi na nową. – Olszowski zgasił i tę nadzieję u króla. – Otrzymałem informację, że kupcy weneccy dostali koncesje na prowadzenie handlu w Stambule, na Krymie i w Poncie. Obawiam się, wasza wysokość, że dla Wenecjan interesy gospodarcze są istotniejsze niż sojusz z nami.

– Czyli opuścili nas dla własnych korzyści?

– Czyż nie tak wygrywa się w polityce, wasza wysokość? Uważam, że więcej osiągniemy, wywierając wpływ na papieża. Niech zgodzi się zrezygnować w tym roku z dziesięciny, którą przekazują do Rzymu nasi biskupi i kler. Proponuję, aby wasza wysokość osobiście napisał list w tej sprawie do kardynała Orsiniego. Sprawa walki z niewiernymi bardzo leży mu na sercu.

– Ile byśmy zyskali, gdyby papież zgodził się zrezygnować z daniny?

– Według mych wstępnych obliczeń wystarczyłoby na wyremontowanie twierdzy w Kamieńcu Podolskim, zakup dział i wzmocnienie tamtejszej załogi. Może zostałoby jeszcze na odnowienie murów Krakowa.

– To i tak kropla w morzu potrzeb, księżę biskupie. Potrzeba nam na wojsko osiem milionów, i to zaraz!

– O takich wydatkach musi zdecydować sejm, wasza wysokość. – Olszowski się

zawahał. – Źle się stało, że poprzedni został zerwany.

– Sobieski i Prażmowski zmusili mnie do tego – mruknął Korybut rozdrażniony. – Jeśli nie masz władzy, graj na zwłokę. Czy to nie twoje słowa?

– Moje – przyznał Olszowski, zachowując spokój. – Lecz bez uchwalenia podatków królestwo czeka paraliż i upadek.

– Nie z mojej to winy – zaperzył się król. – Nie mogę pozwolić, aby tak ogromne kwoty trafiły w ręce hetmana i podskarbiego Morsztyna na moją zgubę. Pacowie myślą tak samo. Radzą nie ustępować i grać na zwłokę do momentu osłabienia naszych wrogów.

– Bo nie troszczą się o Ukrainę czy nawet Polskę. Ich majątki leżą na Litwie i nie czują się zagrożeni wojną z sułtanem. Gdy Turcy dotrą do Krakowa i Zamościa, poproszą cara albo elektora brandenburskiego na tron wielkiego księcia lub też sami sięgną po koronę, jak to chcieli uczynić Radziwiłłowie podczas najazdu szwedzkiego.

Korybut wlepił wzrok w Olszowskiego.

– Czemu ich tak nienawidzisz, księżę biskupie?

– Bo myślę o państwie, wasza miłość, a nie patrzę wyłącznie na własne ambicje i sakiewkę.

– Zatem jesteś inny niż wszyscy? – W ustach króla zabrzmiało to nieco cynicznie.

– To już zostawiam ocenie waszej wysokości – odrzekł Olszowski chłodno.

– Nie bocz się, księżę biskupie. Słyszę wokół siebie zbyt wiele wykluczających się rad.

– Rozumiem waszą miłość, proszę tylko o wysłuchanie mnie do końca.

– Mów tedy.

– Wasza wysokość powinien uchwycić władzę w swoje ręce, pomijając armię i senat.

– Co masz na myśli?

– Hetman wielki dowodzi wojskiem, ale tylko pod nieobecność króla podczas kampanii. Jeśli wasza wysokość ogłosi, że osobiście rusza przeciw nieprzyjacielowi,

Sobieski znajdzie się w kłopotliwej sytuacji.

– Mam wyruszyć na Ukrainę? Obaj wiemy, że żaden ze mnie dowódca. Poza tym nie sądzę, aby armia koronna odstąpiła nagle od hetmana, skoro nie uczyniła tego do tej pory.

– Nie liczę na to, bodaj jeszcze nie teraz – przyznał Olszowski. – Wasza wysokość ma wszakże prawo zwołać pospolite ruszenie.

– I to jest twoja rada? – obruszył się król. – Mam stawić czoła Sobieskiemu lub Turkom z tłumem niezdyscyplinowanej szlachty?

– Jednak to kilkadziesiąt tysięcy szabel.

– Zapomniałeś dodać, że używanych głównie w karczemnych awanturach i zajazdach na sąsiadów – zripostował Korybut.

– Poddani waszej wysokości nie są może idealni, ale tylko takich mamy. Co ważniejsze, w większości chcą bronić majestatu – wskazał Olszowski. – Rzeczpospolita od dwudziestu pięciu lat toczy nieustanne wojny. Bardzo wielu z tych ludzi choć raz uczestniczyło w którejś z kampanii. Wasz poprzednik na tronie zlekceważył tę szlachtę, wysyłając na nią regularne wojsko, i przegrał wojnę domową, tracąc najlepsze oddziały w bitwie pod Mątwami. Sobieski dowodził wówczas armią królewską i z pewnością doskonale pamięta tę nauczki.

– Nawet jeśli masz rację, pozostaje opozycja wśród senatorów. Każdy z nich ma własne wojska, nie wystraszą się tłumy z szablami.

– Pospolite ruszenie to tylko pierwszy krok, wasza miłość. Drugim będzie zwołanie sejmu konnego. Nie powinno być to trudne zadanie, biorąc pod uwagę podminowane nastroje wśród szlachty. Ominiemy w ten sposób senat i opozycję magnacką. Co istotniejsze, na takim sejmie nie obowiązuje *liberum veto*, decyzje zapadają większością szabel.

– Panowie senatorowie uznają to za zamach na ich prawa!

– Może nadszedł czas, aby szkodliwe prawa zostały zmienione, wasza wysokość.

– To niebezpieczne myślenie, księżu biskupie – rzekł król zachowawczo. – Rozważę to.

– O nic innego nie proszę. Błagam jednak, wasza wysokość, abys zachował ten

plan dla siebie i nie dzielił się nim z nikim innym, w tym również z królową.

– Z nią też się poróżniłeś? Wszak nasz ślub był twoim pomysłem.

– I wciąż uważam go za dobre posunięcie. Cesarz gwarantuje utrzymanie tronu przez waszą wysokość teraz i w przyszłości. Gdy ucichnie zawierucha na zachodzie i król Francji zostanie powalony na kolana, Austria będzie mogła przysłać wojska do rozprawy z malkontentami. – Olszowski zrobił pauzę. – Szczególnie wówczas, gdy pojawi się dziecko z waszego małżeństwa, potomek Habsburgów po kądzieli.

Korybut popatrzył na biskupa zaszokowany.

– Mówisz o dziedzicznym tronie?

– To daleka droga, panie, i trzeba stąpać nią bardzo ostrożnie – odparł Olszowski. – Niemniej nagroda warta jest trudów i ryzyka. Wasza matka myśli w ten sam sposób.

– Rozważę twe rady, księżę biskupie – obiecał król. – Teraz wybacznij, jestem zmęczony.

– Oczywiście, wasza wysokość. – Olszowski podniósł się z krzesła i ukłonił, po czym opuścił komnatę.

Korybut rzeczywiście poczuł się bardzo zmęczony. Ciężar władzy towarzyszący mu na co dzień teraz wydawał się go przygniatać, odbierał oddech. Przez jakiś czas król siedział w fotelu, nie zwracając uwagi na służbę, która przygotowała łoże i rozpałała świece. Potem wszyscy wyszli i wreszcie mógł zostać sam.

Zaczął czytać książkę, ale zrezygnował po kilku stronicach, nie mogąc odnaleźć w sobie skupienia. Wciąż myślał o słowach Olszowskiego.

Otrzeźwiło go pukanie.

– Wejść – powiedział głośno.

W uchylonych drzwiach pokazał się gwardzista.

– Przyszedł zegarmistrz, wasza wysokość.

– Niech wejdzie. – Korybut odłożył książkę i wstał z fotela.

Młodzieniec zatrzymał się tuż za progiem, trzymając w dłoniach kuferek z drewna. Rozejrzał się z ciekawością po komnacie, a potem skierował wzrok na

króla.

– Zamknij drzwi i podejdź bliżej – poprosił Korybut.

Młodzieniec wykonał obie te czynności. Popatrzyli w milczeniu na siebie i Korybut pomyślał, że to najpiękniejsze oczy, jakie widział. Poczuł przyjemne łaskotanie poniżej brzucha.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Miłosz.

– A więc, Miłoszu, co tu masz? – Korybut wskazał skrzyneczkę.

– Narzędzia, wasza wysokość, do naprawy zegarka.

– No tak, zegarek – wymamrotał król. – Niezwykłe, ale znów zaczął działać.

– Więc chyba niepotrzebnie to przyniosłem. – Miłosz lekko uniósł skrzyneczkę i uśmiechnął się.

Miał piękne, stworzone do pieszczot usta.

– Więc odstaw ją. I napij się ze mną wina – zaproponował Korybut.

– Z chęcią, miłociwy panie.

Jego wysokość osobiście rozlał wino do srebrnych pucharków. Wręczył naczynie młodzikowi, drugie zostawiając sobie. Ich palce się musnęły. Korybuta przeszył gorący dreszcz, lecz zabrakło mu odwagi, aby wziąć Miłosza w ramiona. Cofnął się i oparł pośladkami o blat stołu.

Młodzieniec zbliżył się do niego i stojąc bardzo blisko, dotknął palcami okładki książki.

– O czym jest?

– To dzieło Marka Aureliusza. – Korybut położył dłoń na okładce. – Wiesz, kim był?

– Nie, panie.

– Cesarzem rzymskim z drugiego wieku, wodzem, poganinem, ale i wielkim myślicielem. Wiele można się od niego nauczyć.

– Słyszałem, że cesarze kochali piękno – powiedział Miłosz i przykrył dłonią rękę króla spoczywającą na księdze.

Spojrzeli sobie w oczy. Wtedy Miłosz pochylił się i złożył na ustach Korybuta

pierwszy czuły pocałunek.

*

– Odjechał – poinformowała królową Klara, odwracając się od okna.

Eleonora podeszła do szyby i przez chwilę odprowadzała wzrokiem królewski orszak opuszczający rynek i kierujący się w stronę bramy miasta. Przyłożyła dłoń do piersi, czując, jak mocno bije jej serce. Tej nocy miała znów poczuć się kochaną kobietą w ramionach Karola.

Księżę zatrzymał się *incognito* w austerii za murami Krakowa. Eleonora nie mogła doczekać się chwili, gdy ujrzy ukochanego mężczyznę, poczuje jego dotyk i zapach.

Uświadomiła sobie, że na samą myśl o nim wilgotnieje pod halką. Wzięła głęboki oddech, aby uspokoić rozemocjonowane myśli.

– Co z Tynerem, nie sprawi nam kłopotu? – zapytała Klarę z niepokojem.

– Doniesiono mi, że ma teraz na głowie inne sprawy.

– A gwardziści?

– Uznają, że znów wymykam się w towarzystwie służącej na nocną przejażdżkę.

– Pomyślałaś o wszystkim, tak jak obiecałaś. – Eleonora ujęła z wdzięcznością dłoń Klary. – Nie zapomnę ci tej przysługi.

Klara opuściła komnatę i Eleonora została sam na sam z kłębiącymi się w niej emocjami. Przez resztę dnia nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Obiad ledwo tknęła, a na wieczerzę zadowoliła się talerzem zupy.

Po zapadnięciu zmroku odprawiła dwórki i zamknęła się w komnacie. Odgłosy krzątania wypełniające kamienicę za dnia ucichły stopniowo i po paru godzinach spędzonych na nieznośnym oczekiwaniu Eleonora usłyszała pukanie do drzwi. Poderwała się z łóżka i wpuściła Klarę do komnaty.

Kanclerzyna miała na sobie ciemną pelerynę z kapturem, drugą taką samą wręczyła królowej.

– Proszę ją włożyć, wasza miłość – poprosiła.

– Co ze służbą i gwardzistami? – zapytała Eleonora, ubierając się.

– Wszystko przygotowałam – uspokoiła ją Klara. Zerknęła na zegar. Wskazywał godzinę przed północą. – Już czas, miłościwa pani.

Zeszły na parter, a potem na podwórze za budynkiem. Jak zapewniała Klara, nie było tam strażników. Posesję opuściły przez boczną furtę. Gdy metalowe drzwi zatrzęsnęły się za ich plecami, królowa się wzdrygnęła.

– Chodźmy – szepnęła Klara.

Eleonora poprawiła kaptur opadający jej na oczy i ruszyła za przyjaciółką.

Zatrzymały się u wylotu zaułka. Klara wychyliła głowę zza krawędzi muru, by sprawdzić ulicę. Wtedy usłyszały czyjeś kroki dudniące na bruku, a potem po murach kamienic prześlizgnęły się snop światła i cienie dwóch mężczyzn spieszących w kierunku rynku. Klara cofnęła się i przycisnęła królową do chłodnego muru. Strażnicy miejscy minęli je w odległości trzech kroków i poszli przed siebie, nie dostrzegłszy postaci ukrytych w ciemnościach.

Eleonora wsłuchiwała się w cichnące odgłosy. Porwała się na coś głupiego i miała tego pełną świadomość.

Usłyszały turkot kół toczących się po bruku i z mroku ulicy wyłonił się czarny powóz. Eleonora uświadomiła sobie, że nie widzi eskorty.

– Pojedziemy tam same? – zapytała zląknięta.

– Tak łatwiej zachować dyskrecję – zapewniła Klara i wyprowadziła królową z zaułka.

Woźnica dostrzegł je. Zwolnił i zatrzymał dwukonny zaprzęg w taki sposób, aby pasażerki mogły od razu wsiąść do kabiny.

Eleonora się zawahała.

– Szybciej, bo jeszcze ktoś nas zobaczy – syknęła Klara, otwierając drzwiczki, i niemal wepchnęła królową do środka.

Ledwie zajęły miejsca, rozległ się trzask bata i pojazd pognał ciemną ulicą w stronę murów miejskich.

Eleonora z niepokojem czekała, aż dotrą do bramy. Powóz zwolnił i królowa wyjrzała przez zasłonkę. Zobaczyła dwóch wartowników z bronią, przez moment sądziła, że zostaną zatrzymani, lecz jeden ze strażników pokazał ręką, aby woźnica

jechał dalej. Koła powozu potoczyły się głucho po mostku przerzuconym nad fosą i Eleonora odetchnęła z ulgą.

Za oknem dostrzegła zarysy podmiejskich domostw i drzew, czarnych i posepnych, odcinających się na tle księżycowego blasku.

Po niespełna kwadransie jazdy powóz zatrzymał się w sąsiedztwie piętrowej gospody. Wsiadły z kabiny i Eleonora rozejrzała się po tym obcym, ponurym miejscu.

Na parterze budynku paliło się światło, odbijając się blaskiem w szybach. Na piętrze panowały ciemności, tylko w jednym oknie świeciła się lampa. Eleonora zadała sobie pytanie, czy to tam czeka na nią jej książę.

Przed wejściem do budynku rozmawiało kilku mężczyzn. Eleonora usłyszała ich grubiański śmiech. Musiała zebrać w sobie całą miłość do Karola, aby pokonać paraliżujący lęk.

Klara Pac nie miała takich oporów, a przynajmniej nic takiego nie można było po niej poznać. Chwyciła królową pod łokieć i delikatnie przyciągnęła ku sobie.

– Nie stójmy tak, wasza miłość, zwracamy na siebie uwagę.

Przeszły na tyły budynku, gdzie znajdowały się stajnie i obórki. Z mroku dobiegło je groźne szczeknięcie psa i stłumione kwiczenie wieprzków.

Królowa skrzywiła się, gdy jej obcas wbił się z młaśnięciem w coś śliskiego. Chciała myśleć, że to tylko błoto.

Serce biło jej jak młotem i niemal krzyknęła ze strachu, gdy spod schodów na zewnątrz budynku wyłoniła się wysoka postać w rajtarskim kapeluszu i długim wojskowym płaszczu. Eleonora zatrzymała się, lecz Klara podeszła śmiało do nieznanego, a potem odrzuciła kaptur na plecy, odsłaniając oblicze.

– Idźcie na górę – rzekł mężczyzna z tyrolskim akcentem.

Wspięły się po skrzypiących stopniach na piętro, gdzie znajdowały się uchylone drzwi. Strzegący ich mężczyzna miał przystojną twarz, zadbany wąsik i długie jasne włosy wystające spod rajtarskiego kapelusza. Eleonora dostrzegła u niego wysokie buty i rapier wysuwający się spod peleryny. Pomyślała, że to oficer – może nawet ktoś, kto potrafi rozpoznać ją z młodzińskich lat, gdy przebywała na cesarskim

dworze.

Rajtar, nawet jeśli rozpoznał w niej siostrę cesarza, nie okazał tego po sobie w najdrobniejszy sposób. Otworzył drzwi na oścież i gestem zaprosił obie damy do środka.

Znalazły się w krótkim korytarzu, na który wychodziły tylko jedne drzwi. Eleonora i Klara wymieniły spojrzenia i Pacowa uśmiechnęła się uspokajająco.

– Poczekam tu – zapewniła.

Eleonora zawahała się, nie wiedząc, czy powinna zapukać, czy też od razu nacisnąć klamkę.

Z rozterki wyrwał ją szcęk zamka. Drzwi otworzyły się od środka i ujrzała Karola. Stał przed nią wysoki, jasnowłosy, taki, jakim go zapamiętała i wymarzyła. Chwycił ją za dłoń i wciągnął do pokoju.

Objął Eleonorę w talii i przycisnął do siebie jak ktoś, kto odzyskał dawno utracony skarb. Jego błękitne spojrzenie zatopiło się w jej zielonozłotych tęczęwkach i nim się obejrzała, pocałował ją żarliwie w usta. Rozchyliła wargi, smakując go, przyjmując język i pieszczotę ukochanego, oplatając go własnym językiem, pogłębiając pocałunek do utraty tchu.

Niemal zerwał z niej suknię, a z siebie ubranie. Pozbywszy się dzielących ich nagie ciała tkanin, przywarli do siebie. Karol, nie przerywając pocałunków, błędził dłońmi po jej biodrach, plecach i pośladkach, wtulał się gorącą erekcją w jej rozpaloną skórę.

Eleonora pochyliła głowę, całując pierś ukochanego, pieszcząc koniuszkiem języka jasną brodawkę sutka. Karol stęknął i połaskotał ustami jej szyję. Przeszył ją cudownie przyjemny dreszcz.

– Przygotować cię tam, na dole? – zapytał szeptem, gdy spojrzeli sobie w oczy.

Nie musiał niczego robić, samo czekanie na tę chwilę sprawiło, że była wilgotna i gotowa przyjąć go w siebie.

Zarzuciła mu ramiona na kark i pocałowała w usta. Położył dłonie na jej pośladkach i uniósł ją oburącz. Rozchyliła uda i oplótła mu biodra nogami. Zwarli się w głębokim, zachłannym pocałunku. Zaniósł ją do łóżka i ułożył w pościeli.

Wsunął się w nią przy pierwszym ruchu, głęboko, po sam koniec. Uniosła biodra, napierając na niego i odbierając pchnięcia. Każdą cząstką siebie czuła, jak rośnie i pulsuje w jej aksamitnym wnętrzu, wypełnia ją błogim ciepłem, które rozlało się po udach, brzuchu i piersiach, sięgało ramion i szyi.

Karol przyspieszył i nagle wyprężył się jak struna, a z jego ust wyrwało się gardłowe chrząknięcie, które zlało się w jedno z jej krzykiem. Owładnęła nią rozkosz. Głęboka, zapierająca dech w piersiach. Coś, czego nie odczuwała od wielu lat. Drżąca i rozgrzana wtuliła się twarzą w jego policzek. Pocałował ją w usta i stoczył się na pościel. Przez moment milczeli, łapiąc wzburzone oddechy.

– Martwię się o ciebie – powiedział i ścisnął dłonią jej dłoń. – W Wiedniu panuje opinia, że gdy tylko na zachodzie rozpocznie się wojna, Sobieski i Prażmowski podniosą bunt.

– Obronisz mnie. – Wtuliła się w silne ramiona Karola.

– Niczego więcej nie pragnę, niż móc cię chronić, Eleonoro, ale... – Książę westchnął i usiadł, opierając plecy o poduszkę. – Lotaryngia jest pod okupacją Francuzów, muszę zrobić wszystko, aby odzyskać własne księstwo. Ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym tego zaniechał.

– Ale pułki, które przyprowadziłeś ze sobą, chyba zostaną na granicy śląskiej? – zapytała Eleonora z niepokojem.

– Obawiam się, że twój brat cesarz wkrótce odwoła je na Węgry, gdzie wybuchło powstanie kuruców.

– Czy dla mego brata jakiś bunt chłopstwa i górali jest ważniejszy niż moje bezpieczeństwo!?

– Rok temu przyznałbym ci rację, ale najnowsze doniesienia naszych szpiegów wskazują, że sytuacja bardzo szybko się pogarsza.

Przerwał, by napełnić pucharki winem. Jeden wręczył Eleonorze, drugi przystawił do ust.

– Pamiętasz księcia Thökölyego?

– Jako chłopca – przyznała. – Bywał na dworze w Wiedniu.

– Stanął na czele powstania przeciw twemu bratu, przyciągnął do siebie szlachtę

i mieszczan. Zdobył kilka miast w północno-wschodnich Węgrzech. Blokują nawet Koszyce. Jeśli zdobędą to miasto, Habsburgowie utracą Górne Węgry.

– Skoro zagrożenie jest tak duże, czemu mój brat nic z tym nie robi?

– Obawia się sprowokować Turków. Wiemy, że sułtan ogłosił mobilizację i wkrótce wyruszy na północ na czele stutysięcznej armii. Cesarz martwi się, że jeśli zaczniemy tłumić powstanie, Thököly zwróci się o protekcję do sułtana, a ten wykorzysta okazję, aby uderzyć na Wiedeń.

– Istnieje taka ewentualność? – Eleonora czuła się zdezorientowana.

– Dyplomacja francuska w Stambule nie szczędzi złota i obietnic, aby nakłonić wielkiego wezyra do wyprawy na Wiedeń – wyjaśnił cierpliwie Karol. – Pod żadnym pozorem nie możemy dawać sułtanowi pretekstu do wycofania się z planowanego ataku na Rzeczpospolitą.

– Polacy nie są przygotowani do tej wojny.

– Zatem przegrają – stwierdził Karol bezlitośnie. – Nim do tego dojdzie, zajmą Turków na tyle długo, by pozwoliło to Austrii zakończyć wojnę na zachodzie.

– Ciężko mi tego słuchać – przyznała Eleonora. – Mówisz tak lekko o moim królestwie i poddanych. Wielu z nich zginie lub trafi w pogańskie jarzmo.

– Wiem to, lecz wojna na dwa fronty może skończyć się upadkiem Habsburgów i to swemu domowi jesteś winna lojalność. Oboje wiemy, że cesarz nie powinien posyłać cię do tego okropnego kraju... oddać do łoża temu... – Karol zamilkł i zacisnął usta.

Eleonora zwiesiła głowę, ukrywając łzy zbierające się w jej oczach.

– Tak bardzo pragnę, abyśmy mogli być razem – wyszeptała.

Karol otoczył ją ramieniem i Eleonora wtuliła się w ciepłą, szeroką pierś.

– Ja również niczego więcej nie pragnę – zapewnił. – Możemy wyjechać stąd razem, uciec od tego wszystkiego. – Wypowiedział te słowa z całkowitą powagą.

Właśnie ta powaga otrzeźwiła ją, przegnała z głowy mrzonki i nierealne plany.

– I gdzie byśmy się schronili po takim skandalu? Księżę bez księstwa i królowa ladacznica wyklęta przez rodzinę.

Karol chciał coś powiedzieć, lecz przeszkodziła mu w tym.

– Nic nie mów, teraz jest dobrze.

Przyłgnęła wargami do jego warg, pragnąc zapamiętać ten pocałunek, sprawić, aby wspomnienie tej chwili stało się płomykiem rozpraszającym głęboką szarość codziennych dni. Wiedziała, że to żałośnie mało, ale nie mogła liczyć na więcej.

Choć bardzo tego pragnęła, ta noc nie mogła trwać wiecznie i oboje przeczuwali, że to może być ich ostatnie spotkanie.

*

Obudził ją słoneczny promień wpadający do sypialni przez niedokładnie zaciągnięte zasłony. Charlotta jeszcze chwilę trwała na granicy nierealności, smakując rozplywający się pod powiekami obraz Sieniawskiego pieścącego ją ustami. Westchnęła i wsunęła dłoń między uda. Poczuła wilgoć pod palcami i dotarło do niej, że to był tylko sen.

Magia się rozproszyła. Charlotta uniosła powieki, przechyliła głowę na poduszce i spojrzała na zegar. Dochodziła dziewiąta rano. Chwilę zastanawiała się, czy nie powylegiwać się dłużej w pościeli, lecz ciche pomruki żołądka przypomniały jej o śniadaniu.

Odwinęła kołdrę i naga usiadła na skraju łóżka. Opuściła stopy na puszysty dywanik i na moment zastygła, zrzucając z siebie resztki sennej opieszałości.

Podniosła się z materaca. Zbliżyła się do okna i uchyliła je. Zasłona poruszyła się i twarz Charlotty owiał ciepły pocałunek wiosennego powietrza. Przeszła za parawan odgradzający umywalnię od reszty pokoju.

Skorzystała z nocnika. Następnie pochyliła się nad miską ustawioną na trójnogu i ochlapała twarz, szyję i gors wczorajszą wodą. Oczekała, aż skóra się nawilży, i bardzo delikatnie otarła twarz ręcznikiem.

Odświeżywszy się, stanęła przed lustrem wiszącym między toaletką a dużą szafą. Oglądając swe piersi, brzuch, biodra i pupę, starała się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio była z mężczyzną. Uznała, że zdecydowanie zbyt dawno.

Przyłożyła dłoń do ciężkiej, wrażliwej piersi, a potem zsunęła ją na napięte podbrzusze. Po tych wszystkich nerwach potrzebowała odprężenia.

Ten dzień należał wyłącznie do niej. Żadnych obowiązków, trudów i narzekań. Tylko przyjemności. Uśmiechnęła się do swego odbicia w zwierciadle, po czym otworzyła szafę. W przepastnym wnętrzu mebla ziało stęchlizną i pustką. Wybierając się w podróż wierzchem do Krakowa, zabrała ze sobą tylko jeden komplet ubrań.

Do powrotu Miłosa z Wieliczki mogła robić, co tylko chciała. Cieszyła ją ta myśl. Zamierzała wykorzystać pobyt w Krakowie na zrobienie zakupów, a także, być może, wdać się w przelotny romans.

Wyciągnęła z szafy halkę i ciemnogrnatową suknię. Ubrała się i zaczęła rozczesywać włosy grzebieniem. Potem zajęła się oprawą oczu. Użyła olejku rycynowego i miniaturowej szczoteczki z włosia, aby wydłużyć i zagęścić rzęsy oraz brwi. Na sam koniec sięgnęła po puderko z różem prowansalskim i rozprowadziła go na ustach i policzkach.

Wpatrując się w zwierciadło, obróciła się wokół własnej osi. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Przed opuszczeniem pokoju Charlotta rozsunęła zasłony i otworzyła na oścież okiennice, aby wywietrzyć pomieszczenie.

Zobaczyła Esterkę, która pochyłona nad tarką prała męską koszulę. W domu Jakuba Mojasewicza panowały tradycyjne zasady i kobiety nie mogły się lenić. Esterka chyba wyczuła skupione na niej spojrzenie. Uniosła wzrok i speszona poprawiła mokry kosmyk włosów opadający na czoło. Charlotta pomachała jej, na co Żydówka odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i wróciła do prania.

Mesire udała się na śniadanie. Już w korytarzu wyczuła zapach świeżego chleba. Gdy wkroczyła do kuchni, służąca wyciągnęła z pieca dwa okrągłe, rumiane bochny.

Chleb smakował równie dobrze, jak pachniał. Szczególnie w połączeniu z pasztetem z gęsi, jajkami i białym serem. Wciąż miała pełny talerz, gdy pojawił się Jakub. Musiał wrócić z miasta, poznała to po zakurzonych butach i ubraniu. Usiadł przy stole i potarł dłonią siwiejącą brodę.

Charlotta spojrzała na zafrasowane oblicze kupca i poczuła, że coś się stało.

– Durak nie zjawił się w sklepie – potwierdził jej obawy Mojasewicz. – Nie

wrócił też do domu na noc.

– Może zapił? Zdarzało się mu to wcześniej?

– Kiedyś, gdy zmarła mu żona, ale od tamtej pory trzyma się z dala od trunków.

Charlotta zmarszczyła brwi i odsunęła od siebie talerz.

– Myślisz, że coś nam zagraża?

– Nie wiem, wysłałem dwóch ludzi, aby się o niego wywiedzieli po gospodach, ale jak na razie przepadł niczym kamień w wodę.

Charlotta pomyślała o wolnym dniu, na który tak liczyła. Westchnęła.

– Mieszkał na Kleparzu, zgadza się?

Jakub potwierdził skinieniem głowy.

– I tak miałam zrobić zakupy, dziś mają tam targ. Przy okazji rozejrzę się za nim i popytam.

– Każę przygotować dla ciebie dwukólkę. Będzie czekała na tyłach domu, wyjedziesz od polskiej strony – rzekł Jakub, a potem zostawił Charlotte w kuchni, aby dokończyła posiłek.

Nasyciwszy się, Mesire wróciła do swego pokoju i wyjęła z sakwy pas oraz pochwę ze sztyletem. Przypasała broń w taki sposób, aby móc dobyć ostrze zza pleców. Nałożyła pelerynę na ramiona i zawiązała chustę na włosach, jak czyniły to zamężne kobiety.

Wyszła przed dom. Zaprzęg był już gotowy do drogi. Wspięła się na ławeczkę woźnicy i odebrała od stajennego lejce. Bat odłożyła na pustą platformę za siedzeniem. Gdy potrząsnęła lejcami, klacz flegmatycznie ruszyła w stronę wyjazdu z posesji. Sługa otworzył bramę. Dwukółka poturkotała uliczką, a gdy minęła narożną kamieniczkę, z jej poddasza poderwało się w niebo stado białych gołębi.

*

Noc i cały ranek Bogusław spędził przy niewielkim oknie na poddaszu trzypiętrowej kamieniczki sąsiadującej z miastem żydowskim. Mur odgradzający od siebie dwie wspólnoty zapadł się już pod ciężarem lat, Tyner miał więc dobry widok na domy należące do Żydów, w tym na część posesji Jakuba Mojasewicza.

Dom kupca miał dwa piętra i spadzisty dach kryjący poddasze. Za budynkiem znajdował się obszerny plac zajęty przez magazyny, stajnie i szopy gospodarcze. Dzięki narożnemu usytuowaniu okna Tyner widział każdą osobę wchodzącą i opuszczającą posesję. Na razie nie działo się nic niezwykłego. Kilku mężczyzn kręciło się w obejściu, jakaś młoda kobieta prała koszulę, nieco dalej szczeniak uciekał przed stadem gęsi.

Potem Tyner spojrział w zaułki, gdzie kryli się przebrani gwardziści. Udając żebraków, przechodniów lub domokrążców, obserwowali wyjścia z domu Mojasewicza. Nieco dalej pod kamiennym łukiem spinającym dwie kamieniczki czekał Lazar z zaprzęgiem.

Tyner odsunął lunetę od oka i odłożył ją na kamienny parapet. Ujął delikatnie nasadę nosa między kciuk a palec wskazujący i potarł swędzące miejsce. Od wielu godzin nie zmrużył oka i czuł, że długo tak nie pociągnie.

Całe poddasze rozlegało się gruchaniem. Tyner spojrział na wiklinowy kosz, w którym uwięziono tuzin białych gołębi. Ptaki wyczuwały, że są blisko wolnej przestrzeni, i niecierpliwiły się. Tak jak on były spragnione i głodne.

Zaburczało mu w brzuchu. Aby nie myśleć o jedzeniu, skupił się na obserwacji dwóch mężczyzn, którzy weszli do wozowni i majstrowali coś przy dwukółce.

Dobiegł go odgłos kroków na drewnianych schodach. Chwilę potem u wejścia na poddasze pojawił się Grot.

Wachmistrz wręczył Bogusławowi sakwę, z którą przyszedł na górę.

– Jedzenie. Ser, kiełbasa, chleb i flaszka wina – wyjaśnił.

Tyner usiadł obok kosza z ptakami i zabrał się do wyjmowania produktów ze skórzanego worka. W tym czasie Grot zmienił go przy oknie.

– Coś się działo? – zapytał.

– Rano stary wyszedł z domu, ale nie opuszczał kwartału żydowskiego – rzekł Tyner. – Wrócił niedawno.

– A kobieta?

– Na razie nic. – Bogusław wgryzł się w kiełbasę. Chwilę przeżuwał, po czym zapytał z pełnymi ustami: – Durak podpisał wyznanie?

– Co miał nie podpisać. Przyznał się do wszystkiego i obciążył Mojasewicza, jak pan porucznik kazał. Możemy wejść tam w każdej chwili i aresztować wszystkich pod zarzutem zdrady stanu i spisku wymierzonego w króla.

Tyner przełknął kęs i pokręcił głową.

– To zawsze zdążymy zrobić.

Milczeli przez kilka minut, dopóki Grot się nie odezwał:

– Chyba coś się dzieje. Przygotowali zaprzęg.

Tyner poderwał się na nogi i sięgnął po lunetę. Szybko namierzył niewiastę, która wyszła z domu na podwórze i wsiadała do dwukółki. Włosy miała zasłonięte chustą i wciąż nie widział jej twarzy. Wtedy na moment obróciła się, odkładając bat.

Serce załomotało mu w piersi. To była ona. Widział ją tylko raz, ale nie mógł się pomylić.

– Wypuść gołębice – zwrócił się do Grota. – Zobaczymy, do kogo nas zaprowadzi.

Wachmistrz podniósł kosz z ptakami, postawił go na parapecie i odchylił pokrywę z wikliny. Gołębice z trzepotem skrzydeł wzbiły się w powietrze i pofrunęły nad spadziste dachy kamieniczek.

Wypuszczenie ptaków było znakiem dla Lazara, aby podjechał pod bramę budynku.

Tyner i Grot zbiegli po schodach na parter i zatrzymali się przy uchylonych odrzwiach prowadzących na uliczkę. Dwukółka powożona przez kobietę minęła ich kryjówkę. Moment później pod bramę zajechał zaprzęg Lazara.

Wybiegli na ulicę i wskoczyli do odkrytej kolasy. Lazar trzasnął batem nad głowami pary koni i koła potoczyły się po wyboistej nawierzchni.

– Nie zgub jej – powiedział Tyner i nakrył siebie oraz Grota narzutą z szorstkiego płótna.

Dwukółkę dogonili, zanim ta opuściła miasteczko od strony wyjazdu na Stradom. Lazar zwolnił nieco z zamiarem utrzymania bezpiecznego dystansu między zaprzęgami. Przemknęli przez przedmieście złożone z kilkunastu domów i dostali się na most królewski. Drewniana konstrukcja przerzucona na palach nad odnogą Wisły była wystarczająco szeroka, by swobodnie mijały się na niej wozy.

Przy zjeździe z mostu kilku chłopców zabawiało się skakaniem do rzeki.

Zostawili za sobą rozkrzyczanych młodzików i znaleźli się na Stradomiu. Między zamkiem a Wisłą rozciągało się przedmieście pełne kwitnących sadów i ogrodów należących do klasztorów. Tuż za drewnianymi domostwami na obszernych zalesionych łąkach pasły się stada czarno-białych krów i płowe woły, nadzorowane przez pastuszków. Dalej na zachód, nad rzeczką Rudawką chylił się do ziemi młyn wodny, spalony jeszcze w czasach potopu.

Dwukółka zniknęła w gardzieli Bramy Grodzkiej, łączącej się murem z Wawelem.

– Trzymaj się w zasięgu wzroku – polecił Tyner Lazarowi.

Przejechali pod kratownicą i znaleźli się w Krakowie.

Francuzka minęła rozwidlenie ulic wiodących na zamek i prowadzona przez nią dwukółka wtoczyła się na plac targowy przy kościele Świętej Marii Magdaleny. Przy straganach kręciło się sporo ludzi, więc musiała zwolnić. Oni również. W pewnym momencie Lazar ściągnął gwałtownie lejce i wyhamował konie, gdy tuż przed nich wyszła kobieta ciągnąca za sobą parę rozwrzeszczanych bachorów.

W tym czasie dwukółka opuściła plac i oddaliła się, znikając im z oczu.

Lazar krzyknął ostrzegawczo na przechodniów i trzasnął z bata, ale nim zdążyli przyspieszyć, w uliczce łączącej targowisko z ulicą Kanoniczą wybuchło zamieszanie. W jednej chwili ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać w popłochu. Tyner zobaczył spłoszonego konia, który ciągnął furmankę. Nagle uderzył z trzaskiem w stragan, wywracając go i miażdżąc stojącego za nim handlarza. Rozległ się okropny krzyk. Ktoś zdołał przytrzymać oszalałe zwierzę, kto inny pospieszył na pomoc rannemu. Wokół nieszczęśnika momentalnie zebrali się gapie, całkowicie blokując ulicę.

Tyner zaklął. Zeskoczył z kolasy.

– Zawróć i jedź Kanoniczą do rynku – rzekł do Lazara, który próbował wycofać się z zaprzęgiem. – My pobiegniemy.

Używając łokci, przepchali się na drugą stronę zbiegowiska i pędzili w kierunku Legackiej. Za skrzyżowaniem rozdzielili się, Grot podążył na wprost ulicą Grodzką do rynku, podczas gdy Tyner pognał Stolarską aż do starego cmentarza położonego

za kościołem Mariackim.

Odwykł od biegania i już po kilkuset metrach zabrakło mu tchu. Zaciśnął zęby i pędził dalej, aż do skrzyżowania ulic Świętego Jana i Wąskiej, gdzie stracił resztki oddechu i nadzieję. Zaciśnął pięści i rozejrzał się w desperackiej próbie odnalezienia dwukółki.

Ujrzał ją skręcającą przy warsztacie krawieckim w Sławkowską. Domyślił się, że Francuzka zamierza opuścić miasto przez bramę na końcu tej ulicy. Popędził za nią i omal się nie przewrócił, zawadzając czubkiem buta o wystający z nawierzchni bruk. Gdy dotarł pod warsztat, spojrzął w prawo, lecz dwukółka zdążyła już przejechać pod bramą.

Rzucił wiązkę przekleństw, świadom, że nie da rady jej dopędzić.

Wtedy usłyszał, że ktoś go woła. Obejrzał się i zobaczył zaprzęg z Lazarem i Grotem nadjeżdżający ulicą. Powóz zwolnił i Tyner wskoczył na pakę.

– Wyjechała z miasta – wydyszał.

Lazar pognał konie. Przejechali przez forteczną szyję, bastion i most zwodzony, wytoczyli się na ubity trakt.

Tyner przytrzymał się burty kolasy i wyprostował się. Przed sobą mieli kilka wozów podążających na północ, ale żaden z nich nie był tym, którego szukali.

Bogusław wskazał na szereg drewnianych domostw i magazynów wznoszących się po lewej stronie traktu.

– Spróbujmy tam.

Skręcili w pierwszą uliczkę z brzegu i wjechali na Kleparz. Miasteczko rozwijało się wokół targu i kościoła Świętego Floriana.

– Musimy gdzieś zostawić zaprzęg. Bo zaraz ukradną – odezwał się Lazar.

– Ona też gdzieś zostawiła swój – stwierdził Tyner. – Poszukajmy w stajniach.

– Najbliższa jest za tamtą piekarnią. – Lazar wskazał na domostwo z kwadratowym kominem, z którego wydobywał się jasny dym. – Będzie z pięćdziesiąt sążni stąd.

Z budynku stajni obłaziła ciemna farba, ale sprawiał dobre wrażenie. Podjechali pod otwarte na oścież wrota, wewnątrz panował ożywiony ruch. Grot zeskoczył

z wozu i zatrzymał jednego ze stajennych. Przez chwilę rozmawiali, po czym wachmistrz wręczył chłopakowi monetę.

– Nie było jej tu – poinformował Tynera.

– Musimy się rozdzielić – zdecydował Bogusław. – Jeśli na nic nie natraficie, za godzinę widzimy się przy wejściu do ratusza.

Rozstali się. Tyner przeszedł nad otwartym rynsztokiem, którym spływała cuchnąca brązowa struga, i ruszył uliczką łączącą się z Rynkiem Kleparskim.

Od jego ostatniej wizyty na Kleparzu przed czterema laty wiele się tu zmieniło. Zniknęły ruiny i zgliszcza, a na ich miejscu wyrosły nowe domy, składy i stragany.

Jedno nie zmieniło się w tym miasteczku, mianowicie ilość ladacznic. Te widać było wszędzie: na rogach zaułków, przechadzające się w tłumie na targowisku lub po prostu przesiadujące na gankach i węgłach, żeby nacieszyć się kwietniowym słońcem.

Pech chciał, że tego dnia odbywał się targ rolny, na który zjechała chyba cała okoliczna ludność. Na rynku nie brakowało też sprzedawców koni, wołów i owiec, co tylko potęgowało harmider wznoszący się nad Kleparzem. Nasiąknięta wiosennymi deszczami ziemia była wystarczająco grząska i bez setek rozkopujących ją kopyt, racic i stóp. Teraz zaś zamieniła się w rozległe grzęzawisko, w którym łatwo było stracić źle zawiązany czy zapięty trzewik.

Tyner wkroczył na chodnik ułożony z desek i bali prowadzący wzdłuż jatek, przy których gospodynie oglądały mięso wystawione na powietrzu. Minął człowieka niosącego w worku kwiczące prosię i przepuścił rzeźnika, który taszczył na ramieniu rozłupane, ociekające juchą kości wołu. Po kilkudziesięciu krokach trotuar się skończył i Tyner zmuszony był ubłocić sobie buty. Minął trzy wozy załadowane zbożem, przyprowadzone na targ przez grubego szlachcica, który siedząc na koźle, poganiał czeladnych przy przeładunku ciężkich worów.

Przez cały czas Bogusław rozglądał się za kobietami w zielonych chustach. Udało mu się wypatrzeć parę takich niewiast, ale żadna z nich nie była Francuzką. Obszedł całe targowisko i kilka odchodzących od niego zaułków, ale ostatecznie musiał pogodzić się z porażką. W miejscu, gdzie stał, znajdował się stragan z miodowymi ciastkami. Poczuł nagle przemożną ochotę na słodczyce.

Sięgnął do trzosa po drobniaki i wtedy zobaczył Francuzkę wychodzącą z sąsiedniego budynku. Znajdowała się ledwie czterdzieści kroków od niego.

Cofnął się pod ścianę i ostrożnie wyjrzał zza straganu ze słodyczami.

Teraz widział jej plecy. Odchodziła, nie oglądając się i niemal nie zwracając uwagi na oferowane przez handlarzy towary. Wyraźnie gdzieś się spieszyła. Jeszcze chwila i znów straci ją z oczu.

„Nie tym razem”, przyrzekł sobie i ruszył za kobietą szybkim krokiem.

*

Ktoś ją śledził, była tego niemal pewna. Odczucie to zaczęło towarzyszyć Charlotcie, odkąd opuściła dom Duraka.

Zatrzymała się, udając, że poprawia chustę na głowie, i zerknęła przez ramię. Tuż za nią szedł człowiek z naręczem desek i kobieta ciągnąca za sobą dwukołowy wózek, nieco dalej starsza matrona prowadziła dwie młodziutkie dziewczyny, może córki. Na rogu sąsiedniego zaułka dwóch mężczyzn prowadziło ze sobą rozmowę, kilku innych przeszło obok niej, poświęcając jej tyle uwagi, ile zwykle mężczyźni okazują niebrzydkiej kobiecie.

Charlotta zagryzła dolną wargę, zastanawiając się, czy nie daje się ponieść nerwom. Przeszła dwadzieścia kroków i przystanęła przed oknem warsztatu kuśnierza, udając, że przygląda się wystawionym tam wyrobom. W rzeczywistości obserwowała w szybie odbicia idących za nią przechodniów. Stała tam dłuższą chwilę. Prócz ludzi, których widziała wcześniej, minęły ją dwie przekupki w czerwonych kieckach dźwigające razem kosz z rybami.

Nagle na krawędzi pola widzenia mignęła jej postać mężczyzny w pelerynie. Spojrzała w tamtą stronę, lecz człowiek ten zniknął w bocznym zaułku.

Charlotta odstąpiła od szyby i przespacerowała się do pierwszego skrzyżowania, tam skręciła w stronę kwartału zabudowanego dworkami bogaczy, którzy woleli spędzać letnie upały pośród ogrodów i sadów niż w dusznych murach Krakowa.

W oko wpadł jej korpulentny jegomość w mieszczańskim stroju zmierzający z naprzeciwka. Przyspieszyła kroku. Zbliżyła się do dziarsko maszerującego

mężczyzny i gdy mieli się minąć, celowo się potknęła. Tak jak się spodziewała, chwycił ją w ramiona i podtrzymał przed upadkiem.

Charlotta wykorzystała te kilka sekund na przyjrzenie się przechodniom. Znowo dostrzegła mężczyznę w pelerynie. Jej potknięcie się musiało go zaskoczyć, lecz mimo to zachował zimną krew. Odwrócił głowę i wdał się w rozmowę z ładacznicą stojącą w drzwiach szopy zamienionej na zamtuż. Był wysoki, ale garbił plecy, aby nie wyróżniać się na tle innych przechodniów. Mesire zwróciła uwagę, że ma wysokie buty, jakie zwykle noszą wojskowi.

Podziękowała jegomościowi za ratunek i grzecznie, acz stanowczo odrzuciła ofertę odprowadzenia pod drzwi. Szybkim krokiem zawróciła w stronę rynku, gdzie łatwiej mogła wtopić się w tłum.

Gdy wkroczyła na targowisko, porwał ją nurt ludzkiej ciżby. Pochyliła głowę i ściągnęła chustę. Miała nadzieję, że zmyli w ten sposób swego prześladowcę. Lawirując w chaosie targowiska, przedostała się na północną stronę rynku. Zatrzymała się przy straganie z guzikami i rozejrzała dyskretnie. Nie dostrzegła tamtego mężczyzny, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Musiała mieć pewność, nim wróci na Kazimierz.

Na tyłach przyrynkowych magazynów znajdowała się kaplica z dużym cmentarzem. Charlotta dotarła pod otwartą na oścież bramę nekropolii. Wkroczyła na żwirową alejkę wytyczoną między mogiłami. Oddalwszy się na kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się przy kamiennym grobowcu jakiegoś bogacza i spojrzała za siebie.

Nie zgubiła go. Właśnie wkraczał na cmentarz. Dostrzegł ją i przyspieszył.

Pobiegła krętymi alejkami. Minęła starszą kobietę z czwórka małych dzieci, modlącą się nad świeżo usypaną mogiłą z ubogim, prostym krzyżem, i dotarła do bocznej furty. Tuż za cmentarzem znajdował się kwartał budynków i magazynów porozdzielanych przez płataninę krętych, krzyżujących się zaułków.

Charlotta wpadła w jakąś bramę i omal nie poślizgnęła się na końskim łajnie. Znalazła się na podwórku, gdzie suszyły się prześcieradła i poszewki porozwieszane na sznurach rozpiętych pomiędzy ustawionymi pionowo żerdziami. Zanurzyła się między wilgotne płachty materiału i przedarła na drugą stronę suszącego się prania.

Usłyszała, że ktoś za nią biegnie. Uskoczyła w cuchnący prześwit oddzielający obskurne budynki i znalazła się na kolejnym podwórku.

Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Po prawej chyliły się opuszczone baraki i płot odgradzający sad, przy którym wznosiła się góra łajna. Tuż za stertą odchodów w ogrodzeniu wyłamano kilka sztachet, tworząc prowizoryczne przejście na drugą stronę. Na lewo znajdowały się zewnętrzne schody prowadzące na piętro. Charlotta zdecydowała w mgnieniu oka. Trzymając się balustrady i pokonując po kilka stopni naraz, dostała się na ciemny korytarz.

Ukryła się tam. Wstrzymała oddech, nasłuchując. Ktoś wbiegł na podwórze i zatrzymał się. Ostrożnie wychyliła głowę zza krawędzi muru i ujrzała ścigającego ją mężczyznę. Stał odwrócony tyłem i rozglądał się. Potem skierował się do dziury w parkanie.

Odetchnęła z ulgą. Cofnęła głowę i zerknęła w głąb korytarza. Dwadzieścia kroków dalej znajdowały się kolejne schody prowadzące gdzieś na dół.

Pobiegła tam i zeszła do ciemnej sieni. Ujrzała jasną plamkę światła przenikającą zza uchylonych drzwi na parterze. Usłyszała męski głos, potem drugi. Zapanowała nad drżeniem serca. Wyjrzała na podwórze, gdzie dwóch mężczyzn w roboczych fartuchach zdejmowało z wozu ciężką skrzynię. Wspólnymi siłami, sapiąc i dysząc, zataszczyli ją do domu naprzeciwko. Gdy obaj zniknęli w budynku, Charlotta wybiegła na zewnątrz i wpadła w otwartą bramę.

Udało się. Była bezpieczna.

Wtedy coś uderzyło ją w głowę tak mocno, że poleciała na ścianę i osunęła się bezwładnie na ziemię.

*

Tyner upuścił kawałek twardego drewna wyrwanego z ogrodzenia. Łapiąc ciężko oddech, przypatrywał się ogłuszonej kobiecie. Z pewnością miała broń. Pochylił się i wsunął dłonie pod jej okrycie. Była ciepła i zwodniczo miękka.

Jej kolano z bezlitosną precyzją trafiło go między uda. Stęknął, patrząc w zmrużone z nienawiści oczy. Wypuścił ze świstem powietrze. Nim zdołał zasłonić

twarz, grzmotnęła go pięścią w nos.

Runął na plecy. Na wargach czuł smak własnej krwi. Przez łyzy widział, jak stanęła nad nim.

– Ahrrr... – wykrztusił, gdy kopnęła go pod żebra.

Spróbowała raz jeszcze i wtedy chwycił ją za stopę. Szarpnęła nogą, ale trzymał ją mocno. Dźwignął się na kolana.

Charlotta wymierzyła mu kilka zajadłych ciosów w twarz, głowę i kark. Drugą ręką sięgnęła za plecy po sztylet. Tyner szarpnął głowę w tył i zasłonił się ramieniem. Poczuł, jak ostrze tnie go boleśnie w ramię. Po rękawie rozlała mu się ciepła plama krwi.

Wydał z siebie ryk i wstał, unosząc nogę kobiety, pchając ją w górę i w tył. Brutalnie podciął drugą stopę, na której opierała ciężar ciała. Osunęła się po ścianie z krótkim stęknieniem i padła na ziemię. Kopnął ją silnie, prosto w brzuch. Wydała z siebie bezdźwięczny świst i zwinęła się wpół, puszczając sztylet. Podeszwą buta przesunął ostrze poza zasięg jej rąk.

Skrzywił się z bólu i splunął krwią. Dała mu ostro w kość, musiał to przyznać. Powinien ją skrępować, nim znów narobi mu kłopotu. Sięgając po pasek, spojrział przez ramię i nagle znieruchomiał. Zobaczył dwóch mężczyzn w fartuchach, uzbrojonych w kije i biegnących ku niemu od strony podwórza.

– Pomocy... – dobiegło go ciche błaganie kobiety.

– Wstrzymajcie się! – wrzasnął.

Nie posłuchali.

Pierwszy cios trafił go boleśnie w bark. Tyner wydał stłumiony jęk. Chwycił uzbrojoną w kij rękę i skrzywił ją. Rozległ się trzask i z ust mężczyzny wyrwał się krzyk. Tyner złapał go za włosy i grzmotnął twarzą o mur. Tamten osunął się bezwładnie na ziemię.

Kątem oka Bogusław dostrzegł opadającą pałkę. Zasłonił się ramieniem, mimo to oberwał w tył czaszki. Zamoczyło go. Zachwiał się, lecz ustał na nogach. Instynktownie uniknął drugiego ciosu i walnął przeciwnika łokciem pod żebra. Mężczyzna stęknął, ale i tak wziął zamach.

Tym razem cios nie był tak szybki i mocny. Tynerowi udało się odepchnąć ramię mężczyzny i grzmotnąć go czołem w nos. Chlusnęła krew. Tamten zatoczył się i Bogusław z brutalną siłą wbił mu kilka razy pięść w brzuch, aż mężczyzna złożył się wpół.

Cofnął się o dwa kroki i omal się nie wywrócił. Potrząsnął głową oszołomiony.

„Francuzka, muszę zabrać ją z tego miejsca”. Ta myśl pozwoliła Tynerowi skupić się na czymś więcej niż własny ból. Spojrzał w miejsce, gdzie zostawił kobietę. Zamarł. Nie było jej tam.

– Tylko nie to – wymamrotał do siebie.

Jeden z mężczyzn podnosił się z ziemi, charcząc. Tyner ostrzegł go gestem, aby nie wstawał.

Otarł krew z ust, wyprostował się i poprawił pelerynę. Podeszedł do wylotu bramy i rozejrzał się, szukając uciekinierki. Nie było jej tam. Zrozumiał, że znów mu umknęła.

Odepchnął złość, nie było sensu pomstować. Wciąż pozostawało mu kilka możliwości.

ROZDZIAŁ VIII

Proste pytania

Maj A.D. 1672

W lochu nie było żadnych okien, powietrze cuchnęło wilgocią, stęchłą słomą i dymem z palących się kaganków, które oświetlały każdy z ponurych instrumentów wypełniających katownię.

Zgromadzone tu okrutne narzędzia udowodniały, że ludzie wciąż wykazują niezwykłą pomysłowość, gdy w grę wchodzi torturowanie i poniżanie bliźnich. Drabiny i ławy służące do rozciągania, imadła do łamania piszczeli i ramion czy ciężkie kloce ołowiu podwieszane na belkach, a używane do rozciągania stawów – każda z tych rzeczy wystarczała, by zamienić człowieka w krwawiący łach.

Bogusław odsunął od siebie pojemnik z siarką i oparł łokcie o stół, wciskając twarz w dłonie. Miał nadzieję, że w ten sposób choć trochę złagodzi ból głowy, czego nie ułatwiał mu krzyk wydobywający się z ust mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu.

Na dzielącym ich obdrapanym blacie leżały w nieładzie pomniejsze przyrządy katowskiego rzemiosła: obcęgi, którymi wyrywano języki i paznokcie, świdry do wyłupywania oczu, a także haki, kolczaki i pilniki. Część z nich nosiła już krwawe ślady po wcześniejszych przesłuchaniach innych więźniów.

Okropny krzyk ustał, zmieniając się w charczenie, i Tyner odkleił dłonie od twarzy, spoglądając na kata, który położył przed nim krwawiący paznokieć.

„Wygląda tak niepozornie, kto by pomyślał, że jego utrata może spowodować tyle cierpienia”.

Tyner wznosił oczy na postać siedzącą na metalowym krześle służącym do zadawania tortur. W milczeniu przypatrywał się opuchniętej twarzy żydowskiego kupca.

– Kim jest ta Francuzka? Gdzie ją znajdę? – zapytał.

– Nie wiem, o kim mówicie. Musicie mi uwierzyć – zaskrzeczał Mojasewicz,

wychylając się z krzesła na tyle, na ile pozwalały mu metalowe obręcze zaciśnięte na nadgarstkach.

Tyner potrząsnął głową ze smutkiem.

– Po co przyjechała do Krakowa? Co knuliście?

– Nic nie wiem – zapiszczał Żyd. – Jestem tylko zwykłym kupcem.

„Proste odpowiedzi, które zakończą twoje cierpienie. Czemu więc nie chcesz ich udzielić?”

– Widziano, jak opuszczała twój dom.

– Wynajmuję pokoje przybyszom spoza miasta. Nie znam tych ludzi, zatrzymują się u mnie na kilka dni, a potem odjeżdżają. To musi być jakaś koszmarna pomyłka. Nie jesteście bandytami, żądam rozmowy z sędzią! – wykrzyknął.

– Nikt nie wie, że tu jesteś, nikt cię nie uratuje. – Tyner nachylił się ku więźniowi. – Tylko ty sam możesz tego dokonać. Powiedz, co wiesz, a ocalisz życie – wysyczał.

Twarz Żyda stężała. W oczach pojawiła się nieustępliwość.

– Żądam widzenia się z sędzią – wydyszał.

Tyner spojrział na kata. Na głowie miał kaptur z wycięciami na oczy, nos i usta. Mimo to pod spodem musiało być mu gorąco. Bogusław, myśląc o tym, poczuł swędzenie na skroni, ale zwyciężył pokusę podrapania się.

– Teraz druga ręka – polecił.

Kupiec zapiszczał i zaczął szarpać się w krzesle, lecz oprawca zdzielił go pięścią w twarz. Cios nie był silny, ale wystarczył, aby na moment ogłuszyć więźnia, nie pozbawiając go przytomności. Kat chwycił kciuk jego lewej ręki, zacisnął obcęgami na paznokciu i nie spiesząc się, zerwał go. Położył krwawy ochłap na blacie obok pierwszego.

Jakub oddychał ciężko przez poranione usta, wpatrując się w Tynera przerażonym wzrokiem.

– Powiem wszystko – załkał. – Ta kobieta przyjechała do Kazimierza i zatrzymała się w moim domu. Tak, to prawda.

– A więc przyznajesz, że była jednak jakaś kobieta?

– Przyznaję – wydusił Żyd, wlepiając wzrok w podłogę. – Nie mogłem się przyznać, że ją znam. Bałem się, że... to się wyda.

Tyner poczuł ulgę, że nie musi dalej tego ciągnąć.

– Co się wyda? – zapytał.

– Że z nią sypiam – oznajmił jednym tchem Żyd. – Ona jest chrześcijanką. Poznałem ją kilka miesięcy temu. Moja żona zmarła, nie ożeniłem się ponownie. Spotykam się z nią czasem, ale nie...

Tyner gapił się na kupca szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczył nagle egzotyczne stworzenie.

– Zamknij się! – wrzasnął i uderzył dłonią w blat stołu, ucinając fałszywą paplaninę.

Żyd zbladł, pozostając z rozdziawionymi ustami. Tyner poderwał się ze stołka. Miał dość gierki tego parszywca i zamierzał to udowodnić. Skierował się do drzwi, po kilku krokach zatrzymał się i obrócił.

– Zmiękczy go – zwrócił się do oprawcy i wyszedł na korytarz.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z głuchym odgłosem. Ruszył w stronę schodów. Dusił się. Chciał opuścić te cuchnące stęchlizną lochy, odetchnąć świeżym powietrzem. Poczuć na twarzy ciepły pocałunek słońca.

Zza pleców dobiegł go stłumiony przez mury krzyk żydowskiego kupca.

„Przeklęty głupiec”.

Przy schodach dogonił go Grot.

– Mamy coś – oznajmił zadowolony, sięgnął pod delię i wręczył Tynerowi kilka listów.

Adresatami korespondencji byli między innymi prymas Prażmowski i hetman Sobieski. Nic więcej Tynerowi nie udało się odczytać, gdyż treść pism została zaszyfrowana w przemyślny sposób.

– Gdzie oni są?

– W celi na końcu korytarza.

– Zobaczmy, co mają do powiedzenia – rzekł Tyner.

Umieścił cenne dowody za pazuchą, a potem ruszył korytarzem pod właściwe

drzwi. Wszedł do środka.

Cela niemal nie odbiegała wyglądem od katowni, z tą różnicą, że na ścianach kwitło więcej pleśni, a na obdrapanym stole zabrakło budzących trwogę narzędzi.

„Choć to pewnie się zmieni”, pomyślał Tyner, obserwując kobietę i mężczyznę siedzących na krzesłach.

Na głowach wciąż mieli płócienne worki, założone im podczas porwania. Szorstki materiał poruszał się z każdym ciężkim oddechem. Grot stanął za parą więźniów i położył dłonie na ich głowach. Oboje drgnęli z przerażenia, a ich oddechy przyspieszyły. Tyner skinął głową i wachmistrz oburącz ściągnął worki, odsłaniając wilgotne, śmiertelnie złęknięte oblicza.

Aron otworzył napuchnięte, zakrwawione usta i wziął głęboki oddech, co poskutkowało natychmiastowym grymasem bólu. Tyner odgadł, że podczas pojmania obito mu żebra. Kobieta, właściwie dziewczyna, nie nosiła śladów użycia przemocy. Wlepiła w niego oczy. Ciemne, głębokie studnie strachu. Tyner nie przypuszczał, aby wiedziała cokolwiek na temat spisku. Co nie znaczyło, że nie będzie przydatna podczas przesłuchania.

– Listy, które znalezione w waszym domu, wskazują, że jesteście zdrajcami – oświadczył stanowczo. – Oboje zostaniecie poddani torturom. Rozciąganiu stawów, przypalaniu ogniem i batożeniu – wyliczył, zachowując beznamiętny ton głosu.

Esterka wybałuszyła oczy.

– Błagamy o litość, panie! – zapiszczała. – Nie wiem nic o żadnych listach. To musi być jakaś straszliwa pomyłka. Jesteśmy niewinni!

– Może powinnaś zapytać męża – powiedział Tyner.

Dziewczyna rozdziawiła usta i wlepiła w Arona bezgranicznie zdumiony wzrok. Młody kupiec spuścił głowę.

– Możecie uniknąć cierpienia, a nawet ocalicie życie, wystarczy, że wyznacie wszystko, co wiecie na temat listów i kobiety, która zamieszkała w waszym domu.

– Nic nie wiem – wymamrotał Aron.

Tyner pochylił się i podstawił mu listy pod nos.

– Jak je rozszyfrować?

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Tyner nie uwierzył w ani jedno słowo. Spojrzał na Grota, a ten pochylił się i wbił pięść pod żebra więźnia.

Aron krzyknął i zakrzuszył się. Tyner odczekał, aż złapie oddech.

– Czy to ona przekazała listy twemu ojcu?

– Co z nim?

– Żyje i od ciebie zależy, czy tak pozostanie.

Aron zgarbił ramiona.

– Pocztę przywozi zawsze ktoś ze Śląska lub Saksonii. Ona nie miała nic wspólnego z listami.

– Po co więc przybyła do Krakowa?

Aron podniósł wzrok na Tynera.

– Nie wiem, przysięgam na wszystko, ojciec zabronił mi z nią rozmawiać.

Tyner zmarszczył czoło. „Może mówi prawdę, a może nie”.

Spojrzał na Grota, a ten chwycił Esterę za włosy i brutalnie pociągnął, odginając jej głowę w tył, aż krzyknęła z bólu.

Aron szarpnął się, ale skórzane pasy utrzymały go na miejscu.

– Zostawcie ją! – zaskrzeczał. – Nic nie wiem o tej kobiecie.

Tyner westchnął rozczarowany i zwrócił się do wachmistrza.

– Złam mu palec – powiedział.

Grot pochylił się nad przesłuchiwanym, przytrzymał lewą dłoń i chwycił środkowy palec. Szarpnął. Trzasnęło i Aron zawył, rzucając się w więzach.

Dziewczyna zaczęła się trząść i łkać. Z jej ust wydobył się błagalny szept:

– My nic nie wiemy... przysięgam.

Tyner odwrócił wzrok od zapłakanej twarzy i popatrzył na Arona.

– Masz okazję ocalić siebie i żonę – wycedził. – Co robi w Krakowie ta kobieta?

– Przysięgam, nie wiem! – wykrzyczał Aron – Musicie mi uwierzyć! Pozwólcie mi porozmawiać z ojcem, przekonam go, aby wszystko wyznał!

Tyner wyprostował plecy, zastanawiając się nad tą propozycją. Nim podjął decyzję, rozległo się natarczywe pukanie. Bogusław uchylił drzwi i zobaczył

pobladał twarz Lazara. Poczuł, że stało się coś złego.

– Mamy problem z Żydem – rzekł Lazar szeptem. – Posłałem po medyka, ale nie wiem, czy...

Tyner nie dał mu dokończyć. Odepchnął gwardzistę i wypadł z celi. Biegiem dotarł pod katownię. Otworzył drzwi i wpadł do środka.

Oprawca stał zgarbiony nad więźniem. Miał odsłoniętą twarz, a kaptur trzymał w ręku. Obrócił się i spojrział na Tynera ze skruszoną miną.

– Po prostu nagle dostał ataku – powiedział. – To chyba serce.

– A więc teraz jesteś, kurwa, lekarzem – warknął Tyner i wlepił wzrok w zakrwawioną, stężałą w okropnym grymasie twarz Mojasewicza. Kupiec był martwy, lecz jego usta zdawały się złośliwie uśmiechać.

„Czy to szyderstwo ze mnie? Czy tylko grymas bólu?”

Znowu poczuł duszności. Obrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz, trzaskając drzwiami. Przez dłuższą chwilę rozważał, co dalej. Śmierć starego nie pozostawiała mu wielu możliwości. Tyner wątpił też, by Aron wiedział tyle co ojciec. „Jednak coś musi wiedzieć. I lepiej, aby zaczął mówić, jeśli chce ocalić młodą żonę”.

Zadrżało mu serce. Wiedział jednak, że żadne wyrzuty sumienia nie mogą powstrzymać go przed tym, co musi zrobić.

*

Michał Korybut skończył czytać zeznanie Arona Mojasewicza i popatrzył zdumiony na Tynera. Potem podał kartę papieru Eleonorze siedzącej w sąsiednim fotelu. Tuż za jego oparciem stała Klara Pac i przypatrywała się z uwagą porucznikowi.

– Jak to możliwe? – zapytał Korybut wstrząśnięty. – Wszak mój ojciec wyprowadził zza Dniepru tysiące Żydów, ratując im życie, gdy wybuchło powstanie Chmielnickiego. Tak nam się teraz odwdzięczają!?

– Rodzina Mojasewiczów wywodzi się z Czech. – Tyner spojrział na królową. – Wielu z nich nie przepada za Niemcami.

– Jesteśmy Austriakami – powiedziała chłodno Eleonora. – To nie to samo.

„Tak jak ja jestem Cyganem”.

Tyner uśmiechnął się przepaszająco.

– Wybacz, pani.

Korybut uznał, że powinien się wtrącić.

– Dobrze się spisałeś, Bogusławie – pochwalił oficera. – Teraz zostaw nas samych.

Gdy drzwi zamknęły się za Tynerem, król podniósł się z fotela.

– Nie do wiary – westchnął ciężko.

Stanął przy kredensie i osobiście rozlał wino do pucharków, po czym dwa z nich rozdzielił między szlachetne damy. Obserwując obie panie, nie potrafił wyobrazić sobie dwóch bardziej przeciwstawnych osobowości. Królowa była czysta, opanowana, wręcz zimna, podczas gdy w Klarze Pac dominowały emocje i cielesne żądze. Z tego, co mu donoszono na temat kanclerzyny, wiedział, że zmieniała kochanków częściej niż dodatki do strojów. Tym, co łączyło te odmienne charaktery, były olbrzymia inteligencja i upór w dochodzeniu do spraw, które obie białogłowy uważały za istotne dla siebie.

– Co o tym myślisz, pani? – zwrócił się do milczącej kanclerzyny.

Ciemne oczy Klary Pac skupiły się na jego wysokości.

– Uważam, że ten, kto to wymyślił, wykazał się dużym sprytem.

– Czemu? To tylko Żydzi – rzekła Eleonora ze wzgardą.

– Właśnie dlatego. Mieszkają w każdym kraju pozbawieni ojczyzny. Są cisi i pokorni, łatwo zginają karki. Do tego wciąż podróżują między państwami, wymieniając towary i pieniądze.

– Przez ostatnie lata korespondencja i złoto z Paryża napływały przez Gdańsk – zauważył król. – Mimo wszystko Kraków wydaje się ryzykowniejszą opcją.

– Pozornie tak – zgodziła się Klara. – Ale o szlaku kurierskim z północy wiedzieliśmy już od dwóch lat. Paryż miał tego świadomość. Poza tym z Krakowa bliżej na Węgry. Ludwik XIV z pewnością udziela już teraz subwencji powstańcom księcia Thökölyego.

– Przekażemy te listy ambasadorowi von Stomowi, może w Wiedniu zdołają je

rozszyfrować – zdecydowała Eleonora. – Pytanie, jak wykorzystamy tutaj zdobytą korespondencję.

– Przedstawmy listy na najbliższym sejmie – zaproponowała Klara Pac. – Nawet zaszyfrowane stanowią niezbity dowód na spisek. Uderzmy też w najślabsze ogniwo łańcucha.

– Kogo masz na myśli? – zapytała Eleonora.

– Morsztyna. To zdolny człowiek, lecz parweniusz i do niedawna arianin. Nikt nie uwierzył, że szczerze przeszedł na katolicyzm, uczynił to, aby łatwiej uzyskać urząd podskarbiego. Jest zamożny, lecz daleko mu do bogactw i wpływów wielkich rodów magnackich, niezbędnych, by samemu coś znaczyć. A człowieka pozbawionego oparcia można zniszczyć, gdy stanie się niewygodny. Morsztyn jest za mądry, aby tego nie wiedzieć.

Eleonora od razu zapaliła się do tego konceptu.

– W zamian za przebaczenie i łaski powinien zeznawać przed połączonymi izbami – obwieściła twardo. – W ten sposób możemy legalnie usunąć Sobieskiego z urzędów i skompromitować Prażmowskiego w oczach Ojca Świętego.

– I doprowadzić do zerwania kolejnego sejmu przez *liberum veto* w sytuacji, gdy hetman ma przy sobie wojsko, a krajowi zagraża inwazja turecka!? – zakrzyknął Korybut emocjonalnie. – Prędzej zwołam sejm konny!

O ciszy, która zapadła po tych słowach, zwykło się mówić, że można krajać ją nożem. Król dostrzegł, jak Klara Pac rzuca na królową wstrząśnięte spojrzenie. Eleonora wyprostowała się w fotelu i położyła sztywno dłonie na kolanach.

– Wybacz, Klaro, muszę pomówić z jego wysokością na osobności.

Kanclerzyna ukłoniła się i opuściła w pośpiechu komnatę.

– Co to za pomysł!? – syknęła królowa, gdy tylko zostali sami. – Kto doradził ci to szaleństwo!?

– Nikt. Czy nie mogę mieć własnych planów? – wypalił Korybut oburzony.

Eleonora spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Zatem z pewnością przemyślałeś dokładnie wszelkie reperkusje?

– Reperkusje? – Korybut przełknął ślinę.

– Zwołując sejm konny, zrazisz do siebie wielkich panów Korony i Litwy. Tym krajem nie włada król czy nawet szlachta, wbrew szumnym deklaracjom o powszechnej równości, lecz magnaci zasiadający w senacie. Gdy ostatnim razem większość z nich sprzeciwiła się rządowi Jana Kazimierza, musiał uciekać na Śląsk pod opiekę mego ojca cesarza. Nie zamierzam popełnić tego samego błędu.

Korybut przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– Już raz szlachta przeciwstawiła się wielkim panom, wybierając mnie królem. Większość pogodziła się z elekcją i znalazła się w naszym stronnictwie.

– Nie zagrażałeś im w żaden sposób. Nie posiadałeś wielkiego majątku i koneksji, mogli więc zaakceptować samowolę szlachty, która wyrwała się na chwilę spod ich wpływu. Teraz sytuacja jest odmienna. Włożyłeś koronę i twoją żoną jest siostra cesarza. Jak myślisz, co uczynią senatorowie, gdy ujrzą w tobie trybuna szlacheckiego, który podburza szlachtę? Bez jej szabel i głosów na sejmikach magnaci są tylko zwykłymi bogaczami. A tych można złamać i zdusić, jak uczynili to monarchowie w innych państwach. Czy nie przyjdzie im do głów, że po Sobieskim, Prażmowskim i Morsztynie nastąpi ich kolej?

– Nie mam takiego zamiaru, nie chcę być tyranem – obruszył się król.

Eleonora uśmiechnęła się szyderczo.

– Nie bądź naiwny. Jesteś tym, kim widzą cię inni. Odbiciem ich własnych nadziei i lęków.

– Ale... coś musimy zrobić.

– Wykorzystamy te listy. – Podniosła ze stolika karty papieru i poruszyła nimi jak wachlarzem. – Zrobimy to w porozumieniu z przyjaznymi nam magnatami, a oni pokierują zależnymi od nich posłami. Sejm konny to ostateczność i jeśli do niego dojdzie, senatorowie muszą wiedzieć, że nie zagrazi to ich pozycji i majątkom. Że utrzymamy motłoch szlachecki pod kontrolą.

Korybut oblizwał nerwowo wargi.

Olszowski ostrzegał go przed zdradzaniem planów.

„Tak już jest, gdy nie słucha się dobrych rad”.

Zimne milczenie Eleonory przeciągało się. Patrzyła na niego z wyczekiwaniem,

tak jak zwykła czynić to matka. Zgarbił ramiona pod tym wymagającym spojrzeniem.

Skinął opornie głową, świadom, że traci okazję do bycia odrobinę lepszym mężczyzną i królem.

ROZDZIAŁ IX

Uśpione zdarzenia

Maj A.D. 1672

Głęboki głos dzwonu z kościoła parafialnego niósł się po całej Żółkwi i wpadał do alkowy Marii Kazimiery przez otwarte na oścież okna. Marysieńka odłożyła przybory do haftowania na jedwabiu i spojrzała na zewnątrz. Dzień był piękny: jasny i słoneczny, a jednocześnie nieupalny. Lubiła polski maj, uważała ten miesiąc za najpiękniejszy w roku.

Podniosła się z krzesła, czując kłucie w biodrze. Przez ostatnie tygodnie mocno przytyła i dokuczały jej stawy, zwłaszcza kolana. Do tego miewała złe nastroje. Medyk zalecił jej na tę dolegliwość wino wymieszane z niewielką porcją opium, które miała zażywać kilka razy dziennie. Wzięła w dłoń puchar z lekarstwem i podeszła do okna.

Łagodny wietrzyk poruszał firanami, delikatnie muskał jej szyję i odsłonięte ramiona. Pijąc małymi łyżkami wino, przypatrywała się miasteczku rozłożonemu pod zamkiem. Żółkiew zbudowano na planie nieregularnego pięcioboku z rynkiem i przylegającym do niego kościołem. Miasteczko otaczały grube mury, jego przedmieścia zaś chroniły drewniane częstokoły, toteż rozrosło się i zaludniło przez ostatnie lata. Maria Kazimiera lubiła obserwować ruch na krętych uliczkach, drobne postacie wchodzące i wychodzące z kościołów czy znikające w podcieniach kamieniczek przy rynku, gdzie mieściły się magazyny kupieckie.

Patrząc na Żółkiew, czuła dumę z tego, kim jest i do czego doszła dzięki szczęściu i determinacji. We Francji mogłaby tylko marzyć o byciu tak wielką panią. Może dlatego coraz częściej przyłapywała się na myślach, w których traktowała to miejsce jako swój dom.

Dziecko pod jej sercem poruszyło się. Marysieńka przyłożyła dłoń do brzucha i wyczuła pod napiętą skórą drobne ruchy.

Odstawiła lekarstwo i używając dzwoneczka, przywołała pokojówkę.

– Dowiedz się, czy pani Mesire już wstała. Jeśli tak, poproś ją do mnie.

Charlotta przyjechała do Żółkwi późnym wieczorem, toteż Marysieńka nie wzywała jej do siebie. Miała inne, przyjemniejsze zajęcia. Uśmiechnęła się na wspomnienie nocy spędzonej z Janem. Po dwóch tygodniach rozłąki, które zafundowała im polityka, sprawił, że znów poczuła się atrakcyjna i godna pożądania. To z jej przyczyny Jan częściej przebywał przy wojsku niż w domu. Rozumiała, że to konieczne. Porażka oznaczała dla nich upokorzenie, a może nawet wygnanie.

Ona sama wciąż troszkę marzyła o wyprowadzce do Francji, lecz zdawała sobie sprawę, że Jan usechłby i zgorzkniał z tęsknoty za Polską. Zresztą jaki los by ich tam czekał? Ludwik XIV cenił wyłącznie zwycięzców i ludzi mu przydatnych. Już podczas ostatniego pobytu w Paryżu miała okazję odczuć chłodną wzgardę Króla Słońce zawiedzionego w swych ambicjach wobec Rzeczypospolitej. Marysieńka nie wyobrażała sobie wstydu, jaki musiałyby znosić, zjawiwszy się w Paryżu jako przegrana, z mężem pozbawionym urzędów i majątków.

Na samą myśl o upadku przeszył ją zimny dreszcz. „Prędzej umrę”, obiecała sobie i zacisnęła dłonie w pięści.

Ponury nastrój towarzyszył jej do samego spotkania z Charlottą. Młoda Francuzka mimo krótkiego snu wyglądała kwitnąco. Marysieńka, widząc jej szczupłą talię, poczuła lekkie ukłucie zawiści.

– Spocznij, moja droga. – Wskazała sofę. Sama usadowiła się w fotelu naprzeciwko.

Charlotta usiadła sztywno, trzymając dłonie na kolanach. Bez wątplenia była spięta i miała ku temu powody. Misja w Krakowie zakończyła się katastrofą, której skutków wciąż nie sposób było ocenić.

– Co tam się wydarzyło? – zapytała Sobieska oziębło.

– Wymknęłam się z zasadzki i natychmiast opuściłam Kraków, nie kontaktując się z nikim. Zaszyłam się w bezpiecznym miejscu pod miastem. Stamtąd wysłałam zaufanego człowieka, który rozeznał się w sytuacji. Powrócił po paru dniach z wieścią o śmierci Żyda i aresztowaniu jego syna Arona.

– Jak mogli dowiedzieć się o korespondencji!?

– Prawdopodobnie zdradził człowieka Mojasewicza, raczej nie z własnej woli. Zapewne wzięli go na tortury.

– Jesteś pewna, że to nie ty sprowadziłaś ich do Żyda?

– Wtedy aresztowano by Pieniążka i Miłosza. O ile wiem, obaj opuścili Kraków w orszaku Korybuta.

Marysieńka przeciągnęła koniuszkiem języka po dolnej wardze.

– Musisz się upewnić – zdecydowała. – Udasz się do Warszawy, sprawdzisz, co osiągnął Miłosz. Spotkasz się też z Prażmowskim i uspokoisz go. Nasz drogi prymas lęka się, że w przechwyconej korespondencji było jego nazwisko.

– Tego nie można wykluczyć – przyznała Charlotta. – Na szczęście listy zostały zaszyfrowane.

Marysieńka zacisnęła zęby ze złością.

– Zaszyfrowane czy nie, gdy Korybut pokaże je senatorom i posłom, rozpęta się burza. Większość tych hipokrytów przyjmuje złoto i instrukcje z Austrii czy Prus, ale będą udawać przed szlachtą święte oburzenie. Musimy stawić temu czoła.

W oczach Charlotty odbiła się skrucha.

– Wybacz, zawiodłam – szepnęła.

– Nie wiń się. Wszystkiego nie sposób przewidzieć. Jeśli Miłoszowi udało się zbliżyć do Korybuta, możemy zakończyć tę wojnę, nim na dobre wybuchnie... – Marysieńka urwała, przyglądając się krytycznie swym paznokciom. – I jeszcze coś. Prymas nie musi wiedzieć o naszym młodym przyjacielu.

Charlotta spojrzała na nią pytająco.

– Nie ufam Prażmowskiemu – wyjaśniła Marysieńka. – Nie po tym, jak ten dureń próbował nieudolnie otruć Korybuta i Austriaczkę. Moja cioteczka, świętej pamięci królowa, powtarzała, że na mężczyzn nie można liczyć, gdy w grę wchodzi poważne sprawy. – Uśmiechnęła się nieznacznie na wspomnienie Marii Ludwiki. Kobiety, która zastąpiła jej matkę i ukształtowała ją na swoje podobieństwo.

Potem omówiły jeszcze kilka drobniejszych kwestii. Gdy Mesire opuściła komnatę, Marysieńka została w fotelu, rozmyślając nad dalszym postępowaniem.

Paradoksalnie największe obawy miała nie wobec wrogów: Korybuta,

Habsburżanki albo Paców, lecz przyjaciół takich jak Prażmowski czy Morsztyn. A także – i to złościło ją najbardziej – wobec własnego męża. Zbyt często nie rozumiała w pełni pobudek i emocji, jakimi kierował się Jan, tej „polskości”, której logika wciąż wymykała się jej rozumieniu świata.

We Francji czy każdym innym kraju na Zachodzie przy tak rozgorzałej nienawiści politycznej już dawno polałaby się krew. Tymczasem w Polsce, gdzie z ust przeciwników padały wzajemnie najgorsze wyzwiska, oskarżenia i groźby, gdy wszyscy trzymali dłonie na szablach, a każdy senator miał za sobą prywatną armię, nikt nie myślał pierwszy wyciągnąć broni. Co więcej, była pewna, że gdyby zostawić Polaków i Litwinów samych sobie, po licznych pyskówkach, które tu w sejmie były jakąś uświęconą tradycją, doszliby w końcu do porozumienia.

Marysienka była jednak zbyt mądra, aby wierzyć, że Habsburgowie i Ludwik XIV pozwolą Polakom na pogodzenie się. Nie w obliczu wojny, która właśnie rozpoczęła się nad Renem i w Niderlandach.

Kto uderzy pierwszy i mocniej, ten wygra tron Rzeczypospolitej. Zachowa urzędy i pomnoży majątki. Zamierzała dopilnować za wszelką cenę, aby ona i Jan wyszli zwycięsko z tego starcia.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie do drzwi. Wszedł jej sekretarz. Tak jak ona Francuz od lat mieszkający w Polsce.

- Wasz mąż, pani, zapytuje, czy przyjdziecie na naradę.
- Przekaż mu, że będę za kwadrans – odparła.

Gdy sekretarz zamknął za sobą drzwi, Marysienka wstała z fotela i podeszła do zwierciadła. Wpatrując się w lustrzaną taflę, obróciła się wokół własnej osi. Syknęła sfrustrowana.

„Wyglądam jak beka”.

Przeszła do gabinetu męża, gdzie Jan i Mikołaj Sieniawski rozmawiali pochyleni nad mapą Ukrainy.

– Masz dla mnie same złe wieści... – były to pierwsze słowa, jakie usłyszała na wejściu. Wypowiedział je Jan i wyglądał na przybitego.

Popatrzyła na męża ze współczuciem, a potem przeniosła wzrok na

Sieniawskiego. Młody i przystojny, uśmiechnął się serdecznie. Ucałował jej dłoń.

– Co to za złe wieści? – zapytała.

– Na wschodniej Ukrainie zwolennicy Moskwy z pomocą rosyjskiego wojska pozbawili buławy dotychczasowego hetmana – odrzekł Jan. – Zakuto go w kajdany i torturowano. Potem wywieziono do Moskwy na proces i zesłano na Syberię. Rosjanie mocno zaciskają swoją pięść na wschodzie, obawiam się, że wkrótce spróbują zaanektować Prawobrzeże, wykorzystując nasze ciężkie położenie.

– A jak sprawy w Mołdawii? – Marysieńka pamiętała, jak wiele uwagi i środków poświęcał Jan przez ostatnie miesiące na pomoc powstańcom.

– Wysłałem jazdę, aby opanowała Chocim i Soroki. Stamtąd emigranci z Mołdawii z pomocą Kozaków Chanenki nękają zwolenników hospodara. Powiedzmy jednak otwarcie: powstanie właściwie upadło. Nasi szpiedzy twierdzą, że do Mołdawii przybyły regularne oddziały Turków osmańskich, w tym parę tysięcy janczarów.

Sobieska zerknęła na mapę. Nawet ona wiedziała, jaki będzie następny ruch sułtana.

– Uderzą na Kamieniec – oceniła.

– Bez wątplenia – potwierdził Sieniawski. – Zdobywszy twierdzę i miasto, zyskają pomost między Mołdawią a Ukrainą.

Marysieńka ściągnęła brwi.

– Kamieniec się utrzyma? – Odpowiedź na to pytanie wydała się jej najistotniejsza.

– Bez odsieczy nie dłużej niż dwa tygodnie – odparł Jan. – Cypel skalny wywyższa się nad mury miasta od południowej strony, Turcy z całą pewnością postawią tam działa. Na wschodzie jest otwarte podejście pod Bramę Lacką. Na miejscu Turków wpierw zaatakowałbym Nowy Zamek i odciął miasto od twierdzy. Potem zlikwidowałbym osobno wszystkie punkty oporu.

– Można by wzmocnić fortyfikacje, zniwelować skarpe – zaproponował chorąży.

– Skąd wziąć fundusze? Myślisz, że mam gdzieś ukryte „floty hiszpańskie”? Potrzebujemy zaangażowania wszystkich sił Korony i Litwy, aby powstrzymać

zagrożenie.

– Nie z tym królem, Janie – wskazał Sieniawski trafnie. – Dwór będzie blokował wszelkie decyzje, póki masz władzę nad wojskiem.

– To jakieś szaleństwo – warknął Sobieski.

– Zwykła polityka – wtrąciła Marysienka, czując, że wkraczają na znany jej grunt. – Musimy pozbawić Korybuta tronu, nim sułtan nadciągnie z armią. Gdy księżę de Longueville założy koronę, z pomocą francuskich dyplomatów uda się zawrzeć pokój z sułtanem.

– Wierzysz w to? – wychrypiał Jan.

– Nawet jeśli nie powstrzyma to Turków, to za księciem popłynie strumień złota z Paryża. Wojny nie sposób prowadzić bez pieniędzy, to twoje własne słowa.

Sobieski się zasępił.

– A jeśli Korybut nie ustąpi?

– Ustąpi, to tchórz! – Marysienka nie miała co do tego cienia wątpliwości.

Hetman potoczył po nich umęczonym wzrokiem.

– A jeśli nie, co wówczas? – mruknął.

– Wtedy wykopimy tron spod jego tłustego dupska – rzucił bezceremonialnie Sieniawski.

Maria uśmiechnęła się z aprobatą do młodego magnata. Wywołała tym grymas irytacji na zaciśniętych ustach męża.

– Uważam, że powinniśmy napisać do Paryża z prośbą o przysłanie nowego króla – powiedziała stanowczo. – Prażmowski jest tego samego zdania.

Oczy Jana błysnęły gniewnie.

– Czyli wszyscy już postanowiliście za mnie. Tak? – wycedził szorstko.

– To jedyne wyjście, jeśli mamy przetrwać – odparła, unosząc dumnie podbródek. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, ale to on zamknął oczy i pochylił głowę. Wsparł się dłońmi o blat stołu.

– Dobrze, niech będzie, jak chcecie – wystękał. Potem wyprostował się i wyszedł z komnaty, zostawiając ich skonsternowanych i milczących.

– Mogło być gorzej – mruknął Sieniawski.

– Doprawdy!?! – rzekła Sobieska gorzko. – Czasem mam wrażenie, że on tego zwyczajnie nie chce. Zaszyłby się na stepie i ganiał za Tatarami.

– Nie czyni tego przez wzgląd na ciebie i twoje ambicje. – Sieniawski położył dłoń na jej ramieniu. – Doceń to czasem.

Chwilę milczeli.

– Masz słuszność – przyznała. Uśmiechnęła się, dziękując mu w ten sposób. – Wiesz, że Charlotta przyjechała do Żółkwi? – zmieniła temat na mniej drażliwy.

Sieniawski wyraźnie się ożywił.

– Nie miałem pojęcia. Gdzie ją znajdę?

– Powinna być u siebie w alkowie.

– Zatem wybacz, ale zostawię cię na wezwanie Amora – rzekł, błyskając zębami.

Pocałował ją po przyjacielsku w policzek i wyszedł z komnaty.

Marysieńka, obserwując namiętność iskrzącą pomiędzy Charlottą a Sieniawskim, poczuła się nieatrakcyjna i samotna. Starła się przypomnieć sobie, kiedy między nią a Janem było tyle żaru i pożądania. Dawniej afekty wypełniały jej serce i pierś, dawały poczucie, że unosi się na skrzydłach. Byli dla siebie niczym postaci z *L'Astrée*, powieści nad powieściami autorstwa Honorého d'Urfé. Jan był jej Celadonem, a ona jego Astreą. Dziś częściej odnosiła wrażenie, że to, co najlepsze między nimi, odeszło wyparte przez wzajemne pretensje i nieufność.

Spojrzała na karafkę z winem stojącą na kredensie.

Jej lekarstwo na samotność i zgorzknienie.

*

Po tym, jak opuściła alkowę swej pani, Charlotta Mesire odczuła dojmującą ulgę. Zważywszy na okoliczności, spodziewała się większych wyrzutów z ust Marii Kazimiery.

„Wygląda na to, że stan błogosławiony złagodził jej usposobienie”.

Charlotta wróciła do własnej komnaty i poleciła służącej przynieść sobie śniadanie. Po posiłku udała się do biblioteczki i wybrała z półek francuski przekład *Dekameronu* Boccaccia. Korzystając z pięknej pogody, wyszła do parku poczytać.

Przechadzała się żwirowymi alejkami gęsto obsadzonymi drzewami, których rozłożyste korony ochraniały jej skórę przed grzejącym słońcem. Tam dobiegł ją dziecięcy śmiech.

Charlotta wyszła zza różanego żywopłotu na placyk, na którym bawił się Jakub Sobieski. Panicz zajęty był grą w piłkę z młodziutką guwernantką, podczas gdy druga z kobiet, starsza bona, odpoczywała w cieniu starego klonu o rozłożystych konarach. Na jednej z niższych gałęzi drzewa wisiała prosta huśtawka dla dzieci.

Chłopczyk musiał usłyszeć jej kroki. Obejrzał się przez ramię i nie zdołał chwycić piłki rzuconej mu przez guwernantkę. Ta potoczyła się pod nogi Charlotty. Mesire pochyliła się i podniosła obły przedmiot zszyty z podłużnych skrawków wołowej skóry.

Jakub podbiegł ku niej i zatrzymał się zawstydzony. Podała mu piłkę, za co nagrodił ją słodkim uśmiechem.

– Dziękuję – pisnął i podbiegł do starszej guwernantki.

Charlotta skinęła jej głową, po czym zagłębiła się w cisową alejkę, gdzie na skrzyżowaniu drózek stała przewiewna altanka. Usiadła w środku i otworzyła książkę. Przeczytała nieco ponad dwie nowele, gdy usłyszała kroki i w wejściu altanki pojawił się Mikołaj Sieniawski.

– Ciężko cię znaleźć – powiedział.

Z wystudiowaną swobodą wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Charlotta odepchnęła go delikatnie i spojrzała w kierunku niskiego żywopłotu, za którym dostrzegła kapelusz guwernantki.

– Ktoś może zobaczyć – skarciła go łagodnym tonem.

Roześmiał się.

– Cóż z tego?

– Dla ciebie nic, ale kobieta powinna zachowywać pozory.

Przez usta Mikołaja przemknął łajdacki uśmieszek.

– Masz słuszność. Zapraszam cię do siebie i zapewniam całkowitą dyskrecję. – Zdecydowanie chwycił ją w talii i przyciągnął ku sobie.

Czy mogła się mu opierać? Szczerze? Nie przyszło jej to na myśl.

Godzinę później leżeli w pościeli, złączeni nagimi ciałami, łapiąc oddech po chwili uniesienia.

Mikołaj delikatnie wy dostał się spomiędzy jej rozchylonych ud i usiadł na skraju łóżka.

– Napijesz się wina? – zapytał.

– Z rozkoszą.

Starła dłonią kropelki potu błyszczące na brzuchu i usiadła, wcześniej podłożywszy sobie poduszkę pod plecy.

Mikołaj wręczył jej puchar z winem. Upiła łyczek trunku, obserwując, jak on za jednym przechyleniem zaspokaja pragnienie.

– Skąd wiedziałeś, że przyjechałam do Żółkwi?

– Maria Kazimiera powiedziała mi, że przybyłaś.

– Zatem zawdzięczam jej najprzyjemniejszą godzinę, jaką miałam okazję przeżyć od miesiący.

Uniósł brew.

– Aż tak źle ci się wiodło?

– Wręcz koszmarnie – przyznała. – Ale dość o mnie. Co postanowili Sobiescy?

Sieniawski uśmiechnął się szeroko.

– Chyba powinienem teraz poczuć się wykorzystany – rzekł kąśliwie.

– Z pewnością uczucie to nie jest ci całkiem obce. – Trąciła go poufale łokciem w ramię. – No mów, nie daj się prosić.

– A więc dobrze. – Umościł się przy niej. – Wyślemy list do Paryża z prośbą o nowego króla.

– O ile mnie pamięć nie myli, mamy już jednego.

– To rzeczywiście kłopot i zapewne nie obejdzie się bez użycia siły.

Spojrzała mu w oczy. Był młody i ambitny. Nie zamierzał czekać, aż starcy z senatu umrą i ustąpią mu miejsca.

– Jutro wyjeżdżam do Warszawy – zdradziła.

Mikołaj nie był zachwycony.

– Nie może choć raz posłać kogoś innego?

– Pewne sprawy są zbyt istotne, aby powierzać je innym – odparła Charlotta nieco chełpliwie.

– Szkoda. Miałem zostać tu kilka dni – mruknął. – Spotkasz się z Prażmowskim?

– O ile przybędzie na sejm.

– A czy lis powstrzymuje się przed zaglądaniem do kurnika? – odrzekł Sieniawski szyderczo.

– Nie lubisz go – zauważyła.

– To stary bufon. Wydaje się mu, że jest kimś wyjątkowym. Założę się, że nawet sra z podniosłą miną.

– Nie widziałam, ale to możliwe – przyznała Charlotta.

Podniósł na nią spojrzenie brązowych oczu.

– Bądź ostrożna, gdy zrobi się niebezpiecznie, Prażmowski poświęci cię bez wahania.

– Żałowałbyś.

– Nieustannie – wyszeptał.

Charlotta przechyliła głowę, a on rozwarł wargami jej usta. Złączyli się w pocałunku.

Położyła dłonie na jego mocnych ramionach i pchnęła go na poduszki, potem usiadła na nim okrakiem i przywarła udami do jego bioder.

Tym razem to ona zamierzała być górą.

ROZDZIAŁ X

Bóg, honor, trucizna

Czerwiec A.D. 1672

Upał trzymał w okowach miasto od kilku dni. Narastające niedobory wody pitnej, tłok i lejące się strumieniami trunki w połączeniu z podgrzewającymi nastroje pogłoskami o zdradzie czyniły z Warszawy ostatnie miejsce, w którym Charlotta powinna się znaleźć.

Od kiedy król przedstawił posłom i senatorom zaszyfrowaną korespondencję skierowaną z Paryża do czołowych opozycjonistów, w mieście zrobiło się niebezpieczne dla każdego, kogo podejrzewano o sympatyzowanie z prymasem i hetmanem. A już szczególnie dla cudzoziemców, gdyż prosta szlachta przybyła na sejm miała wszystkich pludraków za jedno.

Nazwą tą pogardliwie określano ludzi ubierających się wedle francuskiej mody, zwłaszcza mężczyzn w krótkich bufiastych spodniach zwanych pludrami, do których wdziewano pończochy.

Wokół ratusza gęsto było od garkuchni, namiotów i naprędce skleconych szop, gdzie mieszkali zbrojni i czeladź tych posłów, którzy stanęli kwaterą na starym mieście. Przy jednym ze straganów szlachtowano wieprzka. Zwierzę kwiczało okropnie, co tylko wzmagало unoszący się nad rynkiem harmider, gdzie indziej grano w kości na wystawionym na zewnątrz stole. Wszędzie dyskutowano przy pełnych kuflach.

Charlotta, omijając tę ciżbę, wkroczyła w boczną uliczkę. Uderzył w nią odór nieczystości i gnijących odpadków wyrzucanych przez okna. Przycisnęła do nozdrzy perfumowaną chusteczkę i przyspieszyła kroku. Po kilku minutach przemykania zaułkami usłyszała krzyk, a potem czyjeś rozpaczliwe błagania. Wyjrzała za róg budynku i zobaczyła trzy postacie okładające kijami leżącego w pyle cudzoziemca. Ofiara napaści miała na sobie pludry i bufiasty kaftan. Należący do niej kapelusz z piórkiem leżał kilka kroków dalej, pod nogami brzuchatego szlachcica w karmazynowej delii, który w niewybrednych słowach podjudzał pachołków do

znęcania się nad domniemanym Francuzem.

Charlotta cofnęła się i przywarła plecami do ściany. Miała dylemat: jeśli nie zacznie wzywać pomocy, cudzoziemiec mógł zostać zakatowany na śmierć, ale sama miała wiele do ukrycia.

Porzuciła wahanie i cofnęła się do pobliskiej furty, dostała się na podwórze czynszówki. Tam natknęła się na wyrostków rzucających do siebie piłkę pozszywaną ze skrawków bydlęcej skóry. Widząc obcą kobietę, przestali grać. Ktoś zagwizdał na nią z uznaniem. Charlotta, wstrzymując oddech, precyzyjnie się obok chlewika i przez obskurną bramę wydostała się na uliczkę prowadzącą pod kolegiatę.

W świątyni nie było wielu wiernych. Charlotta przyklękła i wykonała znak krzyża, po czym idąc boczną nawą, obserwowała modlące się postacie. Celowo przyszła wcześniej, aby zbadać teren i upewnić się, że Błażej Pieniążek nie przyciągnie za sobą szpicla.

Drzwi prowadzące do bocznej kaplicy były uchylone i Charlotta zajrzała do wnętrza. Trwał tam remont prowadzony przez kilku rzemieślników. W powietrzu unosił się zapach świeżo struganego drewna, wapna i farby. Za rusztowaniami obwieszonymi zachlapaną płachtą dostrzegła niskie wejście prowadzące do krypt grobowych.

Cofnęła się do nawy głównej i zasiadła w ławeczce przy posągu Najświętszej Pani, tak aby widzieć wszystkich wchodzących z ulicy.

Od dwóch tygodni obserwowała potajemnie Pieniążka, chcąc się upewnić, że nie jest śledzony przez agentów dworu. Przez cały ten czas królewski woźniczy zachowywał się normalnie, nie porzucił też zgubnych nawyków i regularnie odwiedzał gospody i szulernie. W końcu uznała, że nie może dłużej czekać. Skontaktowała się z nim i poprosiła o spotkanie.

Celowo wybrała kościół Świętego Jana, przez wzgląd na sąsiedztwo z zamkiem. Pieniążek mógł się wymknąć, a krótka nieobecność nie zwróci uwagi dworzan i gwardzistów.

Woźniczy pojawił się kwadrans później. Wkroczył przez drzwi od strony cmentarza znajdującego się na tyłach kościoła. Zatrzymał się przy konfesjonale

i przez chwilę lustrował postacie mężczyzn i kobiet przebywających w świątyni. Charlotta w duchu pochwaliła tę roztropność.

Potem zbliżył się do niej i wsunął się między klęcznik a ławeczkę.

– Miałeś kłopoty? – zapytała od razu. – Przesłuchiwali cię?

– Nie. Z tego, co słyszałem, Żyd nie zdążył nic wyjawić przed śmiercią. Aron zaś niewiele wiedział.

Charlotta poczuła ulgę.

– Jak sprawuje się Miłosz? – zapytała.

– Szybko wkradł się w łaski króla. – Pieniązek spojrzał na nią z ukosa. – Spędzają ze sobą wiele czasu. Zwłaszcza wieczorami – dodał z naciskiem.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Na twoim miejscu uważałabym z takimi słowami.

Uśmiechnął się chytrze.

– Oddałem wam ogromną przysługę. Uważam, że powinienem zostać hojnie nagrodzony.

Mesire wykrzywiła wargi.

– Otrzymałeś sowitą zapłatę.

– Jestem w ciężkiej opresji, dużo ostatnio przegrałem – powiedział bez cienia wstydu.

– Ile potrzebujesz?

– Tysiąc talarów.

Charlotta wciągnęła powietrze przez zęby.

– To olbrzymia kwota – wykrztusiła.

– Chcę dostać ją do jutra.

– To niemożliwe! – Kiloro ludzi spojrzało w ich stronę. Ściszyła głos. – Potrzebuję czasu, aby zdobyć takie pieniądze.

– Zwróć się do swych mocodawców – zasugerował Pieniązek. – Z pewnością sięgną głębiej do sakiewki. Przekaż im, aby nie zwlekali z decyzją. Na zamku są ludzie, którzy wiele zaoferują za informację, czemu umieściłaś Miłosza tak blisko króla.

– Ty gnido! – wysyczała mu w twarz.

Pieniążek obruszył się fałszywie.

– Naprawdę nie zasługuję na obelgi. Nie z twoich ust. – Pochylił się ku niej i wyszczerzył zęby. – Nie mieć wyjścia to paskudne uczucie, prawda?

Charlotta gwałtownie zamknęła usta.

„Powinnam wiedzieć, że to się wydarzy”.

Chciwość jest najbardziej przewidywalną z ludzkich cech. Zaraz po głupocie.

– Spotkajmy się jutro – powiedziała. – W ustronnym miejscu.

– Wolę przyjść tutaj. – Spojrzał na nią chytrze. – Przed wieczorną mszą.

Mesire podniosła się z ławeczki, miała na końcu języka przekleństwo.

– Zgoda – szepnęła.

Ruszyła ku wyjściu, przecinając smugi światła wpadające z zewnątrz przez wysokie okna kolegiaty. Gniew zatykał jej krtań, z trudem mogła oddychać. Sądziła, że gdy wydostanie się na zewnątrz, poczuje się lepiej. Przeciwnie. Odór unoszący się w rozgrzanym powietrzu tylko pogorszył jej stan. Gardło wypełnił jej kwaśny posmak, otarła dłonią załzawione oczy. Wbiegła w bramę pod dzwonnica i oparła się o ścianę. Chłód murów pomógł jej zebrać myśli.

Oceniając trzeźwo okoliczności, musiała przyznać, że Pieniążek trafił w sedno. Nie miała wyjścia. Miłosz był zbyt cenny. Bez względu na wszystko musiała chronić go przed zdemaskowaniem.

Charlotta żałowała, że nie ma z nią Cichonia. Z pewnością dałby jej dobrą radę. Niestety wachmistrz wciąż leczył się z rany.

Wyszła spod dzwonnicy i rzuciła kilka miedziaków do drewnianej miseczki żebraka. Trzymając się cienia, podążyła w stronę Podwala, gdzie czekał na nią powóz. Poleciała woźnicy zawieźć się na Stawki do podmiejskiej rezydencji Prażmowskiego.

Pałac wznosił się między kilkoma jeziorami, od których wzięła nazwę okolica. Posiadłość otaczał wysoki mur, a przed bramą pełnili wartę żołnierze z wojska nadwornego prymasa.

Na dziedzińcu przed budynkiem każdy kawałek gruntu zajmowały namioty

i wozy. W przejściach między nimi kręcili się uzbrojeni mężczyźni. Nad obozowiskiem unosił się dym z ogniska, nad którymi wisiał kocioł ze strawą.

Na wewnętrznym dziedzińcu czekały wozy, do których służba ładowała wyposażenie rezydencji. W drzwiach gmachu Charlotta przepuściła dwóch mężczyzn taszczących posąg półnagiej kobiety. W przestronnym holu, na schodach i w każdej komnacie, do której mogła zajrzeć, trwało pospieszne pakowanie. Zdejmowano ze ścian makaty i obrazy, zwijano z podłóg dywany, wynoszono meble i skrzynie.

„Zupełnie jakby ten wspaniały budynek miał zaraz spłonąć”.

W ogólnym chaosie nikt jej nie zatrzymywał, aż dotarła pod ciemne dwuskrzydłowe drzwi, za którymi znajdowały się osobiste komnaty prymasa. Strzegli ich żołnierze w lśniących hełmach, uzbrojeni w halabardy i rapiery. Nie sprawiali wrażenia gotowych przepuścić ją dalej. Na szczęście drzwi obok otworzyły się i wyszedł przez nie sekretarz prymasa. W dłoniach trzymał stos papierów spięty metalowym zaciskiem. Widząc ją, zamrugał.

– Eminencja nie wspominał, że spodziewa się pani.

– Przekaż mu, że to pilna sprawa – poprosiła Charlotta.

Skinął głową i wszedł do gabinetu prymasa. Chwilę później pojawił się już bez papierzyk i zaprosił ją do środka.

Jego eminencja stał przy rozpalonym kominku i wrzucał w ogień dokumenty dostarczone mu przed momentem. Przez chwilę przyglądał się, jak czernieją i zwijają się w ogniu.

– To już wszystko – mruknął. Z pochmurną miną rozejrzał się po gabinecie. – Mam nadzieję, że motłoch tego nie spali – rzekł. Potem zwrócił się do Charlotty: – Nie wiedziałem, że jesteś w Warszawie. Co słuchać u naszej drogiej przyjaciółki?

– Rośnie jej brzuch, ale poza tym czuje się doskonale.

– Przybędzie z mężem?

– Tego nie wiem – odparła zgodnie z prawdą. – Eminencja opuszcza miasto?

– Jeszcze dziś. Dołączę do naszych przyjaciół gromadzących się nad Wieprzem. Tam zaczekamy na przybycie hetmana Sobieskiego z armią koronną.

– A więc spróbujecie obalić Korybuta siłą? – Spojrzała pytająco na Prażmowskiego, który leciutko uniósł brwi.

– Czyż nie po to zaczynaliśmy to wszystko? – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Wysłałem już list do Paryża z prośbą, aby księżę de Longueville przybył wraz z okrętami i ekspedycją wojskową do Gdańska.

Prymas przeszedł za biurko, podciągnął sutannę i usiadł na krześle.

– Udało ci się ustalić cokolwiek w sprawie sodomii Korybuta? – zapytał.

– Niestety nie, eminencjo – zaprzeczyła Charlotta zgodnie z tym, co nakazała jej Marysieńka. – Śmierć Konarzewskiego odcięła nas od wszelkich poszlak.

– Dziwnie w czas, nie sądzisz? – mruknął prymas. – Kazałem odszukać jego grób i zapłaciłem grabarzom, aby potajemnie wykopali ciało. Mój osobisty medyk na miejscu zbadał zwłoki. Twierdzi, że Konarzewskiego otruto tojadem, wystarczy bardzo mała dawka tej substancji, aby zabić zdrowego człowieka. Trzeba jednak mieć dużą wiedzę z alchemii, aby wydestylować truciznę z bulwy tej rośliny. – Wzniósł na nią pytające spojrzenie. – Wygląda to tak, jakby ktoś zacierał ślady sodomii Korybuta. Przypadek?

Charlotta milczała skonsternowana. „Gra niewinnego czy tylko udaje? A jeśli tak, to po co?” Dotychczas Prażmowski wydawał się najbardziej prawdopodobnym mocodawcą królobójstwa. Teraz to przekonanie zostało w niej mocno zachwiane. We Francji za wykopanie zwłok w celu autopsji trafiało się do lochu albo dawało głowę, ale nawet w Polsce, nawet ktoś taki jak Prażmowski ryzykował bardzo wiele.

„A jeśli nie on, to kto!?”

Z ust eminencji wyrwało się westchnienie.

– Jedź ze mną – zaproponował. – Tu nie jesteś bezpieczna, ktoś mógł widzieć cię u mnie czy u Sobieskich.

Charlotta miała świadomość ryzyka, niemniej potrząsnęła głową.

– Dziękuję, eminencjo, ale mam tu coś do zrobienia.

Prażmowski zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tą odpowiedzią.

– Czy powinienem o czymś wiedzieć? – zapytał.

Pomyślała o złocie, którego zażądał Pieniążek w zamian za milczenie. Podeszła

do okna i wyjrzała na dziedziniec, gdzie kilka sióstr w ciemnych habitach ładowało dobytek na wóz.

– To osobista sprawa – skłamała. – Jest jedna rzecz, w której eminencja mógłby mi pomóc.

– Jeśli tylko będę w stanie.

– Och... dla księdza prymasa to żaden kłopot. – Charlotta przeniosła wzrok na Prażmowskiego. – Myślałam o stroju zakonnicy.

*

„Jak one mogą w tym w ogóle oddychać?”

Charlotta czuła, jak jej skóra paruje pod płóciennym czepcem. Z trudem pohamowała się przed zderzeniem z siebie nakrycia głowy, pod którym gromadziły się kropelki swędzącego potu. Poniżej szyi było jeszcze gorzej. Miała wrażenie, jakby ktoś oblał ją od środka wodą. Koszula, którą włożyła pod habit, już po kilku minutach stała się kompletnie mokra i teraz lekko przylegała do jej pleców, pośladków i brzucha, ocierając skórę przy każdym ruchu.

Mesire strząsnęła kciukiem kroplę potu, która zawisła na jej nosie, i pokonała ostatnie kilkanaście kroków dzielących ją od wrót kościoła. Z ulgą zanurzyła się w chłodnym wnętrzu świątyni.

Łatwo odszukała wzrokiem Pieniążka. Siedział blisko ołtarza i rozglądał się nerwowo. Przystanąła za jedną z kolumn i sięgnęła do różańca. Przesuwając palce po paciorkach, które przez dobrą godzinę nawlekała na stalowy drut, rozejrzała się po twarzach wiernych, oczekujących w kolejce do konfesjonału. Jeden z mężczyzn, wysoki, łysiejący nad czołem, z długimi przepoconymi włosami opadającymi na kark, spojrzał jej w oczy i dyskretnie odwrócił wzrok.

Charlotta podeszła do ławeczki, w której siedział królewski woźniczy, i zginając kolana, umościła się tuż przy nim. Pieniążek przeniósł wzrok na zakonnice i wybałuszył oczy.

– Ktoś cię śledzi! – syknęła, nie dając mu czasu na zadawanie pytań. – Jest przy konfesjonale. Wysoki mężczyzna z długimi włosami. Poznajesz go?

Pieniążek zerknął w boczną nawę, a potem posłał jej spanikowane spojrzenie.

– Chyba widziałem go na zamku – zaskrzeczał cicho.

– Idź za mną – rzekła stanowczo. Nie czekając na odpowiedź, podniosła się z klęczek.

Lawirując w ciżbie modlących się ludzi, podeszli pod remontowaną kaplicę. Charlotta pchnęła przybrudzone wapnem drzwi i wkroczyli między rusztowania oraz kadzie do mieszania zaprawy murarskiej. W środku nie było robotników.

Charlotta odchyliła płachtę zwisającą z rusztowań i wciągnęła Pieniążka pod nisko sklepione przejście prowadzące do krypt grobowych. Ich oczom ukazały się krótkie schody wiodące na dół. Pieniążek się zawahał, więc zmuszona była pociągnąć go za rękaw kaftana. Stąpając ostrożnie, dotarli do wąskiego korytarza.

Wewnątrz było ciemno i cuchnęło kocim moczem. Pieniążek stojący dwa stopnie niżej zastygł przy ścianie, nasłuchując, a wtedy Mesire błyskawicznym ruchem owinęła mu różaniec wokół szyi.

Zacharczał i zatoczył się, ale zdołała go utrzymać. Wymachiwał rękoma, lecz nie był w stanie jej dosięgnąć. Charlotta wbiła mu kolano w plecy i pchnęła na mur. Uderzył głucho czołem w ścianę i poczuła, że słabnie. Powoli osunął się na kolana, aż w końcu znieruchomiał, utrzymywany w pionie tylko dzięki różańcowi i sile jej ramion.

Zdjęła pętlę, pozwalając ciału opaść na podłogę. Dysząc z wysiłku, poprawiła czepiec habitu, po czym wróciła po schodach do kaplicy. Głosy wiernych śpiewających psalm odbijały się echem w ceglanych murach.

Z opuszczoną głową wyszła z kościoła przez furtę prowadzącą na cmentarz. Potem wślizgnęła się w krótki zaułek prowadzący ku zejściu nad Wisłę. Czekał tam na nią długowłosa mężczyzna, który tak nastraszył Pieniążka.

– Jak się spisałem? – zapytał.

– Wziął cię za kogoś innego. Zawsze był tchórzem – mruknęła i wręczyła mężczyźnie dwie srebrne monety.

Zerknął na zapłatę.

– To więcej, niż się umawialiśmy.

Popatrzyła mu w twarz.

– Jedną dostajesz za przysługę, drugą, abys zapomniał o wszystkim.

– O czym? – odparł z szyderczym uśmiechem.

Nie uśmiechnęła się na ten wyświechtany żart. Odchrząknął i zawahał się.

– Gdyby pani znów kiedyś potrzebowała...

– Wiem, gdzie cię szukać – przerwała mu. – Teraz idź.

Gdy się oddalił, Charlotta otarła kropelki potu gromadzące się nad brwiami. Musiała zdjąć habit, inaczej, była tego pewna, ugotuje się w nim żywcem.

Przez moment wróciła myślami do tego, co zrobiła w krypcie, lecz szybko odepchnęła okropne wspomnienie. Udało się jej to. Przynajmniej za dnia. Wiedziała, że nocą nieraz ujrzy we śnie wykrzywione oskarżycielsko oblicze Pieniążka. Z początku będzie to trudne, lecz z upływem czasu koszmar stanie się wyłącznie kolejnym wyblakłym wspomnieniem. Równie mglistym jak krzywdy, których doznawała jako dziecko.

I jeśli cokolwiek było dobrego w jej młodości, to fakt, że nauczyła się przekuwać takie rzeczy w nienawiść i siłę albo po prostu wypychać z pamięci. Dzięki temu przetrwała i stała się mistrzynią w swoim fachu.

*

Marysieńka co dzień z przerażeniem obserwowała swój brzuch, zastanawiając się, jak wielkie może jeszcze przybrać rozmiary. Od tygodni nie widziała już własnych stóp. Dokuczały jej kolana i biodra, a czasem przeszywał ją ostry ból w krzyżu. Stan błogosławiony zdecydowanie nie był tym, co czyniło ją szczęśliwą, choć i tak znosiła tę ciężę lepiej niż wtedy, gdy nosiła pod sercem Jakuba. Dziecko w jej brzuchu zachowywało się spokojniej niż pierworodny, mniej kopało i szturchało od środka. Marysieńka przeczuwała, że tym razem będzie to córka.

Spojrzała na Jana. Stał przed zwierciadłem i poprawiał w talii karmazynową delię, która jednak nie mogła ukryć coraz krągłej sylwetki ponadczterdziestoletniego mężczyzny.

– Robisz się okrągłutki – rzuciła ze złośliwą satysfakcją.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknął z urazą i ostatni raz wygładził dłońmi zbierające się na aksamicie fałdy. – Musimy już iść. Czekają na nas – ponaglił ją.

Marysieńka, krzywiąc się, wstała z sofy i oboje opuścili komnatę. Na szczęście nie musieli daleko iść. Sala, do której zmierzali, znajdowała się po drugiej stronie holu.

Gdy hetman z żoną weszli do środka, natychmiast otoczyli ich Sieniawski, Prażmowski, Morsztyn, Wielopolski i Lubomirski. Marysieńka ucałowała pierścień księdza prymasa, a następnie przywitała się z pozostałymi magnatami. Najcieplej powitał ją Sieniawski, pocałunkiem w policzek. Podprowadził ją do stołu i odsunął krzesło, tak aby zmieściła się z napęczniałym brzuchem, a potem usiadł obok niej.

Jan zamienił kilka słów ze Stanisławem Jabłonowskim, wojewodą ruskim, który jako ostatni przyprowadził kilka chorągwi jazdy, i zasiadł u szczytu długiego stołu, naprzeciw prymasa.

Pozostali spiskowcy szybko zajęli miejsca między tymi dwoma potężnymi ludźmi. Wojewoda Lubomirski był krzepkim, dobrze zbudowanym sześćdziesięcioletkiem. Miał też olbrzymi majątek składający się z dwóch zamków, kilku miast oraz kilkuset wsi i folwarków.

Wielopolski nie był tak bogaty, za to dużo młodszy i znacznie szczuplejszy. Marysieńce podobały się jego duże, mądre oczy oraz przystojne, wyraziste oblicze.

Jabłonowski z kolej wyglądał na strapionego. Marszczył czoło i dwoma palcami gładził wąsy opadające mu wokół ust.

Wszyscy oni przyprowadzili ze sobą piechotę i jazdę, choć Marysieńka nie miała przekonania, czy każdy z nich na pewno chce ich użyć przeciw królowi.

Morsztyn uprzejmie podsunął jej puchar z winem. Przyjęła dar, lecz tylko umoczyła usta w trunku. Na skutek ciąży doświadczała problemów z pęcherzem i nie chciała na czas spotkania obciążać organizmu płynami.

– Co nam wiadomo o przygotowaniach regalistów? – rozpoczął Lubomirski.

Hetman popatrzył wyczekująco na Morsztyna, który jako minister skarbu zarządzał siatką urzędników i informatorów w całym kraju. Z tej racji był też zwykle najlepiej poinformowanym człowiekiem w ich małym gronie.

Morsztyn przełknął łyk wina i odstawił puchar.

– Na dziś dysponujemy przewagą w sile – oświadczył. – Korybut ma przy sobie gwardię królewską i nieco szlachty przybyłej na sejm. Doniesiono mi, że Litwini wciąż nie przekroczyli granicy z Koroną, ale należy się spodziewać, że ruszą się, gdy wkroczymy do Warszawy.

– Co z Brandenburczykami? – dopytał Wielopolski.

– Jestem przekonany, że książę elektor nie przyśle Korybutowi obiecanych posiłków. Właśnie przyłączył się do koalicji antyfrancuskiej z nadzieją na nabytki terytorialne na zachodzie. Gdyby jednak korpus brandenburski przekroczył nasze granice, bracia księdza prymasa zablokują mu drogę z wojskiem nadwornym, a generał Denhoff najedzie z Pomorza ogołoczone z garnizonów Prusy.

Marysieńka uznała, że Morsztyn jak zwykle odrobił lekcje. Nie wspomniał jednak o istotnej postaci.

– A Gryzelda? Masz waszmość jakieś wieści z Zamościa? – zapytała.

Podskarbi skierował na nią ciemne oczy.

– Wilczyca wciąż przebywa w swym legowisku – zapewnił. – Gdy tylko się ruszy, niezwłocznie zostanę o tym powiadomiony.

– Czy nadeszły nowe wieści z Paryża? – odezwał się Wielopolski.

Skierował pytanie bezpośrednio do Prażmowskiego, co natychmiast zwróciło uwagę Marysieńki.

– Król Ludwik nie udzielił jeszcze odpowiedzi na nasz apel o wysłanie ekspedycji z księciem de Longueville'em – przyznał prymas niechętnie. – Należy jednak sądzić, że taka odpowiedź nadejdzie, gdy tylko ogłosimy oficjalnie detronizację małpy.

Marysieńka dostrzegła, jak Morsztyn i Jabłonowski wymieniają spojrzenia. Wojewoda ruski odchrząknął.

– Czy oczekując na odpowiedź z Paryża, nie powinniśmy raczej przekonywać króla, aby abdykował dla dobra ojczyzny? – zapytał. – Armia turecka dotarła już nad Dunaj i szykuje się do przekroczenia rzeki. Przy tym tempie marszu osiągnie nasze granice z końcem lipca. Mówię tu o samej imperialnej armii. Należy przypuszczać,

że Wołosi, Kozacy Doroszenki i Tatarzy wedrą się w nasze granice wcześniej. – Jabłonowski zawiesił głos, aby ciężar faktów dotarł do wszystkich słuchaczy, i dodał na koniec: – Trzymamy pod Warszawą żołnierzy, którzy zaraz potrzebni będą do obrony Podola i Rusi.

Prażmowski obrzucił go chytrym spojrzeniem.

– Właśnie z tego powodu musimy bezzwłocznie strącić Korybuta z tronu i wynieść francuskiego księcia. Tylko to powstrzyma sułtana przed marszem na Podole. Póki armia turecka znajdować się będzie w Mołdawii, póty sułtan może zmienić kierunek marszu i ruszyć na Wiedeń. Wielki wezyr Ahmed Köprülü sprzyja Francji i chce dołączyć do wojny z Austrią, gdyż w niej widzi podstawowe zagrożenie dla imperium Osmanów. Sułtan jest innego zdania, ale gdybyśmy ustąpili mu w sprawie Ukrainy, zyskalibyśmy potężnego sojusznika przeciw Rosji.

– Łatwo, księżu prymasie, szafujesz nie swoim majątkiem – obruszył się Sieniawski. – Połowa moich najlepszych dóbr ziemskich znajduje się na terenach, które tak chętnie oddałbyś sułtanowi, to samo tyczy Sobieskich i Jabłonowskich.

Dwaj wspomniani mężowie wsparli te słowa, mrużąc z aprobatą.

Prażmowski bynajmniej nie stracił rezonu.

– Te majątności to teraz pustynia, bez wiosek i poddanych – odrzekł stanowczo. – Nic wam nie przynoszą, bo co chwila wydzieracie te ziemie Kozakom, a oni wam. Czy nie lepiej mieć w zamian za to pustkowie spokój ze strony Turków, Tatarów i Kozaków? Niech hasają po inszych królestwach i wykrwawiają naszych sąsiadów. My w tym czasie z nowym królem i w sojuszu z Francją wzmocnimy Rzeczpospolitą. Bóg da, że nabywszy sił, rychło odzyskamy to, co utraciliśmy przez ostatnie lata w Prusiech czy Smoleńsku. Gdy Turek osłabnie od wojen, przyjdzie czas nie tylko na odzyskanie Ukrainy, ale i na krucjatę, która wyprze pogan z Węgier i Multan.

„Którą ty w swych mrzonkach poprowadzisz jako papież”, pomyślała Marysieńka. Znała to najgłębsze z pragnień prymasa – podsycaną przez Ludwika XIV myśl o włożeniu na skronie tiary.

Marzenie równie nierealne jak plan, który przed momentem nakreślił Prażmowski. Nawet ona wiedziała, że szlachta prędzej połknęłaby własne szable, niż

pogodziła się z utratą Ukrainy.

– Otoczmy zamek – zaapelował Prażmowski z charakterystycznym dla siebie przekonaniem o własnej nieomyślności. – Zróbmy to, póki nie przybyły posiłki litewskie. Korybut to tchórz, gdy poczuje naszą siłę, abdykuje.

– Zatem głosujmy – zaproponował Sieniawski. Rozejrzał się po skupionych obliczach. Widząc powszechną aprobatę dla swego pomysłu, pierwszy uniósł dłoń. – Jestem za zbrojną detronizacją – oznajmił. Decyzja ta nie była dla Marysieńki żadną niespodzianką.

– Moje zdanie znacie – rzekł Prażmowski jako drugi i spojrzął na wojewodę ruskiego.

Jabłonowski oderwał wzrok od stołu, pokręcił głową.

– Głosuję za paktami – oznajmił.

– Popieram zdanie księdza prymasa. Zaatakujmy, póki nie nadciągnęli Litwini – odezwał się Wielopolski.

– Stawiam na pakty – rzekł Lubomirski. – Trzeba uczynić wszystko, aby nie przelać bratniej krwi.

Podskarbi zwlekał z ogłoszeniem decyzji. W tej sytuacji Jan wzniósł dłoń.

– Pakty – mruknął.

Wszystkie oczy zwróciły się na Morsztyna. Jako jedyny nosił cudzoziemski strój. Przedłużając niepewność, wystudiowanym gestem poprawił koronkowy kołnierz.

– Spróbujmy ostatni raz przemówić Korybutowi do rozsądku – zdecydował. – Proponuję, aby na czele delegacji stanął ksiądz prymas.

Maria Kazimieraomal nie wybuchnęła śmiechem. „No jasne. Od razu dajmy mu sztylet”.

Zauważyła, jak Jan wykrzywił się na wzmiankę o tej kandydaturze, z kolei na ustach Sieniawskiego zabłąkał się ironiczny uśmiezek. Pozostali spiskowcy wydawali się zaskoczeni, nawet Prażmowski uniósł brew.

– Przyjmuję ten obowiązek – rzekł ostrożnie, wpatrując się w Morsztyna.

„On również zastanawia się, jaką grę prowadzi podskarbi”.

Po głosowaniu narada zeszła na tematy dotyczące zaopatrzenia wojska i rozlokowania poszczególnych oddziałów. Marysieńkę nudziły takie sprawy. Opuściła zebranie pod pretekstem złego samopoczucia. Wróciła do swych komnat i posłała służącą po Charlotte.

Noc była niezwykle ciepła i jasna. Maria Kazimiera otworzyła na oścież okna komnaty, lecz nawet to nie przegoniło duchoty z murów zamku. Czekaając na przybycie Mesire, wyciągnęła się na sofie.

– Wybacz, że będę leżeć, ale jestem wykończona – zwróciła się do Charlotty, gdy ta weszła do komnaty. – Proszę, podaj mi okład na czoło.

Charlotte wyciągnęła z miski z wodą aksamitną ściereczkę, wyżeła ją i wręczyła Sobieskiej. Marysieńka przyłożyła sobie chłodny materiał do czoła i westchnęła z ulgą.

Charlotte spoczęła na krześle.

– Jak nasze lwy? – zapytała kpiąco.

Sobieska się skrzywiła.

– Różnie. Najbardziej posmakować krwi pragną Prażmowski i Sieniawski. Pozostali na czele z Janem zachowują się jak wykastrowane koty. W największym stopniu zadziwił mnie Morsztyn. Wpierw głosował za negocjacjami z Korybutem, a zaraz potem zaproponował, aby prowadził je prymas.

– Morsztyn zawsze dba, aby wszelka odpowiedzialność spadała na innych – odparła Charlotte. – Jeśli dojdzie do rozlewu krwi, będzie mógł głosić, że do końca chciał temu zapobiec.

– Może masz rację... ale czuję w tym coś więcej. Choć to tylko moja intuicja.

– Mogę przekazać truciznę Miłoszowi – zaproponowała Mesire. – Tym razem Korybut nie uniknie śmierci.

– Na to jeszcze nie pora – odparła Marysieńka. – Śmierć króla doprowadzi do nowej elekcji i jestem pewna, że kandydat przysłany z Francji nie ma szans zdobyć większości głosów szlachty. Nie w uczciwym głosowaniu. Znajdziemy się w punkcie wyjścia albo i gorzej. Nowy władca byłby z pewnością o niebo groźniejszym przeciwnikiem. Zwłaszcza że mógłby to być elektor brandenburski lub Karol

Lotaryński. – Marysieńka spojrzała na Charlotte z zmęczonym wzrokiem. – Korybut jest przynajmniej nieudolny, a przez to stosunkowo niegroźny. Musi żyć, póki nie nadejdzie czas na lepsze rozwiązanie.

Marysieńka zdjęła z czoła okład i wbiła w Charlotte spojrzenie ciemnych oczu.

– Będziesz mi wierna? – zapytała nagle.

Charlotte popatrzyła na nią zaskoczona.

– Jak możesz w to wątpić?

– Pytam o kardynała de Bonziego – odrzekła z naciskiem Sobieska. – Czy jeśli nasze drogi się rozejdą, mogę liczyć na twą lojalność?

Zapadła bardzo krótka chwila milczenia.

– Wybiorę ciebie i twego męża – oznajmiła Charlotte.

– Mogę wiedzieć czemu?

– Nie zamierzam wracać do Francji. Tam zawsze będę dziwką z piętnem. W Polsce mogę osiągnąć wiele: majątek, poważanie. Może nawet wyjdę dobrze za mąż, o ile będzie mnie wspierała potężna osoba, z którą związałam swój los.

Usta Marysieńki rozciągnął wdzięczny uśmiech.

– Masz na to moje słowo, Charlotta.

Sobieska znów sięgnęła po kompres, lecz jakaś myśl wstrzymała ją w pół gestu.

– Gdy będziesz z Sieniawskim, wybadaj go, co myśli w sprawie przyszłości Jana – rzekła dość enigmatycznie.

Charlotte nie potrzebowała dłuższych tłumaczeń.

– Możesz mi zaufać – odparła.

Marysieńka wzięła okład i przyłożyła go sobie do czoła.

– Teraz zostaw mnie samą, muszę odpocząć – poprosiła.

Mesire podniosła się z krzesła i opuściła komnatę, życząc swej pani dobrej nocy. Było to raczej mało prawdopodobne, zważywszy na natłok myśli wypełniający głowę Sobieskiej.

„Tyle złamanych przysiąg, wypowiedzianych kłamstw, zdrad i przelanej krwi. Czy czyni mnie to potworem?”

Marysieńka szukała w sobie poczucia winy, lecz nie znajdowała go. Maria

Ludwika od dziecka wpajała jej, że tylko będąc bezwzględna i przebiegła, osiągnie coś w życiu. Królowa sama była tego najlepszym przykładem. Kochanka ściętego za spisek antykrólewski markiza de Cinq-Marsa, potem żona dwóch polskich władców, przez lata *de facto* kierowała za Jana Kazimierza polityką Rzeczypospolitej. Marysieńka uważała się za jej córkę i spadkobierczynię niedokończonego dzieła. Szczerze uwierzyła, że jeśli zamierza coś znaczyć w świecie zdominowanym przez mężczyzn, nie może się wahać i okazywać słabości.

*

Charlotta zamknęła za sobą drzwi do alkowy Marii Kazimiery i przez krótką chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w blask spływający z zawieszzonego pod sufitem kandelabru. Czuła duszności, odpięła więc guz sukni znajdujący się tuż pod koronkowym kołnierzykiem i skierowała się na taras.

Oznajmiając swój wybór pani Sobieskiej, mówiła prawdę. Kardynał ocalił ją i ofiarował jej nowe życie, ale uważała, że spłaciła ten dług z naddatkiem. Ostatnio wiele myślała o Jakubie Mojasewiczu. O tym, co się z nim stało. W Krakowie powiedział jej, że powinna pomyśleć o przyszłości. Te słowa nie dawały jej spokoju.

Charlotta czuła, że już niedługo zechce dokonać zmian, póki jest młoda i ładna. Może znajdzie sobie męża, dobrego człowieka nieznanego jej przeszłości. Kto wie, może nawet przygarnie jakąś sierotę, którą wychowa jak własne dziecko. Jednak w jej fachu niełatwo było się wycofać. Aby to zrobić i zacząć nowe, wygodne życie poza zasięgiem długich rąk kardynała de Bonziego, potrzebowała protekcji Sobieskich.

Skrzydła drzwi zostawiono rozwarte na oścież, a taras oświetlały pochodnie, choć i bez ich światła noc była bardzo jasna. Owiąła ją rześka bryza powiewająca od strony Wieprza. Westchnęła z rozkoszą i oparła dłonie o szorstką kamienną balustradę. Poniżej w parku i bliżej rzeki płonęły setki żołnierskich ognisk.

Za rzeką we wsi trwała noc świętojańska. Charlotta słyszała śpiewy, muzykę i radosne okrzyki chłopów bawiących się przy ogniskach. Nurtem rzeki poniżej zamku spływały migoczące światełkami wianki rzucone na wodę przez dziewczęta.

„Wiele z nich utraci tej nocy swą niewinność”.

Wspomniała własny pierwszy raz i zacisnęła palce na szorstkim kamieniu.

Usłyszała szuranie za plecami. Obróciła się i zobaczyła Cichonia. Miał zapadnięte oczy i był wychudzony, ale wyglądał na zdrowego. Charlotta roześmiała się i wpadła mu w ramiona.

– Co tu robisz?

– Nie mogłem wylegiwać się w łóżku, gdy tyle się dzieje. Rana już wcale mi nie doskwiera.

– Kiedy przybyłeś?

– Dziś, wraz z wojewodą ruskim – wyjaśnił Cichoń. – Zamierzam prosić hetmana, aby na powrót przyjął mnie w służbę. Ciężko jednak teraz dostać się przed jego oblicze.

– Załatwię to z panią Sobieską. Nie trap się tym. – Zerknęła na podniszczony strój wachmistrza. – Wystaram się też o zapłatę dla ciebie – dodała i z radością objęła go za ramiona. – Nie masz pojęcia, jak brakowało mi ciebie w Krakowie.

Uśmiechnął się lekko zażenowany.

– Muszę już iść – oznajmił. – Mam wartę w obozie. Żołnierze wymykają się do wsi w nadziei, że przygruchają sobie na tę noc jakąś dziewczkę.

– Idź. Zobaczymy się jutro.

Odprowadziła Cichonia wzrokiem, póki sylwetka wachmistrza nie roztopiła się w mroku. Potem spojrzała w okna komnaty na piętrze, gdzie odbywała się narada spiskowców. Służba gasiła już świece, co wskazywało, że zebranie dobiegło końca. Charlotta zeszła z tarasu i korzystając ze schodów dla służby, dostała się do skrzydła gmachu, w którym kwaterował Sieniawski.

Podeszła pod drzwi jego komnaty i nie pukając, nacisnęła klamkę.

Mikołaj właśnie obmywał się w miednicy ustawionej za częściowo rozłożonym parawanem. Umieśniony, nagi od pasa w górę wyprostował plecy i otarł dłonią wodę ściekającą z torsu.

– Cieszę się, że przyszłaś – rzekł. Osuszył twarz i pachy ręcznikiem, po czym odrzucił go niedbale na oparcie krzesła.

Charlotta zamknęła za sobą drzwi i zbliżyła się do Mikołaja. Wyszedł jej

naprzeciw i objął ramieniem w talii w taki sposób, że przylgnęła podbrzuszem do jego przyrodzenia.

Pocałowali się, długo i namiętnie.

– Przy tobie robię się twardy jak skała – mruknął.

– Jestem pewna, że przy innych kobietach również nie masz z tym kłopotu – powiedziała i odsunęła się, gdy próbował wsunąć dłoń między jej uda.

Nawet nie zaprzeczył. Uśmiechnął się o jeden ząb szerzej i wskazał na pękate flaszki z winem ustawione na kredensie.

– Wolę czerwone, a ty? – zapytał.

– Może być – przytaknęła.

Sieniawski wręczył jej cynowy pucharek z trunkiem. Podziękowała i usiadła na skraju łóżka.

– Widziałam się z Marią Kazimierą – oznajmiła. – Ponoć głosowałeś za atakiem na zamek.

Sieniawski uśmiechnął się rozbawiony.

– Przecież mnie znasz, nie lubię półśrodków. Mój ojciec zwykł mawiać: jeśli sięgasz po szablę, bądź gotów jej użyć.

– Z pewnością będziesz miał po temu okazję – stwierdziła Charlotta. – Pomysł Morsztyna, aby na czele delegacji stanął Prażmowski, to otwarta zachęta do przelewu krwi.

– Morsztyn jest śliski jak piskorz. Nie ufam mu – odparł po chwili Sieniawski.

Usiadł obok Charlotty i objął ją wpół. Złożyła mu głowę na ramieniu, czując w nozdrzach ostry zapach jego skóry.

– Jak sądzisz, ile potrwa, nim księżę de Longueville przybędzie do Gdańska? – zapytał Mikołaj.

Wydęła usta.

– Kilka miesięcy, i to pod warunkiem że flota Francuzów przełamie blokadę armad Holendrów, Anglików i Duńczyków.

– A jeśli Francuz nie przybędzie? – W głosie Mikołaja brzmiała rozterka lub może nawet lęk.

Charlotta wyczuła, że to właściwy moment. Spojrzała mu w twarz.

– Zostaniecie przez długi czas zdani na własne siły, walcząc z Korybutem, Pacami i szlachtą wierną Wiśniowieckim. Przez ten czas może się wiele zmienić, zwłaszcza jeśli Sobieski odniesie kilka zwycięstw. Książątko z Francji może nie być wam już wówczas potrzebne.

Poczuła, jak jego ciało się napina.

– Co masz na myśli?

– Jeśli to Sobieski zostałby królem, zwolniłyby się urzędy hetmana i marszałka, a także dziesiątki intratnych starostw. Kto wie, ile z tego przypadłoby tobie.

Mikołaj wlepił w nią czujne spojrzenie.

– Czy to słowa Marysieńki? – zapytał otwarcie.

– Wyłącznie moje. Nie wykluczam jednak, że w jej głowie rodzą się podobne myśli.

– Lepiej będzie dla nas wszystkich, aby Prażmowski i Morsztyn nie dowiedzieli się o nich – przestrzegł ją surowo. – Ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba, to rozłam i wstrzymanie subsydiów z Paryża.

Zamilkli na chwilę. Mikołaj wychylił do końca trunek ze swojego pucharka.

– Ale może masz słuszość, zobaczymy, co przyniesie los – dodał niespodziewanie. – Tymczasem skupmy się na kilku dniach naprzód. W Warszawie są tylko dwa miejsca, które mogą stawić nam poważniejszy opór. Zamek i arsenał. Pierwszy jest niedostatecznie ufortyfikowany, mają tam jednak armaty, których nam brakuje. Te z kolei są nic niewarte bez kul i prochu przechowywanych w arsenale. I to jest wielki kłopot. Znam komendanta zbrojowni, to Niemiec ze Śląska. I gorliwy zwolennik Korybuta.

Charlotta przypomniała sobie ogromny budynek arsenału, wzmocniony basztami i wałami ziemnymi, przy którym rozlewał się wielki zbiornik wodny. Pomyślała, że można by to wykorzystać.

– O ile pamiętam, z rozlewiska przy arsenale prowadzą rury, którymi doprowadza się wodę do zamku i starej Warszawy – powiedziała. – Jeśli pozbawić obrońców wody w taki upał, szybko uleci z nich zapal do stawiania oporu.

Sieniawski pokiwał głową z uznaniem.

– Wyborna myśl, wciąż jednak wymaga od nas przejęcia samego arsenału. Inaczej wystrzelają nas z armat, nim zajmiemy pompy.

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Ufam, że sobie z tym poradzisz.

– Owszem, o ile mi pomożesz – mruknął i pocałował ją w szyję poniżej ucha. Zmrużyła oczy, poddając się przyjemnemu doznaniu.

Położyła mu dłoń na podbrzuszu i wsunęła palce pod materiał spodni. Powitał ją naprężony i gotowy do szturmu.

– Mam chwycić za muszkiet? – zakpiła. Musnęła go opuszkami palców.

– Och... nie – wydyszał jej w ucho. – Wykorzystasz najgroźniejszą broń, jaką masz. Siebie.

ROZDZIAŁ XI

Ciężar korony

Czerwiec A.D. 1672

Żołnierze napływali ze wszystkich stron szerokim traktem krakowskim i wąskimi uliczkami zbiegającymi się na placu z Kolumną Zygmunta III Wazy. Stary król, wznosząc miecz i krzyż, przypatrywał się z cokołu tej nawale wojska zmierzającego ku bratobójczej wojnie.

– Dużo ich – mruknął Grot stojący przy oknie klatki schodowej na trzeciej kondygnacji zamku.

– Więcej niż nas – zgodził się Tyner. – Ale zawsze lepiej jest bronić się na wałach, niż je zdobywać.

– Co prawa, to prawda – przytaknął wachmistrz. – Choć mury wokół miasta nie wytrzymają jednego szturmu. Trzeba było spalić domy i warsztaty na przedpolu, aby tamci nie mieli gdzie znaleźć osłony.

Tyner nie mógł odmówić tym słowom słuszności. Fortyfikacje starej Warszawy, średniowieczne i podniszczone, z masą dostawionych drewnianych bud i straganów, prezentowały się jako żałośnie słaba zaporą wobec wielkiej siły wojska sprowadzonego przez buntowników. Podłożenie ognia w taki upał nie wchodziło jednak w grę.

– Pożar mógłby strawić całe miasto – odparł Tyner. – Tylko tego jeszcze brakuje, żeby zaczęli porównywać Korybuta do Nerona.

Wachmistrz podrapał się po przetłuszczonej czuprynie.

– Neron... kto zacz? Nie słyszałem.

– Taki cesarz – wyjaśnił Tyner bezwiednie. – Spalił stolicę i sypiał z własną matką.

– Nie daj Bóg! – zakrzyknął Grot zgorszony. Pochylił się konspiracyjnie do porucznika. – A ten cały cesarz to musi być jaki familiant naszej królowej?

Bogusław zamrugał zdumiony.

– Cioteczny brat ze strony matki – wypalił z kamienną miną. – Ale nie mów tego na głos, Habsburżanka nie lubi, jak wspomina się o wuju Neronie.

Wachmistrz pokiwał głową.

– Nie dziwota to, taki wstyd dla rodziny.

Tyner miał już przyznać się do żartu, gdy zza linii wojska zgromadzonego przed kościołem wyjechała delegacja buntowników.

Na przedzie podążał Sobieski na gniadoszu, odziany w zbroję i lwią skórę przerzuconą przez ramię. Towarzyszył mu prymas dosiadający czarnego jak noc ogiera. Za tymi dwoma zmierzali Morsztyn, Wielopolski, Lubomirski i wielu innych większych i mniejszych panów.

Tyner wychylił się z okna i spojrzał na fortyfikacje otaczające siedzibę króla. Gwardziści i szlacheccy ochotnicy zajęli już pozycje na wałach, trzymając broń w gotowości. Nad bateriami armat w narożnych bastionach unosiły się ciemne smużki dymu z wolno tłących się lontów przygotowanych na wypadek szturm.

– Miej baczenie. Jakby coś się wydarzyło, będę przy sali senatu – powiedział do Grota.

Cofnął się od parapetu i zszedł po marmurowych schodach piętro niżej, do przedsionka senatu. Zastał tam Węgrów ze straży marszałkowskiej uzbrojonych w halabardy. Pchnął skrzydła drzwi i znalazł się w wielkiej sieni pełniącej funkcję kularów. W miejscu jednej ze ścian wznosił się mały balkon wychodzący na salę. Tyner zatrzymał się tam.

Komnata izby wyższej parlamentu była bardzo rozległa i miała kształt prostokąta. Pod bogato zdobionym sufitem zwisały kandelabry, przydatne, gdy obrady przeciągały się do późna w nocy. Tron jego wysokości wciąż był pusty, podobnie jak większość senatorskich krzeseł ustawionych rzędami wzdłuż obu ścian wysokiej izby. Środkową część pomieszczenia pozostawiono pustą. Zgodnie z prawem gromadzili się tam posłowie z sejmu znajdującego się piętro niżej, gdy połączone izby parlamentu oznajmiały królowi swą decyzję.

Grupa senatorów pozostałych przy królu po zerwaniu sejmu liczyła nie więcej niż trzydzieści osób. Wśród regalistów brakowało tylko kniazia Dymitra i Paców,

szykujących wojska na Wołyniu i Litwie. Ci, którzy pozostali w Warszawie, zbijali się w grupki i dyskutowali zawzięcie. Reszta senatorów przebywała przy Sobieskim, niezdecydowani zaś wyjechali z miasta i zaszyli się w swych dobrach, czekając na rozwój wypadków.

– Można było się spodziewać, że zostanie ich więcej. Prawda?

Tyner omal nie podskoczył, słysząc kobiecy głos za plecami, niczym wyrostek, którego przyłapano na podglądaniu kobiet w łaźni.

Obejrzał się i skupił wzrok na Klarze Pac.

– Tak, chyba tak – odparł.

W jej obecności tracił pewność siebie, wręcz czuł się speszony. Wśród gwardzistów aż huczało o ognistym temperamencie i przygodach miłosnych kanclerzyny. Prawdę rzekłszy, Bogusław także nie wygoniłby jej z łoża. Gdyby tylko jakimś cudem zdecydowała się tam znaleźć.

– Jak myślisz waszmość, wytrzymamy do przybycia odsieczy?

– To zależy, kiedy nadciągnie.

– No tak... – Obdarzyła go najwątleszym z uśmiechów. Przysunęła się bliżej balustrady, niby przypadkiem ocierając się o niego biodrem.

Czuł w nozdrzach jej zapach, mieszanek potu i wytwornych perfum. Zaczął się zastanawiać, jaka jest pod tą suknią. Jak smakuje.

Spojrzała mu w oczy. Zupełnie, jakby czytała w jego myślach. Speszony obrócił się do niej bokiem.

– Król ufa ci, panie Tyner, doskonale spisałeś się w Krakowie. Co byś zrobił na jego miejscu?

Bogusław popatrzył na Klarę z ukosa.

– Gdy tylko Sobieski, Prażmowski i reszta malkontentów znaleźliby się w senacie, kazałbym ich pojmać.

Uśmiechnęła się szerzej, co tylko dodało jej uroku.

– Gdybyż to było takie proste.

Tyner przeciągnął językiem po przednich zębach.

– A nie jest?

Parsknęła śmiechem.

– Proste i skuteczne. Obawiam się jednak, że jego wysokość zbyt cen honor, aby przystać na coś takiego.

Tyner skwitował to wzruszeniem ramion.

– Słusznie mówią o waćpanu, żeś niebezpieczny szubrawiec – powiedziała Klara.

– A o waćpani, żeś wielce kochliwa – odparował, zanim ugryzł się w język.

– My, Francuzki, słyniemy z temperamentu – zripostowała swobodnie i położyła dłoń na piersi Tynera. – Mówił ktoś waćpanu, że masz piękne oczy?

– Mój wachmistrz wspominał rankiem coś na ten temat.

Klara się roześmiała.

– Rada będę wkrótce dłużej porozmawiać z waćpanem – rzekła, a potem zostawiła go samego na balkonie.

Bogusław potarł zarost na zuchwie. Westchnął, czując ciągle mrowienie w naprężonym kroczu. Im więcej czasu upływało od śmierci Marii, tym częściej myślał o kobietach. O tym, co mogły dać mężczyźnie. Z naturą ciężko dyskutować, a jeśli już zaczyna się to robić, i tak człowiek stoi na straconej pozycji.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk otwieranych podwojów senatu. Przez ich szeroko rozchylone skrzydła wkroczyła do komnaty delegacja malkontentów.

Obie wrogie sobie grupy senatorów trzymały się z dala, oczekując na przybycie króla. Jego wysokość pojawił się po kilku minutach w otoczeniu gwardzistów. Pozdrowił nieznacznym skinieniem głowy senatorów z obu frakcji i zasiadł na tronie. W tym czasie gwardziści zajęli pozycje za plecami jego wysokości i po obu stronach podwyższenia.

Senatorowie zasiedli na krzesłach i tylko Prażmowski zbliżył się i przystanął kilka kroków od tronu. Zaczął przemawiać, ale Tyner, stojący na przeciwległym krańcu sali, wychwytywał tylko skrawki zdań wypowiedzianych przez jego eminencję, dodatkowo wypowiedź prymasa często zagłuszały okrzyki wzburzenia ze strony senatorów regalistów. Kilkakrotnie z ust Prażmowskiego padały takie słowa, jak „dobro ojczyzny”, „abdykacja”, „nieudolność”, „bratobójcza wojna” i „odpowiedzialność”. Na koniec zaś padła otwarta propozycja rezygnacji z korony

i przekazania jej w godniejsze ręce.

Michał Korybut słuchał wywodu prymasa zachmurzony, trzymając sztywno ręce na podłokietnikach tronu, jakby obawiał się, że ktoś podbiegnie i wyrwie mu mebel spod tyłka.

Prażmowski skończył przemawiać i dopiero wówczas zasiadł na honorowym miejscu przeznaczonym dla prymasa. Król odczekał chwilę, aż ucichnie poruszenie na sali, i zwrócił się do panów Korony i Litwy.

Tyner nadstawił uszu, lecz pierwsze słowa wypowiedziane przez Michała Korybuta zagłuszył odgłos ciężkich kroków na posadzce. Bogusław obejrzał się i zobaczył Grotę.

– Coś się dzieje na rzece – rzekł wachmistrz.

– Co takiego?

– Statki – rzucił krótko Grot. – Sam zobacz.

Pognali na piętro, tym razem do komnaty, której okna wychodziły na Wisłę. Rzeką płynęła flotylla kilkunastu szkut. Wszystkie miały podniesione żagle i mrowie żołnierzy na pokładach. Na wielu łodziach transportowano armaty. Stateczki zmierzały do przystani, w miejsce, gdzie zamkowe fortyfikacje łączyły się z zaniedbanym fragmentem muru miejskiego.

Tyner w panice omiół wzrokiem nieliczne wojsko strzegące tego odcinka wałów.

– Powiadom komendanta, niech przerzuci tu część żołnierzy – wyrzucił z siebie jednym tchem. – I niech zaczną przeciągać działa. Szturm może ruszyć, gdy tylko malkontenci opuszczą zamek.

Wachmistrz wypadł z komnaty, trzaskając drzwiami.

Bogusław wychylił się z okna i przyłożył dłoń do czoła, aby nie raziło go słońce. Łodzie były wciąż za daleko, aby mógł dostrzec barwy i sztandary, lecz szkuty, płynąc z nurtem, bardzo szybko zbliżały się do przystani.

Na wałach chroniących zamek od strony rzeki pojawili się nowi gwardziści uzbrojeni w muszkiety i piki, zaczęto też przetaczać na lawetach kilka lżejszych dział. Na wielkie armaty trzeba było poczekać nawet kilka godzin.

Tyner zagryzł nerwowo wargi. Pierwsza z łodzi przybiła właśnie do drewnianego pomostu. Z jej pokładu zaczęli zeskakiwać uzbrojeni ludzie. Inne szkuty cumowały przy brzegu, a z ich pękających brzuchów wylewały się na płyciznę kolejne fale żołnierzy.

Na pomost spuszczoneo trap i zeszła po nim niewysoka postać w czarnej sukni. Nawet z daleka Tyner rozpoznał tę zdecydowaną, groźną dla wrogów twarz. Wypuścił powietrze przez zęby i niemal uśmiechnął się na jej widok.

Wilczyca z Zamościa przybyła bronić swego syna.

*

W sercu księżnej Gryzeldy ścierały się dwa przeciwstawne uczucia: duma i żal. Kniahini ubolewała, że nie zdążyła przybyć na czas, by wesprzeć syna w trudnych chwilach w senacie. Jednocześnie była dumna z tego, jak dzielnie i z godnością odrzucił wezwanie prymasa do ustąpienia z tronu.

Niestety nie wszyscy w sali małej rady podzielali jej dumę.

– Jak ten klecha śmiał pouczać cię w obecności senatorów? – Pretensja Eleonory sugerowała, że cała wina leży po stronie Michała. – Powinieneś go aresztować, uwięzić ich wszystkich!

Gryzelda powstrzymała się przed wypowiedzeniem kąśliwej uwagi. Habsburżance wciąż wydawało się, że jest w Wiedniu, gdzie każdego można wrzucić do lochu lub oddać katu. Kniahini postanowiła zignorować głupotę synowej. Mieli dość problemów, aby jeszcze prowokować niesnaski w rodzinie.

Pozostali uczestnicy narady nie spieszyli się z zabraniami głosu. Podkanclerzy Olszowski wpatrywał się ponuro w blat stołu, jakby w słojach orzechowego drewna kryły się wszelkie odpowiedzi i mądrości. Jego wysokość zaciskał dłonie na pucharze, posapywał i marszczył brwi, a Klara Pac z lisim uśmiechem trzymała list, który miał ocalić ich wszystkich.

– Co pisze twój mąż? – zapytała ją Gryzelda najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

Uśmiech na ustach kanclerzyny poszerzył się odrobinę.

– Wojsko litewskie wyruszyło już i zmierza na Warszawę. Dotrą tu za kilka dni.

„Powinni być tu od tygodnia”, pomyślała Gryzelda, zachowała jednak milczenie. Dla wszystkich obecnych przy tym stole było oczywiste, czemu bracia Pacowie nie pojawili się jeszcze u boku króla. To był rodzaj ukrytego przesłania. Ocalimy was, ale nie za darmo. Żądamy wpływów i bogactw, już nie tylko na Litwie, ale w całej Rzeczypospolitej.

Kniahini obiecała sobie, że znajdzie dla Paców nagrodę, taką, od której się udławią. Tymczasem miała na głowie innego wroga. Z uprzejmym uśmiechem podziękowała kanclerzynie, po czym zwróciła się do biskupa Olszowskiego:

– Jak przedstawia się sytuacja w mieście?

Biskup zmarszczył brwi.

– Część mieszkańców wyjechała, inni chowają się w domach. Nasi żołnierze i szlachta obsadzili mury i baszty, ale nie należy się spodziewać, że oprą się zaprawionym żołnierzom przyprowadzonym przez hetmana Sobieskiego. Gdy miasto padnie, na zamku zrobi się naprawdę ciasno. Mamy niewiele zapasów, dlatego głównym zadaniem jest utrzymanie przepraw na Wiśle, aby Litwini mogli przedostać się na nasz brzeg.

– Moje wojsko nadworne weźmie na siebie to zadanie – uspokoiła go Gryzelda. – Obsadzimy fortyfikacje od strony rzeki.

– Czemu nie ma z nami kniazia Dymitra? – zapytała Eleonora z jadowitą pretensją. – Kiedy udzieli nam wsparcia!?

– W swoim czasie i miejscu – odparła Gryzelda.

Zielone oczy królowej rozbłyły.

– Można pomyśleć, że dywizja imć Wyżyckiego służy nie ochronie osoby króla, lecz waszych majątków na Wołyniu.

– Mój siostrzeniec jest na tyle silny, na ile pozwala mu na to potęga rodu Wiśniowieckich – rzekła kniahini. – Do którego ty również obecnie należysz, wasza miłość – dodała cierpkim tonem.

Po twarzy Olszowskiego przemknął ledwie zauważalny cień zwątpienia.

– Czy prócz nic niewnoszących sprzeczek ktoś ma jakieś przydatne

propozycje? – zapytał.

– Może wydamy mieszczanom broń z arsenału? – zaproponował Michał Korybut. – Zyskamy w ten sposób kilka tysięcy zbrojnych.

– Oręż nie czyni nikogo żołnierzem, wasza wysokość – rzekł ksiądz biskup. – Niewyszkoleni ludzie uciekną lub poddadzą się przy pierwszym starciu i cała broń trafi w ręce buntowników... Poza tym, przykro mi to mówić, ale lojalność mieszczan nie jest pewna.

– A co z wiernymi nam senatorami? – spytała Gryzelda.

– Mówią dużo i głośno o poparciu dla jego wysokości, lecz żaden nie przyprowadził ze sobą poważniejszych sił – powiedział podkanclerzy. – Po cichu zaś prą do negocjacji z malkontentami i szukają porozumienia, gdyż wojna z Turcją wydaje się nieuchronna. – Wykrzywił usta w smutnym grymasie. – Pozostali nie robią nawet tego. Zaszli się w swych twierdzach i nie będą się mieszać.

– Zdraycy, wszędzie zdraycy – wysyczała Eleonora ze złością.

Gryzelda zmierzyła synową karcącym spojrzeniem.

– Gniew i wyrzekania niczego tu nie zmieniają, wasza miłość.

Olszowski odchrząknął.

– Wciąż jest jeszcze czas, abyście, wasze miłości, przenieśli się na drugi brzeg Wisły.

– Wykluczone – zaprotestowała Gryzelda. – Król nie będzie uciekał z własnej siedziby.

Korybut uniósł wzrok i pokiwał głową.

– Zostanę w zamku i będę się bronić – zadeklarował.

Zabrzmiało to nader stanowczo i na tym zakończyli naradę.

Wszyscy już powstali z miejsc, gdy Gryzelda zwróciła się do syna:

– Chcę pomówić na osobności z miłościwym panem.

Korybut zerknął niepewnie na Eleonorę.

– Oczywiście, matko.

Olszowski wyszedł pierwszy, królowa ostatnia. Jeszcze w drzwiach zmierzyła teściową rozwścieczonym wzrokiem. Gdy w końcu zostali sami, Gryzelda rzekła:

– Trzeba działać, ale w sposób, który oszczędzi krajowi wojny domowej albo uczyni ją chociaż mniej krwawą.

– Co masz na myśli, matko?

– Gdyby Sobieskiemu coś się przydarzyło, następny w kolejce do urzędu hetmana wielkiego jest twój wuj Dymitr.

W oczach Michała odbił się szok.

– Mamy go zabić? To proponujesz?

– Dyskretnie, w taki sposób, aby nikt cię z tym nie powiązał. Poczyłałam już ku temu przygotowania.

– Nigdy na coś takiego nie przyzwolę! – Głos króla drżał z oburzenia. – Więcej do tego nie powracajmy.

Zamierzał odejść, lecz Gryzelda chwyciła go za dłoń.

– Jesteś prawym człowiekiem, tak cię wychowałam. Teraz jednak nie czas na słabość. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Osłabimy malkontentów i zyskamy kontrolę nad armią. Pomyśl, jak wiele możemy wówczas razem osiągnąć.

– To podłe, matko, nie chcę o tym słyszeć.

– Nie bądź głupcem – prychnęła z irytacją. – Ten, kto chce władać innymi, musi czasem splamić dłonie odrobiną krwi!

Jego wysokość zmrużył oczy.

– To ja jestem królem – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Rozkazuję ci jako twój władca zaniechać tego pomysłu. – Wydostał się z uchwytu matki i wyszedł z komnaty, trzaskając drzwiami.

Gryzelda zacisnęła pięści, zastanawiając się, gdzie popełniła błąd w wychowaniu Michała. I jak zwykle, zanim doszła do jakichkolwiek wniosków, porzuciła niewygodną myśl. Nawet tak mądra kobieta jak księżna musiała ugiąć się pod oczywistym faktem, że jej miłość do syna jest ślepa. Zawsze, choćby wbrew niemu, będzie stać w jego obronie.

Od pięciu dni przebywała w Warszawie i przez cały ten czas z niebios lał się okrutny żar, jakby te, nie czekając na Sąd Ostateczny, chciały wypalić wszelką niegodziwość pleniącą się w tym grzesznym mieście.

„Gdybyż to było takie proste”.

Księżna Gryzelda rozpięła przepocony kołnierz sukni, pochyliła się nad miską i ochlapała wodą twarz i szyję. Przyjemnie chłodna ciecz przyniosła ulgę rozgrzanej skórze i na krótko pomogła uspokoić duszności. Kniahini wyprostowała się i znów chwycił ją skurcz w piersi, kolejny już tego dnia. Pozwoliła, aby wilgoć sama wyparowała na jej skórze, po czym podeszła do otwartego na oścież okna z nadzieją na powiew wiatru. Na próżno. Podwórzec przed pałacykiem, w którym się zatrzymała, przypominał rozgrzaną patelnię.

W rozwartych drzwiach salonu pojawił się jej sekretarz. Ukłonił się i zapowiedział przybycie oczekiwanego przez Gryzeldę gościa.

Mężczyzna, szczupły i ciemnowłosy, o wypielegnowanej, przyprószonej siwizną bródce, trzymał pod pachą skórzany pakunek. Ukłonił się i popatrzył na księżnę dużymi brązowymi oczyma.

Kniahini zbliżyła się do stolika ze stojącą na blacie szkatułką.

– Proszę spocząć, panie Herst. – Wskazała gościowi krzesło i usiadła pierwsza. Była świadoma, że to nazwisko jest jednym z wielu, których ten używa.

Mężczyzna położył pakunek na stole, zasiadł i oparł urękawiczone dłonie o blat.

– Mam odpakować? – zapytał.

Kniahini przytaknęła.

Herst rozpiął dwie klamry spinające pokrowiec i rozłożył go. Wewnątrz znajdowała się gruba księga w pozłacanej oprawie. U góry widniało wytłoczone w złocie imię i nazwisko autora dzieła: Honoré d’Urfé. Poniżej zaś tytuł – *L’Astrée*. Powieść ta była ówczesnie jednym z najbardziej poczytnych romansów, choć od wydania pierwszego z pięciu tomów minęło ponad sześćdziesiąt lat.

Gryzelda wyciągnęła rękę, ale zawahała się. Spojrzała pytająco na Hersta.

– Proszę, choć po dotykaniu stron zalecam umyć dłonie – uspokoił jej obawy.

Otworzyła wolumin. Już pierwsza strona przyciągała wzrok ryciną bogini Diany

leżącej w ramionach młodzieńca na tle arkadyjskiego ogrodu.

– Jak trucizna przedostanie się do organizmu? – zapytała księżna rzeczowo.

Herst wskazał na pozlepiane ze sobą końcówki kartek. Każda stronica została celowo sklejona z następną.

– Osoba czytająca książkę będzie zmuszona ślinić palec, aby ułatwić sobie przewracanie kartek – wyjaśnił truciciel. – W ten sposób wprowadzi substancję do ust.

– Zmyślne – przyznała kniahini. – Czy ta lepkość nie wzbudzi jednak podejrzeń?

– To egzemplarz z tysiąc sześćset dwudziestego czwartego roku, biały kruk zawierający pierwsze trzy tomy zebrane w jednej księdze z rycinami. Po tak długim czasie posklejane karty w woluminach dodają im tylko posmaku autentyczności. – Herst uśmiechnął się słabo. – Że pozwolę sobie użyć tego określenia.

Gryzelda była doskonale świadoma wartości książki. Wydała na jej zakup astronomiczną kwotę, za którą można by nabyć dwie ludne wsie.

– Podasz się, panie, za księgarza, który sprowadza dzieła z Francji – rzekła.

– Skąd pewność, że wskazana osoba będzie chciała kupić książkę?

– Ta historia ma dla niej olbrzymią wartość sentymentalną. Wierz mi, panie, nie będziesz miał żadnych kłopotów ze sprzedaniem tego egzemplarza.

Herst owinął wolumin w skórzany pokrowiec. Gdy skończył zapinać klamry, Gryzelda wskazała na kuferek.

– Wasza zapłata, resztę otrzymacie po wykonaniu zadania.

Herst uniósł wieko i wyciągnął chudą sakiewkę. Uniósł wzrok na kniahinię, a potem ściągnął rękawiczkę z prawej ręki. Przechylił trzos i z jego wnętrza wytoczył się wspaniały rubin. Truciciel chwycił klejnot między kciuk a palec wskazujący i przez chwilę obracał go, sycąc oczy. Gryzelda spostrzegła długą bliznę po wewnętrznej stronie jego dłoni. Gdy kilka lat temu załatwiali interesy, tej szramy z pewnością tam nie było.

Herst wychwycił spojrzenie księżnej.

– Efekt małego nieporozumienia podczas zagranicznych wojaży – wyjaśnił enigmatycznie.

Schował rubin w woreczku, po czym ukrył go za pazuchą kaftana.

– Jeszcze dziś udam się złożyć ofertę sprzedaży księgi – powiedział, nakładając rękawiczkę. – Proszę oczekiwać posłańca.

Pożegnali się. Po wyjściu Hersta kniahini spożyła późne śniadanie. Skubiąc sandacza i pasztet z sarniny, nie mogła uwolnić się od rozmyślań o planowanym morderstwie. Wiedziała, że robi to dla syna, ale nie potrafiła całkiem zagłuszyć wyrzutów sumienia.

Z rozterek wyrwało ją pojawienie się sekretarza z pytaniem, czy księżna przyjmie kolejnego gościa. Tym razem zupełnie nieoczekiwanego.

Przybyszem okazał się Andrzej Morsztyn, który przybył do kwatery Wiśniowieckiej *incognito*.

Księżna zaprosiła podskarbiego do salonu, gdzie zasiedli w fotelach naprzeciw siebie.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – zapytała wprost, nie mając chęci silić się na uprzejmości. – Czyżbyś chciał, panie, odnowić przysięgę lojalności wobec króla?

– Przyszedłem z czymś o wiele cenniejszym niż przysięgi – odparł Morsztyn. – Te, jak oboje wiemy, zwykle okazują się puste.

Gryzelda popatrzyła nań podejrzliwie.

– Co to takiego?

– Informacja. Książę de Longueville nie żyje, utonął podczas walk o przeprawę na Renie.

W komnacie zapadła grobowa cisza.

– Wiadomość rzeczywiście jest wiele warta – wykrztusiła Gryzelda. – O ile jest prawdziwa.

– Książę zginął – zapewnił Morsztyn. – Co istotniejsze, nikt w Warszawie o tym jeszcze nie wie, choć jest kwestią dnia lub nawet godzin, gdy wieść rozejdzie się wśród mych przyjaciół.

Gryzelda ściągnęła brwi.

– Nie rozmawiałeś o tym z nimi? Czemuż?

– Wpierw chciałem spotkać się z wami, pani.

– Zdajesz się na naszą łaskę? – Nie potrafiła ukryć satysfakcji.

Morsztyn uśmiechnął się półgębkiem.

– Chciałem raczej zaproponować tymczasowy rozejm, korzystny dla wszystkich. Śmierć księcia de Longueville’a to przykry, choć niekoniecznie zły w skutkach obrót spraw. Miałem podstawy sądzić, że diuk był typem introwertyka i miewał gniewne usposobienie. Nie jestem pewien, czy nadawał się na nasz tron. Ostatnie elekcje nauczyły mnie ostrożności w doborze królów.

Gryzelda zmrużyła oczy, wpatrując się w człowieka, który otwarcie znieważał jej syna.

– Co powstrzyma króla przed uderzeniem na zdrajców, gdy straciliście pretendenta do tronu? – wycedziła.

– Rozsądek, którego nigdy nie brakowało księżnej pani. Ludwik XIV dysponuje sporą liczbą żądnych korony książątek. Każdy z nich z radością przybędzie tu z armią, aby wywalczyć dla siebie tron.

– Nim to nastąpi, upłyną miesiące, może rok – oznajmiła Gryzelda. – Przez ten czas zwyciężymy w tej wojnie.

– Doprawdy? – spytał Morsztyn szyderczo. – O ile mi wiadomo, korpus księcia lotaryńskiego pomaszerował na zachód, na Węgrzech zaś powstańcy opanowali Koszyce. Wy także jesteście zdani na własne siły. Walka będzie wyrównana, a wynik niepewny.

– Zapominasz waszmość, że król ma po swej stronie szlachtę, która nienawidzi ciebie i twych przyjaciół.

– Nasza szlachta kocha zwycięzców i bohaterów, księżno. Takich jak twój świętej pamięci mąż, książę Jarema. Kto może wiedzieć, jak zmienią się nastroje panów braci, gdy twój syn nie sprosta niemożliwemu i armia sułtana wedrze się w głąb Polski, sięgnie Lwowa, Krakowa czy... Zamościa?

– Zamość się obroni, choćbym musiała osobiście stanąć na murach – rzuciła Gryzelda z całym przekonaniem. – Co do Rzeczypospolitej, to zajęcie kilku miast niczego Turkom nie zapewni, tak jak nic nie dało Szwedom. Im głębiej poganie wedrą się w kraj, tym bardziej naród zjednoczy się wokół swego króla.

– Albo wokół innej osoby zdolnej ochronić ojczyznę – zauważył trafnie Morsztyn.

– Mówisz o hetmanie Sobieskim?

Morsztyn skinął głową.

– Przez moment stronnictwo francuskie będzie w rozsypce, lecz obawiam się, że większość mych przyjaciół nie zechce czekać miesiącami na przybycie z Paryża nowego pretendenta do tronu, gdy Turcy będą plądrować ich latyfundia – powiedział. – W tej sytuacji zwrócą się do Sobieskiego, człowieka dysponującego wojskiem.

Twarz Morsztyna nie zdradzała jego uczuć. Było jednak oczywiste dla księżnej, że podskarbi obawia się takiego rozwoju wypadków.

„Ciekawe, czy mówi tylko w swoim imieniu, czy wyraża także obawy swych francuskich mocodawców?”

– A senatorowie z twego stronnictwa co myślą na ten temat? – zapytała.

– Dotychczas pomysł ten nie znajdował powszechnego uznania, lecz śmierć księcia de Longueville’a wywraca szachownicę. Maria Kazimiera spotyka się z żonami zaprzyjaźnionych senatorów i podsuwa im pomysł wyboru Polaka po obaleniu twego syna. Nie wymienia nazwiska kandydata, ale to akurat jest oczywiste.

Gryzelda wychyliła się z krzesła.

– Rozumiem, że ty, panie, nie widzisz Sobieskiego na tronie?

– Niedobrze jest dla wszystkich, gdy kto, równym będąc wobec inszych, nagle wynosi się ponad nich – przyznał Morsztyn otwarcie.

– Czy dlatego jesteś przeciw memu synowi? Przez zawiść?

Na ustach Morsztyna zagościł kpiący uśmieszek.

– Cóż... To chyba najpowszechniejsza cecha w sejmie. Zaraz po chciwości.

Księżna wychwyciła aluzję.

– Czego oczekujesz w zamian za przekonanie przyjaciół do zawarcia ugody z królem?

– Och, niczego wielkiego – zapewnił podskarbi. – Jako gest dobrej woli ze strony

dworu przyjąłbym zwrot starostwa tucholskiego, które niesprawiedliwie odebrano mi kilka lat temu, a także – kontynuował swobodnie – zaniechanie fałszywych oskarżeń, że rzekomo przywłaszczyłem sobie część dochodów z kopalń soli.

Gryzelda dokładnie tego spodziewała się po Morsztynie. W jej oczach zawsze był parweniuszem, który kupczy wszystkim i wszystkim. Niemniej podzielała jego obawy. Opozycja przyciśnięta do muru skupi się wokół Sobieskiego i armii koronnej. Nie mogła do tego dopuścić z powodów, które wskazał Morsztyn.

Ogarniała ją jednak złość na myśl, że miałyby choćby pozornie pojednać się z ludźmi winnymi zamachu na życie jej syna. Zacisnęła pięści, czując ból towarzyszący wbijaniu się paznokci w skórę dłoni. „Czy mam wybór?” Odpowiedź była oczywista. Zemsta to luksus, na który nie zawsze można sobie pozwolić.

Po wyjściu podskarbiego postanowiła od razu pomówić z synem. Skierowała się do drzwi, ale zatrzymała się w pół drogi. Jako matka króla cieszyła się szczególnymi prawami, lecz jednocześnie była też jego poddaną. Michał Korybut i tak nie miał opinii silnego władcy, dodawanie mu jeszcze piętna maminsynka z pewnością nie było jej celem. Doszła do wniosku, że lepiej będzie zachować pozory wobec dworu i oficjalnie poprosić o prywatną audiencję.

Przywołała swego sekretarza.

– Zapowiesz mnie u króla – oznajmiła. – To ma być rozmowa w cztery oczy.

Po wyjściu sługi usiadła przy oknie. Pałacyk, w którym się zatrzymała, znajdował się u podnóża zamku i był częścią większych fortyfikacji ochraniających zjazd nad rzekę. W dole, między ogrodem a szanćcami, rozbiło obóz kilkuset żołnierzy, których przyprowadziła z Zamościa. Inne oddziały wojsk nadwornych Wiśniowieckich obstawiały przeprawę przez Wisłę, skąd miała nadciągnąć armia litewska prowadzona przez Paców.

Posłaniec wrócił po kilkunastu minutach z wiadomością, że król oczekuje na nią. Gryzelda zabrała laskę i udała się na spotkanie.

Aby dostać się do zamku, musiała wejść po schodach na taras i przejść przez ogród. Pośród żywopłotów i klombów napotkała grupkę wypoczywających dwórek. Nieco dalej przy fontannie kilka innych dam bawiło się w ciuciubabkę z przystojnym oficerem. Powietrze było ciężkie i zanosilo się na gwałtowną burzę.

Gdy kniahini dotarła pod królewski gabinet, jej serce uderzało niczym zepsuta kołatka, a w skroni pulsował ból.

Wszystkie te dolegliwości nasiliły się, gdy znalazła się w gabinecie i ujrzała Eleonorę siedzącą przy stole po prawicy męża. Trzecie krzesło było wolne. Księżna Gryzelda sztywno spoczęła na nim i wbiła wzrok w syna.

– Liczyłam na rozmowę na osobności – rzekła oschle.

Michał miał choć na tyle przyzwoitości, aby się zarumienić.

– Uznałem, matko, że będąc w tak trudnym położeniu, wszelkie sprawy powinniśmy omawiać wspólnie – powiedział i zerknął na Eleonorę.

Królowa uśmiechnęła się wdzięcznie, obserwując teściową z jadowitą satysfakcją. Gryzeldę znów dopadł brak oddechu. Z wysiłkiem powstrzymała się przed poluzowaniem guzika przy kołnierzu sukni. Dawniej wyszłaby z komnaty, trzaskając drzwiami, a Michał wybiegłby za nią i błagał o przebaczenie.

„Taki wybuch gniewu nic nie da. Ta złotowłosa żmija zatrąła mu umysł”.

Używając całej mocy swego charakteru, opanowała się i po raz drugi tego dnia przełknęła dumę.

– Księżę de Longueville nie żyje – oznajmiła krótko, licząc na wywołanie wrażenia.

Nie pomyliła się. W komnacie zapadła cisza.

Korybut wychylił się z krzesła.

– Czy to pewna wiadomość? – wychrypiał.

– Wydaje się, że tak. O ile istnieje coś takiego w dzisiejszych czasach.

Na twarzy jej syna odmalowała się ulga.

– Skąd te wieści? – zapytała Eleonora.

– Od podskarbiego Morsztyna, który zaofiarował nam pomoc w negocjacjach z malkontentami.

Eleonora parsknęła ze wzgardą.

– Przyczołgał się błagać o łaskę – syknęła mściwie. – Pacowie są dzień drogi od miasta, jutro dotrą na Pragę. Mamy dość łodzi, aby przeprowadzić Litwinów przez rzekę! – zawołała podekscytowana. – To najlepszy czas, by uderzyć w opozycję

wszystkimi siłami, jakimi dysponujemy w Warszawie. Aresztujemy zdrajców i wymierzmy im królewską sprawiedliwość.

– Uważam, że powinniśmy przyjąć ofertę Morsztyna – ostudziła zapędy synowej Gryzelda. – Porozumienie zapobiegnie wojnie domowej i pozwoli skupić wszystkie siły na obronie ojczyzny przed najazdem sułtana.

– Morsztyn to szczur, który ucieka z tonącego okrętu! – zakrzyknęła ze wzburzeniem królowa. – Ojczyzna jest ostatnią sprawą, o jaką dba.

– Nie on jeden – odparła cierpko kniahini. – Ty również przedkładasz interes swego rodu nad dobro królestwa, którym władasz.

Eleonora poczerwieniała z gniewu.

– Śmiesz mnie oskarżać, pani!?! Jakim prawem!?! Jestem twą królową!

Kniahini nie poświęciła temu wybuchowi więcej uwagi, niż gdyby przez komnatę przeleciała mucha. Zwróciła się bezpośrednio do syna:

– Masz rzadką okazję pozbyć się Sobieskiego i zrewoltowanej armii cudzymi rękoma. Hetman nie ma dość sił, aby przeciwstawić się Turkom. Zostanie pobity albo ucieknie z wojskiem, zostawiając Podole i Ruś na pastwę hord pogan. Ty zaś zgromadzisz w tym czasie wokół siebie szlachtę i wystąpisz w roli wybawcy ojczyzny. Gdy przyjdzie ten czas, oskarżymy Sobieskiego o niedołęstwo i zdradę. Zapewniam cię, że gdy padną Kamieniec i Lwów, nikt nie będzie bronił hetmana. Pozbawimy go urzędów i skażemy na banicję.

Król poruszył się nerwowo.

– Ale oni próbowali nas otruć, pozbawić tronu – zauważył ze skargą. – Musimy ukarać zdrajców – dodał bez zbytniego przekonania.

Kniahini spojrzała twardo w oczy syna.

– Zatem musicie radzić sobie sami. Moje wojska nadworne nie wezmą w tym udziału – oznajmiła zdecydowanie. – Jeśli oboje tak bardzo pragniecie rozlewu krwi i własnej zguby, nie mieszajcie mnie w to. Wracam do Zamościa.

Szok, jaki odbił się na obliczach Michała i Eleonory, był najcudowniejszym widokiem. Księżnaomal się nie uśmiechnęła.

– Ależ matko!... – wykrzyknął król zdławionym głosem.

Gryzelda oparła się na lasce i krzywiąc się z powodu bólu kolan, wstała.

– Dość się już nasłuchałam – ucięła stanowczo. – Wyjeżdżam jutro. Jeśli zmienicie zdanie, wiecie, gdzie mnie szukać.

Opuściła komnatę, nie ukłoniwszy się. Postukując laską o podłogę, ruszyła korytarzem w stronę tarasu. Miała już wyjść na słońce, gdy za pleców dobiegł ją odgłos pospiesznych kroków.

– Matko, zaczekaj, proszę.

Gryzelda oparta na lasce obróciła się, mierząc syna lodowatym spojrzeniem.

– Słucham, Wasza Królewska Mość.

Spuścił wzrok, tak jak czynił, gdy był chłopcem.

– Wybacz, matko – bąknął. – Wiem, że chcesz jak najlepiej dla mnie i królestwa. Przekaż podskarbiemu Morsztynowi, że zgadzam się wybaczyć buntownikom i zawrzeć porozumienie.

Gryzelda uśmiechnęła się i zamknęła Michała w matczynym uścisku.

– Cieszę się, że mi zaufałeś – wyszeptała. – Niech zdrajcy myślą, że im wybaczyliśmy, a gdy poczują się bezpieczni i osłabną, policzymy się z nimi. Szybciej niż sądzisz.

ROZDZIAŁ XII

Noc noży

1 lipca A.D. 1672

Zadźwięczała stal i Tyner w mgnieniu oka szarpnął głową w tył, gdy ostrze szabli omal nie przycięło mu nosa. Błyskawicznie przeniósł ciężar ciała na przednią nogę i przypuścił atak szablami trzymanymi w obu dłoniach. Dwaj ćwiczący z nim szermierkę dragoni sparowali jednoczesne natarcie i zrewanżowali się Tynerowi własnym. Klingi zamigotały w słońcu i zderzyły się w serii krótkich, metalicznych trzasków. Tyner prześlizgnął się między dwoma przeciwnikami i wykonawszy obrót wokół własnej osi, znalazł się za plecami mężczyzn. Dragon po jego lewej spóźnił się z zasłoną o uderzenie serca. Porucznik błyskawicznym wypadem wykorzystał to i uderzył płazem w udo żołnierza. Mężczyzna krzyknął z bólu i zachwiał się na ugodzonej nodze.

– Trafiony! – rozległ się krzyk Grota, który sekundował w ćwiczeniach na dziedzińcu.

Drugi z dragonów wykorzystał odsłonięcie się Tynera i szabla w jego dłoni śmignęła w rozgrzanym powietrzu. Tyner ledwo odbił zajadłe cięcie, wykonał zwód i natarł obiema klingami na jedno ostrze przeciwnika, zakleszczając je między swoimi szablami.

Dragon szarpnął ramieniem, by oswobodzić oręż, i wtedy Tyner nastąpił mu na stopę. Żołnierz zachwiał się i wywrócił na tyłek. Bogusław bezlitośnie wykorzystał okazję, sparował rozpaczliwy zamach wymierzony w swą nogę i przyłożył skrzyżowane szable do gardła pobitego żołnierza.

– Parol! – wrzasnął tamten.

Tyner, dysząc i ociekając potem, opuścił szable ku ziemi.

– Zasłużyliście na garniec wina z mych zapasów – zwrócił się do dragonów i spojrzął na Grota. – Wachmistrzu, zadbajcie o to.

Tomasz Grot wykrzywił się, jakby to jemu odebrano trunek od ust, i machnął

ręką na wojaków.

– Chodźcie za mną.

Dragoni potruchtali za wachmistrem, zostawiając Tynera na placu. Wciąż był wczesny ranek i na tyłach zamku, między tarasem a ogrodami, nie kręciło się wielu ludzi. Służba zajmowała się obowiązkami, a szlachetnie urodzeni mieszkańcy pałacu dopiero co budzili się ze snu lub śniadali.

Zaburczało mu w brzuchu. Postanowił zajrzeć do zamkowej kuchni.

– Znakomicie władasz waćpan szablą. – Kobięcy głos rozproszył te plany.

Obejrzał się przez ramię. Z odległości kilku kroków przypatrywała się mu Klara Pac. Nie usłyszał jej, gdy schodziła po stopniach tarasu. Była cicha jak kotka.

Kanclerzyna miała na sobie letnią zieloną suknię z odsłoniętymi ramionami i dekoltem, w który nie sposób było nie zerkać. W dłoniach trzymała złożony wachlarz z czarnego jedwabiu.

– Są lepsi szermierze ode mnie – rzekł skromnie Tyner. – Choćby imć pułkownik Wołodyjowski, z którym służyłem podczas ostatnich kampanii. A o kilku inszych słyszałem, aczkolwiek nigdy nie przyszła potrzeba sprawdzić się z ich mościami na placu – dodał, kładąc szablę na kamiennej ławeczce, za którą pysznił się przystrzyżony żywopłot.

Klara Pac zbliżyła się i uniosła głowę, patrząc Bogusławowi w oczy.

– Przejdź waćpan do mnie na służbę. Wiem, jak nagrodzić tak zacnego żołnierza. – W jej ustach zabrzmiało to bardzo dwuznacznie.

Tyner przełknął ślinę.

– Służę królowi i nie zamierzam szukać innego pana.

– Oczywiście. Mniemam zatem, że nie odmówisz mi, gdy będę potrzebowała cię tej nocy? – rzekła bardzo swobodnym tonem.

Uświadomił sobie, że otworzył niemądrze usta.

– Cóż... – wychrypiął. Miał wrażenie, że tonie w jej wielkich ciemnych oczach.

– Muszę spotkać się z kimś w mieście i potrzebuję ochrony. – Brutalnie sprowadziła go na ziemię. – Wiedz, że misja ta została zlecona mi przez królową, toteż w niczym nie kłóci się z twą służbą.

Tyner skrzywił się i z ociąganiem podrapał się w kark.

– To niebezpieczne. Na ulicach jest wielu uzbrojonych ludzi.

– Dlatego potrzebuję waćpana – oznajmiła kategorycznie.

– Mogę choć wiedzieć, dokąd się wybieramy?

– Zobaczysz – ucięła. – Spotkamy się o dziesiątym dzwonie przy furcie na tylnym dziedzińcu.

Potem oddaliła się, zostawiając go samego na placu. Tyner odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła za murkiem tarasu, po czym chwycił za szablę.

W czasie walki wszystko jest proste. Człowiek wie, co może się stać, gdy postawi fałszywy krok. W kontaktach z kobietami, szczególnie takimi jak Klara Pac, nic nie było proste i oczywiste.

Wszystko, co mogłeś zrobić, to mieć nadzieję, że nie zostaniesz przywiedziony do zguby.

*

Starsi wpływowi mężczyźni lubią młode kobiety. Prawda ta jest tak fundamentalna, że Mojżesz z powodzeniem mógłby kazać wyryć ją na kamiennych tablicach.

Nagi jegomość, który właśnie obserwował Charlotte, stanowił niepodważalny dowód na prawdziwość tego stwierdzenia. Mimo siwiejących włosów i bruzd na obliczu wciąż miał mocne ramiona żołnierza i szeroką pierś. Przyrodzenie pod lekko obwisłym brzuchem również nie wykazywało śladu uwiądu.

Charlotta pozwoliła mężczyźnie podziwiać się otuloną jedynie w mglisty blask rzucany przez rozstawione w alkowie świece. Wręczyła mu puchar z winem. Wychylił go jednym haustem, nie odrywając od niej wzroku. Odrzucił puste naczynie i objął ją w talii, a potem posadził sobie na kolanach.

„Wszystko dla nowej ojczyzny”, pomyślała z sarkazmem i odchyliła głowę, gdy zaczął ssać brodawkę jej piersi. Zamruczała, udając rozkosz. W rzeczywistości czuła tylko drażniące łaskotanie wąsów, którymi drapał wrażliwą skórę.

Spojrzała na drzwi, wyobrażając sobie, że ktoś wyważa je kopnięciem. Niestety

na to się nie zanosilo. Tymczasem jegomość rozpalał się coraz bardziej, miętosząc i kłając zapamiętałe jej cycki.

– Ałć... – syknęła, gdy ugryzł ją mocniej. – Ostrożnie, mój lwie.

Zsunęła mu się z kolan.

– Chodź do łóżka, tam będzie nam wygodniej – rzekła i podeszła do okrytego baldachimem posłania.

Materac był nieco wysłużony, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę liczne potomstwo jegomościa. Małżonka i siedmioro dzieci zostali uwiecznieni na wielkim portrecie rodzinnym zawieszonym w jadalni.

Cóż... werwy nie można było mu odmówić. Rzucił się na Charlotte niczym spragniony wołowej kości psiak. Bezceremonialnie wgniótł ją w łóżko i rozwarł jej uda, wyraźnie kwalifikując wcześniejsze gryzienie sutków do wstępnych pieszczot.

Był do tego stopnia pochłonięty czekającym go zadaniem, że nie spostrzegł, jak drzwi do sypialni otworzyły się i do środka wsunął się Cichoń.

„Bogu niech będą dzięki”. Charlotta posłała wachmistrzowi naglące spojrzenie. Nim jegomość zrozumiał, że nie są już sami, Cichoń doskoczył do niego i przyłożył mu kolbą pistoletu w tył głowy.

Mesire rzuciła z siebie nieprzytomnego mężczyznę i wstała z łóżka. Cichoń odwrócił wzrok, gdy podniosła z podłogi ubranie i szybko naciągnęła je na siebie.

– Nie spieszyłeś się zbytnio – mruknęła rozdrażniona.

– Przed kamienicą stało trzech strażników, musieliśmy się nimi zająć – wyjaśnił.

– Co z twoimi ludźmi?

– Obstawili wszystkie wyjścia z domu.

Charlotta zerwała z głowy rudą perukę i cisnęła ją na pościel, obok leżącego bezwładnie pułkownika Wolffa.

– Usadź go na krześle – poleciła Cichoniowi.

Wachmistrz podszedł do okna i odciął nożem sznur od zasłon. Potem dźwignął nieprzytomnego pułkownika i przywiązał go do krzesła.

Gdy skończył splatać ostatni węzeł, Charlotta wyciągnęła kwiaty z wazonu stojącego na komodzie i chlusnęła wodą w twarz Wolffa.

Niemiec otworzył oczy, prychnął i zakrztusił się śliną. Potoczył przerażonym wzrokiem po stojących nad nim mężczyźnie i kobiecie.

– Ty dziwko! – syknął i szarpnął się w więzach.

Charlotta wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Żona powinna cię ostrzec, że sprowadzanie obcych kobiet do domu jest niebezpieczne – powiedziała. – Przyszedł czas na konsekwencje.

– Mogę wam zapłacić. Mam pieniądze.

– Nie chodzi o złoto – odparła Mesire i pochyliła się nad nim. – Wprowadzisz naszych ludzi do arsenału.

Wybałuszył oczy.

– Nie zrobię tego!

Charlotta zerknęła na Cichonia. Wachmistrz krótkim ruchem grzmotnął pułkownika zwiniętymi palcami w grdykę. Wolff posiniał. Z ust wyrwało mu się rozpaczliwe rżenie.

– Możemy tak cię okładać wiele godzin – ostrzegła go Mesire.

– Nic wam to nie da – zaskrzeczał. – Oficerowie i tak nie wykonają podobnego rozkazu.

– Ufam, pułkowniku, że wynajdziesz fortel, aby rozwiązać problem. Tylko w ten sposób ocalisz żonę i dzieci.

Wolff wbił w nią czujne spojrzenie.

– Łżesz, moja rodzina wyjechała z miasta.

– Wiem, do mamusi na wieś. Tak się składa, że nigdy tam nie dotarli. Są w moich rękach.

– Nie wierzę ci – warknął.

– Pokaż mu – zwróciła się do Cichonia Charlotta.

Wachmistrz sięgnął za pazuchę delii i wyciągnął chustkę z wyhaftowanym monogramem. Podsunął ją pod nos więźnia.

– Poznajesz? – zapytał.

Wyraz twarzy pułkownika wystarczał za wszelką odpowiedź. Opuścił głowę na pierś.

– Zrobię wszystko, co chcecie, tylko nie czyńcie im krzywdy.

– Masz na to moje słowo – rzekła Charlotta.

Wolff rzucił jej nienawistne spojrzenie.

– Będiesz smażyć się za to w piekle.

„To akurat mam już za sobą”.

Charlotta Mesire zmrużyła oczy.

– Czas, abyście włożyli mundur, pułkowniku.

*

Późnym wieczorem niebo za Wisłą pociemniało. Odległe pomruki burzy zbliżającej się od wschodu dawały nadzieję na ulewę, która rozproszy ciężką atmosferę unoszącą się nad miastem. Nie padało już od kilku tygodni i Tyner stojący w oknie sali jadalnej zamku z zadowoleniem obserwował błyski piorunów rozświetlające pochmurne niebo za rzeką.

Służba kończyła już zbierać ze stołu srebrne półmiski i talerze, z których jadła para królewska. Od nieudanej próby otrucia ich wysokości Tyner często nadzorował, kto i w jaki sposób ma dostęp do królewskiego stołu. Nie było to może najbardziej emocjonujące zajęcie dla mężczyzny jego pokroju, ale znajdował w tym i dobre strony. Zawsze po wieczerzy zostawało sporo niewypitego wina, i to nie byle sikacza, lecz najlepszego tokaju sprowadzanego specjalnie do piwnic królewskich.

– Zanieście to do mej komnaty. – Wskazał służącemu dwie nienapoczęte butelki białego wina, trzecią schował sobie pod pachę. – Resztę jadła i trunków rozdzielcie między służbę. A nie zapomnijcie o strażach – przestrzegł surowo, świadom, że pokojowi kradną na potęgę.

Gwałtowny, niosący wilgoć wiatr trzasnął okiennicami i dwóch lokajów poczęło w pośpiechu zamykać przeszklone skrzydła. Tyner znów spojrzął za rzekę. Szare smugi falujące pionowo nad Pragą sugerowały, że zaczęło tam już lać, ale wysuszona rzeka i lewy brzeg wciąż znajdowały się poza zasięgiem opadów.

Opuścił jadalnię i udał się w odwiedziny do Grota. Wachmistrz jako pośledni rangą otrzymał kwatery na parterze, z oknem wyglądającym na mur miejski od

strony Wisły. Tyner zastał go czyszczącego buty. Machnął ręką, aby wachmistrz nie wstawał z łóżka, i pokazał mu butelkę węgryna.

– Daj kubki – rzekł i postawił ją na stoliku.

Grot szybko znalazł naczynia, a Bogusław odkorkował butelkę. Po chwili raczyli się trunkiem, nasłuchując bliskich pomruków burzy. Wciąż jednak nie dało się usłyszeć choćby jednej kropli deszczu uderzającej o parapet.

Tyner posiedział u przyjaciela do zmroku i tuż przed dziesiątym dzwonem udał się na tylny dziedziniec. Czekaając na przybycie Klary Pac, wszedł na wały obronne i spojrzął za Wisłę.

Burza odchodziła na północ, nawet nie muskając swym wilgotnym skrzydłem miasta. Wyglądało na to, że Warszawę czekają kolejne dni suszy i żaru. Jakby i bez tego nie przypominała beczki prochu, gotowej, by ktoś podpalił pod nią lont.

Tyner zszedł pod furte, nad którą płonęła pochodnia, i zaczekał tam na kanclerzynę. Niedługo potem z mroku wyłoniła się szczupła sylwetka Klary Pac. Pod rozpiętą peleryną z kapturem nosiła obcisłą, wydekoltowaną suknię. Strój doskonale podkreślał linie jej obojczyków i jasne, jędrne piersi. Tyner przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

Przyłożył dłoń do piersi i ukłonił się.

– Piękna noc na spacer, poruczniku – powiedziała lekko i wręczyła mu klucz.

Otworzył furte i przepuścił kanclerzynę przodem. Gdy wzmocnione stały drzwi zamknęły się za nimi ze szczęknięciem, Bogusław rozejrzał się po opustoszałej drodze, która opadała ku Wiśle. Nieco dalej widział zarys domów i wysoki mur odgradzający klasztorne ogrody.

– Ktoś po nas przyjedzie? – zapytał.

– Nie, przejdziemy się.

– Dokąd?

– Zobaczysz waszmość – rzuciła przez ramię i oddaliła się w mrok. Zacisnęła zęby i szybkim krokiem dogonił kanclerzynę.

Warszawa nocą była ciemna i niebezpieczna nawet w spokojniejszych czasach. Tylko nieliczne domy miały latarnie, a w zaułkach spotykało się żebraków i wszelką

biedotę wegetującą w cieniach magnackich rezydencji. Prawdziwym zagrożeniem były dla nich jednak patrole i posterunki buntowników rozstawione w mieście.

Klara prowadziła ich bocznymi uliczkami, często przystając i nasłuchując. Kilka razy musieli też chować się w bramach i zaułkach przed rontami żołnierzy. Na szczęście nie mieli daleko do celu i po kwadransie w końcu dotarli na miejsce.

Tyner zwolnił kroku i rozejrzał się czujnie po cuchnącym zaułku, na którego końcu otwierał się placyk otoczony ze wszystkich stron ścianami domostw i szop. Zdecydowanie nie podobało mu się to miejsce.

Klara Pac podeszła pod drzwi ukryte w łuku ceglanego muru i kilka razy zastukała pięścią w twarde drewno. Po chwili znaleźli się w przestronnym, pustym magazynie. Wewnątrz oczekiwało na nich troje mężczyzn. Tyner rozpoznał w nich Litwinów, osobistych strażników kanclerzyny, którzy zazwyczaj towarzyszyli jej w nocnych eskapadach. Dwóch z nich, ciemnowłosy chudzielec i łysy wielkolud, siedziało na skrzyniach, przygotowując broń. Ostatni z mężczyzn, jasnowłosy i barczysty, stał na piętrze i wypatrywał czegoś przez okno.

Tyner przypomniał sobie, że wołali na niego Dowgerd. Cieszył się największym zaufaniem Pacowej i jak szeptali gwardziści, czasem wychodził nad ranem z jej alkowy.

Klara Pac weszła po schodach na piętro i dołączyła do Dowgerda. Bogusław podążył za nią. Jasne oczy Litwina osadzone nad garbatym nosem omiotły porucznika i skupiły się na kanclerzynie.

– Naliczyłem trzydziestu ośmiu – oznajmił. – Od kwadransa nie przyjechał nikt więcej.

Pacowa zmarszczyła brwi.

– To chyba wszyscy. Czy nasz przyjaciel jest w środku?

– Przyjechał najwcześniej wraz z Sobieskim i Prażmowskim.

– Zatem działamy według planu – powiedziała Klara.

– Co tu się dzieje!?! – Tyner nie wytrzymał. – Może w końcu dowiem się, po co tu jesteśmy?

– Spójrz sam – zaproponowała.

Tyner odchylił firankę. Okno wychodziło na szeroką ulicę i kościół, przed którym stało kilkadziesiąt karoc i powozów. Przy zaprzęgach i przed wejściem do świątyni przechadzali się żołnierze – spokojni, lecz czujni.

– Co to za ludzie? – zapytał.

– Buntownicy zgromadzili się, aby zaprzysiąc detronizację Korybuta – odrzekła Klara.

Tyner spojrzał na nią nieufnie. Coraz bardziej mu się to wszystko nie podobało.

– Co planujesz, pani?

– Pokażę ci – powiedziała z uśmiechem, od którego zjeżyły mu się włoski na karku. – Dowgerd nas zaprowadzi.

Zeszli na parter, gdzie dołączyli do nich łysol i chudzielec. Całą grupą udali się do wnęki ulokowanej za magazynem. W ceglanej ścianie wybito szeroki otwór, za którym znajdowały się schody prowadzące na dół. Zeszli po zmurszałych stopniach i znaleźli się w wąskim podziemnym przejściu. Ruszyli przed siebie prowadzeni przez Dowgerda, oświetlającego drogę pochodnią, i dotarli do piwnic.

Pierwszy z loszków był czymś w rodzaju przedsionka. Pod murem walało się nieco zbutwiałych skrzyń, lecz poza tym nie było śladów wskazujących, aby ktokolwiek ostatnio użytkował to miejsce. Nie wiedzieć czemu umieszczono tam krzesło i stół z ustawionym na blacie zegarem.

Tyner usłyszał słabe odgłosy mszy dochodzące z nad sufitu. Dotarło do niego, że znajdują się pod kościołem. Spojrzał pytająco na Klarę, ale ta wkroczyła już do sąsiedniej piwniczki. Wydłużył krok i przeszedł pod ceglany łuk.

To pomieszczenie było sporo większe, jego sufit wspierał się na masywnej kolumnie z cegieł, pod którą...

Tyner wytrzeszczył oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

– Co, do cholery!?! – wydusił przez zęby.

Wychwycił kątem oka ruch. Sięgnął po broń i odwrócił się... A właściwie miał taki zamiar.

Rozległ się głuchy trzask i jego głowa eksplodowała bólem. A potem pochłonęła go ciemność.

*

Ostatnie z trzech uderzeń metalową kołatką wsiąkło w mrok niczym skrzek wystraszonego ptaka. Zgrzytnął wizjer. Ktoś wyjrzał z drugiej strony metalowej furty osadzonej w skrzydle bramy. Charlotta, stojąc tuż za plecami pułkownika Wolffa, widziała, jak oko w judaszu rozszerza się, i zaraz potem rozległ się przytłumiony przez mury i metal okrzyk.

– Otwierać, to pan pułkownik!

Zgrzytnęły przesuwane rygle i furta się rozwarła, ukazując kilku żołnierzy. Blask pochodni osadzonych w łukowatym przejściu bramy oświetlał plecy żołnierzy, przez co Charlotta nie widziała dobrze ich twarzy.

Nerwowo zacisnęła dłoń na kolbie pistoletu ukrytego pod peleryną. Zerknęła na Cichonia ściskającego w rękach rusznicę, którą trzymał przyciśniętą poziomo do piersi. Za wachmistrzem czekało w mroku ulicy dwunastu dragonów z chorągwi Sieniawskiego, odzianych w mundury gwardii królewskiej.

Pułkownik wkroczył za bramę, wprowadzając za sobą uzbrojonych żołnierzy. Nim zatrzasnęły się za nimi wrota, ze schodów ukrytych pod łukiem przejścia wybiegł młody porucznik. Na widok komendanta wyprężył się jak struna.

– Melduję obsadę...

– Macie niedopięty mundur, poruczniku – przerwał mu opryskliwie Wolff. – Zróbcie coś z tym i zwołajcie resztę panów oficerów do sali narad.

Twarz młodego porucznika poróżowiała.

– Tak jest, panie pułkowniku! – wydusił z siebie, lecz Wolff zostawił go już w tyle, rażno maszerując przez dziedziniec.

Charlotta obserwowała spod krawędzi kaptura wartowników rozstawionych w rogach placu, pod arkadami oraz przy masywnych drzwiach prochowni. Żaden z żołnierzy nie powążył się zatrzymać eskorty komendanta. Wolff wprowadził ich do wnętrza gmachu, a potem maszerując szerokimi korytarzami, dotarli pod wysokie podwójne drzwi. Pułkownik otworzył je i znaleźli się w komnacie, pośrodku której stał podłużny stół otoczony przez krzesła.

Pułkownik zasiadł u szczytu stołu, Cichoń zaś i jego ludzie zajęli stanowiska

wzdłuż pobielonych ścian i przy drzwiach. Charlotta ściągnęła kaptur i po chwili namysłu zatrzymała się we wnęce za kominkiem, tak aby przybywający na naradę oficerowie nie mogli jej dostrzec, póki nie zasiądą przy stole.

Porucznicy, dwóch kapitanów i jeden major zjawili się w ciągu kilku minut, zasalutowali komendantowi, trzaskając obcasami o posadzkę. Przy stole pozostało wolne tylko jedno krzesło. Pułkownik Wolff, marszcząc brwi, wlepił wzrok w puste miejsce.

– Gdzie jest chorąży Lang!? – zapytał gniewnie.

Oficerowie zaczęli spoglądać na siebie, jednak żaden nie potrafił udzielić odpowiedzi komendantowi.

Porucznik, ten sam, który przywitał ich przy bramie, poderwał się z zajmowanego miejsca.

– Poszukam go – zaproponował.

– Siadajcie – warknął Wolff i zerknął na Charlotte.

Ta dała znak Cichoniowi i drzwi komnaty zamknęły się z głuchym trzaśnięciem.

Pułkownik otarł pot z czoła i zwrócił się do swych podkomendnych.

– Panowie, zdecydowałem się oddać arsenał pod opiekę hetmana Sobieskiego – oznajmił chrapliwie. – Od tego momentu znajdujecie się pod rozkazami tych oto ludzi. – Wskazał spojrzeniem na żołnierzy przebranych za gwardzistów królewskich.

Zapadła głęboka cisza, nagle rozległ się szurgot odsuwanej krzesła i od stołu poderwał się barczysty kapitan.

– Zdrada, waszmość pułkownika, zdrada! – zakrzyknął, sięgając po szablę.

Nim zdołał wydobyć ostrze, Cichoń dopadł do zapalczywca i z całej siły walnął go kolbą rusznicy w głowę. Mężczyzna zwałił się na podłogę.

– Ktoś jeszcze chce unosić się honorem? – zapytał wachmistrz groźnie, łypiąc na poblądłych wojskowych.

Nikt się nie zgłosił.

Panów oficerów rozbrojono, skrupowano i ustawiono pod ścianą. W tym czasie Charlotta otworzyła okno i poruszyła latarnią trzymaną w dłoni. Po chwili w mroku odpowiedziało jej drugie światełko.

Zamknęła okiennice i zwróciła się do pułkownika:

– Na nas już czas.

Rzucił jej wrogie spojrzenie i powstał z miejsca.

Cichoń wybrał sześciu żołnierzy, którzy mieli wraz z nim udawać eskortę komendanta. Od razu skierowali się pod bramę arsenału, gdzie wokół sierżanta tłoczyli się podenerwowani żołnierze z muszkietami. Widząc pułkownika, przybrali postawę na bacność, a dowodzący wartą podoficer odsunął się od wizjera, przez który wypatrywał czegoś w mroku ulicy.

– Panie pułkowniku, melduję, że na zewnątrz są uzbrojeni ludzie – wychrypiął nerwowo.

– Sierżancie, otwórzcie wrota – rozkazał Wolff.

Podoficer przestąpił z nogi na nogę, zmierzył nieufnym wzrokiem Charlotte i eskortę za plecami dowódcy. Mesire dostrzegła, jak Cichoń powoli przesuwając lufę rusznicy w stronę sierżanta. Na szczęście pułkownik zachował zimną krew.

– Otwórzcie tę bramę, do kroćset! – huknął. – To rozkaz!

Sierżant drgnął i krzyknął do wartowników.

– Słyszeliście, co rozkazał komendant!

Żołnierze zaczęli odsuwać rygle i chwilę później skrzydła bramy rozwarły się na oścież. Pojawili się w nich dragoni Sieniawskiego i natychmiast rozbroili wartowników. Potem pułkownik poprowadził napastników na dziedziniec, gdzie zaczął głośno nawoływać swych żołnierzy do zaniechania oporu. Postawa dowódcy i brak oficerów, którzy mogli wydać inne rozkazy, całkowicie sparaliżowały załogę arsenału. Żołnierze królewscy jeden za drugim zaczęli rzucać broń, a ich miejsce zajmowali napływający przez bramę buntownicy.

Charlotta uznała, że operacja przebiegła lepiej, niż się spodziewała. Nikt nie został zabity i cały gmach znalazł się w ich rękach bez jednego wystrzału. Pojawił się też zaginiony chorąży Lang, żołnierze znaleźli go pijanego w wychodku.

Mesire przywołała do siebie Cichonia i Wolffa.

– Hetman Sobieski zechce wiedzieć, na jakie zapasy może liczyć – zwróciła się do pułkownika.

Klucze do prochowni znajdowały się w kordegardzie. Gdy tylko dostarczono je do rąk Cichonia, pułkownik Wolff zaprowadził ich do podziemi o grubych murach i szerokich, prostych korytarzach.

W obszernym magazynie znajdowało się kilka opieczętowanych beczek, sterta worów z pakułami używanymi do mocowania kul w lufach, trzy piramidki ułożone z pocisków armatnich, a także leżące jeden na drugim bloki ołowiu, gotowe do przetopienia na pociski do muszkietów.

Charlotta ściągnęła brwi.

– Gdzie trzymacie proch? – zapytała Wolffa.

– Większość zapasów trafiła na zamek. To wszystko, co nam zostało. – Wskazał na beczki. – Trzy dni temu na rozkaz królowej wydałem ostatnie czterdzieści baryłek prochu.

– Gdzie je przeniesiono? – zapytał Cichoń. – Przecież nie na zamek, który jest blokowany przez naszych żołnierzy.

Charlotta pomyślała o tym samym.

– Tego nie wiem – zapewnił Wolff. – Przysięgam, musicie dać mi wiarę!

Wierzyła mu. Nie zmieniało to jednak faktu, że będzie musiała powiedzieć Sobieskim, że gdzieś w mieście jest ukryta ogromna ilość materiałów wybuchowych.

– Co teraz? – spytał wachmistrz.

Charlotta rozejrzała się po opustoszałym lochu i starła pot z czoła.

– Czekamy, aż ktoś podpali lont.

*

Tyner ocknął się z łupaniem pod czaszką i dzwonieniem w uszach. Ból wypełniał mu głowę i spływał palącym strumieniem wzdłuż karku. Marszcząc czoło, otworzył oczy i natychmiast zmrużył je oślepiiony przez blask pochodni. Ostrożnie poruszył szyją. Coś strzyknęło mu pod skórą, ale wyglądało na to, że kości są całe.

Wziął głęboki oddech i wtedy uczucie zatkanych uszu ustąpiło. Krzywiąc się, popatrzył na Dowgerda. Z pewnością to jemu zawdzięczał ból głowy. Odruchowo

napiął ramiona, lecz osiągnął tyle, że więzy wpiły mu się w skórę na przedramionach przywiązanych do podłokietników krzesła. Gdy poruszył nogami, dotarło do niego, że i tam założono mu pęta.

„No to, kurwa, pięknie”.

– Ocknął się – poinformował kogoś Dowgerd.

Tyner usłyszał kroki, lżejsze i pełne gracji. Klara Pac zatrzymała się naprzeciwko niego, tak że dzielił ich tylko stół.

Przez chwilę przypatrywali się sobie, milcząc.

– Jesteś szalona – zaskrzeczał.

– A ty, waszmość, związany i zdany na mą łaskę – odparła zimno. – Sugeruję więc ostrożny dobór słów. Jak większość kobiet, jestem czuła na punkcie własnej godności.

W to akurat Bogusław nie wątpił.

– Po co tu jestem? – wychrypiał.

– Wciąż się nie domyślasz? – Klara Pac przybrała rozczarowaną minę. Popatrzyła znacząco w stronę sąsiedniego lochu.

Odpowiedź rzeczywiście nie była zbyt trudna.

– Mam być kozłem ofiarnym.

– Pochlebiasz sobie waćpan. Jesteś tylko narzędziem. Dla wszystkich będzie oczywiste, że wykonywałeś rozkazy kogoś potężniejszego.

– Chcesz wysadzić kościół pełen malkontentów i obarczyć za to winą księżnę Gryzeldę!? – rzekł wstrząśnięty.

– Sekret dobrej sztuczki polega na tym, aby ludzie patrzyli gdzie indziej – odparła Klara cynicznie.

– Nikt nie uwierzy, że kniahini dopuściła się takiej zbrodni.

Kanclerzyna uniosła brew.

– Doprawdy? Gryzelda ma wiele powodów, by pragnąć śmierci Sobieskiego, prymasa i innych. Dybią przecież na tron i życie jej niewydarzonego synalka. Zresztą twoje wyznanie będzie tego najlepszym dowodem.

Tyner poczuł, jak przechodzą go ciarki.

– Wyznanie! – powtórzył, zerkając na kałamarz i leżącą przed nim na blacie białą kartę.

Nagle wszystko ułożyło się w jedną przerażającą całość. Wzniósł wzrok na kanclerzynę.

– Czemu myślisz, że to zrobię?

– Aby zaoszczędzić sobie cierpienia. Nie zginiesz tutaj. Jutro odnajdą cię martwego, powieszysz się z wyrzutów sumienia. Do tego czasu masz wybór między bólem lub szybką śmiercią po napisaniu listu. Zapewniam cię, że i tak podpiszesz wyznanie. Dowgerd jest bardzo skuteczny w skłanianiu ludzi do uległości.

Tyner wykrzywił usta.

– Ciężko oprzeć się tak postawionej propozycji – wychrypiął.

Klara Pac podsunęła mu kartkę papieru i kałamarz.

– Rozwiąż mu prawą dłoń – zwróciła się do Dowgerda.

Litwin rozsuptał węzeł na podłokietniku i cofnął się. Bogusław kilka razy zacisnął i rozprostował palce, czując w nich ciepłe mrowienie. Rzucił Klarze krótkie spojrzenie i sięgnął po gęsie pióro.

– Co mam napisać?

– Zaczynij od słów: „Ja, Bogusław Tyner, świadom swej straszliwej zbrodni...”.

Kanclerzyna dyktowała, a on skrobał piórem o kartę papieru. Treść listu nie była obszerna, zajmowała kilkanaście zdań zakończonych błaganiem o modlitwę i zmiłowanie dla jego potępionej duszy. Na koniec złożył podpis. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń.

Klara odebrała od Tynera wyznanie, omiotła treść wzrokiem.

– Mają znaleźć to pismo przy nim – powiedziała, wręczając je Dowgerdowi. – I pamiętaj: wybuch ma nastąpić z jedenastym dzwonem, nie wcześniej – zastrzegła stanowczo.

– Stanie się, jak każesz, wielmożna – odparł Dowgerd, a potem spętał Tynerowi ręce. Tym razem na jego plecach.

– Wy dwaj pójdziecie ze mną – zwróciła się Klara do łysego i chudzielca, po czym, nie poświęcając więźniowi jednego spojrzenia, opuściła piwnice.

Dowgerd sięgnął do skórzanej torby i wyciągnął długi, zwinięty lont, przycięty ogarek świecy i szklane naczynie z dwoma otworami. Tyner kilka razy brał udział w oblężeniach kozackich twierdz i widział już takie rzeczy przygotowywane przez saperów.

Litwin przeszedł do drugiej piwnicy. Tyner przekrzywił głowę, obserwując, jak Dowgerd przykłęka pod kolumną i podłącza lont do beczułki z prochem. Zgromadzona tam ilość materiału wybuchowego wystarczała, aby rozwalić ceglane podpory i spowodować zapadnięcie się posadzki kościoła wraz z znajdującymi się na górze ludźmi. Ci, którzy przeżyją eksplozję i upadek, zostaną pogrzebani przez gruz, poranieni przez metalowe i drewniane odłamki. W najlepszym razie doznają złamań. Jednym brutalnym posunięciem Pacowie wyeliminują wrogie im stronnictwo. Co gorsza, odpowiedzialność za tę straszliwą zbrodnię spadnie na księżnę Gryzelde, podczas gdy prawdziwi sprawcy pozostaną bezkarni i zwycięscy.

Tyner zacisnął pięści, czując, jak powróż wrzyna mu się w skórę. Spróbował poluzować więzy, lecz po chwili musiał zaniechać bezowocnych wysiłków.

Dowgerd, krocząc tyłem, zaczął rozwijać konopny sznur nasączony wapnem, końskim nawozem, popiołem i saletrą do momentu, gdy ten skończył się pod ceglanym łukiem przejścia. Potem przyniósł drewnianą skrzynkę, którą postawił do góry dnem. Umieścił tam ogarek świecy i umocował do niej końcówkę lontu. Na koniec zapalił knot i nakrył świecę szklanym pojemniczkiem zaopatrzonym w otwory, którymi dopływało powietrze niezbędne do podsycania ognia.

Dowgerd podszedł do Tynera, chwycił go za ramię i bezceremonialnie postawił na nogi.

– Idziemy – rzucił ochryple i pchnął Bogusława w stronę wyjścia na korytarz.

Chodzenie ze spętanymi kostkami nie jest proste, zwłaszcza gdy w plecy szturcha cię silny drab, a ty zmuszony jesteś drobić kroczi. Bogusław omal nie wyrznął czołem w niskie nadproże nad wyjściem z lochów.

Dotarli do schodów. Tyner zachwiał się na zwietrzałym stopniu, ale udało mu się ustać na nogach. Pokonując stopień za stopniem, zaczął wspinać się w stronę prostokątnego otworu wybitego w ścianie.

Dowgerd znów szturchnął go w plecy i Tyner zgarbił ramiona.

„Chyba najwyższy czas zacząć się modlić”. Poszukał w pamięci odpowiednich słów, ale jakoś żadne nie przyszły mu do głowy.

Wtedy gdzieś blisko huknął strzał.

*

Nadjeżdżali. Grot wychylił głowę zza wyszczerbionego muru i ujrzał zadaszony powóz sunący wolno w towarzystwie kilku jeźdźców. Konny na przedzie trzymał przed sobą latarnię, rzucającą słaby blask na kanciaste bryły budynków. Część domów była zdewastowana, inne wyglądały na opuszczone, tylko w jednym oknie paręset kroków od miejsca, w którym stał, błyskało światełko lampy.

Karoca zatrzymała się przy ciemnym jak grób zaułku i wsiadła do niej kobieta. Wachmistrz nie zobaczył jej twarzy skrywanej podkapturem peleryny, ale i tak wiedział, że to Klara Pac. Kanclerzynie towarzyszył wielki drab z czaszką łysą jak kolano. Wachmistrz nie widział nigdzie Tynera.

Zmartwiony potarł kciukiem wąsy. Porucznik polecił mu ubezpieczać go podczas wycieczki z kanclerzyną. Nie sprecyzował jednak, co wachmistrz ma czynić w takim wypadku jak ten. „Zdaj się na wyczucie”, tak powiedział.

Karoca pognąła z turkotem kół wyludnioną uliczką. Wielkolud odprowadził wzrokiem oddalający się zaprzęg, po czym wycofał się do zaułka. Grot zdecydowanie wolałby znaleźć się gdzie indziej, ale jak to bywa w życiu, nie miał wielkiego wyboru.

Wsadził dłoń pod pelerynę i odnalazł pistolet. Zaciskając dłoń na kolbie broni, wkroczył w zaułek. Minął stertę połamanych skrzyń i dotarł do podwórza. Przywarł plecami do ściany i zerknął za róg, gdzie znajdowały się uchylone drzwi.

Dwa kroki od nich stał łysol, spryskując mur obfitym strumieniem moczu. Od mężczyzny dzieliło go kilka kroków. Grot wyciągnął pistolet spod peleryny i bezgłośnie ruszył w stronę draba. Gdy tamten pochylił głowę, aby zawiązać troczki u portek, wachmistrz przytknął mu lufę do białego, tłustego karku.

– Ani drgnij, bo rozwalę ci łeb! – wycedził szeptem.

Łysy ani drgnął, co raczej dobrze świadczyło o jego pomysłu. Grot wolną

dłonią pozbawił go szabli oraz noża i cisnął je na ziemię.

– Ilu was tam jest? – zapytał.

– Trzech – padła chrapliwa odpowiedź.

– A porucznik? Stało mu się coś?

– Jeszcze nie, ale jest w podziemiach.

Wachmistrz zaklął pod nosem.

– Prowadź tam – warknął.

Chwycił wielkoluda za koszulę i wbijając mu lufę w tył głowy, pchnął go w stronę drzwi.

Gdy otworzył je szerzej, wsunęli się do magazynu. W środku paliły się tylko dwie lampki, ale i tak, wychodząc z mroku, Grot zmrużył oczy oślepiiony blaskiem.

Nagle łysy odrobinę przekręcił głowę w prawo, co stało się dla wachmistrza bezgłośnie wskazówką.

Grot uchylił się błyskawicznie przed ciosem pałką, ale i tak ostre szarpnięcie bólu sparaliżowało mu rękę i wytrąciło z niej broń. Pistolet uderzył o podłogę. Wachmistrz stęknął i sprawną dłonią sięgnął do biodra po nóż. Na oślep, kierując się czystym instynktem, wbił ostrze w tułów napastnika. Trafił w coś twardego. Stał zgrzytnęła o kości i poczuł opór na rękojeści noża. Szarpnął, ale ostrze zaklinowało się między żebrami chudzielca, który go zaatakował.

Grot wypuścił nóż z dłoni i zasłonił się przed nadlatującą pięścią łysego. Twarde jak kamień kłykcie trafiły go w czoło, aż zadźwięczało mu w uszach. Wpadł plecami na ścianę i stęknął przez zaciśnięte zęby, gdy framuga wbiła się mu w łopatkę. Znów uchylił się pod wyprowadzonym przez łysego zamachem i wielka piącha łupnęła w ścianę tuż przy jego uchu.

Wachmistrz z całej siły kopnął wielkoluda w kolano i wbił mu pięść w bok, po czym prześlizgnął się pod jego pachą, nim tamten zdołał zacisnąć na nim mocarne łapska. Dostawszy się za plecy przeciwnika, Grot podniósł pistolet i strzelił, celując mu w głowę.

Wielkolud zachwiał się, z otworu w jego czole popłynęła krew. Źrenice mężczyzny uciekły w tył, zrobił jeszcze krok i zwałił się na twarz.

Grot zerknął na drugiego martwego mężczyznę. Niski i żyłasty, leżał na podłodze, ściskając w dłoniach rękojeść wystającą mu z tułowia. To był dobry nóż, wiele razem przeszli i wachmistrz nie zamierzał go zostawiać. Złapał lewą ręką za trzonek i spróbował wydobyć ostrze z ciała. Udało mu się to dopiero po kilku bardzo silnych szarpnięciach.

Prawe ramię bolało go jak diabli, ale przynajmniej mógł nim poruszyć. Pomyślał, że przyda mu się druga broń. Pochylił się i podniósł okutą pałkę wypuszczoną przez chudzielca. Było to okrutne, ciche narzędzie. Gdyby nie zdołał się uchylić, to on leżałby na podłodze z rozłupaną czaszką.

Wachmistrz rozejrzał się za wejściem do podziemi, o których wspomniał łysy. Dostrzegł je we wnęce na końcu magazynu. Ciemny otwór wybity w murze.

To nie było miejsce, w które powinien zaglądać mądry człowiek.

Grot zacisnął zęby i ruszył w tamtą stronę.

*

Przybyli już wszyscy, którzy liczyli się w grze o władzę. Ilość zgromadzonych w kościelnej nawie karmazynu, jedwabiu, adamaszku i złotogłowu w połączeniu z bogactwem klejnotów i ozdób wiele mówiła o majątku poszczególnych magnatów i senatorów Rzeczypospolitej.

Jan Sobieski, obserwując ten korowód próżności, widział pieniądze potrzebne dla ochrony granic oraz twierdz przed turecką i rosyjską agresją. Szkopuł w tym, że nikt nie chciał podzielić się złotem z armią, którą on musiał dowodzić i opłacać z własnej kiesy.

„Bez funduszy przysyłanych z Paryża dawno bym już zbankrutował i poszedł na żebry”, skonstatował smutno.

Polityka jest jednak sumą realnych możliwości, a nie pobożnych życzeń. Choć i pobożności, zwłaszcza tej na pokaz, nigdy nie zbywało panom senatorom.

Spiskowcy podchodzili po kolei do Biblii leżącej na ołtarzu, przyklękali i złożąwszy prawicę na świętej księdze, przysięgali wierność księciu de Longueville'owi. Po tym akcie Prażmowski podawał każdemu z buntowników

komunię świętą i kreślił na czole znak krzyża.

Jan złożył przysięgę jako jeden z pierwszych, wraz z Prażmowskim, Morsztynem i Lubomirskim.

Marysieńka została w pałacu, trapiąca dolegliwościami związanymi z ciążą. Ostatnie tygodnie były trudne dla nich obojga. Nastroje żony zmieniały się gwałtownie: smutek przechodził w nagłą wesołość, a po chwili zmieniał się w zgryźliwość. W takich chwilach Jan powstrzymywał się od gniewu i kłótni, myśląc o dziecku, które wkrótce przyjdzie na świat.

W świątyni zebrało się niemal czterdziestu senatorów i magnatów, aby ogłosić, że Michał Korybut od tej nocy nie jest już królem Rzeczypospolitej. Tyle że księżę de Longueville wciąż przebywał we Francji, a Ludwik XIV ociągał się z wysłaniem go do Polski. Jedyna droga, którą diuk mógł przetransportować wojsko i armaty, wiodła przez morza, te zaś kontrolował potężny sojusz flot Anglików i Holendrów. Sobieski nie spodziewał się więc, że rychło będzie mieć okazję ucałować dłoń nowego króla.

„Czy tylko mnie to niepokoi?” Po raz wtóry zadał sobie to pytanie i rozejrzał się po otaczających go twarzach.

Mikołaj Sieniawski wydawał się znudzony, ale akurat w jego przypadku Sobieski nie spodziewał się niczego innego. Wojewoda Jabłonowski wpatrywał się z napięciem w posadzkę z dziwnym wyrazem twarzy, jakby wiedział coś, o czym pozostali uczestnicy spotkania nie mieli pojęcia. Morsztyn również milczał. Hetman dostrzegł, że podskarbi co chwila nerwowo zerka w stronę wejścia do świątyni, jakby kogoś oczekiwał. Potem wyciągnął zegarek z kieszonki szustokoru i spojrzał na tarczę.

W tym czasie ostatni ze spiskowców złożył przysięgę i zszedł z podwyższenia. Prymas wzniosł dłonie, apelując o ciszę. Szmer rozmów przycichł.

– Drodzy przyjaciele, ten dzień zapisze się sławą na kartach historii – oświadczył Prażmowski donośnym głosem. – Jako czas, gdy my, wolni ludzie, wyrzekliśmy się władzy tyrana, niegodziwca i grzesznika i oddaliśmy los naszej ojczyzny w ręce człowieka szlachetnego i miłościwego serca.

„Szkoda, że go tu nie ma z nami”. Sobieski zacisnął usta, zatrzymując tę myśl

dla siebie.

– Oddajemy diukowi de Longueville’owi nasze szable, lojalność i wiarę – ciągnął jego eminencja z emfazą. – Wzywamy go, aby najrychlej, jak to będzie możliwe, przybył do swego królestwa i oswobodził nas, swych wiernych poddanych, którzy są ciemiężeni przez okrutną władzę.

Wśród zebranych podniósł się szmer uznania dla słów prymasa, choć Jan nie sądził, aby któryś z senatorów wierzył w te brednie.

Nagle w tylnych szeregach malkontentów zrobiło się zamieszanie. Sobieski się obejrzał. Był wyższy od większości zgromadzonych w nawie mężczyzn, dostrzegł więc kilka sług przeciskających się w ciżbie. Posłańcy zatrzymywali się przy swych panach i szeptali im coś do ucha.

Jan ujrzał szok i niedowierzanie na obliczach senatorów. Szepty momentalnie wzmogły się i przeistoczyły we wrzawę.

– Pójdę zobaczyć, co się stało – powiedział Sieniawski i przepchnął się do Wielopolskiego, który właśnie rozmawiał ze swym sługą.

Jan zerknął na Morsztyna. Podskarbi był dziwnie opanowany, jakby wszystko przewidział. Prażmowski wręcz przeciwnie, zastygł całkiem zaskoczony przebiegiem zdarzeń. Stał na podwyższeniu i wodził wzrokiem po wzburzonych magnatach. Potem zszedł do Lubomirskiego, a ten błdy jak kreda powiedział mu kilka szybkich zdań.

Sieniawski wrócił bardzo szybko.

– Longueville nie żyje – wycedził zdenerwowany. – Utonął, żabojad w dupę chędożony...

Jan poczuł, że traci oddech. Szybko odpiął guz pod kołnierzykiem i wziął głęboki wdech.

Minęli go Lubomirski i Wielopolski, którzy szybkim krokiem zmierzali do wyjścia. Przykład tych dwóch dał reszcie magnatów sygnał do powszechnej rejterady. Pojedynczo i grupami zaczęli wymykać się na zewnątrz, ładowali się do karet i odjeżdżali w pośpiechu przy akompaniamencie pokrzykiwań woźniców i trzaskania batów.

Nim upłynął kwadrans, świątynia opustoszała. Zostali w niej prymas, Sobieski, Jabłonowski, Sieniawski i Morsztyn, a także kilkunastu oficerów wojska koronnego.

Prażmowski, wciąż zaszokowany, podciągnął sutannę i usiadł na stopniu ołtarza.

– Przynieś wina, do cholery – warknął do towarzyszącego mu księdza.

Życzeniu prymasa szybko stało się zadość. W jego roztrzęsionych dłoniach spoczął kielich z mszalnym. Prażmowski osuszył naczynie jednym haustem i odzyskawszy kolory na obliczu, otarł usta dłonią.

– Co robimy? – zwrócił się bezradnie do stojących nad nim Sobieskiego i Morsztyna.

– Trzeba paktować – rzekł podskarbi. – Zobaczę, co da się uzyskać w zamku. Spotkajmy się jutro w siedzibie hetmana.

– A jeśli nas zaatakują? – spytał Jabłonowski nerwowo.

– Nie sędzę, aby wiedzieli o śmierci księcia – uspokoił go Morsztyn. – Na razie wciąż mamy przewagę w żołnierzach. Dopóki nie nadciągną Pacowie. Wykorzystajmy to w negocjacjach na temat rozejmu i pacyfikacji. To jedyne wyjście.

Prażmowski wykrzywił się, ale nie protestował, zbyt wystraszony i wstrząśnięty. Podniósł się i ruszył ku wyjściu, prowadząc za sobą grupkę duchownych.

Morsztyn zerknął na zegarek i pożegnał się w pośpiechu, zabierając ze sobą Jabłonowskiego. Dopiero gdy ci dwaj wyszli na zewnątrz, Sobieski spoczął w ławce i zgarbił ramiona. Sieniawski usiadł obok i długą chwilę nie odzywali się do siebie.

– No to chyba trzeba nam nowego kandydata na króla – mruknął Mikołaj i popatrzył na hetmana wymownie.

– Skąd ci go wytrzasnę!? – odrzekł Jan, zbyt pochłonięty myślami, aby dostrzec spojrzenie przyjaciela.

Powinien czuć rozczarowanie i złość, a jedyne, co wypełniało mu pierś, to ulga. Nie będzie wojny domowej, a co lepsze, Marysieńka nie mogła oskarżyć go o niedołęstwo czy wahania. Bez dwóch zdań to był jego szczęśliwy dzień.

Na wieży kościoła po raz jedenasty uderzył dzwon.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Szarpięcie w tył, które wyrwało mu schodek spod stóp, widok umykającego sufitu i eksplozja bólu, gdy zaczął koziółkować w dół schodów.

Potem wszystko znieruchomiało i Tyner zrozumiał, że leży na podłodze tunelu.

– Uhrrr... – zakrztusił się śliną zatykającą mu przełyk. Czuł w ustach smak krwi. Sprawdził językiem zęby, wydawało się, że wciąż są na swoim miejscu.

U szczytu schodów wywiązała się brutalna walka między Dowgerdem i Grotem. Bijatyce towarzyszyły sapanie i głuchoe odgłosy wymienianych ciosów. Nagle od walczących postaci oderwał się jakiś przedmiot i odbijając się z metalicznym dźwiękiem od schodów, walnął w ścianę i zawirował blisko głowy Tynera.

To był nóż. Bogusław stęknął i napinając mięśnie, sprawdził, czy może się ruszać. W kilku miejscach przeszył go okropny ból, ale chyba nic nie było złamane. Szorując ramieniem po podłodze, podpełzł do noża. Każdy ruch wywoływał spazm w obitym barku, ale Tyner zagryzł wargę i przesunął się o kolejny cal, aż nóż znalazł się za jego plecami.

Stękając, obrócił się na plecy i uniósł biodra, aby ułatwić sobie sięgnięcie po ostrze. Ból przeniósł się na biodra i łopatki. Tyner zaczął przeszukiwać opuszkami palców chodnik, aż natrafił na nóż. Syknął, gdy stał rozcięła mu palce. Wyginając spętane ręce, chwycił za rękojeść.

Ponownie przekręcił się na bok. Złapał oddech przez zaciśnięte zęby i usiadł. Używając wyłącznie palców dłoni, obrócił ostrze do góry i zaczął trzeć naostrzoną stalą o sznur. Ramiona paliły go bólem, rękojeść ślizgała się od spływającej z palców krwi, lecz mimo to pracował z uporem, tnąc więzy. Nagle sznur poddał się i pękł pod naporem stali i siły ramion.

Tyner rozciął więzy na kostkach nóg i spróbował wstać. Pierwszy ból był tak silny, że Bogusław musiał oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Spojrzał w górę. Dowgerd i Grot zniknęli w jaśniejszym wejściu do magazynu. Tyner wiedział, że powinien wspiąć się tam i pomóc wachmistrzowi. Jednocześnie nie potrafił przewidzieć, ile czasu zostało do eksplozji.

Musiał dokonać wyboru.

Stęknął, opierając ciężar ciała na skręconej nodze, i wykonał pierwszy krok, oddalając się od schodów. Żebra paliły go żywym ogniem, przekrzywiona stopa szurała po kamiennym podłożu, co wywoływało przeszywający spazm w skręconej kostce. Korytarz kołysał się przed nim z boku na bok, przed oczami pojawiły się ciemne plamki. Mimo to szedł dalej, trąc ramieniem o ceglana ścianę. W mroku pojawiła się plama jasności. Tyner pochylił głowę, aby nie uderzyć o nadproże, i znalazł się w lochu. Świeczka wciąż płonęła, choć niewiele brakowało, by ogień podpalił lont.

Zagryzając usta, dokuśtykał do skrzynki ze świeczką. Strącił dłonią szklany pojemnik i zdusił płomień.

W lochu zapadły grobowe ciemności. Tyner zastygł bez ruchu, świadomy, że każde poruszenie wywoła nowy spazm bólu.

Na górze miało miejsce jakieś poruszenie, słyszał mnóstwo kroków zmierzających w jedną stronę. Jakby naraz wszyscy zaczęli opuszczać kościół.

„Czyżby wiedzieli już o prochu?“, zadał sobie pytanie. Jeśli tak, będzie mu trudno wytłumaczyć się z obecności w tym miejscu.

Tyner usłyszał, że ktoś zbliża się tunelem. Dostrzegł pełzający po murze blask niesionej lampy. Wyciągnął nóż z za paska. Strach dodał mu sił, przygotował się na walkę.

Pod łukiem przejścia błysnęła lampa, oświetlając wysoką sylwetkę trzymającego ją mężczyzny. Tyner wypuścił powietrze przez zęby. To był Grot. Miał poobijaną twarz i krwawiące ramię, ale chyba nie odniósł groźniejszych obrażeń.

Wachmistrz uśmiechnął się z ulgą na widok żywego Tynera i natychmiast skrzywił się z bólu. Tyner pomyślał o Dowgerdzie. Miał nadzieję, że sukinsyn jest martwy.

– Zabiłeś go?

– Zraniłem, ale zbiegł – rzekł Grot z niezadowoleniem.

Tyner zrobił krok w jego stronę, zachwiał się na skręconej nodze i omal się nie wyrócił. Wachmistrz podparł go ramieniem.

– Wracamy do zamku – rzekł Bogusław. – Kniahini musi się dowiedzieć, co tu

się wydarzyło.

Grot omiótł wzrokiem ciemnicę.

– A co właściwie się stało?

– Właśnie ocaliliśmy życie wielu śmiertelnym wrogom króla – wyjaśnił mu Tyner.

Chwilę milczeli.

– Ale... to i tak chyba dobry uczynek? – upewnił się wachmistrz.

W odpowiedzi Tyner roześmiał się chrapliwie.

– Bez wątpienia, przyjacielu. Bez wątpienia. Szkopuł w tym, że za każdy dobry uczynek dostaniemy kiedyś kopa w dupę.

*

Dochodziła jedenasta, lecz kniahini nie zamierzała kłaść się do łóżka. Im dłużej żyła, tym mniej potrzebowała snu. Zwykle zasypiała około drugiej w nocy, a budziła się wcześniej rano, aby przed wszystkimi udać się do kaplicy na samotną modlitwę.

Czas między wieczerzą a udaniem się na spoczynek poświęcała czytaniu dokumentów przysłanych jej przez zarządców rozległych dóbr. W czasach, gdy książ Jarema miał na Zadnieprzu setki wsi i dwieście tysięcy poddanych, nauczyła się, że należy osobiście kontrolować oficjalistów zarządzających dobrami. Doświadczenie nabyte w tamtych latach pozwalało jej teraz sprawnie kierować wielkim latyfundiem Zamoyskich.

Wiśniowieccy chętnie zatrudniali w swych ukraińskich majątkach żydowskich zarządców, którzy byli bardziej lojalni i pracowitsi niż chrześcijanie, i Gryzelda podtrzymała ten zwyczaj w swych dobrach. Choć i wśród Żydów co jakiś czas trafiały się czarne owce. Jak ów Szymon Icakowicz, który w ciągu ostatnich trzech lat pominął w księgowaniu jedenaście tysięcy złotych dochodu z zarządzanych przez siebie dóbr.

Icakowicz zabiegał o uwolnienie go z aresztu do czasu procesu, gdyż zgodnie z prawem wydanym jeszcze za Jana Kazimierza, nie wolno było trzymać Żyda dłużnika w więzieniu, jeśli znalazł sobie szanowanego poręczyciela.

Po krótkim zastanowieniu kniahini nakreśliła u dołu dokumentu adnotację: „Nie zezwalam na wypuszczenie podejrzanego z lochu”. Prawo mogło sobie obowiązywać, nie miała nic przeciw temu, ale poza Zamościem i jej dobrami. U siebie była samowładną panią.

Zesztywniał jej kark. To była kolejna dolegliwość, do której musiała przywyknąć wraz z upływem lat. Odchyliła głowę w tył i poruszyła nią na boki, słysząc lekki chrzęst kręgow. Odrobinę pomogło, więc Gryzelda sięgnęła po kolejną kartę ze sterty. Ten dokument tyczył wydatków poniesionych na wydzierżawienie nowych szkut używanych do spławu Wisłą. Z jej latyfundium wysyłano rzeką do Gdańska, a potem na zachód nie tylko wielkie ilości żyta, pszenicy czy jęczmienia, ale także drewno, воск, miód i potaż. W drugą stronę płynął do jej kiesy nieprzerwany strumień złota. Kniahini zamaszystym podpisem zatwierdziła opłatę dla frochtarzy wynajmujących statki kupcom i magnatom.

Rozległo się ciche pukanie i przez uchylone drzwi wsunął się sekretarz. Zaufany sługa kładł się o tej porze co ona i wstawał równie wcześnie, nigdy jednak nie słyszała słowa skargi z jego ust.

– Przyszła, mam ją wprowadzić? – zapytał.

Gryzelda skinęła głową. Spodziewała się tej wizyty. Sekretarz wycofał się za drzwi i wrócił po chwili, prowadząc za sobą Klarę Pac. Kanclerzyna miała na sobie ciemną pelerynę z uniesionym kapturem, który ściągnęła z głowy, gdy zostały same.

Kniahini nie poprosiła Francuzki, aby ta spoczęła na krześle. Dotknęła za to liściku, który spoczywał na biurku. Po wieczery dostarczył go sługa kanclerzyny.

– Czemu mam ci wierzyć? – zapytała Gryzelda chłodno.

– Nie musisz ufać moim słowom, księżno. Najlepiej, jak zaufasz własnym oczom.

– W jaki sposób?

– Wystarczy, że udasz się ze mną teraz do zamku, a przekonasz się, że to wszystko prawda.

Gryzelda zmierzyła ją wzrokiem.

– Twierdzisz, że mój syn śpi tej nocy z kurwą?

– Od miesiący utrzymuje w tajemnicy kochankę, w której zostawia nasienie.

Zaniedbuje w ten sposób królową, zaprzepaszcza szanse na poczęcie syna.

– Czemu Eleonora nie przyszła z tym do mnie?

– Jest zbyt dumna, aby prosić o pomoc w tak osobistej sprawie. Zwłaszcza ciebie, pani, która ostatnio nie szczędziłaś jej niesprawiedliwych ocen.

„Tak, Habsburżanka jest dumna, w to akurat nie sposób wątpić”. Gryzelda pomyślała o tych wszystkich miesiącach, gdy z utęsknieniem oczekiwała poczęcia dziedzica Wiśniowieckich. Wnuka, którego ukształtuje i przekaze mu Zamość, a może i koronę. Zacisnęła palce na krawędzi blatu.

– Chodźmy zatem! – Sięgnęła po laskę opartą o biurko i wyprostowała się.

Opuściły pałacyk wyjściem od strony ogrodów i podążyły alejkami. Na krańcu żwirowej dróżki znajdował się opleciony bluszczem mur łączący fortyfikacje ze skarpą tarasu. Klara Pac odgarnęła dłonią płataninę bluszczu i odsłoniła podwójną kratę schowaną w ceglanej ścianie. Wyjęła klucz i przekręciła go w zamku. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły jęklonie. Otworzył się przed nimi ciemny tunel, na którego końcu znajdowały się schody.

Gryzeldę przebiegł dreszcz.

– Może powinnam wziąć z sobą kłębek nici – zauważyła zgryźliwie.

– To nie labirynt i zapewniam, nie czai się tam Minotaur.

– Czemu więc nie wejdziemy przez taras?

– Nikt nie powinien zobaczyć nas na zamku. Chodźmy! – ponagliła ją Klara.

Wspinaczce po krętych schodach towarzyszyły szuranie butami i stukanie laski. Mdły blask lampy niesionej przez kanclerzynę muskał pokruszone ściany, rysował na nich pokraczne cienie poruszających się kobiet.

Gryzelda poczuła klucie w piersi, na szczęście dotarły już pod kolejne drzwi. Klara Pac nacisnęła klamkę i wprowadziła je do małego pomieszczenia, z którego dostały się do gabinetu z błękitnymi ścianami i meblami sprowadzonymi z Paryża. Nad kominkiem wisiał portret Krzysztofa Paca, kanclerza wielkiego litewskiego i męża Klary.

– Czemu mnie tu przyprowadziłaś? To jakiś żart!? – zapytała Gryzelda zdumiona.

– Cierpliwości, księżno – rzekła Pacowa.

Kanclerzyna oparła się o jeden z regałów z książkami i ten bezszelestnie przesunął się w lewo, ukazując ciemny, podłużny otwór w murze. Klara Pac oświetliła go i Gryzelda ujrzała kolejny wąski korytarz. Popatrzyła na Francuzkę nieufnie.

– Co to za przejście?

– Wybudowano je za czasów dwóch ostatnich książąt mazowieckich – wyjaśniła Pacowa. – Łączyło komnatę księcia Janusza z alkową jego siostry, którą obecnie zajmuję. Rodzeństwo bardzo się kochało. Niektórzy twierdzą, że nawet za bardzo – dodała kanclerzyna i uśmiechnęła się znacząco.

Gryzelda знаła tę historię, choć nie wierzyła w nią ani trochę. Tego typu wstrętne kalumnie zawsze dotykały królów czy książąt. Jak choćby jej syna, którego wrogowie pomawiali o najgorsze ohydztwa.

Klara odstawiła lampę i wskazała na laskę kniahini.

– Musisz ją odłożyć, pani, stukot czyni zbyt wiele hałasu.

Gryzelda jeszcze raz zerknęła w ciemny tunel. Pomyślała, że może zawrócić, wyjść z komnaty na hol i wrócić do swego łóżka. A jednak coś nie pozwalało jej zrezygnować.

Oparła laskę o ścianę.

– Podaj mi dłoń, pani – powiedziała Pacowa. – Poprowadzę cię.

Gryzelda zawahała się, lecz chwyciła zimną dłoń kanclerzyny. Wkroczyły w ciemny tunel.

Pacowa prowadziła ją w całkowitej ciemności przez kilkadziesiąt kroków i dwa zakręty. Potem Gryzelda ujrzała bardzo słabe światło przenikające przez jedną ze ścian. Weszły do niewielkiego czworokątnego pomieszczenia. Gryzelda zrozumiała, że blask przesącza się przez dwa otwory wybite w murze na wysokości jej twarzy.

Klara przyłożyła palce do warg i wskazała księżnej jedną z maleńkich szparek. Gryzelda przytknęła nos do chłodnego muru. Z początku nikogo nie ujrzała, tylko kilka mebli i łożę z baldachimem. Po chwili dotarło do niej, że poznaje to miejsce. To była alkowa jej syna.

Zdumiona spojrzała na Pacową i wtedy usłyszała głos Michała.

– Chodź do łóża, nie mamy całej nocy.

Wtenczas go ujrzała. Nagi prowadził za rękę innego nieubranego mężczyznę. Przyłgnęli do siebie ciałami, obejmując się i wymieniając pocałunki.

W pierwszym szoku Gryzelda nie potrafiła przyjąć tego, co widziały jej oczy. Zaciśnęła powieki, modląc się, aby była to tylko szatańska zjawia. Na próżno. Gdy otworzyła oczy, jej syn i tamten mężczyzna wciąż leżeli w łóżu. Patrzyła, jak Michał opiera dłonie o uda tamtego i pochyła głowę, aby...

Gryzelda poczuła mdłości, jakby coś ohydneho zatkało jej przełyk. Musiała oprzeć się o mur, aby nie upaść, ale i tak ugięły się pod nią nogi.

Czuła krew w ustach, może z przegryzionego języka, po policzkach spływały jej łzy. W piersi poczuła okrutny ból. Spróbowała powiedzieć Klarze, aby zabrała ją z tego miejsca, lecz zabrakło jej tchu. Z ust księżnej wydobył się tylko cichy jak szept skrzek. Ból coraz silniej zaciskał się na jej piersi, rozrywał serce, miażdżył je, łomotał w skroniach, rozsadzając głowę, zaciemniając wzrok.

Kniahini w rozpaczliwym geście wyciągnęła rozcapierzone palce do Klary. Pacowa stała nieruchomo, wpatrując się w nią, a potem odstąpiła krok w tył, później dwa. Gryzelda czuła, że odchodzi, zostawia ją w tym cichym i złowrogim miejscu na granicy zaświatów.

Nagle cierpienie zelżało i znów mogła oddychać. Ujrzała swą dawną alkoję w Łubnem i Jaremę niosącego w ramionach malutkiego Michała. Szedł do niej i uśmiechał się. Znów mieli być razem szczęśliwi. Na zawsze.

EPILOG

Marysieńka zjadła śniadanie pod wielką lipą rosnącą przy tarasie jej alkowy. Jak zwykle w ostatnich tygodniach dopisywał jej apetyt. Zaczęła od wspaniałego pasztetu z gęsi oraz ogórków kiszonych, na które nasza ją chęćka po przebudzeniu się. Potem skosztowała przepiórczych jaj i twarogu ze szczypiorkiem, a skończyła na cieście z marcepanem.

Popijając wino, zatonała w głębokim fotelu z wikliny, z poduszką podłożoną pod plecy i odpoczywała, ciesząc się, że nie musi nigdzie iść i dźwigać ogromnego brzucha. Rozwiązanie mogło nastąpić każdego dnia, choć medyk upierał się, że upłynie jeszcze tydzień lub nawet dwa, nim dziecko opuści łono.

Jan zapewnił jej najlepszego medyka i akuszerki, ale i tak ogromnie się bała. Mężczyźni umierali na wojnach, a kobiety w połogu. Przyczyn mogło być wiele i nie wszystkie znajdowały wyjaśnienie. Pozostawał też ból. Z Jakubem przez niemal dwa dni szarpały nią okropne skurcze, nim pierworodny przyszedł na świat. Miała nadzieję, że przy drugim dziecku poród przebiegać będzie łatwiej.

Trapiły ją też inne, sprzeczne myśli, związane z wyrzutami sumienia. Z jednej strony Marysieńka lękała się, że niebiosy ukarzą ją za cudzołóstwo. Z drugiej strony mogła ufać, że dziecko poczęte przez kardynała Kościoła rzymskokatolickiego cieszyć się będzie wsparciem świętych i aniołów.

„A także jego matka”, pomyślała z nadzieją.

Spojrzała na męża, który towarzyszył jej przy stole. Od kiedy zasiedli do posiłku, prawie nie odzywali się do siebie. Jan niemal nie tknął jedzenia.

Śmierć księcia de Longueville'a spadła jak grom z jasnego nieba, zburzyła ich plany i zmusiła do szukania porozumienia z dworem, czym sprawnie zajął się podskarbi Morsztyn. Zakończenie sporu zostało przyjęte przez oba zwaśnione stronnictwa z tym większą ulgą, że armia sułtana dotarła do granic Rzeczypospolitej.

Marysieńka nie żywiła złudzeń co do trwałości zawartego porozumienia. Dla obu stron był to wyłącznie wymuszony okolicznościami rozejm – czas, który należało wykorzystać na poczynienie przygotowań do dalszej rozgrywki o tron.

Jan trzymał nos w jakichś listach z Ukrainy, mruzczał i marszczył czoło z niezadowoleniem.

– Stało się coś złego? – zapytała, chcąc uciec od własnych lęków.

Zerknął na nią spod ściągniętych brwi.

– Tatarzy i Kozacy pobili nasze chorągwie nad Bohem. Straty są znaczne, w niektórych oddziałach sięgają połowy stanu.

Marysieńka poruszyła się niespokojnie, myśląc o Jakubie, który został w Żółkwi. Miasto dzieliło od granic kilkaset mil, ale i tak zapragnęła mieć teraz syna przy sobie w Warszawie.

– Co zamierzasz? – zapytała.

– Dam chorągwiom rozkaz wycofania się na zachód. Ukraina na razie stracona. Trzeba zabezpieczyć Kamieniec i Lwów przed armią sułtana. – Jan złożył listy i odłożył je na blat. – Zaraz po podpisaniu układów pacyfikacyjnych z królem wyruszam z armią na Ruś.

– Czemu mi nie powiedziałaś wcześniej? Muszę się spakować.

– Ty, duszko, zostaniesz tutaj – oznajmił stanowczo. – Podróż w twym stanie jest wykluczona.

Chciała zaprotestować, ale pochylił się i przyłożył dłoń do jej napęczniałego brzucha.

– Nasze dziecko musi przyjść na świat w najlepszych warunkach. – Spojrzał jej w oczy. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało.

Powiedział to w taki sposób, że nie potrafiła mu się sprzeciwić.

– Zgoda, zostanę, lecz wyślę z tobą Charlotte, aby sprowadziła do mnie Jakuba.

– Wyborny pomysł – zgodził się Jan. – W Żółkwi jest na razie bezpieczny, ale nie wiem, jak potoczą się losy wojny. Może będziecie musieli przenieść się nawet do Gniewu.

Po śniadaniu Jan udał się na zamek. Od kilku dni omawiano tam warunki rozejmu między stronnictwami. Marysieńka została na tarasie, gdzie przysnęła. Przebudziła się w pełnym słońcu z atakiem migreny. Trzymając się za skroń, wróciła do alkowy i położyła się do łóżka. Przez czas jakiś liczyła, że ból sam

ustąpi, ale coraz mocniej rozpierał jej czaszkę. Pomyślała o laudanum. Podniosła się i sięgnęła do kuferka, gdzie trzymała lekarstwo.

Wtedy przypomniała sobie, że ostatnią dawkę zużyła ubiegłego dnia, na ból kolan i bioder, gdy wybierała się na mszę żałobną w intencji księżnej Gryzeldy.

To, co przydarzyło się kniahini, było niespodziewane i korzystne, a jednak Marysieńka nie potrafiła odnaleźć w sobie spodziewanej radości. A przecież powinna, zważywszy, jak szczerze się nienawidziły. Po kilkunastu latach wypełnionych rywalizacją i wrogością dziwnie było wiedzieć, że to koniec. Miała wrażenie, jakby z jej serca uleciało coś istotnego, pozostawiając w tym miejscu dziurę, którą dopiero trzeba zapełnić.

Księżna miała umrzeć spokojnie we własnym łóżku, tak przynajmniej głosiła oficjalna wersja wydarzeń. Niemniej Morsztyn, który miał swych szpiegów wśród dworaków, twierdził, że kniahinię znaleziono w jakimś tunelu. Niestety nic więcej nie potrafił powiedzieć. Nie potrafił albo nie chciał...

Po mszy trumnę z ciałem księżnej przewieziono nad rzekę, gdzie cumowała szkuta mająca przetransportować ją do Zamościa. Na czele konduktu maszerowali najpotężniejsi dostojnicy Rzeczypospolitej, regaliści i członkowie opozycji, w tym Jan – hetman i marszałek koronny. Wraz z nim szli podskarbi Morsztyn, Wielopolski, Jabłonowski, Lubomirski, nawet Mikołaj Sieniawski. Zabrakło za to Prażmowskiego, który nawet w obliczu śmierci nie potrafił wznieść się ponad animozje. Prymas wyjechał do Łowicza zaraz po postanowieniu rozejmu między stronnictwami. Królowa Eleonora w czarnej woalce i towarzysząca jej w żałobie Klara Pac wspierały Korybuta, który nie krył łez z powodu śmierci matki.

Na skutek upałów z trumny ulatniał się mdły odór i wiele osób, w tym Marysieńka, marszczyło nosy. Wspomnienie tamtego smrodu tylko pogorszyło ból rozsadzający jej głowę. Musiała zdobyć lekarstwo, i to natychmiast. Sięgnęła po dzwonek, aby wezwać służącą i wysłać ją do apteki, lecz wówczas przypomniała sobie o buteleczce laudanum w gabinecie Jana. Została tam jeszcze z czasów, gdy kurował się jesienią z powodu wrzodu gardła.

Mrużąc wilgotne od łez oczy, udała się do gabinetu męża i od razu podeszła do biurka, na którym stał piękny globus, dar od kupców pośredniczących w handlu

zbożem między dobrami Sobieskich a Amsterdamem.

Górna część biurka składała się z zamykanego sekretarzyka. Spróbowała otworzyć dwuskrzydłowe drzwiczki, lecz były zamknięte. Marysieńka sięgnęła dłonią pod blat i wyciągnęła klucz, po czym przekręciła go w zamku.

Flakonik z laudanum stał na najwyższej z trzech półek. Odkorkowała naczynie i od razu zażyła gorzką mieszankę wina i opium. Ta substancja była mniej rozcieńczona niż jej lekarstwo i już po chwili zaczęła odczuwać miłą błogość, a ból głowy począł ustępować. Westchnęła z ulgą.

Odstawiła flakonik na miejsce i zamierzała zamknąć drzwiczki, gdy jej wzrok padł na księgę leżącą na dolnej półce. Marysieńka odczytała nazwisko autora i tytuł – *L'Astrée*. Podekscytowana wzięła wolumin do rąk.

Zalała ją fala emocji i wspomnień z czasów, gdy była żoną Zamoyskiego. W tamtych smutnych latach ona i Jan ukrywali przed światem swą miłość. Listy, które wówczas do siebie pisali, były dla niej bezcenną radością. Z obawy przed wykryciem ich romansu używali szyfru, ukrywając się pod postaciami z tej książki. Było to romantyczne i naiwne, jak romantyczna i naiwna jest miłość młodych ludzi.

Z czułością otworzyła okładkę i dotknęła opuszkami palców ryciny przedstawiającej piękno mitycznej Arkadii. Egzemplarz był bardzo stary i kosztowny. Z pewnością Jan kupił go dla niej w prezencie.

Marysieńka pośliniła palce, żeby odkleić zlepione ze sobą stronice. Jan mógł wrócić dopiero wieczorem, więc miała dużo czasu, aby rozkoszować się wspomnieniem młodości.

Copyright © by Robert Foryś

Redakcja: Robert Chojnacki

Redakcja tekstu: Elżbieta Kot

Opieka redakcyjna: Katarzyna Kolowca-Chmura

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Alicja Listwan / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,
Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Łamanie: Zuzanna Szatanik / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia postaci na okładce: Michał Pasich

Promocja książki: Monika Frankiewicz

ISBN 978-83-7515-817-5

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. [\(12\) 427 12 00](tel:124271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić
książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

